

De. II  
Tom CCXVI.  
SERYA 6.

ROK 54.  
ZESZYT 647.

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

LISTOPAD.

1894.

TOM IV. — ZESZYT 2.

WARSZAWA.  
Adres Redakcyi: ulica Jasna Nr 6.

—  
1894.

LITERATURA, NAUKI, SZTUKI PIĘKNE, SPRAWY  
SPOŁECZNE I EKONOMICZNE, KRONIKI MIEJSCOWE I ZAGRANICZNE,  
KRYTYCZNY I BIBLIOGRAFICZNY PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

TREŚĆ ZESZYTU.

	Str.
I. — MANIFEST NAJWYŻSZY . . . . .	205
II. — ZATARGI O STAROSTÓW POGRANICZNYCH 1618—1654. Szkic historyczny, skreślony na podstawie ruskich źródeł historycznych, — przez <b>Adama Darowskiego</b> . . . . .	207
III. — RODZINA POŁANIECKICH (dokończenie), — przez <b>Henryka Sienkiewicza</b> . . . . .	229
IV. — STULECIE JHEMII, — przez <b>Dra Maksymiliana Flauma</b> . . . . .	260
V. — KRONIKA PARYSKA. . . . .	290
VI. — W STEPIE PSZENNYM. (Luźne wrażenia z podróży po Dakocie i Minnesocie), (dokończenie) — przez <b>K. F. Żywickiego</b> . . . . .	314
VII. — NA DZIEŃ ZADUSZNY. — Z CYKLU p. t. „SNY.” — WIDZIAŁEM SZKLISTE MARTWYCH WÓD OBSZARY (poezje), — przez <b>Lucyana Rydla</b> . . . . .	338
VIII. — WŚRÓD STEPÓW I JARÓW. II WE MROKU, — przez <b>Ksawerego Chamca</b> . . . . .	342
IX. — PIŚMIENNICTWO KRAJOWE I ZAGRANICZNE: <i>Pr. Ulanowski.</i> „Wieś polska pod względem prawnym od wieku XVI do XVIII.” — <i>General Prince Stecherbatow, de l'etat major.</i> „Le Feld-Maréchal Prince Paskevitsch, sa vie politique et militaire d'après des documents inédits” — przez <b>A. Rembowski</b> . . . . .	384
<i>Maryan Gawalewicz i Piotr Stachewicz.</i> „Królowa Niebios” legendy o Matece Boskiej — przez <b>W. Bogusławskiego</b> . . . . .	395
X. — KRONIKA MIESIĘCZNA . . . . .	400
XI. — WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE . . . . .	410



De. II. 1.

PETERSBURG, 1 listopada. (Tel. Ag. Półn.). Jego Cesarska Mość Najjaśniejszy Pan Aleksander III-ci o godz. 2-ej min. 15 po południu w dniu 20-ym października (st. st.) spoczął spokojnie w Bogu.

## MANIFEST NAJWYŻSZY.

Z BOŻEJ ŁASKI

# **MY, MIKOŁAJ II,**

CESARZ I SAMOWŁADCA WSZECHROSSYJSKI, KRÓL  
POLSKI, WIELKI KSIĄŻE FINLANDZKI  
*etc., etc., etc.*

Wiadomo czynimy wszystkim wiernym Naszym poddanym:

Bogu Wszelchmogącemu podobalo się w niezbadanych wyrokach Swoich przerwać Drogocenne życie gorąco kochanego Rodzica Naszego, Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana Aleksandra Aleksandrowicza. Ciężka choroba nie ustąpiła ani przed leczeniem, ani przed dobroczynnym klimatem Krymu, i dnia 20 października Jego Cesarska Mość zakończył życie w Liwadyi, otoczony Najdostojniejszą Rodziną Swoją, na rękach Jej Cesarskiej Mości Najjaśniejszej Pani i Naszych.

Boleści Naszej niepodobna wyrazić słowami, ale zrozumie ją każde serce ruskie i wierzymy, że nie będzie miejsca wrozległym Naszem Państwie, gdzieby się nie lały łzy gorące po Monarsze, który przedwcześnie przeniósł się do wieczności i opuścił ziemię ojczystą, ukochaną

przez Niego całą siłą Jego ruskiej duszy i dla szczęścia której poświęcał wszystkie Swoje myśli, nie szczędząc ani zdrowia, ani życia. I nie w Rossyi tylko, ale daleko po-za jej granicami nigdy nie przestanie być czczoną pamięć Monarchy, uosabiającego niewzruszoną prawdę i pokój, ani razu niezakłócony przez całe Jego panowanie.

Lecz niechaj będzie świętą wola Najwyższego i niechaj krzepi Nas niezachwiana wiara w mądrość Opatrzności Boskiej i niech pocieszy Nas świadomość, że boleść Nasza jest boleścią całego ukochanego ludu Naszego i niech lud ten nie zapomina, że siła i moc świętej Rossyi leży w jej jedności z Nami i w bezgranicznej wierności dla Nas. My zaś w tej bolesnej, lecz uroczystej godzinie wstąpienia Naszego na praojcowski Tron Cesarstwa Rossyjskiego i nierozdzielnych z Niem Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Finlandzkiego, pomni na Spuściznę zgasłego Rodzica Naszego i przejęci nią, czynimy święty ślub przed obliczem Najwyższego, że zawsze jedynym celem Naszym będzie rozwój pokojowy, potęga i chwała ukochanej Rossyi, tudzież zapewnienie szczęścia wszystkim Naszym wiernym poddanym. Niechaj wspomaga Nas Bóg Wszechmogący, któremu podobało się powołać Nas do tej wielkiej służby.

Zanosząc gorące modły do tronu Wszechmocnego o spokój czystej duszy Niezapomnianego Rodzica Naszego, rozkazujemy wszystkim Naszym poddanym złożyć przysięgę na wierność Nam i Następcy Naszemu, Jego Cesarskiej Wysokości Wielkiemu Księciu Jerzemu Aleksandrowiczowi, który ma być i nosić tytuł Następcy Tronu Cesarzewicza, dopóki Bogu nie podoba się pobłogosławić urodzeniem syna przyszedłego związku Naszego z Księżniczką Alicją Hessko-Darmstadtzką.

Dan w Liwadyi roku od Narodzenia Chrystusa tysiąc ośmset dziewięćdziesiątego czwartego, panowania zaś Naszego pierwszego, dnia 20 października.

Na oryginalne Własną Jego Cesarskiej Mości ręką podpisano:

**MIKOŁAJ.**

---

# Zatargi o starostów pogranicznych.

1618—1654.

Szkic historyczny, skreślony na podstawie ruskich źródeł historycznych.

---

Rozejm z r. 1618, tak zwany Dywiliński, stanowi pierwszą dłuższą przerwę w działaniach wojennych Zygmunta III i cara Michała Fiodorowicza. Nie wyrównał on położenia, stworzonego przez politykę królewską od r. 1609, od czasu zjawienia się Samozwańców, owszem nawet, powiedzieć można, łagodząc je pozornie, pogorszał pod pewnym względem widoki zgody, bo dawał nieprzyjacielowi czas i swobodę przygotowania się do akcji w szerszych rozmiarach. Nie inny zresztą był cel tego rozejmu, jak tylko znalezienie sprzymierzeńców, przygotowanie lepszego wojska, upatrzenie stosownej chwili, zwłaszcza, że wyzwolenie ojca carskiego, metropolity Filareta, po ośmioletniej niewoli, miało wreszcie, po długoletnich pertraktacjach, przyjść wtedy do skutku. Obopólne stosunki o tyle tylko zostały złagodzone, że przez lat kilkanaście nie było starć wojennych, ale wojna wisiała zawsze na włosku, a podjazdowe utarczki, w drodze najrozmaitszych rekriminacji i wyrzutów nie ustawały, dzięki bardzo zaognionym stosunkom na samem pograniczu. Ta wojna na papierze trwa nawet dalej, po zawarciu t. zw. wiecznego pokoju nad Polanówką w r. 1634, po spisaniu ugody, która stanowi znowu drugą przerwę, przed wielkim atakiem ze sprzymierzeńcami w. r. 1654.

Pod innym nawet względem zawarcie aktu zawieszenia broni wpłynęło na pogorszenie się stosunków. Póki trwał otwarty stan wojny, dyplomatyczne korespondencje, albo choćby listy, pisane w interesach potocznych z jednej granicy na drugą, jeśli były i jeśli zawierały drażliwe zwroty, a nawet grubiaństwa—mogły być wyłómaczouemi. Inaczej być nie mogło, bo tak od dawien dawna historyczne stosunki się ułożyły. Ale po spisaniu ugody rozejmowej, każde ostrzejsze słowo, omyłka, czy to przypadkowa, czy też umyślna w tytułowaniu, miała niejako usprawiedliwiać zerwanie układu pokojowego. Złe może leżało w tem, że rozejm Dywiliński nie rozstrzygnął sprawy tytułu carskiego królewicza Władysława, zostawił ją w zawieszeniu, dał nawet pewne koncessye w tej mierze na rzecz cara Michała Fiodorowicza, wprawdzie bardzo niewyraźne, ale też i więcej nie było potrzeba, bo przy wielce naciągniętej swadzie, druga strona, t. j. bojarowie, domagali się zaraz tytułowania Michała Fiodorowicza carem państwa moskiewskiego. Zrzeczenie się nastąpiło dopiero przy zawarciu Polanowskiego pokoju.

Rzeczywiście, Polska znalazła się wtedy w tem położeniu, że na dwie strony zaprzeczała, i to na pewnej prawnej podstawie, tytułów: Szwecyi—króla szwedzkiego, a Rossyi—carskiego, bo i ze Szwecyą były zatargi, kiedy polscy dyplomaci Gustawa Adolfa nie królem, ale „prostym Gustawem” nazywali. Kiedy, naprzykład, Krzysztof Radziwiłł, hetman polny litewski, zjeżdża się, w r. 1622, pod Rygą, na traktaty z Pontusem de la Gardie, naczelnym wodzem wojsk szwedzkich, powstaje niezwłocznie kłótnia o ten tytuł. Wprawdzie hr. Pontus, większe *spatium* od swego namiotu odszedł i wprzód czapkę zdjął, a nawet Radziwiłła bardzo grzecznie przywitał, ale za to wtrącił zaraz kilka słów drażliwych dla posła Zygmunta:

— Hochgeborner Fürst, Euere Fürstliche Herrlichkeit, Eur Fürstliche Gnaden, wissen ohne Zweifel, dass der Durchlauchtigste et geborene Fürst, und Herr, Herr, Gustaw Adolph von Gottesgnaden, Schweden, Wenden und Gothenkönig... <sup>1)</sup>

Radziwiłł, przerywając:

— Dicat Dominus Comes, eum esse ducem Sudermaniae... <sup>2)</sup>

Pontus się naturalnie obruszył o zaprzeczanie tytułu królewskiego, choć był przygotowanym. Zaczęli sobie przymawiać, potem nie chciał wejść do namiotu Radziwiłła, a tymczasem deszcz zaczął padać. Nareszcie wszedł, ale *interposito protestatione*, aby *de existimatione* kró-

<sup>1)</sup> Jaśnie ośw. książę, książęca Ekscellencya, J. Wielm. książę, wie zapewne, że Najjaśniejszy i W. urodzony książę i Pan, Pan, Gustaw Adolf, z Bożej Łaski, Szwedów, Wendów i Gotów król...

<sup>2)</sup> Powiedz, Panie Hrabcio, że jest księciem Sudermańskim...

ła i swojej, czego nie utracił.. (J. Niemcewicz. „Zbiór pamiętników“, t. VI, str. 311).

Z państwem moskiewskiem zatarg miał charakter o wiele ostrzejszy; przyczyn i to głębszych, było więcej. bez względu na to, kto miał i czy Władysław miał jakie prawa do carskiego tronu. Oczywiście, odbijało się to przedewszystkiem na stosunkach pogranicznych, t. zw. *ukrainnych*, na całym długim pasie Smoleńszczyzny, Siewierszczyzny i Czeruihowa. Przy najmniejszej sposobności, odżywają te wszystkie kwestye tytułu i przywiązanych do niego praw, jątrzy się sprawa o rozgraniczenie ziem, niewysychające przez tyle lat źródło skarg, niezgód, a w końcu i gróźb. Bo na dnie tych nieporozumień jest Smoleńsk i Siewierze, są wspomnienia pierwszej kampanii Zygmunta.

Już we wrześniu 1619 r., wojewodowie moskiewscy, pilnujący pogranicza w Wiaźmie, wymieniając listy z najbliższemi władzami wojskowemi, czy też starostami w Dorohobużu i Sierpejsku, uskarżają się, że, przy wypisywaniu tytułów, Michał Fiodorowicz nie jest tytułowany carem. W istocie, w ten sposób, jak akt Dywiliński kwestyę zostawił, stosunki musiały stać się niemożliwemi. Jeśli bojarowie się o niego dopominają, jeśli go Litwini odmawiają, jest wcale nie bezzasadnem, żadna zastrona od swego odstąpić nie chce i nawet nie może. Kiedy np. w r. 1634, a więc znacznie później, a mianowicie przed samem zawarciem Polanowskiego pokoju, goniec Władysława IV, wysłany do Moskwy, przyznał, t. j. wypisał tytuł carski Michała Fiodorowicza na jednym ze swoich pism, dostał surową naganą, a potem na sejmie podniósł się na niego hałas i Woronicz, (bo to on się dopuścił takiej nieprawidłowości), zagrożonym był sądem i, co za tem idzie, karą za przestępstwo polityczne. W zgodzie z poleceniami, Litwini tak się w r. 1619 tłumaczyli, na stawiane im z Moskwy zarzuty: my z rozkazu i zgodnie z prawdą przyznajemy tytuł wielkiego cara Władysławowi, synowi Zygmunta, i nadal go tak tytułować będziemy, ponieważ Bóg Wszechmogący jemu to przeznaczył i potwierdził przez Wasze dusze i dusze całego narodu moskiewskiego! Zali sprawiedliwie czynicie, że nie jego, prawdziwego Cara Waszego, nazywacie Carem moskiewskim, ale Michała Fiodorowicza Romanowa? My jednakowoż z wami (t. j. bojarami) nie sprzeczymy się i kłótni nie wszczynamy, póki Bóg woli swojej nie spełni. Wiele o tej wielkiej sprawie mówili wielej posłowie, kiedy obecną ugodę zawierali, lecz oni sprawy nie rozstrzygnęli, tytułu i praw królewicza nie odrzucili, przeciwnie—potwierdzili, gdyż sprawę tę oddali na sąd Boży (tak rzeczywiście w akcie wyrażono), aby Wszechmogący Bóg, który sam zaczął, sam i koniec zrobił. Jest to wszystko zapisane w pismach pokojowych, a zatem czekajmy sądu Bożego...”

W każdym razie nie ludzono się co do trwałości pokoju, ale była nadzieja—jak się potem okazało—optymistyczna, iż będzie dotrzymanym do r. 1634. Tymczasem ujadano się o granice, o drobne wypadki pograniczne. Jednej podobnej awantury pogranicznej są ślady we współczesnym dokumencie („Pisma russkich gosudarej, Moskwa, 1848, t. I, w przypiskach), gdzie znajdujemy relację ze zjazdu sędziów delimitacyjnych w r. 1619, zesłanych dla przeprowadzenia granic powiatów Toropeckiego i Wieliskiego. Jeden z bardzo zainteresowanych w tej sprawie, bo starosta wieliski, Aleksander Gąsiewski, przysłał wtedy ludzi swoich na rogatki, za rzeczkę Markowlę, i ci stróży pobili i przez Toropecki powiat w górę rzeczki poszli, granicę przemocą przeprowadzili, o co znowu długie były spory i korespondencye.

Trudno uwierzyć, że zawiła i drażliwa sprawa okopcowania pogranicza zadnieprzańskiego zakończyła się dopiero w r. 1645, i to dopiero po licznych komisyjach, poselstwach, komplancyach; bo kilkakrotne rozgraniczenia między Litwą a Moskwą w XVI wieku, a nawet jeszcze wcześniej, dawały powód do uroszczeń, powoływań się na te stare dokumenta, a wreszcie do klótni i bójek.

Podczas Dywilińskiego rozejmu agitowała się jeszcze kwestya, mająca swe źródło w epoce Samozwańców, t. j. sprawa powrotu Iwana Szujskiego z Polski. Była jeszcze o wiele drażliwsza sprawa z emigrantami, albo, jak ich w Moskwie nazywano, zdrajcami, i wreszcie szerzenie się unii na zdobytym pograniczu.

Jak wiemy, po rozejmie został się jeszcze w Polsce kn. Iwan Iwanowicz Szujski, brat cara Wasyla. Książ Iwan przywiązał się do osoby królewicza, do Polski, być może; uważał złożoną w r. 1610 przysięgę, jako raz na zawsze obowiązującą, nie chciał tedy już wracać do kraju, choć podobno później wrócił. Stąd powtarzały się wyrzuty, jakoby był zatrzymywany, dla tego w r. 1619 pisali bojarowie z pewnym cierpkim cynizmem, przez gońca Kiriejewskiego, do senatu warszawskiego, mówiąc o prawach Władysława: „Wy, Panowie Rada, powinniście się nadal wystrzegać tej sprawy, która już przeszła i odrzuconą została, za którą krew chrześcijańska się lała. Nie powinniście żądać tego, czego Bóg synowi króla Waszego nie dał, z głowy to sobie wybić i królewicza Władysława, który nie spólnego z moskiewskiem gospodarstwem nie ma, carem nie nazywać! A to, coście w liście swym pisali o kn. Iwanie Iwanowiczu Szujskim i o Juryju Trubeckim, że oni silnie trzymają się prawdy (t. j. przysięgi), królewiczowi służą, to jest nam oddawna wiadomem: kn. Iwana Szujskiego i innych samowolnie wysłaliście do Polski i zrobiliście to wbrew zawartej przez posłów ugodzie (Dywilińskiej). Zaufanie królewicza i wynagrodzenie dla ku. Iwana i kn. Juryja my także znamy! Książ Iwan piechotą chodzi



i sam sobie usługuje, a czasem i pacholkiem u hajduków bywa. Kniaziowi Juryjowi jest trochę lepiej, większe ma wygody, ale i czasami pacholków waszych się obawia.”

Było zapewne dużo złej wiary w czynionych zarzutach, dlatego panowie koronni nie chcieli i nie mogli pisma zostawić bez odpowiedzi. Zgodnie z prawdą oznajmili, jako król Zygmunt, na ich prośby, pozwolił Szujskiemu wrócić do Moskwy, tylko, że Szujski się namyślał.

Kwestya wprowadzenia unii nie jest wprawdzie dotykana (z rzadkami wyjątkami) w notach dyplomatycznych, jako będąca wewnętrzną sprawą Rzpltej, ale, że się musiała przyczyniać do rozgoryczenia, nie może ulegać wątpliwości, zwłaszcza, jeśli się powie, iż właściwym kierownikiem interesów państwowych na Kremlu był od r. 1619 patriarcha Filaret, ojciec cara Michała, świeżo wydobyty z niewoli. Ze Smoleńszczyzny wynosiło się greckie duchowieństwo, o ile nie przystąpiło do zjednoczenia z kościołem, za granicę, do Moskwy. Smoleński biskup unicki, Andrzej Zołotaj Kwasznin, jeden z tych, co w epoce Samozwańców przeszli na stronę Zygmunta III, złożył już za panowania Władysława przysięgę, jako w Smoleńsku, Dorohobużu, Czernihowie i Starodubie wszystkich prawosławnych przeprowadzi do unii. A cóż dopiero mówić o wychodźcach z Moskwy z r. 1610—1612, osiadłych teraz pod berłem Rzpltej, niedaleko granicy, drażniących się z dawnymi swymi spółobywatelami, być może także utrzymujących jakieś tajne stosunki w zamiarach widać bardzo podejrzanych, kiedy się taką nienawiść i gwałtowne skargi na nich u Moskwy napotyka. Kiedy bojarowie udawali się na zjazdy nad rzekę Polanówkę, nauczeni byli w instrukcyi: w miastach, które do Litwy odpadły, panowie utrzymują zdrajców moskiewskiego carstwa: w Dorohobużu siedzi Łarka Korsakow, w Sierpejsku Juszka Potemkin, w Newlu Iwaszko Mszczerynow. Pisują oni często listy do carskich wojewodów o wszystkim, lecz carskim wojewodom znosić się ze zdrajcami nie należy. Kiedy bojarowie zjadą się z panami, niech pomówią o tem, że w ustąpionych Litwie grodach mieszkają ci zdrajcy i dla całego państwa są szkodliwi. Jeżeli oni ich nadal w ukraińnych (t. j. pogranicznych) grodach trzymać będą, to przy załatwianiu spraw na granicy nie obejdzie się bez bójek i klótni.” Wydawać rzeczonych adherentów Zygmunta, a zwłaszcza Władysława, czy też wypędzać ich, Polska nie miała powodu, owszem, przygarniała ich do siebie, jako tych, co chcieli królewicza wprowadzić na tron, zwłaszcza, gdy się garnęli do unii. Jeden z nich, Mszczerynow, odrzucił końcówkę *ow* i przeszedł do zjednoczonego kościoła. Ale były takie zdarzenia, iż tego rodzaju wychodziec wrócił do ojczyzny sam, jak np. stało się z jednym z rozbitków z r. 1612, poddajczym Iwanowem, naocznym świadkiem „czasów burz-

liwych." Sam opowiada koleje swego życia. Był w Moskwie, jako poddajczy, lat dwadzieścia, i kiedy litewscy ludzie Moskwę zniszczyli, jego także litewscy schwycili na Kremlu. Skoro poszli na Litwę (w r. 1611) z Moskwy, książę Juryj Trubecki, Michał Głebowicz Sołtykow i Wasyl Janow, Wasyl Janow gwałtem go z sobą wziął i był on na Litwie w różnych miejscach, był u Wasyla Janowa, a umarł ten Janow lat temu dwanaście. I kiedy umarł Janow, wziął go do siebie Juszek Potemkin, trzymał u siebie niewolą w Smoleńskim powiecie ośm lat. Teraz wraca on (Iwanow) do Hósudara, a Szejn odesłał go do Moskwy." (Akty mosk. gosud. N. A. Popowa, t. I, str. 412). Czy tak było rzeczywiście, jak zeznał były poddajczy, jest wielkie pytanie; tłumaczenie jego, jakoby był zatrzymany, wydaje się mocno podejrzanem. Daleko więcej zbliżonem do prawdy byłoby domniemanie, iż, sprzykrzywszy sobie niewesoły los emigranta, postanowił wrócić do kraju, więc szukał sposobu uniknięcia kary. Ale nie wszyscy ci marnotrawni synowie byli tacy pokorni.

Jeden z nich, Meszczerynow, przysłał w r. 1620 list do wojewody w Wielkich Łukach, gdzie, solidaryzując się z nową ojczyzną, pisząc o Michale Fiodorowiczu, opuścił tytuł carski. Oczywiście, wojewoda zaraportował zaraz do Moskwy, skąd otrzymał odpowiedź, jaką miał „zdrajcy” zakomunikować, a jest ona chyba dosadną. „Piszesz w liście swoim nie tak, jak się należy, piszesz o Carze, nie kładąc carskich tytułów. Nie uchodzi to nietylko tobie, chamowi, złodziejowi, lecz i samym monarchom, i godności, jaką Bóg nadał Carowi, ty ujmować nie powinieneś! Wojewoda dziwi się tobie, towarzyszowi swemu, że piszesz tak, jak nie wypada, i nie pilnujesz tego, co jest przez traktat pokojowy ustanowionem (?); przytem na ciebie, psie wściekły! gniewać się nie warto, kiedyś ty zapomniał o Bogu, o wierze prawosławnej i o ziemi ojczystej! Czegoż dobrego można się po tobie spodziewać? Ty na sądzie ostatecznym za swe występki nie ujdiesz kary i tu na ziemi zemsta cię nie minie. Niedługo u Was dojdzie do tego, że ciebie, krzywoprzysięcę, zdrajcę chrześcijaństwa, łada hajduk, lub chłop wiejski, jak psa w karczmie, albo na jakim złodziejstwie zabije!" Widzimy z tego ustępu, jak silnie rozdmuchane były na pograniczu namiętności religijne. Mimo tych przepowiedni, spotykamy później, na Białorusi, rodzinę Meszczerynow, trzymającą się wytrwale Rzpltej, a nawet z powodu znajomości białoruskiego języka używaną np. przy układach Andruszowskich.

Wszystko to jednakowoż jest jeszcze niczem wobec korespondencji, jaką w swoim czasie Stefan Batory z Iwanem Groźnym prowadził. Czasy wprawdzie były wojenne, Batory stał w r. 1581 pod Połockiem, skąd posłał dworzanina swego, Stefana Dzierzka, z punktami

pokoju do Iwana. Pomimo toczących się umów, Groźny do ostatniej chwili nie objawiał szczerzej chęci zawarcia jakiej ugody, choćby rozjemmu.

Odpisując więc obszernie przez Dzierzka, Iwan zarzucał Stefanowi złamanie przysięgi, nieratyfikowanie umowy, zawartej przez posłów, wydanie wojny, posiłkowanie się zdrajcami, jak kn. Kurbskim, Zabołockim, Ciecierynem i t. d. Przybierając ton uroczysty i gwałtowny zarazem, robił takie np. zarzuty, że żołnierze litewscy na polu bitwy rozpruwali zabitym brzuchy, sadło i żółć wyjmowali, przypominał tępienie wiary greckiej dla rzymskiej, wyrzucał królowi szorstko pychę Amalikecha (?) i Sennacheryba! i t. d. Naturalnie, Stefan Batory nie pozostał dłużnym, odwzajemnił się za list, „pełny sprośności i wszeteczeństwa i omyłności, w którym siła uszczypliwie przeciwko nam bez przyczyny naszej i nie przystojnie, nie oglądając się na swój stan”, Iwan Groźny napisał. Batory ciska mu w oczy zarzuty cięższe jeszcze, lecz uzasadnione, w tym samym tonie, oddaje piękne za nadobne, nawet moralizuje, posyła książki, zniesławiające przeciwnika. „Wedle nauki Zbawiciela naszego, Jezusa Chrysta, jest to uczynek chrześcijański, gdy kto jaki niemy twór i od rozumu wszelkiego i baczania oddalony, czyj-by ktokolwiek był, osła, albo wołu, z błota wyciągnął. Jest tedy chrześcijański uczynek, że do ciebie, leżącego w błocie sprośności i niebaczania twego, schylimy się, a tobie rękę podamy, chcąc cię z niego wyciągnąć, obtarłszy naprzód błoto z oczu twoich, abys mógł przejrzeć, a plugastwo i sprośność swoją zobaczyć!” Jednocześnie Stefan odpiera złamanie przysięgi, polemizuje o prawa do Inflant: „Zadajesz nam, że, z tobą walcząc, ziemię Polską i Litewską i twoją niszcząc, z obydwu stron słabiejemy, a zatem, że te państwa od pogan tem snadniej mogą być posiędzione. Pobożny chrześcijański człowieczel prawie-byś tak zniszczył wszystką Polskę i Litwę, gdybyć coraz od niej co ujmowano i podawano, tedy-byś nie słabiał, ale-by te państwa słabiały i poganin-by nie miał co brać, bo-byś ty już wszystko pobrał!”

„A pobożństwo twoje jakie jest? owoce same takie twoje sprawy okazują, uważanie sakramentu małżeńskiego, stanowanie wedle myśli swej o rzeczach kościelnych i to, żeście z przodkami swymi nauczyli ludzi swych wyznawać, żeście nad wszelki zakon! Poznaj się tedy sam, bo to jest największa mądrość samego siebie znać, a żebyś się lepiej poznał, posyłam ci księgi, które o tobie po wszystkim świecie, nietylko za przywilejem króla Augusta, przodka naszego, ale za przywilejem cesarza Maxymiliana, rozpisane, są i pošlę ich więcej potem, jeśli chcesz, żebyś się w nich, jako w zwierciadle, i ród swój obejrzał, a przypatrzwszy się sam sobie, toż dopiero na drugich bystrze się

puszczaj. A jako nam śmiesz przypominać tak często bisurmaństwo, ty, któryś krew swoją z nimi pomieszał, którego przodkowie za masztalerze, za podnóżki, wsiadającym na koń carom Perekopskim byli, którzy klacze mleko uronione na grzywie tatarskich szkap lizali!" „A więc ty nas, człowieku lichych obyczajów, będziesz porównywał do Sennacherybów, Amalechów, Maksencyuszów! sam Kainie! Phalarysie! Pharaonie, Neronie, Herodzie, Antyochu! A zaś będziesz kłamał Duchem Świętym, a pismo onego wyszpecając, nas hańbił i przeklinał, sam się wilk drapieżny za owcę udawał!.." (Dziennik pośledn. pochod. Stef. Batorya. Wyd. M. Kojalowicz. Petersb. 1867).

Wymiana obelżywych uwag i docinków przeciągnęła się nietylko aż do zawarcia pokoju Polanowskiego, ale i później korespondencye z natury rzeczy musiały mieć miejsce, były może nie bardzo częste, a jednak w końcu, t. j. przed wypowiedzeniem wojny w r. 1654, uzbierało się samych inkryminowanych zakwestyonowanych listów do czterystu arkuszy, stopy całe, „*volumina*”, jak je jeden z uniwersałów królewskich nazywa. Prawda, że później, a mianowicie między r. 1634 a 1654, najmniejszy błąd, przeoczenie piszącego poczytywanem było za obrazę, bo wtedy państwo moskiewskie przechodziło z roli odpornej do zaczepnej. Tymczasem jednak musiano z sobą korespondować. Opuszczone przez moskiewskich ziemie, puszcze, położone w odzyskanem niedawno pograniczu, przechodziły na własność Wazów, jako dobra koronne. Bojarowie, nie chcąc przysięgać na wierność Zygmuntovi III, do czego byli zmuszeni, jako trzymający ziemie prawem lennem, wynosili się do Moskwy, zostawiając Litwie na pastwę, a właściwie królowi, dobra swoje, które król obejmował, jako bezpańskie, i rozdawał następnie, jako starostwa, t. j. dzierżawy, najrozmaitszym, z warunkiem opłaty jednej czwartej dochodu (t. zw. kwarty) na utrzymanie żołnierza. Ci tedy starostowie królewscy, naczelnicy wojsk, służących małemi załogami w miejscowościach pogranicznych, zmuszeni byli nieraz, jako sędziowie w sprawie np. uciekających chłopów, „hultajów i luźnych ludzi”, za jakimi wiecznie się uganiano, lub też w sprawie rozboju, napadu w lesie, w sporach granicznych i kupieckich, przy wzajemnem ekspedycyowaniu gońców, znosić się z sąsiadami z za kordonu.

Oto naprzykład, w r. 1632 ucieka do Siewska szlachcic z korony, z dalekich stron, bo aż z Kamieńca Mazowieckiego, po krwawej jakiejś awanturze p. Jan Zabłocki. Ten opowiada, że w majątku ojcowskim, pod Warszawą, został starszy brat, a on, zwyczajem szlacheckim, poszedł wysługiwać się na dworach panów, był u Radziwiłła dwa lata, potem u p. Korsaka sześć lat, wreszcie u p. Piotra Udzielskiego koło Połocka 3½ lat, a w końcu służył w wojsku, w konnicy w Nowogród-

ku Siewierskim, u kapitana Mikołaja Kunickiego. Tam zabił w pojedynku towarzysza swego, Stanisława Orłowskiego. Uciekając przed karą śmierci, zrzucił—jak sam się przyznał—na przedmieściu z siodła pana Wołka i na jego koniu uciekł w kierunku granicy. Gonili go wprawdzie przez 20 wiorst Litwini, ale skoro już się dostał na moskiewską stronę, pogoń ustała, więc puścił się aż do Siewska, gdzie też i pozostał. (N. A. Popow. „Akty mosk. gosud.”, t. I, str. t. I, str. 348. Petersb. 1800). Dlatego potem ścigano go listownie, chociaż, pomimo upominań się i odezw, wojewodowie carscy zbiegów nie wydawali, do czego nie byli obowiązani, bo i Rzplta zbiegów nie wydawała, gdyż musiała-by była przedewszystkiem wydać emigrantów, o jakich już tu mówiliśmy.

Z tem wszystkim, listowne uchybienia, czy to od władz pogranicznych, czy też (co się już bardzo rzadko przytrafiało) z warszawskiej kancelaryi, bardzo zwykle wydęte, nie były-by nabrały tego znaczenia i przeszły-by niepostrzeżenie, gdyby nie miały posłużyć za powód, czy pozór, do zerwania ugody. Boć o to jedynie chodziło, aby mieć usprawiedliwienie; dlatego drobne, mało-znaczące wypadki, nabierają odrazu wielkiej wagi, przerastają zwykłą miarę, stają się politycznemi wykroczeniami. Do zerwania umowy, korzystania z chwili, zachęca nadewszystko wojownicza postawa Turcyi, szukającej sprzymierzeńca. Turcyja jest drugim głównym czynnikiem w grze dyplomatycznej, popycha do złamania rozejmu, nawiązuje z Kremlem ściślejsze stosunki i grozi teraz Polsce. Dlatego spotkamy się z wielorakimi pretensjami o nieformalności w listach, a później nawet o obrazy—w księgach drukowanych.

\*

\*

\*

Obok Turcyi i także w pewnej z nią styczności są sprawy kozackie, już od XVI wieku sprawiające kłopot Rzpltej, otoczonej na wysuniętem na kresy Europy stanowisku ludnością dyzunicką. Katolicka wewnętrzna polityka Zygmunta III, połączona z polską kolonizacją, znajduje opór w kozaczyźnie, w duchowieństwie prawosławnem, opierającym się o Moskwę, a ta o patriarchy konstantynopolitańskiego. Nie ulega wątpliwości, że węzły religijne zdecydowały o postawie kozaczyzny. W r. 1615 i 1618 mamy krwawe bunty na Ukrainie, gdzie wprowadzana jest unia. Zaraz po rozejmie Dywilińskim zjeżdża do Moskwy pełnomocnik patriarchy konstantynopolitańskiego, duchowny prawosławny, mieniący się patriarchą jerozolimskim, Teofanes; tam na Kremlu wyświęca Filareta na patriarchy, a w rok

później zjawia się w Kijowie. Że był agentem politycznym—niezależnie od swej godności duchownej—widocznym jest z jego działalności. Wiemy, jak w epoce Samozwańców kozactwo zniszczyło część Moskwy; potem, w czasie wyprawy Władysława, ataman, Konaszewicz Sahajdaczny, daje słabą już wprawdzie kopię wypraw obu fałszywych Dymitrów. Kiedy Teofan przyjeżdża do Kijowa, Konaszewicz i starszyna udają skrucbę, a przekonani o błędach, jakie popełnili, walcząc w szeregach Rzpltej przeciw Moskwie, odjeżdżają nawróceni. Obok więc politycznych zamachów mamy jeszcze tajne knowania na tle religijnem. Kozacy niebawem posyłać będą cichaczem poselstwa do Moskwy.

Na tem więc tle: z jednej strony obawy przed Turcyą, wojen z nią, niebezpieczeństwa od Szwecyi, a z drugiej, buntów kozackich, rozwijają się stosunki Moskwy do Polski. Że kozacy uciekają z grodów ukraińskich na Zaporozże, a stamtąd wypływają na morze, aby łupić tureckie i tatarskie pobrzeża, to pogarsza tylko położenie. Dla tego przybywają Polsce ciągle kłopoty, a jednocześnie wzrasta potęga sąsiada. Nie mogło pomódz ani wystawienie twierdzy Kudaku, ani wygrane bitwy na Ukrainie, jak i nie odniosła później skutku pojednawcza missya Adama Kisiela do Moskwy. Buntujący się kozacy znajdują zawsze ucieczkę i przytułek za granicą moskiewską, jak np. Ostranica i Hunia, na co wiele jeszcze skarg usłyszymy. Wobec tylu powstających jednocześnie niebezpieczeństw, nie będzie miał rzeczywiście Władysław IV innej drogi, jak tylko starać się o uspokojenie nieprzyjaźni, jako tako załatwić sprawy pograniczne, zażegnać z jednej przynajmniej strony ewentualności wojny i zabezpieczyć sobie tyły. Nie będzie więc żałował kroków pojednawczych, aby doprowadzić do jakiego takiego *modus vivendi*, a jeżeli mu się nie uda, to dlatego, że nie ma sprzymierzeńców i z trzech stron jest zagrożonym.

I oto niezadługo po rozejmie Dywilińskim niejaki pan Uhlik, kapitan w Sierpejsku, pisząc do któregoś z wojewodów-bojarów, używa drażniących wyrażen. Z drugiej strony nadchodzi podobny list od niejakiego Staszewskiego, zdaje się, starosty poczepskiego, w Siewierszczyźnie. Donoszą o tem wojewodowie brjańscy. Bojarowie zażądali teraz ukarania winnych, bo i w liście Uhlika znalazło się, nieznanie nam bliżej, jakieś obelżywe wyrażenie; oświadczyli, iż dłużej podobnego stanu rzeczy nie ścierpią. Warszawscy senatorowie przyznali wprawdzie słuszność reklamacyi, wielkiej nieprawidłowości listów, doręczanych w kopii; ale zarazem usiłowali załatwić spór w sposób łagodzący drażliwości, nie chcieli zrażać, czy też kompromitować, czy wreszcie karać oskarżonych, bo tam, gdzie prowokacyi pewno nie brakowało, właściwie obie strony były winne. Zresztą, w całym sze-

regu wypadków, a tem więcej w rzeczonej pretensyi bojarów, mogli upatrywać raczej wyrachowaną zaczepkę, niż prawidłowy krok dyplomatyczny. Przecież uznać cara Michała nie chcieli, bo nie był uznanym. a ukaranie winnego było-by znowu posłużyło za jawny dowód. Odpowiedź wypadła wymijająco: „My ten wyjątek (z listu) czytamy—piszą do Moskwy—i widzieliśmy, że oni, jako żołnierze, służyli, nie znając form, jak się do obcych państw pisze, pisali sobie tak—po prostu.” Bodaj czy to nie była pierwsza pretensya o obelgi i urazy. Nie wiemy zresztą, jaki był jej dalszy przebieg, ale p. Uhlik bodaj czy pozostał już więcej w Sierpejsku, bo go później w Smoleńsku spotkamy. Względ na zbliżającą się od Turcyi groźną wyprawę nakazywał pewną oględność w stronę północnej rubieży. Taktyka za to drugiej strony polega na upatrzaniu stosownej chwili osłabienia Polski, aby uderzyć na Smoleńsk, odebrać go wraz z całą Siewierszczyzną.

W chwili, kiedy hetman, St. Żółkiewski, wyruszył przeciw Turkom nad Prut, pod Cecorę, zjechało do Moskwy poselstwo polskie: Aleksander Slizień, stolnik oszmiański, i Mikołaj Amforowicz, sekretarz królewski. Jechali do bojarów, nie do cara i od pp. senatorów, bo Michał Fiodorowicz zawsze jeszcze nie był uznanym przez Polskę, jak i do niedawna przez Szwecyę.

Czy poselstwu chodziło o zbadanie położenia? Jest to prawdopodobnem; obawiano się i wiedziano już coś o konszachtach tureckich. (Amb. Grabowski. „Ojczyste spominki.” Kraków, 1845, t. I). Wielkich illuzji chyba w Warszawie nie można było żywić; o zawarcie pokoju stałego w owej właśnie chwili było trudniej, niż kiedykolwiek. To też poselstwo zostało przyjęte jak najgorzej; na audyencyi u bojarów odżyły wszystkie zarzuty i klótnie; rada carska żądała zwłaszcza wypisania tytułu carskiego Michała Fiodorowicza; nawet listu, pisanego przez senatorów, nie przyjął kn. Mściśławski, głowa *drumy*. Musiało nawet przyjść do bardzo ostrych starć; widać rzeczy doprowadzone były do ostateczności, kiedy pp. posłowie zaczęli straszyć, czy też odgrażać się nowym Samozwańcem, jakoby tylko powstrzymanym przez króla, w chwili, kiedy gotował wyprawę na państwo moskiewskie. „Wtenczas, kiedy komisarze w Orszy wypłacali żołd wojsku, rozpuszczali chorągwie (po zawarciu rozejmu), a wojsko się rozjeżdżało. zaszło następujące zdarzenie: rozrzucałi pomiędzy wojskiem, w imieniu Iwana Dmitrowicza, carewicza moskiewskiego, listy, pisane po moskiewsku, z moskiewską pieczęcią, gdzie było napisane, że carewicz żyje i prosi wojsko, ażeby, pamiętając na dobroć jego ojca, wkroczyło w moskiewską ziemię i pomogło mu odebrać ojcowiznę, a on obiecuje dobrze ich wynagrodzić. Było pomiędzy wojskiem wielu takich, co uwie-

rzyli i chcieli iść do niego na służbę, lecz komisarze przekonywali ryccerstwo, że to są wynysły i w imieniu królewskiem zabronili, aby nikt w podobnej lotrowskiej sprawie udziału nie przyjmował. Wszyscy zgodzili się na to, usłuchali i rozjechali się do domów, kozacy zaś i kilku pacholków pojechali do kozaków zaporoskich, aby z nimi wprowadzić tego Iwana w granice państwa moskiewskiego. Naówczas król kazał natychmiast rozesłać uniwersały po całej Ukrainie i kozakom zaporoskim rozjechać się z granic.

Nie sądzimy, aby wysłannicy ułożyli podobną dykteryjkę *ad usum* chwili. Przecież jest to epoka, kiedy rozpoczyna się na nowo formalna epidemia Samozwańców; ten Iwan Dmitrowicz, podający się za syna drugiego fałszywego Dymitra i Maryny, był-by może tym samym *Carowiczem*, który wkrótce potem nabrał pewnego rozgłosu, Janem Faustynem Łubą z podlaskiego. Lubo ani on, ani inny sobowtór pretendenta (jako syn Wasyla Szujskiego)—Tymoszka Abemdinow—nie odegrali w samej rzeczy żadnej ważniejszej roli za Władysława IV, nie wykluczonem jednakowoż było-by przypuszczenie, iż jeden z polskich, czy też litewskich panów, przysposabiał cichaczem pretendenta, aby w danym razie, w potrzebie, do jakiej się musiano przygotować, rzucić go razem z kozactwem na sąsiada. Bądź, co bądź, jak okazało doświadczenie, była to jedna z najstraszniejszych i zarazem najskuteczniejszych broni, jaką się można było posłużyć; bo nie tylko ubezwładniała wroga, ale rzucała jabłko nienawiści między nim a kozaczyzną. Zresztą o tych Samozwańcach posłyszemy jeszcze, kiedy się naprawdę o nich lękać i upominać będą.

Slizień i Amforowicz musieli ponownie przekonać się, jak silnemi były w Moskwie pokusy, aby złamać szesnastoletnią ugodę, wystąpić razem z Turcyą do boju. Pokusy te musiały być jeszcze silniejsze po klęsce cecorskiej, gdzie zginął, jak wiemy, znany w Moskwie hetman Żółkiewski, właściwy autor elekcji Władysława na cara. Przytem upływał termin rozejmu między Polską a Szwecyą. I dziwić się, że w tych warunkach stosunki ukraińskie, t. j. pograniczne, pozostawiały wiele do życzenia!

Tak stała sprawa—nowa wyprawa turecka wkroczyła z Wołoszczyzny nad Dniestr—kiedy w sierpniu 1621 roku zjechał na Kreml poseł turecki, i to prawosławny,—Tomasz Kantakuzen. Jeśli wierzyć relacyom francuskiego rezydenta w Konstantynopolu, de Lezy <sup>1)</sup>, o wysłanie tego posła starali się: patriarcha konstantynopolitański, Cyryl, hollenderski poseł, rezydent i kilku tureckich paszów. Ukazanie się

<sup>1)</sup> S. Solowiew. „Ist. Rossii.”



prawosławnego posła od Dywanu, i to jeszcze z rekomendacji patriarchy, jest wielce charakterystycznym i znaczącym symptomem, bo wskazywało-by na współdziałanie prawosławia na całej linii, na sprężyny, jakie w Stambule poruszały się przeciw Rzpltej, przeciwko unii. Wtedy, kiedy się schodzą interesa Caratu i Turcyi, naturalnym i gorliwym pośrednikiem staje się patriarcha. Wszakże na Kremlu rezyduje w całym tego słowa znaczeniu Filaret: jego-to może zabiegom zawdzięczyć trzeba pewną solidarność sułtanów z polityką Rossyi, w jego ręku zbiegają się zapewne nici, które mają opłacać Zygmunta, czy też Władysława. Do niego-to przyjeżdża z Witebska arcybiskup, Józefat Kuncewicz,—w sierpniu 1625 roku—w niewiadomym nam celu. („Dworcowyje rozrjady.” Petersb. 1850, t. I, str. 488). Propagowaniem unii i wielkimi jej postępami od początku XVII wieku, chociaż bez użycia siły, stworzyła sobie polityka Zygmunta III nieprzejednanego wroga w związanem węzłami religijnymi z Moskwą duchowieństwie greckiem. Z góry Athos płynęły listy, gromiące odszczepieństwo od greckiej wiary. Zapewne pieniądze musiały odgrywać wielką rolę w radzie sułtana, u paszów, jak tego miejscowe tradycje wymagały. Przez Kantakuzena pisał młody sułtan, Osman, do Moskwy, że idzie z wojskiem przeciw królowi polskiemu, zatem, aby car skorzystał ze sposobności i zemścił się na Polakach, a z sułtanem zawarł silniejszą przyjaźń i wkroczył z wojskiem na Litwę. Nawet wielki wezyr, Hussejn, pisał również od siebie do „kochanego przyjaciela swego, króla moskiewskiego”, oddzielny list, gdzie tłumaczył, iż nadszedł czas, ażeby się „opasać mężnym pasem wojennym” i nie opuszczać tak korzystnej chwili.

Z powodu zawartego niedawno rozejmu, krążyły widocznie w Radzie Sułtana dziwaczne i nawskroś fałszywe pogłoski, bo Kantakuzen oświadczył patriarsze, Filaretowi, noszącemu także tytuł cara: „Doszło do uszu sułtana, że syn wasz królowi polskiemu posłał pieniądze i sam chce mu pomagać. Niechaj tego nie robi i niech z nami trzyma przeciw królowi polskiemu, a kiedy sułtan ziemią polską zawładnie i miasta zabierze, wtedy wasze miasta, Smoleńsk i inne, synowi twojemu darmo oddamy. Wiadomem jest wielkiemu carowi, synowi twemu, że teraz w ziemi niemieckiej panuje niezgoda między cesarzem a luteranami i skutkiem tego<sup>1</sup> wiele ziem od cesarza odpadło. Na Węgrzech i w Siedmiogrodzie sułtan, Osman, osadził Bethlen-Gabora, na Wołoszczyźnie syna wojewody Michny, w ziemi mołdawskiej teścia mojego. Wszystkim im kazał gotować się do wojny przeciw cesarzowi (niemieckiemu), aby cesarz nie miał możności pomagania królowi polskiemu. Cesarz ma teraz za swoje i sam się nie może obronić. Sułtan Osman umyślnie przysłał mnie tutaj, człowieka, wyznającego grecką

wiarę, abyscie mi wszyscy uwierzyli i cesarzowi memu ufali. On jest rzeczywiście dla króla polskiego wrogo usposobionym, na czas najmniej 10 lat, i teraz wyruszył już z wojskiem w drogę, a mnie do was z drogi posłał. Patriarcha, Cyryl, kazał waszej świętobliwości powiedzieć, ażeby syn wasz szedł razem z sultaniem i nie posyłał pomocy królowi polskiemu. Za to ja, wam, carom, duszą swą ręczę, że sultan Osman z wielkim Carem waszym chce żyć w braterskiej przyjaźni i miłości i przeciw królowi polskiemu chce wspólnie z nim wojować!" Filaret miał wtedy odpowiedzieć, powołując się na zawartą niedawno ugodę: „bojarowie z panami rady zawarli pokój, a niektóre grody zostały oddane Litwie. Pokój ten kazał mój syn zawrzeć li tylko z powodu mnie (t. j. wyzwolenia Filareta): pomiędzy synem moim i królem Polskim i synem jego o porozumieniu się i miłości mowy teraz być nie może; o krzywdach, poniesionych od nich, i o zniszczeniu państwa moskiewskiego my także zapomnieć nie możemy; my tylko na to zwracamy całą naszą uwagę: niech-by tylko król Polski teraz choćby w czem najmniejszym pokój naruszył, to syn mój, dla przyjaźni z sultaniem, posła przeciw niemu wojsko i już jest wydany rozkaz, ażeby wojsko było gotowe, a pomocy przeciwko sultanowi syn mój królowi polskiemu nigdy nie dawał i nie da. Ażeby zaś sultan słowom tym moim uwierzył, powiedz świętobliwemu patriarsze, Cyrylowi, że słowa swego nigdy nie zmienię!"

Patriarcha zaznaczył w powyższych słowach w sposób otwarty taktykę, jakiej się na Kremlu trzymano—znac, że i wysoce ubliżające wyrażenie w. wezyra, tytułujące Michała Fiodorowicza „kochanym przyjacielem”, nie zostało uznaniem za obelgę, lubo, jak wiemy, sprzeciwiało się, i to w bardzo jaskrawy sposób, przyjętym i tak surowo przestrzegającym na Kremlu formom dyplomatycznym.

Przyjęta przez bojarów metoda mogła rzeczywiście o tyle liczyć na powodzenie, nie zawieść obliczeń, że surowa żelazna organizacya z jednej strony granicy dziwnie kontrastowała z wybujałą zapewne swobodą czyli wolnością z drugiej. Wiemy, jak pomimo pozornej zgody, stan obopólnego rozdrażnienia nie ustawał. W carstwie od strony Wiaźmy ciągle się gotowano w nadziei uderzenia na Smoleńsk, a może także w obawie ponownej wyprawy od strony Litwy. Jednocześnie znowu, do wojewodów pogranicznych rozesłane były instrukcye, aby o wszelkich naruszeniach, jak się wyrażano, traktatów przez Litwinów donosili carowi. Mieli oni, dawnym zwyczajem, wysyłać szpiegów do Rzeczypospolitej z wyraźnem zastrzeżeniem, aby o moskiewskich sprawach nic złego nie mówili, tylko samo dobre, podarków nie brali, a zwłaszcza aby Litwinów zdradnie w granice carskie nie wprowadzali („Akty sobr. archeog. kom.“ 1841, t. III, N. 116). Mają się wywiadywać

wszelkimi sposobami o królu, królewiczu, senacie, hetmanach, o wojску, gdzie się zbiera, ile go jest, na kogo idą, jaka gdzie bitwa była, wreszcie o kozakach i t. d. Chodziło tu zapewne także o Szwecyę, z którą car zawarł był pokój w Stołbowie. Szczegółowo zaś, wojewodowie pograniczni mieli teraz surowo nakazane, aby nikt z mieszkańców Wiaźmy z Litwinami i wogóle z zagranicą nie zadzierał i rozbojów nie prowadził. Gdyby kto zaczepił Litwinów, trzeba było go odszukać, zagrabione rzeczy odebrać, za granicę właścicielowi odesłać, a winnych ukarać. Gdyby znowu Litwini napadli kogo z pobliskiej Wiaźmy, pisać o tem do litewskich urzędników, aby winnych odszukali i ukarali, a co odpiszą ze Smoleńska lub innych miast, odesłać carowi, zdjawszy kopię z pisma, aby można żądać zadosyćuczynienia. „Listy, w których *urjadnicy* litewscy będą tytułowali króla wbrew poprzedniemu zwyczajowi „wielu innych gospodarstw hospodarem i władcą”, a królewicza carem i wielkim kniazem wszej Rusi, mają wojewodowie, po zdjęciu z nich odpisu dla przesłania go carowi, zwrócić natychmiast urzędnikom, nie zatrzymując ich u siebie ani godziny, napisawszy im od siebie, aby nie tytułowali ani króla, ani królewicza w ten sposób, bo ten ostatni nigdy carem nie był i nie będzie: z łaski Bożej, w moskiewskim państwie carem i wielkim kniazem jest Michał Fiodorowicz, samodzierża wszej Rusi, a królewiczowi litewskiemu nic do państwa moskiewskiego.“ (N. A. Popow. „Akty mosk. gosud.“, t. I. Petersb. 1890, str. 160).

Chwiała się więc zdania, czy nie skorzystać z nadarzonej a wyczekiwanej chwili, zgwałcić zawieszenie broni i jednocześnie z Turcyą wkroczyć na Smoleńszczyznę i Siewierszczyznę, zwłaszcza, że wtedy Gustaw Adolf wpadł był do Inflant.

Dwunastego października (v. s.) 1621, Michał Fiodorowicz i Filaret zwołali sobór całej ziemi do wielkiej sali w t. zw. Granowitej Pałacie na Kremlu, z udziałem przedstawicieli wszystkich stanów, metropolitów, bojarów z kn. Fiodorem Iwanowiczem Mścislawskim na czele, ze szlachtą, kupiectwem, atamanami z nad Donu i t. d.

W chwili, kiedy się sobór zbierał, już był zawarty pokój w Chocimiu. Umarł wtedy w obozie J. K. Chodkiewicz, w rok po Stanisławie Żółkiewskim. Razem z nim zeszedł z pola drugi wielki bojownik za sprawę Wazów, pod Moskwą. Na tym soborze wylał się cały strumień zażaleń na króla i jego politykę, czego się zresztą spodziewać należało. „Hospodar i jego ojciec mówili o nieprawdach i o krzywoprzysięstwie (?) odwiecznego wroga moskiewskiego hospodara, króla Zygmunta, który pokój zaprzysiężony w r. 1618 naruszył, gdyż wojewodowie miast pogranicznych tytułują w listach swoich królewicza carem, a nadto dzieją się zaczepki ze strony litewskiej w powiatach

Putywlskim, Brjańskim, Łuckim (Wielkie-Łuki) i Toropeckim i w wielu innych miejscowościach; zajmują moskiewskie ziemie, slobody budują, siola <sup>1)</sup>, wsie, wody i lasy przyswajają sobie. W Putywlskim powiecie w 70 miejscach saletrę warzą; budnicy popiół wypalają, ryby łowią i zwierzynę biją, a hospodarskich ludzi mordują. Również nie uwalniają wszystkich jeńców, królewicza zaś litewscy urzędnicy ciągle nazywają carem. Następnie w zeszłym roku panowie rad przysłali pismo, gdzie zapierają carowi Michałowi jego tytułu i pokrewieństwa z Iwanem Wasyljewiczem (Groźnym) i Fiodorem Iwanowiczem, a jednocześnie nazywają carem Władysława. A że obrazy te wciąż się powtarzają, przeto obaj gospodarowie chcą mieczem dochodzić na Zygmuncie krzywd swoich. Obecnie przysłał do nich jego hospodarska mość, turecki sultan, Osman, posłów swoich, Tomasza Kantakuzena, Greka, i czausów dwóch z upominkami i darami. Kantakuzen przedstawił, iż należy obu gospodarom działać zgodnie, wspólnie, przeciw wrogowi obudwu, gdyż sultan Osman, za zniszczenie Moskwy, prowadził-by wojnę lat dziesięć z polskim królem, a teraz w miesiącu kwietniu ruszył nań i prosi, aby Ich Hospodarskie Moście poodbierały teraz ziemie, które Im (t. j. carowi i ojcu) król polski pozabierał, gdyż teraz nadeszła odpowiednia pora, a później nie będzie można ich dochodzić. Car krymski już wyruszył na Litwę, a król polski pisał do hana, pieniądze mu posłał i godzić się z nim chciał, byle-by han na moskiewskie gospodarstwo ruszył. Lecz han na to nie przystał, pieniądze nie przyjął i poszedł na Litwę razem z sultanem tureckim.“

„Król szwedzki, Gustaw Adolf, przysyłał także do gospodarów niejednokrotnie, aby z nim wspólnie działali przeciw polskiemu królowi. Lecz gospodarowie, ponieważ nie pragną rozlewów krwi, chcą rozkazać bojarom, aby posłali do panów rad pismo z opisem tego wszystkiego, a jeśli oni w odpowiedzi nie wymienią tytułu J. Carskiego Wieliczeństwa, królewicza nazwą carem, to gospodarowie dłużej tego cierpieć nie będą i mścić się będą, gdyż tylko teraz ukrócić można pychę króla, polskiego, skoro jest ściśniętym przez sultana, hana i szwedzkiego króla.“

„Na to metropolici, bojarowie i cały ziemski sobór bili czołem obu gospodarom, aby wystąpili przeciwko królowi, a oni się do tego przyłożą, nie szczędząc głów swoich. I prosili gospodarów, aby rozkazali spisywać po miastach, kto jest zdolnym do służby i t. d.“ („Sobranie gosud. hramot i dogoworów“, t. III i „Knigi rozrjadnyje“, t. I., str. 773).

<sup>1)</sup> Siolo: wieś z cerkwią.

W trakcie przygotowań, musiało dotrzeć do Moskwy zawiadomienie o zawartym pokoju, ale tymczasem, na trzeci dzień, po rozejściu się soboru, wysłany był od bojarów do Warszawy goniec, Borniakow, z listem, gdzie wyluszczone powyżej żądania—niejako ultimatum—były postawione. „Jeżeli nadal tytuł naszego wielkiego cara będziecie pisać nieodpowiednio do jego godności, lub też jeśli go bezcześcić będziecie, albo jeśli-by urzędnicy miast pogranicznych tytułowali go niestosownie i nie według tego, co zostało postanowionem w aktach poselskich (a wasi posłowie przyjęli dokument od posłów moskiewskich <sup>1)</sup>) i w swych aktach tytułowali naszego cara wielkim carem (?), a królewicza wszędzie (?) tytułowali królewiczem, a nie carem), jeśli więc teraz będą królewicza tytułować nie według tej umowy (?)—to my, carscy bojarowie, po raz ostatni wam oznajmiamy, że my i wszyscy ludzie państwa moskiewskiego na to nie pozwolimy, i prosząc Boga o pomoc, staniemy w obronie czci i za krzywdy od was poniesione mścić się będziemy.“

Argumentacyi bojarów można-by wiele zarzucić, bo tak, jak pisał, wcale nie było—owszem, senatorowie porobili w Dywilinie zastrzeżenia, Rzplta cara Michała dotąd nie uznała, czego najlepszym i bardzo wymownym dowodem było, że do niego wprost się nie zwracała, ale do bojarów, i ci, korespondując z senatorami, stan ten w zupełności tem samem uznawali.

Pierwszych dni lutego 1622 roku powrócił z Warszawy Borniakow, w towarzystwie królewskiego gońca, Krzysztofa Chwalinira, wioząc odpowiedź senatorską—do bojarów.

Borniakow nie przywiózł wprawdzie odpowiedzi, zredagowanej tak ostro, jak poprzednie, nie było nawet przy królewskim nazwisku dodatkowych tytułów, t. j. „i wielu innych gospodarstw gospodar i władca“, ale, co się tyczyło królewicza, pismo zawierało znowu ten sam prawny wywód, opierający się na przysiędze, złożonej przed Stan. Żółkiewskim w Moskwie. „I terazniejszy wasz, Michał Fiodorowicz, będąc stolnikiem, z wami i z innymi stolnikami, towarzyszącymi swymi, przysięgał na wierność i poddaństwo królewiczowi; niepodobieństwem jest odebrać to jemu. Jeśli zaś bojarowie czego żądają, powinni sami bić czołem i prosić o to królewicza.“ Michał Fiodorowicz nie był tytułowany carem, a o Iwanie Groźnym odzywali się uszczypliwie, że jego rodzila kniahini Glińska, której ojciec zdradził króla polskiego, chociaż teraz kniaziowie Glińscy wiernie królowi na Litwie służą. Ale o najważniejsze, o urzędnikach pogranicznych i o ich omyłkach, czy

---

<sup>1)</sup> W Dywilinie.

obrazach, nie było w liście mowy, była jedynie propozycja wysłania między Wiaźmę i Dorohobuż komisarzy dla rozpatrzenia sporów pogranicznych, ułożenia się o tytuły i tym podobne wątpliwości.

Missya Borniakowa miała pewną dobrą stronę, bo obudziła jeszcze więcej czujność pp. senatorów; dlatego też instrukcja na sejmiki powiatowe w r. 1622 wskazuje na niebezpieczeństwo od Moskwy, na *longa volumina* krzywd, poniesionych jako-by od ludzi, mieszkających w Siewierszczyźnie, na listy *grubo et imperiose* przez posłanników pisane z Moskwy, machinacje, jakimi do wojen tureckiej i inflanckiej się przyłożyła. Widocznie więc w Warszawie znali prawdziwy przebieg rzeczy.

Z powodu ułożenia się wojny z Turcją akcja zaczepna w stronę Smoleńska była odroczonej, zwłaszcza, gdy z Konstantynopola przyszły wiadomości o zamordowaniu sultana Osmana przez janczarów, a Rzplta uzyskała nawet od Szwecyi chwilowy spokój. Bez sprzymierzeńców państwo moskiewskie nie miało odwagi targnąć się na nieprzyjaciela, gdyż, jak powiada S. Sołowiew, ani dowódcy, ani żołnierze odwagą się nie odznaczyli.

Rzplta miała bardzo zwyczajny w owych czasach sposób odciążenia uwagi sąsiada od granicy smoleńskiej, dokuczenia mu przez podkupienie Tatarów, aby wpadli zagonami. Prawdopodobnie inkursya tatarska od strony Epifanii, Bielewa i Diediłowia, w owej właśnie chwili miała stanowić t. z. *dywersję* na korzyść korony i Litwy. Nie przeszkadzało to jednak wcale, że po odłożeniu planów odwetu na inną, stosowniejszą chwilę, wysłanym został nad granicę dla załatwienia sporów, stosownie do propozycji, przywiezionej przez p. Chwalimira, książę Wasyl Achamaszukowicz Czerkaski. Senatorowie wydelegowali kn. Samuela Sanguszkę. Obaj komisarze zjechali się tylko raz jeden, i to na próżno, bo zainterpellowany o te obelgi i urazy, o winowajców, Sanguszeko nic nie umiał powiedzieć, gdyż nie miał instrukcyi, dlatego spory graniczne pozostały raną, nie chcąc się wcale goić. Co prawda, niedochodzenie komissyi pogranicznych zdarzało się także w innych stronach państwa, jak np. od Węgier i Szląska. Dla rozstrzygnięcia wątpliwości, jak mogła biedz dawniej granica, przywoływano t. zw. *starożyłóv*, t. j. miejscowych ludzi, bardzo starych, pamiętających tradycje; obowiązani byli przysięgać, ale, jak tu było rozstrzygnąć, kiedy każda strona świadków przywoływała, którzy, albo sprzeczenie zeznawali, albo fałszywie przysięgali. I tak np., Putywlanie mieli osobne swoje spory z kn. Jeremim Wiśniowieckim, który tam, na Zadnieprzu, od Zygmunta III otrzymał kolosalne obszary i miasta i wsie pozakładał.

\*

\*

\*

Jeszcze jeden przysły sprzymierzeniec carstwa, i to najruchliwszy, zaczął wtedy podnosić czoło—kozacy. Razem z bardzo szybkim rozrostem kozaczyzny, cała Ukraina obu brzegów Dniepru powstaje przeciw napływowemu żywiołowi—przeciw Lachom. Że były „tajemne roboty“ z za pogranicza, nie ulega wątpliwości, duchowienstwo greckie musiało odegrać tu ważną rolę. Dość, że do kłopotów Rzpltej przybędzie jeszcze i ten wewnętrzny i okaże się wielkim i bardzo niebezpiecznym.

Wiemy o tajnych poselstwach do Moskwy, i to na dwadzieścia lat przed Chmielnickim, krążą nawet listy od moskiewskiego kniazia, o jakie komisarze polscy na komissyach z kozakami się upominają.

Oczywiście, rzecz ukryć się nie mogła, dlatego do rozdzielenia sąsiedzkich stosunków przybyła sprawa kozacka, a zwłaszcza tych kozaków zbiegów, co, popełniwszy zbrodnię, czy to mającą cechę politycznego przestępstwa, czy zwykłego morderstwa, uciekali za kordon, aby uniknąć kary. Z upływem lat sprawa tych zbiegów wzmoże się, zwłaszcza ze strony kozaków wyrośnie wtedy do rozmiarów wielkiego politycznego sporu, bo teraz jeszcze agitacja nie zapuściła silnych korzeni, tylko pojedyncze przebłyski zdają się zapowiadać nadsięgającą burzę.

W r. 1625, w czerwcu, pisarz ziemski w Dorohobużu, p. Mikołaj Woroniec, czy też Woronicz, bo go raz tak, drugi raz tak nazywano, zgłasza się listownie do wojewody wiaziemskiego, kn. Wołyńskiego, żądając nieprzyjmowania zbiegów i niedawania im opieki. Woronicz naturalnie zatytułował królewicza Władysława „Carem Wszech Rusi.“ Przytaczanie osoby królewicza pochodziło zapewne stąd, że Władysław, jak wiemy, był mianowany administratorem Smoleńszczyzny i Siewierszczyzny, miał je poniekąd oddane pod specjalny swój nadzór i opiekę. Nie można się dziwić, że Wołyński zirytował się, bo Woronicz nie po raz pierwszy z nim tak korespondował, a co do „perejeżczyków“ dał odpowiedź odmowną, skoro, jako urodzeni poddani państwa moskiewskiego, przechodzą na stronę cara, pod jego berło, więc ich nie można za to tracić, a ich rzeczy oddawać; „dziwię się, iż mi piszesz w sprawie, punktami ugody nie objętej, a zresztą nigdy tego mi bywało z żadnej strony, aby przechodzących pod inne berło—tracić, a ty tego żądasz, a wstyd wymagać tego, co nie jest zawarowaniem ugody. Nadal nie pisz nic i nie wymagaj wypełnienia podobnych żądań, jak my, co nie piszemy wam względem przechodzących na waszą stronę, choć wielu z nich przechodzi do was, nabrawszy i nakradłszy cudzej własności nie mało. Nie zadzieramy z wami, ugody przestrzegamy i wykonywamy święcie.“ („Akty sobr. i izd. archeogr. kom.“, t. III, str. 204—6.

Nie posiadamy dokładnych danych o tych listach, jakie, zdaniem bojarów, wystarczały na usprawiedliwienie wojennych kroków, a szkoda, bo ich anegdotyczna strona była-by ciekawą. Uzbierało ich się z czasem, t. j. aż do pamiętnego roku 1654, mnóstwo, podobno gruby tom, którym w stronę Rzpltej coraz namiętniej się odgrażano.

Na tych małych udzierkach i szarpaninach, przy pozornym spokoju, schodzi dziesięciolecie od r. 1622 do r. 1632. Wojna z Tatarami, a następnie wyprawa Gustawa Adolfa na Inflanty, Kurlandję i Prusy Polskie, osłabiają Rzpltą, ale znowu nie dają sposobności wkroczenia w granice Litwy, pomimo, że w r. 1626, 1629 i 1630 Gustaw Adolf przysyłał posłów do cara, ofiarując mu przymierze, prosił nawet o przepuszczenie posłów swoich do kozaków, celem przeciągnięcia ich na swoją stronę, t. j. wywołania powstania. W końcu Zygmunt zawarł ze Szwecją sześcioletni rozejm.

Dopiero w ciągu 1630 r. zjeżdża znowu na Kreml—po raz trzeci—od sułtana Murada IV, znany nam już, Tomasz Kantakuzen, aby przygotować sojusz, jednoczesną kampanię na Polskę i Litwę. Wprawdzie zgoda obu mocarstw nie przyniosła na razie żadnych owoców, Aleksander Piaseczyński zawarł nawet chwilowy rozejm z Portą, ale niezadługo, bo w r. 1633 Polska będzie musiała bronić się jednocześnie na dwie strony: król Władysław z hetmanem Radziwiłłem od strony Smoleńska, a hetman Koniecpolski od granicy mołdawskiej. Wtedy także Turcyja opóźniła się z wyprawą, zrobiła zawód, na co w Moskwie będą się uskarżać, albowiem, kiedy wojska tureckie zbliżyły się do Kamieńca Podolskiego, Michał Szein był już osaczonym, musiał kapitulować.

Od r. 1630 rozpoczynają się przygotowania do wojny, w celach bardzo już dla sąsiadów widocznych, w szybszem tempie, jakoby z zamiarem ucieżnienia, zaskoczenia Smoleńska; zaraz też na Litwie zaczynają niepokoić się naprawdę, trzymać się na baczności, prawdopodobnie biegną niezwłocznie *avisa* do Władysława, jako administratora ziem, bo łudzić się już dalej było niepodobna, chociaż to jeszcze daleko do upływu rozejmu. Na kilka tedy lat przed wybuchem wojny gotują się obustronnie.

W Moskwie zdobyli się znowu na ważny krok, jakiego Wasyl Szujski już próbował, lubo niefortunnie—to jest na zaciągnięcie cudzoziemców, nie tylko żołnierzy, ale i oficerów, bo dotychczasowa kozackotatarska taktyka wojenna urywania wroga, cofania się, mogła być bardzo skuteczną w wojnie obronnej, ale nie zaczepnej. Dlatego w styczniu 1631 r. wysłany jest starszy pólkownik, jeden z bardzo znanych w Moskwie ludzi, Aleksander Uljanowicz Leslie, do Szwecyi, aby przeprowadził 500 piechoty. Pojechali także do Sztokholmu stolnik Ple-



mianników i djak Aristow, dla zakupu dziesięciu tysięcy muszkietów, 500 szpad. Ochotnicy i puszkarze mieli być werbowani w Danii, Anglii, Hollandyi i w Niemczech.

Ze względu na ważność postanowień, car Michał i Filaret zwołali ponownie w czerwcu walny sobór, z powtórzeniem przytoczonej już przez nas sceny z r. 1621. A mianowicie zgromadzenie wysłuchało mowy usprawiedliwiającej projektowane zerwanie stosunków.

Królewicz używa ciągle tytułu carskiego, Aleksander Gąsiewski i inni starostowie grodów litewskich wyrażają się o wielkim gospodarze w sposób obraźliwy: bojarowie nie uzyskali dotychczas od senatorów zadosyćczynienia na wniesione zażalenia; pograniczni mieszkańcy krzywdzeni są przez Polaków, Polacy wybudowali zamki i ostrożki na moskiewskich ziemiach, zajmują wsie i wywożą chłopów za granicę („Cztenia w imp. obszczest. ist. i drewn. pis. mosk. uniwerst.” Moskwa, 1862, t. IV. Bentysz Kamieński).

Sobór zgodził się na wszystko, zapewne nawet z entuzjazmem, postanowił wojnę i wysłanie jak najprędzej kn. Dymitra Mamstrukowicza Czerkaskiego i kn. Borysa Łykowa na Dorohobuż, Sierpejsk i Smoleńsk; ale, że się ci wojewodowie zaraz pokłócili, przeto musieli być zastąpieni przez znanego chlubnie z lat 1609—1611 Michała Borysowicza Szeina i Artemia Izmailowa.

Król Zygmunt, wobec wieści o ruchach wojsk moskiewskich, potwierdzonych przez wysłanych szpiegów, zezwolił na sejmie w kwietniu r. 1632, aby Władysław, mający, jak wiemy, oddane w opiekę te prowincye, bronił razem z hetmanami zagrożonych granic.

W czasie obustronnych przygotowań do wojny umarł Zygmunt III, skutkiem czego pp. senatorowie wysłali p. Marcina Koszczyca gońcem do patriarchy Filareta, z zawiadomieniem o śmierci królewskiej i wezwaniem do powstrzymania kroków wojennych; goniec, wysłany może celem bliższego zbadania położenia na miejscu, nie został przepuszczonym przez Wiaźmę, pod pozorem, jakoby starosta dorohobuski, prosząc dłań o przejazd, nie zatytułował Michała Fiodorowicza carem. Z tego samego powodu, czy pozoru, odmówiony miał wstęp posłannik cesarza niemieckiego, Ferdynanda II, biegnący w sprawie medyacyi pokojowej, prawdopodobnie wskutek żądania Zygmunta, celem zażegnania grożącej wojny, a więc przedłużenia rozejmu. Zresztą, w orszaku Atanazego Georgiusa (?) znajdowali się Polacy, obawiano się więc szpiegostwa, a potem wstawiennictwo cesarskie było, jak obecnie, niepożądanem.

Owszem, śmierć Zygmunta przyśpieszyła wybuch wojny, gdyż podczas bezkrólewia trudniej było o obronę kraju, łatwiej można było pokusić się o Sierpejsk, Dorohobuż, a nadewszystko o Smoleńsk. Jednym

ze środków posiłkowych, w podobnych razach używanych, było rozrzucanie odezw do ludności pogranicznej greckiej, aby pomagała wkraczającym wojskom, nie tylko przez uszkodzenie litewskim oddziałom, ale i przez dostawę żywności, dostarczanie wieści i t. d. Widzieliśmy, że i król Zygmunt, podczas swoich kampanii, także rozsyłał listy do ludności prawosławnej, objaśniając prawdziwy cel swego przybycia. Dlatego teraz przykazano, aby wojsko niczego darmo, siłą, nie zabierało nie rabowało i nie ciemiężyło mieszkańców.

ADAM DAROWSKI.

(Dokończenie nastąpi.)

---

---

# RODZINA POŁANIECKICH. <sup>1)</sup>

---

## XLV.

Były jeszcze dni ciężkie i bardzo ciężkie. Przyszło osłabienie tak wielkie, że życie Maryni poczęło się wahać, jak płomyk. Zgaśnię, czy rozetleje?—na to nie umiał nikt odpowiedzieć. Chwilami wszyscy byli przekonani, że już, już gaśnie. Jednakże młodość i ulga, jaką organizmowi przyniosło przyjście na świat dziecka, przeważały szalę na stronę życia. Któregoś dnia chora po długim śnie obudziła się, jakby rzeświejsza. Stary lekarz, który był przy niej i który to stwierdził, chcąc upewnić się lepiej, że owo polepszenie nie jest złudzeniem, zażądał wezwania drugiego, z którym przedtem składał konsylia. Połaniecki sam po niego pojechał i prawie odchodził od zmysłów, szukając go po mieście przez pół dnia, nie śmiał bowiem jeszcze mieć nadziei, że to już zwrot stanowczy w jej chorobie i w jego niedoli. Gdy nareszcie odnalazł utrapionego medyka i gdy przywiózł go do domu, przyjęła ich w przedpokoju pani Bigielowa, z mokremi rzęsami, ale z twarzą rozpromienioną, i rzekła:

— Lepiej! stanowczo lepiej!

I nie mogła mówić więcej, bo łzy popłynęły z jej oczu. Połaniecki pobladł ze wzruszenia, ona zaś, opanowawszy po chwili swą radość, poczęła mówić, uśmiechając się przez łzy:

---

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt październikowy „Biblioteki.“

— Więc pani wojuje już o jedzenie! Przedtem kazała sobie przynieść małego. Dopytywała także, czemu pan nie wraca. A teraz wojuje o jedzenie!—ale jak wojuje! A, chwała Bogu! chwała Bogu!

I w uniesieniu uściskała Polanieckiego, a on przez długi czas nie odejmował ust od jej rąk: drżał tylko cały z wysilenia, żeby potłumić radość, ale zarazem i jęki, które, nagromadziwszy się w nim przez tyle dni trwogi i męczarni, chciały teraz koniecznie wybuchnąć.

Tymczasem lekarze poszli do Maryni i siedzieli przy niej dość długo! Gdy po skończonej naradzie ukazali się zuowu, na twarzach ich widać było zadowolenie. Na gorączkowe zapytania Polanieckiego, ten, który stale był przy Maryni, stary impetyk, ze złotemi okularami na nosie i złotem sercem w piersiach, sam uszczęśliwiony, ale utrudzon bardzo, rzekł oburkliwie:

— Jak się ma? Idź pan, podziękuj Bogu—ot co!

I Polaniecki poszedł. Gdyby był człowiekiem, zupełnie niewierzącym, był-by w tej chwili poszedł tak samo—i z sercem, wezbranem łzami i wdzięcznością, był-by dziękował tak samo Bogu, że się nad nim zlitował i że pozwolił wrócić fali złego, tylko pod postacią żalu, zgryzoty, męki—nie pod postacią śmierci.

Poczem, uspokoiwszy się, wszedł na palcach do pokoju żony, przy której była już pani Bigielowa. Marynia raźnie spoglądała przed się rozweselonemi oczyma i na pierwsze wejrzenie znać było, że istotnie ma się daleko lepiej. Ujrzawszy go, rzekła:

— A widzisz, Stachu—dobrze!

— Dobrze, kochanie—odpowiedział cicho Polaniecki.

Nie pora była jeszcze na głośne wybuchy, więc siadł w milczeniu przy jej łóżku. Lecz po chwili radość i ogromna miłość do niej zmogły go tak, iż, przechyliwszy się, objął rękoma jej okryte koldrą stopy, a następnie, przyłożywszy do nich twarz, pozostał w ten sposób bez ruchu.

Ona zaś, jakkolwiek bardzo jeszcze osłabiona, uśmiechała się z zadowolenia. Przez czas jakiś patrzyła na niego, poczem, zupełnie jak dziecko, uszczęśliwione, że je pieszczą, rzekła do pani Bigielowej, ukazując swoim przezroczytym paluszkim na tę ciemną czuprynę przytuloną do jej nóg:

— Kocha!

Nazajutrz Marynia czuła się jeszcze zdrowszą i od owej chwili każda niemal godzina przynosiła polepszenie. W końcu był to już nie powolny powrót do zdrowia, ale jakby rozkwit, jakby nagły powrót wiosny po zimie, który zdumiewał samego lekarza. Polanieckiemu chciało się teraz chwilami krzyczeć z radości, która dusiła go tak, jak dawniej—męka. Trzymano Marynię jeszcze w łóżku, przez zbytek

ostrożności, ale gdy wracały jej siły, rumieńce, ochota do życia, humor, poczęła sobie przykrzyć i codzień wieczór zapowiadać, że naza-jutrz wstanie. Pod jednym tylko względem długa choroba i bezsilność przyniosły zmianę w jej usposobieniu, która jednak wkrótce miała przejść razem z innymi śladami słabości. Oto, tak spokojna i rozsądna niegdyś kobietka, stała się na pewien czas jakby rozpieszczonym dzieckiem, które często napierało się rozmaitych rzeczy bardzo usilnie i odczuwało prawdziwe zmartwienie, jeśli mu ich odmawiano. Połaniecki, rozmawiając z nią, wchodził mimowoli w jej ton, skutkiem czego owe „grymasy” bywały i powodem do wesołości.

Raz poczęła się przed nim skarżyć, że pani Bigielowa nie chce jej dać czerwonego wina. Pani Bigielowa tłumaczyła się, że dała tyle, ile doktor pozwolił, ale musi czekać na jego pozwolenie, żeby dać więcej. Połaniecki ją zaraz Marynię pocieszać, mówiąc do niej tak zupełnie, jak niegdyś mawiał do Litki:

— Dadzą dziecku wina; zaraz dadzą!.. tylko doktor przyjdzie.

A Marynia na to:

— Czerwonego!..

— Ale jak czerwonego!—odpowiedział Połaniecki:—poczem oboje poczęli się śmiać, a z nimi razem i pani Bigielowa. Jak dawniej, w całym tym pokoju unosiła się trwoga śmierci i nieszczęścia, tak teraz często radość rozświecała go, jak słońce. Chwilami wpadali w doskonały humor, a do kompanii należał częstokroć i dziadzio Pławicki, który, od czasu przyjścia na świat wnuka, stał się pełen patriarcalnej, ale dobrotliwej powagi, nie wyłączającej wesołości. Bywało zresztą różnie; czasem bowiem brał w nim górę nastrój wysoki i uroczysty. Pewnego dnia przyniósł testament i zmusił wszystkich do wysłuchania jego paragrafów od początku do końca. We wstępie żegnał się we wzruszających słowach z życiem, z córką, z Połanieckim i z wnukiem, nie szczędząc przytem wskazówek, tyczących jego wychowania na dobrego wnuka, dobrego syna, ojca i obywatela; następnie czynił go spadkobiercą wszystkiego, co posiadał—i, pomimo, że od bankructwa Maszki posiadał tylko tyle, ile mu dawał Połaniecki—niemniej czuł się wzruszony swoją hojnością i niemniej cały wieczór miał minę pelikana, który nakarmił własną krwią pisklęta.

Człowiek, który się odradza na świat po ciężkiej chorobie, przechodzi poniekąd znów przez wszystkie okresy dzieciństwa i pierwszej młodości, z tą jedynie różnicą, że to, co dawniej liczyło się na lata, liczy się w takich warunkach na tygodnie, lub nawet dni. Tak było z Marynią. Pani Bigielowa, która z początku nazywała ją „bébé”, mówiła, śmiejąc się, że stopniowo „bébé” zmienia się w małą dziewczynkę, a z dziewczynki w podlotka. Ale w podlotku poczęła się na-

stępnie odnajdować kobiecea kokieterya. Teraz, gdy ją czesano, wymagała już koniecznie, by jej stawiano na kolanach niewielkie zwierciadło, które miała po matkę, i pilnie badała w niem, czy też zapowiedź pani Bigielowej, że „potem jest się jeszcze ładniejszą”, sprawdza się na niej. W pierwszych czasach oględziny utęzbyt ją zadawałniały, później jednak coraz więcej. Nakoniec, któregoś dnia, kazała sobie zaraz po uczesaniu podać raz jeszcze zwierciadło—i jeszcze raz odbyła dokładny przegląd cery, oczu, ust, włosów, ~~wyrazu~~, słowem wszystkiego, co było do obejrzenia.

I *rewia* musiała wypaść dobrze, albowiem poczęła się uśmiechać, rozpromieniać, wreszcie zwróciła się w stronę pokoju Polanieckiego i, przegrażając wymizerowaną piąstką, z *miną* wielce zdobywczą, rzekła:

— A, poczekaj no teraz, panie Stachu!

Rzeczywiście zaś nigdy nie była równie śliczna. Płeć jej, zawsze bardzo czysta, stała się jeszcze więcej przezrocza i jeszcze więcej liliowa, niż wówczas, gdy Zawilowski tracił głowę i rymował z tego powodu od rana do wieczora. A obok tego, na policzkach jej świecił już pierwszy różowy brzask zdrowia. Z oczu, z ust, ze zdrobniałej po chorobie twarzy biło jakby światło, jakby odrodzenie się do życia i jakby wiosna. Była to poprostu cudna głowa, pełna barw jasnych a leciuchnych, a zarazem subtelnego rysunku—prawdziwie wytworna i, jak się niegdyś wyraził Zawilowski: polna—tak cudna, że chwilami, gdy leżała na poduszkach i na podścieli ciemnych włosów, nie można się jej było dość napatrzeć. To też tak zwany „Pan Stach”, który to wszystko widział doskonale, i który, wedle określenia Bigiela, nie mógł już z miłości „ani ręką, ani nogą ruszyć”—nie potrzebował wcale „czekać.” Nietylko ją teraz kochał, jak kobietę i jak drogą głowę, ale czuł dla niej wdzięczność bez granic za to, że nie umarła—i okazywał swą wdzięczność w ten sposób, że starał się odgadywać jej myśli. Marynia ani przypuszczała kiedykolwiek, że stanie się do tego stopnia osią jego życia, żrenicą jego oka, duszą jego myśli i czynności. Nigdy nie było im ze sobą źle, ale teraz, wraz z powrotem do zdrowia Maryni, weszło do ich domu niebywałe szczęście i niebywała radość.

Przyczyniał się do niej dzielnie i młody Polaniecki. Marynia nie mogła sama karmić i mąż, przewidując to, sprowadził do syna żywicielkę.—Chcąc jednak sprawić chorej przyjemność, sprowadził dawną jej znajomą z Krzemienia. Służyła ona niegdyś u Pławickich, po ich wyjeździe zaś zgodziła się do Jałbrzykowa i tam zdarzyło się jej nieszczęście. Nigdy nie wiadząco dobrze, kto był jego przyczyną; jeśli jednak któremu z większych właścicieli można było zarzucić brak miłości do ludu, to nie panu Gątowskiemu, albowiem w całym Jałbrzy-

kowie pełno było dowodów, jak dalece pan Gątowski lud kochał. Nawet i przy układach o serwituty, współobywatele z Jałbrzykowa, między innymi kwestyami podnosili i tę, że „pan dziedzic na białym koniu jeździ, z pistoletu se strzyla i dziewczkom w ślipia patrzy”—i jeśli z jednej strony nie łatwo było pojąć, jaki właściwie związek mają powyższe zwyczaje pana Gątowskiego z układami o serwituty, to natomiast z drugiej stawało się zupełnie jasnym, iż, dzięki tymże zwyczajom, Polaniecki znalazł z łatwością w Jałbrzykowie karmicielkę dla swego syna.

Że zaś była to silna, młoda i hoża mazurka, przeto młody człowiek mógł tylko dobrze wyjść na jej opiece. Wogóle ów mały Polaniecki była to osoba, która od pierwszej chwili przyjścia na świat rozpanoszała się w domu codzien bardziej, nie licząc się z nikim i nie myśląc o niczem, tylko o własnych potrzebach i przyjemnościach. W myśl tej metody, w chwilach wolnych od uczt i snu, zajmował się ćwiczeniem i rozwojem swych małych płuc, za pomocą krzyku, tak doniosłego, na jaki tylko poranny jego wiek umiał się zdobyć. Przynoszono go wówczas najczęściej do Maryni, przyczem rozpoczynały się nieskończone sessye, na których rozpatrywano szczegółowo wszystkie jego fizyczne i umysłowe zalety, oraz uderzające podobieństwo do życiodawców. Stwierdzono w ten sposób, że ma nos matki, odrzuciwszy z rzadką w głosowaniu jednomyślnością uwagę mamki, że ma nos, jak „kociak”; stwierdzono również, że będzie miał niezmiernie ujmujący uśmiech, że będzie brunetem, że będzie niezawodnie wysoki, że jest bardzo żywy i że będzie się odznaczał zadziwiającą pamięcią. Pani Bigielowa, póki Marynia leżała jeszcze w łóżku, robiła przytem na swoją rękę rozmaite odkrycia, które zwiastowała wszem wobec. Raz też, wpadłszy do Maryni, poczęła mówić z radością i godnym wszelkiego uznania pośpiechem:

— Wyobraź sobie, rozłożył paluszki u jednej rączki, a drugą— przysięgła-byś, że je liczy. Będzie z pewnością matematyk!

Marynia zaś odrzekła z zupełną powagą:

— To będzie miał po ojeu.

I ona jednak zrobiła odkrycie, wcześniejsze nawet pod względem daty od wszystkich pani Bigielowej, mianowicie, że to jest „bardzo kochane stworzonko.”—Co do Polanieckiego, ten w pierwszych chwilach patrzył na nowego znajomego ze zdziwieniem i pewną nieufnością. W swoim czasie bardzo sobie życzył mieć córkę, z tego głównie względu, iż, będąc z usposobienia i serca wielkim dzieciarzem, wyobraził sobie, że tę całą tkliwość, jaką się ma w sobie, można oddać tylko dziewczynce. Nie wiadomo dłaczego, tkwiło w nim pojęcie, że syn, to będzie zaraz jakieś chłopisko, nieledwie z wąsami, mówiące basem, wierzga-

jące, jak żreback, do którego z tkliwością niewarto i przystępować, bo on ją ma—w pogardzie. Stopniowo dopiero, przypatrując się tej drobnej, śpiącej w poduszkach, figurze, począł dochodzić do przekonania, że to nie tylko nie jest żadne „chłopisko”, ale poprostu godna liłości bieda, tak mała, słaba, bezbronna, tak potrzebująca opieki i kochania, jak i wszystkie w świecie dziewczyny. Zresztą mówił sobie: „taki on tam jeszcze i chłopiec!”—i od tej chwili rozczulał się dla niego coraz więcej, a po kilku dniach próbował go nawet sam nosić do Maryni, co zresztą czynił z takim nakładem zgoła zbytecznych ostrożności, a zarazem tak niezgrabnie, że doprowadzał do śmiechu nie tylko Marynię i panią Bigielową, ale, z ujmą swej powagi—nawet i mamkę.

I śmiech rozlegał się teraz w mieszkaniu Połanieckich niemal od rana do wieczora. Oboje, budząc się rano, budzili się z tem błogiem poczuciem, że dzień przyniesie im nową radość. Bigiel, który od czasu, jak Marynia wstała, dopuszczany był wieczorem razem ze swoją wioloncellą—przypatrując się ich życiu,—rzekł kiedyś—po chwili odpowiednej rozwagi:

— Na dobrych ludzi, jak i na każdego, może przyjść nieszczęście; ale za to, jak im dobrze, tak, dalibóg, nikomu nie jest lepiej.

A im było rzeczywiście dobrze. Marynia, wedle tego, co słyszała w swoim czasie od pani Bigielowej i co myślała sama, sądziła, że przyczyną tego ponownego rozkwitu miłości męża jest dziecko, które ich związało nowemi węzłami... Któregoś dnia poczęła nawet o tem mówić z Połanieckim, lecz on odrzekł jej z całą prostotą:

— Nie! słowo ci daję! Jego swoją drogą kocham, ale ciebie kochałem już bajecznie, nim on na świat przyszedł—dla ciebie samej, dlatego, że jesteś taka, jak jesteś. Spójrzj naokół, pomyśl, co się na świecie dzieje i z kim ja ciebie mam porównać?..

Tu, wzięwszy jej ręce, począł je całować nie tylko z ogromną miłością, ale zarazem z największą czcią—i dodał:

— Ty sama nigdy nie będziesz wiedzieć, czem ty dla mnie jesteś i jak ja ciebie kocham.

Ona zaś, przytuliwszy się do niego, pytała z twarzą jasną od szczęścia, jak słońce:

— Nie?—naprawdę Stachu?.. powiedz!..

## XLVI.

Przyszły chrzciny. Młody człowiek był już ochrzczony z wody, albowiem uczyniła to zaraz po jego przyjściu na świat pani Bigielowa, której, pod wrażeniem choroby matki, wydawało się, że i mały umrze



lada minuta... Lecz on ani o tem myślał—i w najlepszym zdrowiu i apetycie czekał na termin uroczystości, w której miał odegrać główną rolę.—Połaniecki pospraszał wszystkich znajomych: była więc, prócz domowych i dziadzi Pławickiego, pani Emilia, która na ten dzień zebrała resztę sił, byli oboje państwo Bigielowie z małemi Bigielętami, i profesor Waskowski, i Swirski, i Zawilowski, i panna Ratkowska.—Pani Połaniecka, zdrowa już, wystrojona i szczęśliwa, wyglądała tak uroczo, że Swirski, ujrzawszy ją, wziął się obu rękoma za włosy i ze zwykłą sobie szczerością rzekł:

— To przecie przechodzi wszelkie pojęcie! Dalibóg, oczy można stracić!

— Co!—zawołał Połaniecki, sapiąc z zadowolenia i z taką zarozumiałością, jakby zawsze utrzymywał to, o czem inni teraz dopiero się przekonali.

A Swirski odrzekł:

— Klękajcie narody! Nie powiem nic więcej!

Ona słuchała tego z zakłopotaniem, ale płonąć zarazem z radości w poczuciu, że Swirski ma słusność. Musiała się jednak zająć gośćmi i ceremonią, a to tem bardziej, że z początku wkradło się pewne zamieszanie. W pierwszą parę miała trzymać małego Stasia pani Emilia i Bigiel, w drugą zaś malarz z panną Ratkowską. Tymczasem ten ostatni począł robić niespodzianie trudności, wynajdywać przeszkody i wykręcać się, niewiadomo dlaczego: „Radby bardzo,—po to umyślnie z Włoch przyjechał... jakże! to rzecz była ułożona; ale, że nigdy przedtem dziecka do chrztu nie trzymał, więc nie wie, czyby mu się chrześniak zdrowo chował, a zwłaszcza, czyby miał szczęście do kobiet.” Na to Połaniecki począł się śmiać i nazywać go przesadnym Włochem, lecz Marynia, która najprędzej domyśliła się, o co chodzi, korzystając z chwili, w której, chcąc się wymknąć, wycofywał się do okna, rzekła półgłosem:

— Kumostwo w drugą parę nie jest w danym razie przeszkodą.

Swirski powiódł za nią oczyma, następnie uśmiechnął się, ukazując swoje małe zdrowe zęby—i nagle rzekł,—zwracając się do panny Ratkowskiej.

— Prawda, że to tylko w drugą parę, więc... służę pani!.

I wszyscy otoczyli teraz małego Stasia, który na rękę niani, przybrany w powłóczyste muśliny i koronki, wyglądał dzielnie razem ze swoją łysiną i wytrzeszczonemi okrągłemi oczkami, w których świat zewnętrzny odbijał się tak mechanicznie, jak w zwierciadle. Bigiel wziął go teraz na ręce i rozpoczął się obrzęd.

Obecni słuchali w należytem skupieniu poważnych sakramentalnych słów, lecz młody poganin okazał wyjątkową zatwardziałość. Na-

przód począł wierzgać tak, że wysunął się nawpół z rąk Bigiela, poczem, gdy Bigiel wyrzekął się w jego imieniu czarta i jego nieprawości, uczynił wszystko, co było w jego mocy, żeby go zagłuszyć. Dopiero, ujrzawszy niespodzianie wśród krzyku okulary Bigiela, uciął nagle, jakby chcąc dać do zrozumienia, że, jeśli na świecie istnieją tak zdumiewające przedmioty, to w takim razie, co innego.

Zresztą obrzęd się skończył i zaraz potem oddano go w ręce niani, która po chwili ułożyła go w przepysznem łóżeczku, mającem kształt wózka, darze Swirskiego—i chciała go wytoczyć z pokoju. Lecz Swirski, który może dotąd nigdy w życiu nie widział z bliska tak małej osoby, a w którego piersiach biło stęsknione oddawna za ojcowstwem serce, zatrzymał nianię i, pochyliwszy się do kołyski, wziął dziecko w ramiona.

— Ostrożnie! ostrożnie!—zawołał, zbliżając się żywo Połaniecki. A malarz odwrócił się do niego i rzekł:

— Panie, ja miewałem w ręku wyroby Luca della Robbia.

I rzeczywiście, podniósł małe stworzenie i począł je lusiać z taką zręcznością, jakby całe życie dzieci niańczył. Następnie przystąpił z nim do profesora Waskowskiego i spytał:

— Cóż? Co kochany profesor myśli o tym młodym Aryjczyku?

— A cóż,—odpowiedział staruszek, spoglądając z rozczuleniem na malca: naturalnie, że arya! najczystszej wody arya!

— I przyszły missyonarz?—dodał Połaniecki.

— Nie uchyli się od tego w przyszłości, nie uchyli, tak, jak i wy nie umiecie się uchylić!—odpowiedział profesor.

Jakoż przyszłości nie podobna było przesądzać, na razie jednak, młody Aryjczyk uchylił się od wszelkich missyi w sposób tak niedwuznaczny, a nawet wprost obelżywy, że trzeba go było oddać niani. Pannie jednak nie przestały się nim bawić, cmokać na niego i zachwycać się nim, póki nie doszły do stanowczego wniosku, że to jest dziecko zupełnie wyjątkowe, że całe zachowanie się jego dowodnie o tem świadczy i że trzeba-by chyba nie mieć oczu, żeby nie poznać, iż to będzie najprzystojniejszy w kraju mężczyzna, a przytem geniusz.

Geniusz jednak usnął wreszcie, jak gdyby odurzony kadzidłami, a tymczasem podano śniadanie. Marynia, mimo całej przyjaźni dla malarza, posadziła jednak koło panny Ratkowskiej Zawilowskiego. Chciała, jak zresztą i wszyscy, nie wyjmując nawet Swirskiego, żeby się coś w ich stosunkach wyjaśniło. Zawilowskiego postępowanie było bowiem dziwne. Swirski utrzymywał, że on nie jest jeszcze zupełnie normalny. Był zdrow, sypiał i jadł dobrze, nawet nieco utył, mówił rozsądnie, choć powolniej, niż dawniej, ale pojawiała się w nim jakaś niemoc woli, jakiś brak inicjatywy, której przedtem było w nim

tak pełno. We Włoszech rozpromieniał się na wspomnienie panny Ratkowskiej i, gdy o niej mówił, oczy czasem zachodziły mu łzami. Po powrocie, gdy mu ktoś czasem naponknął, że wartoby pójść z wizytą do panny Ratkowskiej, a zwłaszcza, gdy ofiarował się iść z nim razem, mówił: „a prawda!”—i szedł z radością. Po-za tem jednak, zdawał się jakby nie pamiętać o jej istnieniu. Widocznem czasem było, że jakieś inne myśli nurtują go w głębi duszy i pochłaniają wszystkie jego duchowe władze. Swirski przypuszczał przez jakiś czas, że to może pamięć o panie Castelli,—przekonał się jednak z pewnem zdziwieniem, że tak nie jest i wreszcie zaczął mniemać, że Zawilowski dla tego nigdy jej nie wspominał, iż stracił poczucie jej rzeczywistości, albo też, że wydawała mu się już czemś tak odległym, jakimś wrażeniem tak rozwianem, że wspomnień o niej nie mógł związać w żywą, realną całość. Nie był jednak smutny. Owszem, chwilami znać w nim było zadowolenie i radość z życia, jakby się dopiero po powtórnem odrodzeniu na niem poznał. Prawdziwie smutną, coraz bardziej zamkniętą w sobie i coraz cichszą była panna Ratkowska. Może, prócz braku wzajemności, niepokoiły ją w Zawilowskim i inne rzeczy, ale nie mówiła o swych niepokojach z nikim. Marynia i pani Bigielowa, sądząc, że wyłącznym powodem jej smutku jest zachowanie się Zawilowskiego w stosunku do niej, otaczały ją najserdeczniejszym współczuciem i gotowe były uczynić wszystko, by jej przyjść z pomocą. Marynia, od czasu powrotu Zawilowskiego z Włoch, widziała go po raz pierwszy, ale pani Bigielowa mówiła z nim codziennie o panie Ratkowskiej, unosząc się nad nią, wspominając, ile jej winien wdzięczności, i dając mu coraz wyraźniej do zrozumienia, że powinien się jej jakoś z takiego długu uiszczyć. Poczciwy Swirski, wbrew własnym nadziejom, powtarzał mu toż samo—i Zawilowski wszystko przyznawał, tylko, jakby nie chcąc, lub nie umiając wyprowadzić ostatecznego wniosku, mówił o rychłym swym powtórnym wyjeździe, o planach jeszcze większych podróży na przyszłość,—słowem, o rzeczach, które z natury swej wyłączały udział panny Ratkowskiej.

I teraz, siedząc obok, niewiele do siebie mówili. Zawilowski jadł obficie—i z zajęciem, a nawet pewną niecierpliwością, przeprowadzał oczyma nowe dania, które podawano naprzód starszym; panna Ratkowska, zauważywszy to, spoglądała na niego chwilami, jakby z bolesnem współczuciem, a Marynię poczęło to wreszcie korcić, więc, chcąc zawiązać między nimi rozmowę, rzekła, przechyliwszy się przez stół:

— Pan tak świeżo z podróży,—niech-że pan coś opowie mnie i Stefci o Włoszech. Wszak ty, Stefciu, nie byłeś tam dotąd?

— Nie byłam,—odpowiedziała panna Ratkowska,—ale niedawno właśnie czytałam jakąś podróż... tylko, że czytać a widzieć, to co innego.

I zarumieniała się lekko, spostrzegła bowiem, iż się zdradziła, że czytywała o Włoszech, właśnie wówczas, gdy Zawilowski tam bawił.

On zaś rzekł:

— Mnie pan Swirski namówił aż do Sycylii, ale tam były jeszcze upały: tam-by trzeba teraz jechać!

— A!—rzekła Marynia: dobrze, że mi się przypomniał!—a moje listy? Pytał pan przecie przez pana Swirskiego, czy chcę, by mi pan spisywał swoje wrażenia, a potem nie odebrałam ani literki!

Zawilowski zaczerwienił się nagle, zmieszał, a potem rzekł jakimś dziwnym, niepewnym głosem:

— Bo... jeszcze nie mogłem... Ja będę ogromnie dużo pisał, ale później...

Swirski, posłyszawszy te słowa, zbliżył się po śniadaniu do Maryni i rzekł, ukazując na Zawilowskiego oczyma:

— Wie pani, jakie on mi czasem robi wrażenie?—że to jest kosztowne naczynie—rozbite.

## XLVII.

W parę dni po chrzcinach, Swirski odwiedził Połanieckiego w biurze, by się dowiedzieć o zdrowie Maryni, a zarazem pogadać o rozmaitych rzeczach, które mu leżały na sercu. Widząc jednak, że się spóźnił i że Połaniecki zabierał się już do wyjścia, rzekł:

— Niech pan dla mnie nie zostaje. Pogawędzimy na ulicy. Światło dziś takie ostre, że nie mogę nic robić, więc odprowadzę pana do domu.

— Musiał-bym pana w każdym razie przeprosić,—odpowiedział Połaniecki.—Moja Marynia dziś po raz pierwszy wychodzi i idziemy do Bigielów na obiad. W tej chwili musi być już ubrana, ale mam jeszcze ze dwadzieścia minut czasu.

— Skoro wychodzi, to widać, że zdrowa.

— Chwalić Boga—jak ptak!—odpowiedział z radością Połaniecki.

— A Aryjczyk?

— Aryjczyk także tego się trzyma.

— Ach, szczęśliwy człowieku,—rzekł Swirski: ja, żebym miał w domu taką zabę, nie mówiąc już o takiej żonie—to nie wiem... chyba-bym po dachach chodził.

— To też nie uwierzysz pan, jak mnie ten chłopak bierze za serce... Co dzień więcej, a wogóle tak, że anim się spodziewał! bo trzeba wiedzieć, że ja sobie życzyłem córki.

— Jeszcze nie wieczór! przyjdzie i córka!—odrzekł Swirski.—Ale pan się śpieszysz, więc chodźmy.

Połaniecki wdział futro i wyszli na ulicę. Dzień był mroźny, jasnny. Wokół rozlegał się pośpieszny brzęk dzwonek od sanek. Ludzie mieli kołnierze na uszach, szron na wąsach—i z ust wyrzucali słupy pary.

— Wesoly jakiś dzień,—rzekł Połaniecki.—Cieszę się dla mojej Marylki, że pogoda.

— Panu wesoło, więc wszystko widzisz jasno,—odrzekł Swirski biorąc go pod rękę.

Lecz nagle puścił ramię Połanieckiego i, zastąpiwszy mu drogę rzekł z taką miną, jakby się chciał z nim kłócić:

— Czy pan wiesz, że pan masz za żonę najpiękniejszą kobietę w Warszawie?—To ja panu powiadam—ja!

I począł stukać się ręką w piersi, jakby chcąc powiększyć pewność, że to mówi on, nie kto inny.

— Ba!—rzekł, śmiejąc się, Połaniecki—i zarazem najlepszą, najpoczciwszą w świecie; ale chodźmy, bo mróz.

Gdy zaś Swirski wziął go znowu pod rękę, dodał z pewnem wzruszeniem:

— Com ja jednak przeszedł podczas jej choroby, to Pan Bóg jeden wie... Lepiej o tem nie wspominać... Zrobiła mi poprostu niespodziankę swoim powrotem do zdrowia, ale też jeśli Bóg da doczekać wiosny, zrobię i ja jej niespodziankę, z której będzie rada.

— Jej niema z kim porównać!—odpowiedział Swirski.

Tu, zatrzymawszy się znowu,—rzekł jakby z pewnem zdziwieniem:

— I, jak Boga kocham, ile w niej przytem prostoty!

Przez jakiś czas szli w milczeniu, następnie Połaniecki począł wypytywać Swirskiego o wyjazd.

— Zatrzymam się ze trzy tygodnie we Florencyi,—odrzekł malarz.—Mam tam jakąś robotę. Prócz tego, stęskniłem się do światła na San-Miniato, do Ginewry, w której się niegdyś kochałem, i do Cimabnego. Pamiętasz pan w Santa Maria Novella! w kaplicy Rucellai?.. Po trzech tygodniach pojedę do Rzymu. Właśnie chciałem o tem z panem pogadać, bo dziś rano był u mnie Zawilek z propozycją, żebyśmy znów jechali razem.

— A!—rzekł Połaniecki.—I zgodziłeś się pan?

— Nie miałem serca odmówić, choć—między nami—on bywa czasem ciężki. Pan przecie wiesz, jak go pokochałem i jak mu współczułem, więc samemu mi przykro to mówić, ale bywa bestya ciężka!.. Co tu gadać! zmienił się ogromnie! Na chrzcinach powiedziałem pani, że on chwilami wydaje mi się, jak kosztowne naczynie—rozbite. I to prawda! Albo to ja raz widziałem, jak on się męczył nad temi listami, w których chciał opisywać dla pani Włochy. Chodził całemi godzinami po pokoju, tarł swoje postrzelone czoło, siadał, wstawał, a papier, jak był czysty, tak i pozostał. Daj Boże, żeby odzyskał dawny lot.

Teraz jednak on wszystkim wokoło powtarza, że będzie pisał, ale sam już zaczyna o sobie wątpić—i gryzie się. Wiem, że się gryzie.

— Było-by to nieszczęście i dla niego, i dla panny Heleny,—odpowiedział Połaniecki.—Gdybyś pan wiedział, jak jej rozpaczliwie chodziło nietylko o jego życie, ale i o jego talent!

— Była-by szkoda ogólna,—odpowiedział Swirski.—Kogo mi jednak najbardziej żal, to panny Ratkowskiej. Ona też poczyną już wątpić, czy on będzie tem, czem był, i to ją dręczy, może więcej od innych smutków.

— To biedna dziewczyna—rzekł Połaniecki—i tem biedniejsza, iż z tych wszystkich jego zamiarów podróży jedno widać jasno: że on o niej ani myśli.—Szczęście, że panna Helena zapewniła jej byt niezależny.

— Ja rok czekam,—odpowiedział Swirski,—a po roku oświadczam się powtórnie. Wzięła mnie! niema co gadać! Uważałeś pan, jak jej ślicznie z temi krótkimi włosami. Powinna zawsze tak chodzić. Rok czekam i milczę, ale potem będę uważał, że mam rozwiązane ręce. Niepodobna też, żeby i w niej przez rok coś się nie zmieniło, zwłaszcza, jeśli tamten nie da znaku życia... Wszystko to jest ogromnie dziwne! Myślisz pan, że ja nie robię wszystkiego, co w mojej mocy, żeby w nim rozdmuchać jakąś iskrę dla niej?—Dalibóg, że człowiek nigdy chyba więcej nie robił przeciw własnemu sercu.—Pani Bigielowa robi także, co może. Ale trudno! Nikt zuowu nie ma prawa powiedzieć mu wyraźnie: żeń się! skoro on jej nie kocha. I to jest jeszcze dziwniejsze, że on i o tamtej, zdaje się, nie myśli. Jedna panna Ratkowska więcej jest warta, niż cały zagajnik takich „*Topolek*!”—ale to inna rzecz!—Mnie o to chodzi, żeby ona nie myślała, że ja umyślnie wywożę Zawilowskiego. Nie odmówilem mu, bom nie mógł, ale, mój drogi panie, jeśli tam kiedy będzie mowa o naszym wyjeździe, wspomnijcie-że jej, że ja, dalibóg, nie namawiałem Zawilowskiego do podróży i że odał-bym więcej, niż ona przypuszcza, byle jej było dobrze, choćby kosztem takiego starego brysia, jak ja.

— Oczywiście, że tak zrobimy,—odpowiedział Połaniecki.

— To i dziękuję! Przed wyjazdem będę jeszcze u pani z pożegnaniem.

— Koniecznie—i to wieczorem, żebyśmy mogli dłużej posiedzieć. Myślę też, że jak pan latem wróci, to czas jakiś zabawicie u nas z Zawilowskim.

— W Buczynku?

— W Buczynku, albo i nie w Buczynku, to jeszcze nie wiadomo.

Dalszą rozmowę przerwał im widok Osnowskiego, który w tej chwili wychodził z owocarni, trzymając w ręku zwinięty w róg biały pakiet.

— Patrz pan—Osnowski,—rzekł Swirski.

— A jaki zmieniony—odrzekł Połaniecki.

I rzeczywiście. Osnowski był ogromnie zmieniony. Z pod futrzanej czapki wyglądała twarz chuda, pożółkła i jakby wiele starsza. Futro zdawało się na nim wisieć.—Ujrzawszy dwóch przyjaciół, stropił się; widocznem było przez chwilę, że się waha i namyśla, czy nie przejść koło nich, udając, że ich nie poznaje. Ale na chodniku były pustki i zeszli się nadto blisko; więc nagle zmienił zamiar—i zbliżywszy się, począł mówić z nienaturalnym pośpiechem, jakby w chęci zagadania tego, o czem wszyscy trzej wyłącznie myśleli:

— Dzieńdobry paanom! O to wypadek, żeśmy się spotkali, bo ja siedzę w Przytułowie i w mieście rzadko bywam. Kupiłem sobie właśnie winogron, bo mi teraz każą jeść winogrona. Ale sprowadzają je w trocinach, więc wszystkie czuć trocinami; myślałem, że tu będą lepsze. Mróz dzisiaj—prawda?—Na wsi doskonała sanna.

I poczęli iść razem—wszyscy trzej zakłopotani. Połaniecki wreszcie spytał:

— Pan podobno wybiera się do Egiptu?

— To dawny zamiar, ale teraz może się wybiorę. Na wsi w ziemie niema roboty, a samemu nudno.

Tu urwał nagle, spostrzegłszy, że wchodzi na śliską drogę.

I szli dalej, w milczeniu jeszcze cięższem, czując tę niezmierną przykrość, jaką czuje się zawsze, gdy, na mocy jakiegoś milczącego układu, mówi się o rzeczach błahych, skrywając główne i zarazem bolesne. Osnowski rad-by był ich pożegnać. Ale ludziom, przywykłym przez całe lata do zachowywania pewnych form, chodzi mimowiednie, choćby w największem nieszczęściu, o pozory, więc też i on pragnął znaleźć jakiś łatwy i naturalny sposób do rozstania się z nimi.—Tymczasem, nie mogąc nic znaleźć, przedłużał tylko trudne położenie. W końcu też począł ich żegnać tak niespodzianie i nienaturalnie, jak człowiek, który traci głowę.

Lecz w ostatniej chwili postanowił nagle inaczej. Ta jakaś komedia wydała mu się nieznośną. Miał jej dosyć! Przyszło mu do głowy, że właśnie nie powinien robić z niczego tajemnicy i że w tem unikaniu każdej wzmianki o nieszczęściu, jest coś nędznego. Na twarzy jego znać było przymus i mękę, lecz, zatrzymawszy się, począł mówić przerywanym głosem, tracąc co chwila oddech:

— Moi panowie... Przepraszam, że was jeszcze zatrzymuję... Ale panowie wiecie, zem się rozstał z żoną... Nie widzę powodu, dla którego nie miał-bym o tem mówić, zwłaszcza z ludźmi, tak uczciwymi i blizkimi... Oświadczam więc panom, że to było... że stało się tak... to jest... to jest, że to ja sobie życzyłem i że żonie mojej nic...

Lecz głos uwiązał mu w gardle i nie mógł mówić dalej. Widocznie chciał wziąć winę na siebie, ale nagle uczuł całe nieprawdopodobieństwo, cały bezmiar i całą rozpaczliwą czczość tego kłamstwa, które musiałoby być tak pustym dźwiękiem słów, że nawet, ni poczucie jakiegoś obowiązku, ni żadne względy światowe nie mogły go usprawiedliwić.

I straciwszy do reszty głowę, odszedł w mękę, razem ze swemi winogronami i ze swem nieszczęściem—bez dna!

A Swirski i Połaniecki szli przez jakiś czas pod wrażeniem tego nieszczęścia—w milczeniu.

— Dalibóg—rzekł wreszcie Połaniecki—serce się kraje.

A malarz odrzekł:

— Takiemu chyba śmierci życzyć.

— I przecie ten na podobny los nie zasłużył.

— On?—rzekł Swirski.—Daję panu słowo, ilekroć go sobie przypominam, tylekroć widzę go, całującego jej ręce. Czynił to tak ciągle, że inaczej nie umiem go sobie wyobrazić...

Po chwili zaś dodał:

— I, co mnie jeszcze zastanawia, to, że nieszczęście przecina stosunki ludzkie, podobnie, jak śmierć, a jeśli nie przecina zupełnie, to rozluźnia. Wy się niedawno znacie, ale ja, na przykład, żyłem z nim blisko, a teraz on mi jakiś dalszy i ja mu bardziej obcy. I niema rady, a to takie smutne!

— Smutne i dziwne...

Lecz Swirski stanął nagle i zawołał:

— Wie pan co?—niech-że tę panią Osnowską piorun zapali.—Panua Helena mówiła, że o człowieku nie wolno wątpić, póki żyje, ale tę niech piorun trzaśnie.

A Połaniecki odrzekł:

— Nie było może w świecie kobiety, więcej ubóstwianej, niż ona.



— Ot, masz pan—rzekł zapalczywie Swirski.—Kobiety, panie, biorąc wogóle...

Lecz nagle uderzył się rękawiczką po ustach.

— Nie!—zawołał.—Do dyabła ze starym nalogiem! Dałem sobie słowo nie robić żadnych ogólnych wywodów o kobietach.

— Ja wspomniałem dlatego, iż on ją tak ubóstwiał—rzekł Połaniecki—że teraz po prostu nie rozumiem, jak on potrafi żyć bez niej.

— A musi!—zakończył Swirski.

Osnowski zaś rzeczywiście musiał, a nie umiał. W Przytułowie i w Warszawie, gdzie pełno było wspomnień o niej, życie stało mu się wkrótce niemożliwym, więc w miesiąc później wybrał się w podróż. Lecz, wyjechawszy niezdrów już z Warszawy, zaziębił się w zbyt ogrzany wagonie—i w Wiedniu zapadł tak ciężko, iż musiał się położyć. Zaziębienie, które poczytano z początku za influencję, zmieniło się w gwałtowny tyfus. Po kilku dniach chory stracił przytomność i leżał w hotelu na łasce obcych lekarzy i obcych ludzi, daleko od domu i swoich. Lecz potem, w gorączce, która zwarzyła mu mózg i pomieszała zmysły, zdawało mu się, że widzi koło siebie jakąś twarz—najdroższą w życiu,—kochaną zawsze,—kochaną w osamotnieniu, kochaną w chorobie i wobec śmierci. Zdawało mu się to nawet i wówczas, gdy już odzyskał przytomność, lecz tak był osłabiony, że nie mógł jeszcze ni poruszyć się, ni mówić, ni nawet zładzić swych myśli.

Później widzenie znikło.

Ale on począł o nie wypytywać siostr miłosierdzia, które, niewiadomo kto przysłał, a które otaczały go teraz najtroskliwszą opieką—i począł tęsknić bez miary.

## XLVIII.

Po uroczystości chrzcin i po wyjeździe Swirskiego i Zawilowskiego, Połanieccy zaczęli znowu żyć życiem zanikniętem i domowem, nie widując niemal nikogo, prócz Bigielów, pani Emilii i profesora Waskowskiego. Ale dobrze im było w tem ciasnem kółku blizkich przyjaciół, a najlepiej ze sobą. Połaniecki był w tych czasach mocno zajęty; przesiadywał w biurze i dużo za biurem, załatwiając jakieś sprawy, o których nikomu nie wspominał. Lecz po ukończonej robocie przybiegał teraz do domu z większą jeszcze skwapliwością, niż wówczas, gdy, jako narzeczoną, latał każdego dnia do mieszkania Pławickich. Wróciła mu dawna żywość, dawny humor i dawne zaufanie do życia. Niebawem też uczynił odkrycie, które jemu samemu wydało się dziwnem: oto, że nie tylko żonę kocha z całych sił, jak żonę i najbliższą gło-

wę, ale, że kocha się w niej, jako w kobiecie, wprawdzie bez niepokoju i targaniny, bez przeskoków od radości do rozpacz i zwątpień, ale ze wszelkimi wzruszeniami szczerego uczucia, z całym mrowiem pragnień, z wiecznie jednaką, świeżą wrażliwością na jej kobiece uroki i z nieustającym baczeniem, które czuwa, przewiduje, jedna, uprzedza chęci i ustawicznie zabiega, by szczęścia nie zrazić i nie utracić. „Zmieniam się w Osnowskiego,—mówił sobie wesoło: ale mnie jednemu wolno być Osnowskim, dlatego, że „moja mała” nigdy nie zostanie Osnowską!” Często też mówił teraz do niej: „moja mała”, ale było w tem tyle czci, ile pieszczoty. Rozumiał także, że nie był-by jej tak pokochał, gdy-by była inna, że to wszystko jest dzieło jej ogromnej dobrej woli i tej jakiejś dziwnej prawości, która biła od niej tak naturalnie, jak ciepło bije od ogniska. Połaniecki wiedział, że jego rozum był sprężystszy, myślenie rozleglejsze i wiedza głębsza, niż wiedza jej, a jednak czuł, że przez nią—i jedynie przez nią—wszystko to, co było w nim, stawało się jakoś bardziej wykończony i szlachetniejszy. Przez jej również wpływ, te wszystkie zdobyte przez niego zasady przechodziły z jego głowy, gdzie były martwą teorią, do jego serca, gdzie stawały się życiem. Pomiarkował, że nie tylko szczęście, ale on sam jest poniekąd jej dziełem. Było w tem nawet trochę rozczarowania do siebie, widział bowiem teraz bez żadnej wątpliwości, że gdyby był dostał byle jaką kobietę, to i sam mógł-by być wyjść na byle kogo. Czasem dziwił się nawet, jak ona mogła go pokochać—przypominał sobie jednak wtedy jej wyrażenie: „służba boża”—i to tłómaczyło mu wszystko. Dla takiej kobiety małżeństwo było także „służbą bożą”, a zatem i miłość, nie jakąś dziką siłą, leżącą po-za wolą ludzką, ale właśnie—aktem dobrej woli, służbą przysiędze, służbą bożemu prawu, służbą obowiązkom.—Marynia kochała go dlatego, że był jej mężem. Taka była —i skończyło się! Połaniecki długi czas nie mógł pomiarkować, że to wszystko, co w niej tak uwielbiał, nakazuje poprostu pierwszy lepszy katechizm, a w niej wychowanie nie zabiło katechizmu. Być może, że nie chowano jej dość starannie—nauczono ją jednak, że ma służyć Bogu, nie posługiwać się Bogiem.

Lecz Połaniecki, nie rozumiejąc dobrze powodów, dlaczego ona taka jest, jak jest, coraz bardziej ją podziwiał, czcił i kochał. Co do niej, biorąc rzeczy bez przesady, nie wpadała w zbytne o sobie rozumienie; pojmowała jednak, że nie było zawsze tak dobrze, jak dziś, że przeszła przez pewne próby, że postępowała w czasie owych prób pocziwie, że je przetrwała z cierpliwością, i że Pan Bóg ją za to wynagrodził. I poczucie to napełniało ją pogodą. Zdrowie jej wróciło zupełnie. Czula się przytem bardzo ładną i bardzo kochaną. Ów „Stach”, którego się dawniej trochę bała, pochylał teraz często swoją ciemną

czuprynę do jej kolan, niemal z pokorą, a ona myślała z radością: że „ten pan wcale nie jest z natury pokorny, a jeśli tak robi, to dlatego, że *okropnie* kocha!” I aż rosła! Codzień zbierało się w niej więcej wdzięczności i płaciła mu za tę miłość całym sercem.

Młody „Aryjczyk” spełniał też przednio swoją rolę promyka w domu. Czasem wprawdzie bywał to promyk wrzaskliwy, natomiast gdy był w dobrym humorze i gdy, leżąc w ulubionej pozycji, z nogami podniesionymi pod kątem prostym, poczynął wydobywać z siebie okrzyki zadowolenia, cała męska i żeńska ludność w domu zgromadzała się koło jego łóžeczka. Marynia przykrywała mu nogi, nazywając go „brzydkim chłopcem”, on zaś skopywał co chwila kołderkę, uważając widocznie, że człowiek z charakterem, skoro raz postanowił wierzczać, powinien w przedsięwzięciu dzielnie wytrwać. Śniał się też przytem, ukazując swoje malutkie bezzębne dziąsła, pokrzykując, ćwierkając jak wróbel, gruchając jak gołąb, miauczając jak kot, lub piszcząc jak uistiti. Niania i matka rozmawiały z nim teraz po całych godzinach, profesor Waskowski zaś, który całkiem stracił dla niego głowę, utrzymywał z całą powagą, że to jest „mowa ezoteryczna”, która powinna być przez uczonych fonografowana, albowiem mogła-by albo zupełnie odsonić tajemnice bytu astralnego, albo przynajmniej dostarczyć co do niego walnych wskazówek.

I w ten sposób sływały zimowe miesiące w domu Połanieckich. W lutym sam Połaniecki zaczął wyjeżdżać za jakimiś interesami, a po każdym powrocie odbywać długie narady z Bigielem. Ale od połowy lutego siedział stale w domu, nie wychodząc nigdzie, tylko do biura, albo wyjeżdżając czasem z Marynią i Stasiem na krótkie przejażdżki powozem. Jednostajność życia, a raczej jednostajność pogody i szczęścia przerywały tylko wiadomości z miasta o znajomych, które najczęściej przynosiła pani Bigielowa. W ten sposób Marynia dowiedziała się, że panna Ratkowska, która w ostatnich czasach nie pokazywała się nigdzie, założyła z dochodu zapewnionego jej przez pannę Helenę ochronkę dla dzieci, a następnie, że pan Osnowski wyjechał rzeczywiście do Egiptu, ale nie sam, tylko ze swoją „Anetką”, z którą po przyjeździe do zdrowia ostatecznie się połączył. Pan Kresowski, dawny sekundant Maszki, widział ich nawet w Tryeście, i opowiadał ironicznie Połanieckiemu, że „pani ma minę kornej pokutnicy.” Ale Połaniecki, wiedząc z doświadczenia, jak człowiek kruszeje w nieszczęściu i ile może być szczeroci w pokucie, odpowiedział zupełnie poważnie, że skoro panią Osnowską mąż przyjął, to żaden porządny człowiek nie ma prawa być surowszym od niego.

Ale później przysła z Włoch wieść jeszcze dziwniejsza i tak niesłychana, że stała się przedmiotem rozmów nietylko Połanieckich i Bi-

gielów, lecz i całego miasta, mianowicie, że malarz Swirski oświadczył się w Rzymie o rękę panny Castelli i że ślub ich ma się odbyć zaraz po Wielkanocy. Marynia była tem tak poruszona, że namówiła męża, aby do Swirskiego napisał i zapytał się, czy to prawda. Odpowiedź przyszła po upływie dni dziesięciu i, gdy Połaniecki wszedł nareszcie do pokoju żony, trzymając za róg koperty i ze słowami: „list z Rzymu!” — poważna pani Połaniecka przybiegła z czerwonymi od ciekawości uszkami — poczem, z skronią przy skroni, czytali co następuje:

„Czy to prawda? — Nie, drodzy państwo — nieprawda! Ale żebyście zrozumieli dlaczego nie mogło się to stać i nie stanie się nigdy, muszę wam mówić o Zawilowskim. Przyjechał tu przed trzema dniami, poprzednio namówiłem go, by został we Florencyi, a potem zobaczył Sienę, Parmę a zwłaszcza Rawennę. Stąd wyprawiam go do Aten i jutro wyjeżdża via Brindisi. Tymczasem przesiadywał u mnie od rana do wieczora, ja zaś widziałem, że mu coś dolega, i chcąc naprowadzić rozmowę na rzeczy, które go najbliżej obchodzą, wczoraj spytałem niebacznie, czy czasem nie ma w tece z pół tuzina raweńskich sonetów. I wiecie co się stało? Z początku pobrał i odpowiedział, że jeszcze nie, ale że wkrótce zacznie pisać — a potem rzucił nagle kapelusz na ziemię i począł szlochać, jak małe dziecko. Nigdy chyba nie widziałem wybuchu podobnej boleści. Poprosto wił mi się w rękach, powtarzając, że zabił swój talent, że już w nim nie niema, że nigdy już nie napisze i że wolał-by był sto razy, żeby panna Helena nie była go odratowała. — Oto co się z nim dzieje, podczas gdy ludzie powtarzają zapewne, że nie pisze, bo ma pieniądze. — I to tak już zostanie. Zabili tego biedaka, zamordowali w nim duszę i talent — zgasiли duży ogień, przy którym mogło-by być ludziom widno i ciepło. I tego — widzicie — ja nie mógłbym zapomnieć. Bóg z panną Castelli! ale nie godziło się wrywać takich piór, by sobie zrobić z nich wachlarz, który się potem wyrzuca przez okno. Tak! tego-bym nie mógł zapomnieć! Mniejsza o to, co tam gadałem w Warszawie, że teraz pozostaje jej tylko szukać księcia Crapulescu, bo nikt inny jej nie weźmie. Na świecie nie brak także i zaślepienców. Co do mnie jednak, nie jestem ani księciem Crapulescu, ani zaślepiencem. Wolno odpuszczać tylko *swoje* własne krzywdy, ale nie cudze, albowiem było-by to zbyt łatwo. I oto wszystko, co w tej kwestyi mogę wam powiedzieć, gdyż resztę sami wiecie. Czekam do roku, a potem powtarzam moją prośbę pannie Ratkowskiej. Zechce mnie, czy odrzuci, niech ją w każdym razie Bóg błogosławi — jest to jednak moje nieodmienne postanowienie.”

— Tak — przerwała Marynia — ale skąd-że się takie wiadomości wzięły?

Lecz w dalszym ciągu listu Swirski dawał właśnie na to odpowiedź.

„Te wszystkie plotki (pisał) mogły powstać z tego powodu, iż widywano mnie dość często z temi paniami. Pamiętacie, że za poprzedniej mej bytności w Rzymie, pani Broniczowa pierwsza do mnie pisała, a następnie, gdym był u nich, panna Castelli, zamiast szukać wykrętów, sama oskarżyła się przede mną. Wyznaję, że mnie to ujęło. Niech co chcą mówią, jest jednak w otwartem wyznaniu winy jakieś rozbudzenie się uczciwości, jakaś odwaga, jakiś zwrot, jakiś jęk żalu, który, jeśli nie odkupuje winy, to przynajmniej może odkupić duszę. I wiercie mi, że w tem, co mówię, tkwi coś więcej, niż moje maślane serce. Pomyślcie także, że im się naprawdę źle dzieje. Małoż-to razy widziałem, z jakim one wahaniami zbliżają się do ludzi i jak ich przyjmują ci, którzy mają odwagę swych zasad. Zebrało się w nich tyle goryczy, że, jak słusznie przepowiadał niegdyś Waskowski, same poczynają się na siebie rozgoryczać. To jest straszne położenie, w którym należy się jeszcze niby do świata, a dźwiga się już brzemień głośniejszej awantury. Bóg z nimi! Dużo-by o tem pisać, ale ja pamiętam teraz zawsze, co powiedziała panna Helena: że o człowieku nie wolno wątpić póki żyje. Ta biedna Lineta zmieniła się ze zgrzyoty, schudła i zbrzydła, a mnie tem bardziej jej żal. Żal mi nawet i pani Broniczowej, która wprawdzie wyklamuje ludziom dziury w uszach, czyni to jednak z przywiązania do tej dziewczyny. Sam przecie dopiero co powiedziałem, że tylko własne krzywdy wolno odpuszczać, ale byłby człowiek chyba jakimś gorylem, nie chrześcianinem, gdyby nie odczuł trochę litości nad ludzką biedą. Czy teraz, gdym świeżo zobaczył rozpacz Ignasia, będę miał jeszcze serce pójść do nich — nie wiem — nie żałuję jednak, że bywałem. Ludzie pogadają i przestaną, a za jaki rok, — jeśli Bóg da doczekać mnie i tamtej słodkiej dziewczynie — poznają, że gadali głupstwa.”

List kończył się wzmianką o Osnowskich, o których połączeniu Swirski już wiedział i słyszał nawet rozmaite szczegóły, niezauwane Połanieckim.

„Ja myślę (mówił), że Bóg jest mocniejszy, niż ludzka przewrotność a zarazem bajecznie miłosierny, i że czasem pozwala dlatego nieszczęściu bić w człowieka jak młotem, żeby z niego jakąś po-

czciwszą iskrę wykrzesać. Ja teraz wierzę nawet w odrodzenie się takiej Osnowskiej. Może to jest naiwne, ale chwilami przypuszczam, że całkiem złych ludzi niema na świecie. Patrzcie, że jednak coś zadrgało i w takiej pani Anecie i że go pilnowała w chorobie. Oj te kobiety! Tak mi już przewróciły w głowie, że wkrótce nie będę miał zdania, nietylko o nich, ale o niczem."

Dalej były zapytania o Stasia i serdeczne słowa dla jego życiodawców, a nakoniec obietnica powrotu w pierwszych dniach wiosny.

### XLIX.

A wiosna rzeczywiście szła i w dodatku czyniła się zarówno ciepła, jak wczesna. Połaniecki w końcu marca i na początku kwietnia począł znowu wyjeżdżać i spędzać czasem po kilka dni za domem. Obadwaj z Bigielem byli tak zajęci, że niekiedy do późnego wieczora siedzieli w biurze. Pani Bigielowa przypuszczała, że muszą coś przedsiębrać na wielką skalę, dziwiło ją to jednak, że mąż, który zawsze mówił z nią o wszystkich interesach i niemal myślał przy niej głośno, a nawet często się jej radził, tym razem milczał jak zakłęty. Marynia zauważyła również, że Stach na zaprzątniętą głowę w niezwykle sposób. Tkliwszy był dla niej niż kiedykolwiek, ale jej się zdawało, że nawet w tej jego tkliwości, jak również w każdej rozmowie i w każdej pieśczoście, jest jakaś trzecia, inna myśl, która go zajmuje tak całkowicie, że ani na chwilę nie może się od niej oderwać. I ten stan jakowegoś roztargnienia powiększał się z każdym dniem, a z nadejściem maja przeszedł w coś gorączkowego. Marynia poczęła się teraz wahać, czy nie zapytać męża, co mu jest. Bała się trochę być natrętną, ale chodziło jej również i o to, by nie pomyślał, że ją jego sprawy zbyt mało obchodzą. W tej niepewności postanowiła czekać na sposobną chwilę, mając nadzieję, że on sam zacznie mówić o swoich zajęciach, choć zdaleka.

Jakoż, wkrótce potem, zdawało jej się pewnego dnia, że stosowna chwila nadeszła. Połaniecki wrócił tym razem wcześniej z biura i wrócił z twarzą tak jakoś dziwnie rozpromienioną, choć poważną, że, spojrzawszy mu w oczy, prawie mimowolnie spytała:

— Coś ci się musiało zdarzyć pomyślnego, Stachu?

On zaś siadł przy niej, i zamiast odpowiedzieć wprost, począł mówić jakimś trochę dziwnym głosem:

— Patrz, jaka pogoda i jak ciepło. Można-by już okna otwierać. Wiesz, o czym ja ciągle myślałem w ostatnich czasach? — że i dla twojego zdrowia, i dla Stasia, trzeba nam wcześniej z miasta wyjechać.

A Marynia rzekła:

— Jeśli Buczynek nie najęty?...

— Buczynek sprzedany — odpowiedział Polaniecki.

A następnie, wzięwszy jej obie ręce i patrząc jej w oczy z ogromną miłością, począł mówić:

— Słuchaj, moje drogie stworzenie: ja mam ci coś powiedzieć — i coś, co powinno cię ucieszyć — ale przyrzec mi, że się nadto nie wzruszysz?

— Dobrze. Co, Stachu?

— Widzisz, dziecinko, — Maszko uciekł za granicę, bo miał więcej długów, niż majątku. Wierzycciele rzucili się na wszystko, co po nim zostało, by choć cośkolwiek odzyskać. Poszło to na licytację Towarzystwa. Magierówka została rozparcelowana i przepadła, ale Krzemień, Skoki i Suchocin były do uratowania — więc — tylko się nie wzruszaj, kochanie — więc — ja to dla ciebie kupiłem.

Marynia patrzyła na niego czas jakiś, mrugając oczyma i jakby uszom nie wierząc. Ale nie! Sam był tak wzruszony, że nie mógł żartować. — Oczy zaćmiły się jej łzami, i nagle zarzuciła mu obie ręce na szyję.

— Stachu!!

I w tej chwili nie mogła się zdobyć na inne słowa, ale w tym jednym okrzyku było i podziękowanie, i wielka miłość, i kobiece uwielbienie dla dzielności tego człowieka, który wszystkiego potrafił dokazać. Polaniecki zaś zrozumiał to i w poczuciu tak ogromnego szczęścia, jakiego nigdy dotąd nie doznał, począł mówić, trzymając ją ciągle przy piersiach:

— Ja wiedziałem, że cię to ucieszy, a Bóg jeden wie, że i dla mnie niema większej uciechy, jak twoja radość. Pamiętałem, żeś żałowała Krzemienia, i że to była krzywda dla ciebie — a że można ją było naprawić, więcem naprawił... Ale to nic! Gdybym ci dziesięć takich Krzemieni kupił, jeszcze-bym ci się nie wypłacił za to dobro, któreś mi wyrządziła, i jeszcze-bym ciebie nie był wart.

I mówił szczerze, lecz Marynia oderwała głowę od jego ramienia i, podnosząc na niego oczy, zarazem mokre i jasne, rzekła:

— To ja ciebie nie jestem warta, Stachu! i nawet nie spodziewałam się, że będę taka szczęśliwa!

Poczęli się więc sprzeczać, kto więcej wart, ale były w tej sprzeczce częste milczące przerwy, albowiem Marynia, co chwila obejmując go, podsuwała mu swoje śliczne, nieco za szerokie usta, a on wpijał się

w nie, a następnie całował naprzemian jej oczy i ręce. Przez długi jeszcze czas chciało jej się to śmiać, to płakać z radości, gdyż rzeczywistość szczęście jej przeszło wszystko, czego się kiedykolwiek spodziewała. Oto matka napisała jej niegdyś słabnącą już ręką: „nie dlatego powinno się wychodzić za męża, by być szczęśliwą, ale dlatego, by spełnić obowiązki, jakie Bóg wówczas nakłada, a szczęście, to tylko przydatek i podarek boży.” — Tymczasem tego przydatku było teraz więcej, niż się mogło w sercu pomieścić. Były próby, były chwile i smutku, i nawet zwątpienia, ale to wszystko przeszło — i wreszcie ten „Stach” nie tylko ją pokochał, jak żenicę własnego oka, ale spełnił więcej, niż kiedykolwiek przyrzekał.

I w tej chwili oto, chodząc wielkimi krokami po pokoju, wzruszony jeszcze, ale rad z siebie i z wyrazem pełnej chępliwości na swojej czarniawej, zawadyackiej twarzy — mówił:

— Cóż Maryś! Teraz się dopiero zaczniesz robotą! — co? Bo ja o gospodarstwie nie mam najmniejszego pojęcia, i to będzie twoja rzecz. Ale myślę, że administrator będzie ze mnie niezgorszy! Będziem oboje pracowali, bo to duża rzecz, ten Krzemień.

Ona zaś odrzekła, składając ręce:

— Mój Stachu złoty! ja wiem, że tyś to dla mnie zrobił. Ale czy aby to tobie nie zaszkodzi w interesach?

— W interesach? Myślisz może, że ja się dałem obedrzeć. — Ale gdzie tam! Tanio kupilem! bardzo tanio! Bigiel, który się wszystkiego boi, przyznaje jednak, że to dobry interes. Zresztą zostaję dalej w spółce... Ty się tylko, Maryś, nie bój biedy na Krzemieniu, ani dawnych kłopotów. Będzie za co gospodarować — i powiem ci szczerze, że gdyby się dziś cały Krzemień w ziemię zapadł, jeszczebyśmy mieli z czego żyć, razem ze Stasiem.

— Ja — rzekła Marynia, patrząc na niego tak, jak mniej więcej patrzyła-by na Napoleona, lub innego, podobnej miary, zdobywcę — jestem pewna, że ty potrafisz wszystko, co zechcesz, ale wiem, że to tylko dla mnie kupiłeś Krzemień.

— A spodziewam się! — odpowiedział Połaniecki. — Dlatego, że tam leży twoja matka, dlatego, że ciebie kocham, i dlatego, że ty kochałaś Krzemień. Ale swoją drogą, tyś mnie nawróciła do ziemi. Przypomniałem sobie, coś mówiła w Wenecyi, gdy Maszko chciał sprzedać Krzemień Bukackiemu. Nie masz pojęcia, jak ja jestem pod twoim wpływem. Czasem coś powiesz, a ja na razie nic! — ale to we mnie zostaje i później się niespodzianie odzywa. Tak było i w tej sprawie. Teraz samemu mi się dziwnym wydaje, żeby mieszkać na tej planecie, niby coś mieć, a nie mieć trzech łokci kwadratowych tej ziemi, o których można-by powiedzieć: „moje!” — To już była rzecz postanowiona,



to kupno. Możesz zauważyła, że od kilku miesięcy kręciłem się, jak mucha w ukropie. Nie chciałem ci tylko nic mówić, póki nie będzie wszystko skończone; wolałem żebyś miała niespodziankę. I masz! To za to, żeś mi zdrowa i taka kochana!

Tu, chwyciwszy jej ręce, począł je znowu przyciskać do ust i do czoła; ona chciała również ucałować jego ręce, ale nie pozwolił na to i wreszcie poczeli biegać za sobą, jak dzieci, po pokoju, mówiąc przytem do siebie słowa dobre i jasne jak promienie. Maryni tak się chciało jechać zaraz do Krzemienia i tak nie mogła myśleć o czem innym że on w końcu zagroził jej, że stanie się zazdrosny o Krzemień i że go sprzeda.

— Oj! nie sprzedasz! — odrzekła, kręcąc głową.

— Bo co?

Ona zaś, wspiąwszy mu się do ucha, szepnęła:

— Bo kochasz.

A on począł kiwać głową na znak, że tak!

Umówili się jednak, ku wielkiej radości Maryni, że w końcu tygodnia pojedą całym domem do Krzemienia, co było zresztą zupełnie możebne, gdyż Połaniecki urządził dom tak, aby był całkiem gotowy na przyjęcie „dziedziczki.” Zapewnił też ją, że prawie nic nie zmienił — i że starał się tylko, by pokoje nie trąciły zbyt pustką.

Nagle począł się śmiać.

— Ale! — rzekł — ciekawym, co też papa na to powie?

Przypuszczalne zdziwienie „papy” było nowym powodem radości dla Maryni. Nie trzeba było zresztą długo na pana Pławickiego czekać, gdyż po upływie pół godziny przyszedł na obiad. — Ledwo się pokazał, Marynia, rzuciwszy mu się na ramiona, wypowiedziała jednym tchem szczęśliwą nowinę — a on istotnie i zdumiał się nadzwyczajnie, — i nawet wzruszył. Może odczuł szczęście córki, może ozwało się w nim znienacka przywiązanie do tego kąta, w którym tyle lat przeżył, dość, że oczy mu zwilgotniały; naprzód wspomniął o swoim pocie, którym ta ziemia była przesiąknięta, potem począł mówić coś o „starcu” i o „przytulku na folwarku”, a wreszcie, ścisnąwszy za głowę Połanieckiego, rzekł:

— Daj ci Boże, przy większem szczęściu, tylko tak dawać sobie rady, jak ja dawałem — i bądź pewien, że ani pomocy, ani wskazówek nigdy ci nie odmówię.

Wieczorem zaś u Bigielów, Marynia, upojona jeszcze szczęściem, mówiła do pani Bigielowej.

— No i powiedz? Jak takiego człowieka nie kochać? powiedz sama!

## L.

Nazajutrz po przybyciu Polanieckich do Krzemienia, wypadła niedziela. Sam Polaniecki wstał późno, gdyż wczorajszego dnia przyjechali po pierwszej w nocy. W Krzemieniu czekała na nich służba z chlebem i solą; potem Marynia, śmiejąc się i płacząc naprzemiennie, oglądała wszystkie kąty w domu, a następnie nie mogła usnąć ze wzruszenia prawie do świtu. Z tych wszystkich przyczyn Polaniecki nie puścił jej z łóżka, ponieważ zaś chciała pojechać na sumę do Wątorów nieco wcześniej, aby pomodlić się przy kościele za matkę, obiecał, że każe zaprządzić i da jej znać, gdy będzie czas. Tymczasem, po śniadaniu, wyszedł trochę popatrzeć na swoje nowe dziedzictwo. Była druga połowa maja i dzień wyjątkowo piękny. W nocy padał deszcz, a teraz słońce przeglądało się w małych kałużach na dziedzińcu i przy zabudowaniach folwarcznych, łamało się w brylantowe połyski w kroplach zawieszonych na liściach i rozświecało mokre dachy stodół, obór i owczarni. W tych blaskach i w jasnej majowej zieleni drzew, Krzemień przedstawiał się wcale ponętnie. Wśród zabudowań folwarcznych nie było z powodu niedzieli prawie żadnego ruchu, tylko przy stajni kręciło się kilku fernali, którzy mieli jechać do kościoła. Polanieckiego dziwnie uderzyła ta cisza i to uśpienie. Przed niedawnym czasem, zamierzwszy kupić Krzemień, był w nim kilkakrotnie i wiedział, że jest to majątek opuszczony. Maszko począł wprawdzie wznosić śpichlerz, kryty czerwoną dachówką, ale go nie skończył. Sam nie mieszkał tu nigdy, i w końcu nie mógł nic w majątek wkładać — więc opuszczenie widne było na każdym kroku. Ale nigdy nie przedstawiło się ono Polanieckiemu tak wyraźnie, jak teraz, gdy już mógł sobie powiedzieć: „to mój!”—Budynki były jakieś krzywe; ściany w nich niezbyt szczelne, płoty krzywe i rozgrodzone; pod ścianami wały się szczątki rozmaitych połamanych sprzętów gospodarskich; wszędy ziemia zdawała się chcieć wciągnąć w siebie to, co na niej stało, wszędy widoczne było jakieś bierne pozostawienie rzeczy samym sobie, wszędy widoczna niedbałość. Polaniecki o gospodarstwie wiedział tylko tyle, że trzeba być ostrożnym z wkładami — zresztą, prócz jakichś ogólnych wiadomości, które mu się obily o uszy jeszcze za lat dziecinnych, nie miał o niem najmniejszego pojęcia. Jednakże, spoglądając na swoje królestwo, domyślił się, że i pola muszą być uprawne w prostym stosunku do tego niedbalstwa, które naokół widział; miał wyraźne poczucie, że jeśli tu się coś robiło, to raczej ze zwyczaju, z rutyny, jakby dlatego tylko, że coś się robiło lat temu dziesięć, dwadzieścia i sto. Tego natężenia, tej nieustającej czujnej energii, która jest podstawą handlu, przemysłu

i wogóle spraw miejskich, nie było tu ani śladu. „Gdybym nic więcej nie przyniósł do tej martwoty—myślał Połaniecki—to już-by było bardzo wiele, bo tu tego bezwzględny brak. A ja mam prócz tego pieniądze i przynajmniej tyle rozumu, że naprzód wiem, że nic nie wiem, a powtóre wiem, że się trzeba uczyć i pytać.” Pamiętał jeszcze ze swoich czasów belgijskich, że nawet tam, w Belgii, dusza ludzka i napięcie woli więcej znaczyło od najpotężniejszych maszyn. A pod tym względem liczył na siebie—i mógł liczyć. — Czuł się człowiekiem uporczywym i sprężystym. Wszystko, co dotąd brał w ręce, musiało iść, czy chciało, czy nie chciało. Czuł prócz tego, że w interesach ma głowę nie fantastyczną, ale ściśle rachunkową, i dzięki temu poczuciu nie tylko nie stracił otuchy na widok opuszczenia, które przed sobą widział, ale znalazł w niem coś nakształt bodźca. Ta martwota, to zaniedbanie, ta inercya i ta senność zdawały się go wyzywać, a on, wodząc naokół oczyma, mówił im niemal z uciechą: „to dobrze! to się spróbujemy!” I było mu nawet pilno do tej próby.

Te pierwsze oględziny i rozmyślenia nie popsuly mu humoru, ale zabrały sporo czasu. Spojrzawszy na zegarek, spostrzegł, że jeśli chcą być przed sumą w Wątorach, to zaraz czas jechać; kazawszy więc zaprzęgać, wrócił śpiesznie do domu i zapukał do drzwi Maryni:

— Pani dziedzieczko! — rzekł — „służba boża!”

— Można! można!—ozwał się przeze drzwi wesoły głos Maryni— jam już gotowa.

Połaniecki wszedł i ujrzał ją w jasnej wiosennej sukni, podobnej do tej, w jakiej ją widział za pierwszej bytności w Krzemieniu. Ubrała się tak umyślnie, on zaś, ku wielkiemu jej zadowoleniu, zrozumiał jej intencję, albowiem zawołał, wyciągnawszy do niej rękę:

— Panna Pławicka!

A ona, zbliżywszy się, oparła, jakby zawstydzona, swój różowy nosek o jego policzek i ręką ukazała na łóżeczko, w którym spał Staś.

Poczem wraz z papą Pławickim pojechali do kościoła. Dzień był wiosenny, jasny, pełen ciepłych tchnień i radości. W zagajnikach odzywały się kukułki, a na łąkach widać było brodzące bociany. Wzdłuż drogi dudki i sroki przelatywały przed powozem z drzewa na drzewo. Od czasu do czasu zrywał się powiew i leciał po runi, jak po fali, pochylając źdźbła traw i tworząc chybkie cienie na zieleni pól. Naokół pachniało ziemią, trawą i wiosną. Oboje Połanieckich ogarnął rój wspomnień. W niej odzywała się, przytępiona już nieco życiem miejskiem, miłość do ziemi i do wsi, do lasów, do zielonych grudzi, do grusz na polach, do zwężających się w oddaleniu zagonów, do szerokich powietrznych przestworów i do tej, daleko rozleglejszej niż w mieście, przestrzeni nieba. Wszystko to napełniało ją nawpół uświadomioną,

ale graniczącą z upojeniem, rozkoszą. Połaniecki zaś wspominał, jak niegdyś jechał tak samo z panem Pławickim do kościoła i jak tak samo dudki i sroki przelatowały przed nimi z drzewa na drzewo. Tylko teraz czuł przy sobie to różowe stworzenie, które wówczas po raz pierwszy zobaczył, tę dawną pannę Marynię Pławicką. W jednej chwili uprzytomnił sobie w myśli wszystko, co między nimi było: i pierwszą znajomość, i ów czar, jakim go opętała, i dalsze nieporozumienia, i ten dziwny udział, jaki w ich życiu wzięła Litka, i ślub, i późniejsze pożycie, i wahania się szczęścia, i zmiany, jakie pod wpływem tej jasnej duszy w nim zaszły, i dzisiejsze wypogodzenie się życia. Miał zarazem błogie poczucie, że zło przeszło, że znalazł więcej, niż marzył, i że obecnie mogą wprawdzie przyjść na niego wszelkiego rodzaju nieszczęścia, ale pod względem stosunku z nią życie stało się już raz na zawsze pogodne, ogromnie cne, jednoznaczne niemal ze „służbą bożą”, i o tyle słoneczniejsze, niż dawne, o ile ten widnokrąg, który ich otaczał, słoneczniejszy był od miejskiego. Na tę myśl serce zalewało mu szczęście i miłość dla niej. Przyjechawszy do Wątorów, odmawiał „wieczny odpoczynek” za duszę tej matki, której zawdzięczał taką żonę, z niemniejszą gorliwością, niż sama Marynia. Zdawało mu się, że kocha ten proch, pochowany pod kościołem, takim samem synowskiem uczuciem, jak prochy własnej matki.

Lecz tymczasem zadzwoniono na sumę. W kościele znów dawne wspomnienia poczęły się Połanieckiemu cisnąć do myśli. Wszystko, co go otaczało, było takie jakies zuane, iż chwilami miał złudzenie, że był tu wczoraj. W nawie tak samo pełno było szarych głów chłopskich i zapachu tataraku; ten sam ksiądz celebrował przy ołtarzu, te same gałęzie brzozy, poruszone wiatrem, bily od zewnątrz w okno — i Połaniecki znów tak samo myślał, że wszystko mija, — mija życie, mijają bóle, nadzieje, porywy, mijają kierunki myśli i całe systemy filozofii — a msza po staremu się odprawia, jakby w niej jednej była wieczysta niepożytość. Nową postacią w starym obrazie była tylko Marynia. Połaniecki, spoglądając chwilami na jej spokojną twarz i podniesione ku ołtarzowi oczy, odgadywał, że się modli całą duszą za przyszłe ich życie na wsi, więc dostrajał się do niej i modlił się z nią razem.

Lecz po mszy, na dziedzińcu kościelnym otoczyli ich sąsiedzi, dawni znajomi pana Pławickiego i Maryni. Pan Pławicki jednak napróżno oglądał się za panią Jamiszową, albowiem od kilku dni bawiła w mieście. Natomiast radca Jamisz, wyleczony zupełnie z kataru żołądka, zatem zdrow i odmłodzony, wpadł na widok Maryni w prawdziwy zapał:

— Jest moja pupilka! — wołał, całując jej ręce — jest moja gospo-  
sia! jest „złota Marynia!” Aha! wróciły ptaki do starego gniazda. A ja-

kie to zawsze ładnel dalibóg istna panienka, czysty podłotek, a przecie wiem, że jest chłopak na świecie!

Marynia czerwienila się z zadowolenia, lecz w tej chwili zbliżyli się państwo Zazimscy ze swoim sześciorgiem dzieci, a wraz z nimi i pan Gątowski, vulgo „Niedźwiadek”, dawny nieszczęśliwy konkurent Maryni i niedoszły zabójca Maszki. Pan Gątowski zbliżył się niezgrabnie i z pewnem zmieszaniem, jakby olśniony Maryniną urodą i zdjęty żalem po szczęściu, które go ominęło. Jakoż i Marynia przywitała go z pewnem komicznem zakłopotaniem, natomiast Połaniecki wyciągnął do niego przyjaźnie rękę ze wspaniałomyślnością tryumfatora, i rzekł:

— Ot, i ja tu znajduję znajomych jeszcze z lat dziecinnych. Jak się pan ma?

— Po staremu — odpowiedział pan Gątowski.

A pan Jamisz, który był w wybornym humorze, rzekł, spoglądając przekornie na młodego człowieka.

— Ma kłopoty z uregulowaniem serwitutów.

Pan Gątowski zmieszał się jeszcze bardziej, gdyż cała okolica mówiła o tych kłopotach. Od lat kilku biedaczysko ledwie dyszał na swoim Jałbrzykowie. Uregulowanie serwitutów i sprzedaż lasu mogły go jeszcze wyprowadzić na równą drogę, cóż, kiedy w poprzek wszelkim, nieraz już blizkim zawarcią, układom, stawał wieczny jednaki zarzut ze strony jałbrzykowskich współsasiadów: „ze pon dziedzic, na biołem koniu jeździ, z pistolców se strzyło i dziewczkom w ślepie pa-trzy.”

Pan Gątowski, jakkolwiek przywykły od młodych lat do rozmaitych wiejskich korowodów, tracił jednak czasami cierpliwość i wołał z prawdziwą rozpaczą:

— No, co to—psia krew! ma jedno do drugiego! A żeby was naj-jaśniejsze pioruny zatrzasył!

Ale po tak przekonywajacem „dictum” rajcy jałbrzykowscy składowali zwykle nową dojrzałą naradę i, po statecznem rozpatrzeniu wszystkich *za* i *przeciw*, oświadczali znów, drapiąc się w potylicę, że wszystko było-by dobrze:

„ino se pon dziedzic, na biołem koniu jeździ, z pistolców se strzyło i dziewczkom... etc.”

Ale tymczasem Marynia, która do pana Jamisza miała takie przywiązanie, jak do człowieka z rodziny, dowiedziawszy się, że jest słomianym wdowcem, zaprosiła go na obiad. Niespodzianie jednak pan Pławicki, zły, że nie znalazł w Wątorach pani radczyni, a zarazem pomny dawnych niedzielnych partyjek z „Gątosiem”, zaprosił i „Gątosia” — wskutek czego Połanieccy wyruszyli naprzód i bardzo śpiesznie, aby Marynia miała czas wydać odpowiednie rozporządzenia. Za nimi

zabrał się pan Pławicki z radcą, Gątowski zaś pociągnął na ostatku na swojej bryczce, zaprzężonej w chudą jałbrzykowską fernalkę.

Po drodze pan Pławicki rzekł do radcy Jamisza:

— Nie mogę powiedzieć!... Córka moja jest szczęśliwa. On jest dobry człowiek i energiczna sztuka, ale...

— Ale co? — zapytał pan Jamisz.

— Ale narwany! Pamiętasz sąsiad, że on mnie tak przycisnął o jakieś marne dwadzieścia tysięcy rubli, że musiałem sprzedać Krzemień. A potem co? Potem odkupił ten sam Krzemień... Gdyby zaś był mnie nie przyciskał, nie potrzebował-by kupować Krzemienia, bo wziął-by go darmo po mojej śmierci za Marynią. Dobry człowiek, ale tu... (i mówiąc to, pan Pławicki stuknął się palcem w czoło) szumi jeszcze! Co prawda, to nie grzech!

— Hm! — odpowiedział radca Jamisz, nie chcąc panu Pławickiemu czynić przykrości uwagą, że gdyby Krzemień pozostał dłużej w jego rękach, toby nic nie pozostało z Krzemienia.

Pan Pławicki zaś westchnął i rzekł:

— A dla mnie na starość nowy trud — bo i teraz wszystko tam musi pójść moją głową.

Pan Jamisz z trudnością powstrzymał okrzyk: „niech-że Bóg bronii!”, znał jednak Połanieckiego o tyle, iż wiedział, że naprawdę nie ma niebezpieczeństwa. Pan Pławicki też sam niebardzo wierzył w to, co mówił, zięcia się trochę bał, i rozumiał dobrze, że teraz właśnie wszystko pójdzie inną głową.

Tak rozmawiając, zajechali przed ganek; Marynia, która już zarządziła, co było potrzeba do obiadu, przyjęła ich ze Stasiem na rękę.

— Chciałam panu przedstawić syna, nim siądziemy do stołu — rzekła — duży syn! ogromny syn! grzeczny syn!

I w takt do tych słów poczęła go hustać w stronę pana Jamisza, pan Jamisz zaś dotknął palcami Stasiowego policzka, na co „grzeczny syn” naprzód skrzywił się, potem uśmiechnął i wydał nagle okrzyk, który dla badaczy „ezoterycznej mowy” mógł mieć zapewne wyjątkowo doniosłe znaczenie, ale dla zwykłego ucha dziwnie przypominał skrzek sroki lub papugi.

Tymczasem nadjechał pan Gątowski i, powiesiwszy okrycie w sieni na kołku, szukał w niem właśnie chustki od nosa, gdy dziwnym wypadkiem Rozulka, niania Stasiowa, znalazła się także w sieni i, zbliżywszy się do pana Gątowskiego, naprzód podjęła go pod nogi, a potem pocałowała w rękę.

— Ano, jak się masz! jak się masz! a co powiesz? — spytał dziecizie Jałbrzykowa.

— Nic! chciałam się ino poklonić — odrzekła pokornie Rozulka.

Pan Gątowski przechylił się nieco w bok i począł szukać czegoś palcami w kieszeni od kamizelki, lecz ona widocznie przyszła się tylko pokłonić dawnemu dziedzicowi, bo, nie czekając na datek, pocałowała go znów w rękę i odeszła cicho do dziecinnego pokoju.

Pan Gątowski zaś ruszył z gęstą miną do reszty towarzystwa, podśpiewując sobie basem:

— Um-dry-dry! Um-dry-dry! Um-dramta-ta!!

Poczem siedli wszyscy do stołu i rozpoczęła się rozmowa o powrocie państwa Połanieckich na wieś. Pan Jamisz, który sam przez się był człek intelligentny, a jako radca, musiał być z urzędu mądry i wymowny, zwrócił się do Połanieckiego i mówił co następuje:

— Pan przychodzisz na wieś bez znajomości gospodarstwa, ale z tem, czego ogółowi naszych ziemian głównie brak, bo ze znajomością administracyi i z kapitałem. Dlatego ufam i jestem pewien, że nie wyjdiesz źle na Krzemieniu. Powrót wasz, to wielka radość dla mnie, nie tylko ze względu na was i na tę moją kochaną uczennicę, ale, że to zarazem dowód na to, co ja zawsze mówię i twierdzę, iż większość nas, starych, musi wyjść z ziemi; synowie jednak nasi, a jeśli nie synowie, to wnuki—wrócą. I wrócą tężsi, bardziej wyrobieni w życiowej walce, z rachunkiem w głowie, z tradycją pracy. Pamiętaj pan, com ci kiedyś mówił, że ziemia ciągnie i że ona jedna jest prawdziwym bogactwem. Pan wówczas mi zaprzeczałeś, a dziś — patrz — jesteś właścicielem Krzemienia.

— To przez nią i dla niej—odpowiedział, wskazując na żonę, Połaniecki.

— Przez nią i dla niej! — powtórzył radca — a myślisz pan, że w mojej teoryi niema miejsca dla kobiet i że ja nie wiem, co one warte? One sercem i sumieniem zgadują, gdzie jest prawdziwy obowiązek, i sercem popychają do niego. A prawdziwy obowiązek, równie jak prawdziwe bogactwo — to ziemia.

Tu pan Jamisz, który, na obraz i podobieństwo wielu radców, miał tę słabość, że się sam lubił słuchać, przymknął oczy, żeby się słyszeć jeszcze lepiej, i mówił dalej:

— Tak! wróciłeś przez żonę! Tak, to jej zasługa! i bogdaj nam się takie kobiety na kamieniu rodziły; ale swoją drogą, wyście wyszli z ziemi i dlatego ziemia was przyciągnęła. My wszyscy powinniśmy się naprawdę pieczętować plugiem! I powiem wam jeszcze, że to nie tylko wrócił pan Stanisław Połaniecki, nie tylko pani Marya Połaniecka — to wróciła Rodzina Połanieckich, bo się w niej odezwał instynkt całych pokoleń, które z gleby wyrosły i których prochy tę glebę użyzniają.

To rzekłszy, pan Jamisz podniósł się — i wzięwszy kieliszek, zawolał:

— W ręce pani Połanieckiej, zdrowie Rodziny Połanieckich!...

— Zdrowie rodziny Połanieckich! — zakrzyknął pan Gątowski, który, mając serce czule na wymowę, gotów był przebaczyć w tej chwili rodzinie Połanieckich wszystkie serdeczne męki, jakie z jej powodu przeszedł.

I wszyscy udali się z kieliszkami do pani Maryni, która dziękowała wzruszona, — Połanieckiemu zaś, gdy się do niej zbliżył, szepnęła:

— Aj, Stachu, jaka ja szczęśliwa.

Lecz gdy całe towarzystwo znalazło się znowu za stołem, papa Pławicki dodał ze swojej strony:

— Trzymać się ziemi do ostatka — oto, co całe życie głosiłem!

— Bo pewno! — potwierdził pan Gątowski.

Ale w duszy pomyślał:

— Żeby tylko nie te psie krwie, korowody!

A w tym-że czasie, w dzieciennym pokoju, Rozuła śpiewała do snu małemu Stasiowi smutną wiejską piosenkę:

„Niesczęśliwe te pokoje,  
Oj, Jasieńku mój!...

Po obiedzie goście poczęli się zabierać, ale pan Pławicki zatrzymał ich na „partyjkę”, tak, że wyjechali dopiero pod zachód. Wówczas Połanieccy, nacieszywszy się naprzód ze Stasiem, wyszli na werendę i dalej do ogrodu, albowiem wieczór czynił się cichy i pogodny. Wszystko, co im przypominało ową pierwszą niedzielę, którą tu spędzili razem, wydawało się im, jak jakiś sen cudny i słodki, a tego rodzaju wspomnień było tu na każdym kroku bez liku. Słońce zuiżalo się tak samo wielkie i promienne, drzewa stały nieporuszone w wieczornej ciszy, czerwieniąc się na czubach od zorzy; z drugiej strony domu klekotały tak samo na gnieździe bociany, — ten sam był nastrój, kojący i nieszporny. Oni poczęli chodzić wszędzie, przebiegać wszystkie aleje, zbliżać się do sztachet, patrzeć na pola ginące w oddaleniu, na ciemne pasma lasów, zamykające widnokrąg, i mówić sobie rzeczy ciche, a zarazem tak spokojne, jak spokojny był ów wieczór. To wszystko, co ich otaczało — to miał być ich świat. Oboje czuli, że ta wieś bierze ich w siebie, że poczyna się zawiązywać jakiś stosunek między nią a nimi, i że odtąd życie musi im spłynąć tu, a nie gdzieindziej — pracowite, oddane „służbie bożej” na roli.

Gdy słońce zaszło, wrócili na werendę, lecz, jak niegdyś, tak i teraz, pozostali jeszcze na niej, by się zupełnego mroku doczekać. Tylko dawniej Marynia trzymała się daleko od Połanieckiego, a teraz przyluliła się całkiem do jego boku i po chwili milczenia rzekła:



— Będzie nam tu ze sobą dobrze, Stachu, — prawda?

A on objął ją mocno, tak, aby ją czuć przy samym sercu, i począł powtarzać:

— Moja kochana! moja bardzo kochana!...

Tymczasem z po-nad spowitych w tumany olszyn podniósł się rumiany księżyc — i żaby w stawach, zwiedziawszy się już widocznie, że wróciła ta panienka, którą niegdyś tak często widywały nad brzegiem, ozwały się wśród wieczornej ciszy jednym wielkim chorem:

— Rade! rade! rade! rade!...

---

I odtąd poczęło się obojgu snuć życie, nie wolne od trosk, ale w którym było jednak więcej miodu, niż piolunu.

Autor zaś nininiejszej książki pił ów miód — mocą wyobraźni.

KONIEC.

HENRYK SIENKIEWICZ.

---

# STULECIE CHEMII.

---

## I.

Cztery pierwiastki (elementy, żywioły) Arystotelesa mieściły w sobie nietylko pojęcie o istotnej materji, lecz i tkwił w nich wyraz stanu fizycznego różnorodnej mnogości ciał widzialnego świata. Stałość (twardość) ziemi, płynność wody, lotność powietrza dostatecznie wyczerpywały poglądy na zewnętrzną postać materji, co tem więcej zasługuje na uwagę wobec faktu, że o gazach ówczesny przyrodnik bynajmniej jasnego nie miał pojęcia. Wiele wieków przetrwały nauki Arystotelesowe i zadawałniały w zupełności umysły, nie przeniknięte jeszcze koniecznością indukcyjnego na świat poglądu, nie pojmujące znaczenia eksperymentu, nie nawykłe do ścisłego ważenia rezultatów swych obserwacji. W odmienniej co prawda szacie, lecz zawsze o tych samych zasadniczych własnościach, powracają pierwiastki Arystotelesa w naukach alchemików, które opanowały średnie wieki, a których odbłyśki nie zagasały jeszcze aż do połowy i końca przeszłego stulecia. „Metal“, „siarka“, „rtęć“, „sól“ alchemików również były ucieleśnieniem pewnych stanów fizycznych: połyску, palności, lotności, stałości; ich „ługi“ i „kwasy“ więcej wyobrażały jakości, niż określone materje, a „duchy“ (spiritus) i „essencey“ łączyły w sobie pojęcia o czemś pierwotniejszym, jeszcze mniej bodaj materjalnem, najsubtelniejszym, wchodzącem w skład ciał przyrody. Usilne prace alchemików, choć z błędnych wychodzące założeń i do fałszywych dążące celów, nie po-

zwalaly im jednak zamykać oczu na przemiany materjalne, którym ulegały ciała w ich tyglach i retortach, i oczywiście zjawiska najja-skrawsze, najefektowniejsze, najwięcej też przykuwały ich uwagę. Palenie się ciał, zjawisko ognia, stanowiło jedną z takich najponętniej-szych zagadek. To też — podobnie jak starożytny myśliciel w ogniu upatrywał coś zgoła odrębnego od innych przejawów natury i uznał go za element osobny — i w rozumowaniach alchemików wciąż powraca pogląd na „pierwiastek“ ognia, w którym mieszają się chaotycznie po-jęcia materjalności i fenomenu, ciała i zjawiska, substancji i prze-miany chemicznej.

Dopiero z początkiem ośmnastego stulecia wśród umysłów zajętych badaniem praw przyrody poczyną torować sobie drogę nauka nowa, która nietylko stara się objaśnić palenie się ciał, lecz i tę nad poprze-dniami hipotezami ma wyższość, że skupia w sobie olbrzymie mnóstwo rozproszonych spostrzeżeń, które pozornie nie wiele mają ze sobą wspólnego. Według teoryi tej, głoszonej przez Stahla, ciała palne, jak np. siarka, węgiel, oleje, zawierają osobliwy pierwiastek, tak zw. flogi-ston, który przeobrazić się jest zdolny w materję ognia, gdy owe ciała zostają wystawione na wysokie temperatury, a powstająca w ten sposób materya ogniowa rozprasza się wraz z płomieniem, ciepłem i światłem. Ciała palne złożone są zatem z flogistonu i większej lub mniejszej ilości innego charakterystycznego składnika, który wydziela się, powstaje z nich wówczas, kiedy flogiston przez palenie uleci.

Wiadomo było oddawna, że i metale pod wpływem ogrzania zmie-niają się na powietrzu. Metale zaś należały do ciał, z którymi chemicy średniowieczni stosunkowo najwięcej mieli do czynienia. Toż one przede-wszystkiem odznaczały się najwybitniejszymi, najznamienniejszymi własnościami, które tak łatwo w oko wpadały; toż przemiany ich, za-chodzące pod wpływem rozmaitych czynników fizycznych i chemicz-nych, największe przedstawiały zaciekawienie, bo kazały mniemać, że łatwo jest jeden metal w drugi zamieniać; toż metal pospolity można było uszlachetniać, z ołowiu otrzymać można było srebro, ze srebra złoto; toż wreszcie tylko przez badanie metalów można było dojść do odszukania owej kwintessencyi wszelkich zabiegów, kamienia filozofcz-nego, którego małe ilości mogły dostarczać obfitych bogactw, złota, a kto wie, może i czegoś od bogactw cenniejszego, bo zdrowia, mło-dości, ba nawet długowieczności!

Na powietrzu pod wpływem ognia zamieniały się metale na t. zw. „ziemie“, gdyż traciły swój połysk metaliczny, a stawały się podobne do części składowych ziemi. Według Stahla zatem, metale są to ciała palne, złożone z „ziemi“ i flogistonu. Utlenianie się metali, czyli tak zwane podówczas „kalcynowanie“ (wapniowanie), w teoryi Stahla łączy

się ściśle ze zjawiskiem palenia się ciał, i to właśnie stanowi poważny krok naprzód w poznawaniu przemian chemicznych. Dojrzano istotną wspólność, zachodzącą pomiędzy paleniem się węgla a tworzeniem się rdzy na żelazie; a jakkolwiek nie zrozumiano jeszcze, jaka wspólna przyczyna obadwa te zjawiska wywołuje, a jakie tylko drobne pomiędzy niemi są różnice, niemniej wszakże poczęto na cały szereg niepowiązanych dotąd z sobą przemian chemicznych spoglądać z jednego wspólnego stanowiska, co było niezbędnym pierwszym krokiem na drodze do poznania istotnych przyczyn. Gdy zaś teorya flogistonu na razie objaśniała wszystko, czego żądać od niej było można, a nie obudziły się jeszcze wątpliwości co do realnych cech samego flogistonu, nie dziwnego, że ogarnęła wszystkich, nie natrafiając na zbyt duże przeszkody.

Fakta nie zdawały się zadawać kłamu teorii flogistonu. Metal ogrzany traci flogiston i zamienia się na „ziemię.“ Aby znów z ziemi pierwotny otrzymać metal, należy więc tylko dodać do niej flogistonu, co oczywiście najlepiej uczynić, ogrzewając „ziemię“ („wapno“) z ciałem we flogiston obfitującym, np. z węglem. Istotnie przez ogrzanie węgla z „wapnem“ odtwarzamy znów z tego ostatniego metal.

Najznakomitsi chemicy i fizycy połowy XVIII wieku przyjęli z zadowoleniem teoryę Stahla. Jedno, tak proste przypuszczenie, mające zresztą za sobą wszelkie pozory najlepiej uzasadnionej prawdy, pozwalało objąć wspólnym węzłem tyle różnorodnych zjawisk, jak palenie się ciał, płomień, ciepło, zmiany metalów na powietrzu, ich regenerowanie z „ziemi“, a nawet oddychanie zwierząt, uważane w istocie za wydalanie przez płuca flogistonu zawartego w organizmie. Niczego więcej od hipotezy wymagać nie można. I zadawałniala ona też całkowicie dopóty, póki coraz więcej uznania nie poczęły sobie pozyskiwać badania nad gazami.

Fizycy końca siedemnastego stulecia, Boyle i Mariotte poznali najważniejsze cechy fizyczne gazów. Lecz bynajmniej nie zadawali sobie pytania dotyczącego własności materialnych tych nowo poznanych ciał. Powietrze bowiem uważane było za ciało niezłożone, inne zaś gazy ani z wejrzenia, ani pod względem wielu własności, które badać potrafiono, nie różniły się znacznie od powietrza, poczytywano je przeto za szczególne tego ostatniego odmiany. W połowie dopiero wieku XVIII-go Anglik Black dowiódł w sposób niezbity istnienia gazu absolutnie różnego od powietrza, tworzącego się podczas gorzenia ciał, podczas fermentacyi, przy zetknięciu octu z kredą, występującego w wielu wodach mineralnych, wydobywającego się w niektórych miejscach ze szczelin w ziemi. Był to t. zw. obecnie kwas węglany, a właściwiej dwutlenek węgla. Nazwano go wówczas „powietrzem

trwałem“, gdyż poznano takie procesy chemiczne, które pozwalały łączyć ten gaz z innymi ciałami, utrzymywać go niejako w stałej formie, i dowolnie znów z tej postaci wywiązywać. Black dowiódł, że owo trwałe powietrze znika w obecności ciał zasadowych, kaustycznych (np. gryzącego potażu, wapna), i że z powstałych w ten sposób połączeń znów może być wydzielone. I oto po raz pierwszy spotkano się ze zjawiskiem, w którym „wapno“ zmieniało swe własności chemiczne dzięki procesowi, w którym nie można było dojrzeć udziału owego tajemniczego „flogistonu“, lecz pod wpływem substancji gazowej dobrze określonej, którą można było zebrać, ważyć, którą dowolnie można było przenosić z jednego połączenia w inne. O flogistonie, który uchodził podczas palenia się metalów, a powracał, gdy z „wapna“ znów metal odtwarzano, nie można było tego samego powiedzieć. Flogiston nie był powietrzem, ani gazem do powietrza podobnym, nie był też gazem od powietrza odmiennym, gdyż inaczej można-by i jego własności z taką dokładnością określić, jak to uczyniono dla „trwałego powietrza.“ Teorię flogistonu ugodził pierwszy strzał, który wszakże na razie nie był zbyt dotkliwy. Przeciwnie, sprzymierzeńcy panującej nauki Stalla tem gorliwiej jęli jej bronić, a nowo pozyskane fakta, które zagrażały całości tak misternie zbudowanego gmachu flogistonowego, starali się tłómaczyć w sposób, który na czas jakiś mógł im jeszcze zapewnić zwycięstwo.

Tymczasem na drodze odkrywania i poznawania gazów coraz nowe znaczone postępy. Cavendish (1767) wykazał dowodnie istnienie gazu palnego, zgoła nic nie mającego wspólnego z powietrzem, a który obecnie nazywamy wodorem. W przeciągu niespełna czterech lat (1771—1775) Priestley odkrył cały szereg gazów, których dzisiejsze nazwy są: tlen, azot, tlenik azotu, chlorowódor, amoniak, kwas siarkawy. Praca w tym kierunku nie ustawała, i w dalszym ciągu odkrywano wciąż nowe jeszcze ciała gazowe, których składu chemicznego zresztą dobrze nie poznawano; wiedzano tylko, że są to ciała wielce od powietrza i między sobą różne. Lecz, co ważniejsza, dla nowo odkrytych ciał nie było miejsca w ramach dotychczasowych teorii chemicznych. Nie wiedzano, gdzie je pomieścić, gdyż nie zdawano sobie dokładnie sprawy z ich natury chemicznej, nie potrafiono przystąpić do odkrycia ich własności materialnych, nie wiedzano, jakie pierwiastki w nich tkwią, co mają one wspólnego z powietrzem, a co jest w nich z innych związków chemicznych, stałych, ciekłych, lub lotnych. I oto skupiła się moc nowych faktów, których należyście ugrupować nie było można; zrozumiano, że po-za granicami panujących teorii istnieją zjawiska chemiczne, z teoryjami owymi niezgodne, a nie dające się wprost wtłoczyć w przykrojone formy. Odczuto, że nadszedł czas sprawdzenia

wszystkich doświadczeń i hipotez chemicznych, gdyż nauce o materialnych przemianach ciał ziemskich zagrażał niebezpieczny chaos.

## II.

Dnia 19 floréala roku II-go, czyli 8 maja r. 1794, spadła pod gilotyną głowa Antoniego Laurentego Lavoisier'a. Nie pomogły nieśmiałe protekcyje jego przyjaciół do powstrzymania dekretu śmierci, wydanego przez ówczesny rząd Francyi, gdyż wówczas „Francyi nie potrzeba było uczonych.“ Nazajutrz po śmierci Lavoisier'a wielki Lagrange mówił do jednego z przyjaciół: „Dość im było chwili jednej dla ścięcia tej głowy, a stu lat zapewne zbyt będzie mało dla stworzenia drugiej takiej.“

Sto lat właśnie minęło, i sprawdziły się słowa Lagrange'a. W dziejach wiedzy niewiele jest imion, które obok Lavoisier'a postawić można, gdyż pracami swemi z gruntu odbudował on—rzec można—wszystkie umiejętności przyrodnicze. Jakkolwiek bowiem ściślejszem polem działalności Lavoisier'a była chemia, dotknął on tu jednakże pytań tak zasadniczych, tak mocno związanych z najbardziej podstawowymi sprawami w przyrodzie, że pozyskane przezzeń rezultaty odbić się musiały wyraźnie we wszystkich odłamach nauki o przyrodzie. Dopiero dzięki geniuszowi Lavoisier'a pojęto znaczenie pierwiastku chemicznego, zrozumiano zjawisko ognia, palenia się ciał, utleniania, oddychania. Jemu zawdzięczamy jasne sformułowanie zasad, na których opierać się winny badania chemiczne, wskazanie doniosłości syntezy i analizy chemicznej. Jego jest dziełem ostateczne wprowadzenie liczby i wagi do pracowni chemika, najściślejsze określenie zasady niezniszczalności materji. On-to pierwszy ujął w jasne myśli zależność zjawisk utleniania, oddychania zwierząt i wytwarzania się ciepła zwierzęcego od normalnego składu powietrza, pierwszy mierzył ciepło wytwarzane nie tylko przy zwykłych procesach chemicznych, lecz i podczas działalności życiowej zwierząt, i wskazał w ten sposób drogę do ścisłych badań nie tylko w chemii, lecz i w fizjologii. Lavoisier przekształcił całą wiedzę chemiczną, a przez nią i inne umiejętności przyrodnicze, i nie zadowolnił się temi istotnemi, wewnętrznemi przeobrażeniami, lecz jeszcze sprawił nowe szaty dla nowej nauki, gdyż stworzył nową nomenklaturę chemiczną. Podczas kiedy w łonie społeczeństw odbywał się wielki przewrót umysłowy, którego ogniskiem była Francya, z tejże Francyi dany był przez Lavoisier'a silny bodziec do rewolucyi w nauce, dzięki któremu obalono stare, ciasne pomysły,

zniszczono wątłe teorie, natomiast dla nowo odkrytych prawd naukowych wzniesiono nowe budowle na nowych, mocnych fundamentach.

I stoją do dziś dnia, i po wszystkie czasy stać będą gmachy naukowe, zbudowane przez Lavoisier'a. Sto lat najmoźniejszej, najżarliwszej pracy umysłu ludzkiego nie tylko nie wstrząsnęły nimi, lecz złożyły niezliczone mnóstwo dowodów, że nauka chemiczna, idąc śladami, które jej wskazał Lavoisier, stąpa po gruncie tak pewnym, że zoczyć z tej drogi nigdy nie będzie zmuszona. Wszystko, co nowego odkrył Lavoisier, sprawdzano tysiące razy i ani razu nie zawiedziono się. W sposobie tłómaczenia zjawisk chemicznych przez Lavoisier'a nie dostrzeżono żadnego błędu. Pewne drobne niedokładności w niektórych jego doświadczeniach są zrozumiałym wynikiem niedostatecznie ścisłych przyrządów, jakimi się on posługiwał, lecz w istocie nie zmieniają one w niczem ogólnych wywodów jego prac, tych objaśnień, jakie w najnaturalniejszy sposób wynikały z jego badań. A pamiętajmy, że pokolenia badaczy, które nastąpiły po tym wielkim reformatorze wiedzy, odznaczały się i odznaczają niezmierną trzeźwością, nieubłaganą krytyką, niebywałą dotąd ścisłością w wazeniu rezultatów swych spostrzeżeń i doświadczeń.

W ciągu stulecia, jakie upłynęło od prac Lavoisier'a, chemia tak potężne przybrała rozmiary, tak rozszerzyła zakres swych badań i zarazem do takiej w badaniach tych doszła subtelności, że sięgnęła tam, dokąd sięgnąć nie mogła najlotniejsza fantazja chemika wieków ubiegłych. Z jednakową niemal pewnością badamy dziś zmiany chemiczne, zachodzące w komórce zwierzęcej i roślinnej, jak i procesy chemiczne na najdalszych ciałach niebieskich. Poznaliśmy niezliczoną moc związków występujących w naturze, i nie mniejszą bodaj liczbę stworzyliśmy w naszych pracowniach. W tych i wszystkich innych pracach z zakresu chemii ścisłość postępowania może być porównana chyba tylko z godną podziwu śmiałością, z jaką coraz to nowe podejmujemy zadania i coraz nowe rozstrzygamy zagadnienia. A na każdym kroku spotykamy się z temi zasadniczymi procesami, które pierwszy wyjaśnił należycie Lavoisier. I na każdym też kroku mamy sposobność stwierdzić dokładność jego poszukiwań, ścisłość rezultatów, jakie otrzymał, prawdziwość jego poglądów teoretycznych. Toż nic dziwnego, że nazywają go ojcem, największym mistrzem chemii współczesnej.

Postaramy się poznać najważniejsze zasługi naukowe Lavoisier'a, poczem krótko naszkicowany rys dalszych postępów chemii usprawiedliwi chyba nagłówek niniejszej rozprawki.

## III.

Obrońcom flogistonu wiadomo już było, że metale, przechodząc w „wapna“ (czyli utleniając się), zyskują na wadze. Ten wielokrotnie stwierdzany fakt należało pogodzić z teorią, według której proces ów zachodził przy utracie flogistonu. Metal stracił flogiston a zyskał na ciężarze. Jakież więc osobliwe własności posiadać musiał ów tajemniczy pierwiastek ognia! Istotnie sprzymierzeńcy Stahla utrzymywali, że ich flogiston nic nie ma wspólnego ze zwykłą materią. Nie posiada on ciężaru, przeciwnie — przyłączywszy się do jakiegokolwiek ciała, czyni je lżejszem, unosi w górę, wyzwala je do pewnego stopnia z dotychczasowego wpływu przyciągania ziemskiego. Ubytek flogistonu natomiast czyni ciało cięższem, bo zbrakło w niem owego pierwiastku o odjemnym ciężarze, owego subtelnego, niematerjalnego elementu, wyposażonego w siły, działające przeciw przyciąganiu ziemskiemu.

Lavoisier, podobnie jak Cavendish i Priestley, poznał tlen zawarty w powietrzu, dowiódł, że zwiększanie się ciężaru metalów podczas ogrzewania i ich zamiana na „wapna“ pochodzi stąd, iż metale pobierają pewną ilość powietrza, że wreszcie ten przybytek na wadze jest dokładnie równy ciężarowi powietrza, które przy tej operacji znika. Lavoisier umiał ważyć gazy, a będąc przekonany, że reakcyje chemiczne zachodzą według pewnych określonych stosunków ilościowych, intuicyjnie poszukiwał tych stosunków. W tym celu zjawiska chemiczne, w których gazy udział brały, wykonywał w przyrządach szczelnie zamkniętych i tak zbudowanych, ażeby można było dokładnie zdawać sobie sprawę z tego, czy w danym razie zaszły jakieś ilościowe zmiany z gazami.

Znając własności tlenu i prowadząc pomyślnie reakcyję zamiany metalu na „wapno“, aż w danej objętości powietrza tlenu już zbrakło, przekonał się Lavoisier, że pozostała część powietrza nie jest już zdolna w dalszym ciągu procesu owego dokonywać. A zatem powietrze składa się z dwu gazów o różnych własnościach. Gazy te każdy oddzielnie można wyosobnić z powietrza, a zmieszawszy je w odpowiednim stosunku, znów otrzymać można powietrze. Oto pierwsze — rzecz można — pełne i najściślejsze skonstatowanie składu ciała — przez analizę i syntezę.

Ta sama część składowa powietrza — zwiemy ją tlenem, — która łączy się z metalami podczas ich zamiany na „wapna“, łączy się też z fosforem, siarką, węglem, gdy te ciała ulegają spaleni, a otrzymane stąd produkty: kwas fosforowy, kwas siarkawy, kwas węglany na ciężar dokładnie równe są sumie zużytego tlenu i owych palnych materji.



Palenie się ciał nie jest zatem wyswobodzeniem się z nich flogistonu, lecz zjawiskiem wprost odwrotnem: łączeniem się tych palnych substancji ze składową częścią powietrza, tlenem. A powietrze nie jest pierwiastkiem, elementem, ciałem niezłożonym, lecz zawiera w sobie dwa gazy: tlen, który podtrzymuje palenie i utlenianie się metalów, i azot, gaz obojętny, w którym ani utlenianie, ani palenie nie jest możliwe.

Nie poprzestał na tem Lavoisier, lecz, widząc, że nowo odkryte przez niego fakta stoją w zupełnej sprzeczności z teoretycznymi poglądami współczesnymi, gromadził ze wszystkich stron nowe dowody dla poparcia swych nowych idei. I wodór, gaz otrzymywany przez działanie wielu kwasów na metale, znany już był podówczas, a zwany był palnym powietrzem, gdyż nie uszło uwagi badaczy, że jest to ciało palne. Otóż z kolei Lavoisier przystąpił do zbadania produktu powstającego z palenia się wodoru, i produktem tym okazała się woda. Wodór, paląc się, łączy się z tlenem, a woda, poczytywana dotąd za pierwiastek, jest ciałem złożonym z wodoru i tlenu. Podobnie jak, łącząc tlen z wodorem, drogą syntezy dochodzimy do poznania składu wody, tak i drogą analizy, rozkładając wodę, przekonać się możemy, że złożona jest ona z dwu gazów — tlenu i wodoru. Oddychanie zwierząt w mniemaniu ówczesnych chemików było również w pewnym związku z flogistonem. I to więc zjawisko należało poddać zbadaniu. Istotnie i tutaj tlen rozstrzygające ma znaczenie: zwierzęta oddychają tylko w atmosferze zawierającej tlen, wdychają ten gaz, wciągają go do płuc, natomiast wydychają, wydalają z płuc ten sam kwas węglany (dwutlenek węgla), który tworzy się przy paleniu węgla.

Obrawszy za punkt wyjścia tak ważny proces chemiczny, jak palenie się ciał, i dojrawszy w nim wiele podobieństwa do zmian metalów na powietrzu i do oddychania zwierząt, flogistycy stworzyli teorię, która obejmowała wielki szereg reakcji chemicznych i zarazem wprowadziła do nauki pojęcie o osobliwych, niematerialnych pierwiastkach, przyjmujących tak ważny udział w materialnych przemianach ciał. Starali się oni zamykać oczy na sprzeczność istniejącą pomiędzy ich teoryami a logicznym rozumowaniem, liczącem się z ciężarem ciał. Gdy przytem obcemi im były gazowe materje, oraz umiejętność ścisłego badania produktów, otrzymywanych w wielu reakcjach chemicznych, dziwić się trudno, że zbudowany przez nich system mógł im wystarczać. Lecz oto w zawody z nimi występuje niestrudzony i konsekwentny umysł Lavoisier'a, krok za krokiem śledzi te wszystkie zjawiska, na których opierała się nauka ówczesna, odkrywa nowe ciała, których materialność zaprzeczyc się nie da, — bo są one uposażone w określone własności, mają ciężar i sprawiają widoczne dla zmysłów

przemiany, — sprawdza dawniej znane fakta i ogołaca z narzuconej im tajemniczości, wprowadza metody ścisłe, które pozwalają dowoli powtarzać dane doświadczenie, kontroluje skład ciał przez analizę i syntezę i burzy ostatecznie poglądy niedostateczne, niszczy teorie naciągane, dając wzamian nie domniemanie, domysły, urojenia, lecz widoczne dla każdego oka, zrozumiałe dla każdego umysłu, fakta istotne, któremi żadna siła wstrząsnąć nie jest zdolna.

Lavoisier wykonywa swe doświadczenia w sposób tak niezmiernie prosty, a jednocześnie tak dokładny, że budzi podziw współczesnych i odbiera im wprost możność opponowania, a myśli swe wykląda językiem tak jasnym i ścisłym, że prace jego i dziś czytamy tak, jak gdyby stanowiły wyjątki z obecnych naszych ksiąg i rozpraw chemicznych. Nic w nich niema do dodania, wszystko zgodne jest najzupełniej z dzisiejszemi poglądami na zjawiska chemiczne. Z początku, w pierwszych rozprawach Lavoisier'a, widać wprawdzie tu i owdzie wpływ nauki ówczesnej, nietylko w nazwach, nadawanych ciałom, lecz i w poglądach na istotę zjawisk, ale zaciera się to w pracach późniejszych. Tam zaś, gdzie wykląda ostateczne swe poglądy i zbija teorie poprzednie, przemawia już językiem nowym, dzisiejszym, naszym, i wlewa weń tyle mocy przekonywującej, że nie wiele potrzeba mu czasu dla pozyskania stronników i adeptów nowych nauk. W badaniach Lavoisier'a widać z niezmierną przejrzystością, jak w pracy naukowej jedna myśl goni drugą, jak konsekwentnie jedna z drugiej wypływa, jak jedno odkrycie pociąga za sobą inne, a przed umysłem uczonego stają coraz nowe pytania, otwierają się coraz dalsze i obszerniejsze widnokręgi. Sam on powiada w jednej ze swych rozpraw: „Losem jest wszystkich zajmujących się badaniami fizycznymi i chemicznymi, że, zaledwie uczynili pierwszy krok, już dostrzegają nowy, który zrobić wypada..., droga, która się im ukazuje, zdaje się wydłużać, w miarę, jak kroczą po niej naprzód.“

#### IV.

Powszechnie uważany jest Lavoisier przedewszystkiem jako odkrywca prawa wieczności, niezniszczalności materji. Lecz nie jest bynajmniej prawdą, ażeby on pierwszy miał wygłosić aksyomat: „nie w przyrodzie nie ginie i nic się nie stwarza.“ Już w starożytności doktryna ta wielce była rozpowszechniona. Epikur i szkoła atomistów, a za nimi Lukrecyusz, mawiali: *nihil posse creari de nihilo*; wiersz zaś *ex nihilo nihil, in nihilum nil posse reverti* ogólnie był znany uczonym i filozofom. I alchemicy nie twierdzili bynajmniej, że potrafią stwarzać

złoto z niczego, lecz tylko sądzili, że umieją zamieniać jedne metale w drugie, że uda im się wynaleźć taką „pierwotną“ materię, która z łatwością podobnych przemian dokonywa.

Również jest błędem często powtarzanym, że Lavoisier pierwszy posługiwał się wagami. Alchemicy grecko-egipscy, autorowie najstarszego znanego pomnika wiedzy chemicznej, papyrusu znalezionego w Lejdzie, ustawicznie używali wag. „Za pomocą metody, przez mierzenie i przez dokładne ważenie czterech elementów — oto słowa Zosimosa z III stulecia naszej ery — dokonywają się przemiany i rozkłady wszech rzeczy.“ Arabowie kilka mieli nazw dla oznaczenia chemii, a z tych jedna była: „nauka wag.“ Na słynnym obrazie „Melancholii“ Alberta Dürera, pomiędzy przyrządami i symbolami wiedzy, obok klepsydry, mierzącej czas, znajdują się wagi, mierzące ciężar ciał <sup>1)</sup>).

Pomimo to wszakże, że przyrząd do ważenia powszechnie był chemikom znany, pomimo iż zasada niezniszczalności materii ogólnie była rozumiana i przyjęta, nie umiano jednakże wyrazić jej w formie ściślej i często wpadano w błędne określenia i sprzeczne twierdzenia. Już to widziano, że ciało, paląc się, ginie dla oka, już też, że leżąc na powietrzu lub będąc ogrzane, powiększa swój ciężar; lecz nie znając własności gazów, nie umiejąc ich badać, w pierwszym razie nie widziano, na co zamieniło się ciało palne, a w drugim, skąd wziął się przyrost na ciężarze. A jednakże te tak powszechne zjawiska należało objaśnić. I uciekano się przeto do hypotetycznych przypuszczeń, wprowadzano w grę niematerialne elementy, mieszano poglądy o istotnych pierwiastkach chemicznych z wyobrażeniami o wpływie sił fizycznych. Nie umiano ani jednego wykouać doświadczenia, które-by z całą ścisłością dowiodło prawdziwości tak podstawowego prawa przyrody, jakim jest prawo wieczności materii. I dopiero Lavoisier ujął to prawo w definicyę ściśłą i mnożył przykłady, by z przekonującą siłą dowieść jego słuszności.

„Nic — powiada on — nie tworzy się ani w reakcyach sztucznych, ani w procesach przyrody, i uważać można za zasadę, że w każdym zjawisku też sama jest ilość materii przed reakcją, co i po niej; że i jakość, i ilość pierwiastków jest jednakowa, zaszły zaś tylko przemiany, modyfikacye. Na zasadzie tej opiera się cała sztuka wykonywania doświadczeń w chemii.“ A w innym miejscu: „Materyebrane do doświadczenia i otrzymane z nich produkta mogą uważać za równa-

---

<sup>1)</sup> Te szczegóły historyczne w zestawieniu z zasługami Lavoisier'a znajdzie czytelnik obszerniej rozwinięte w dziele Berthelot'a p. t. „La révolution chimique. Lavoisier.“ Paryż, 1890.

nie algebraiczne...“ I posługując się właśnie równaniami algebraicznymi, biorąc ten lub ów wyraz za wielkość niewiadomą i rozwiązując równanie, Lavoisier dowolnie sprawdzał ścisłość swego eksperymentu. Równanie pozwoliło mu przewidywać, jakie ilości danego produktu otrzyma w swem doświadczeniu, a rzeczywistość potwierdzała ten rachunek, oparty na zasadzie niezniszczalności materji. Największe, najogólniejsze prawo przyrody, intuicyjnie przewidywane od najdawniejszych czasów, zostało wyrażone w formie matematycznej; aksyomat, twierdzenie, samo przez się zrozumiałe, nabrało istotnego życia i zapuściło głębokie korzenie w całkowity pogląd na świat materyalny.

Lecz dla ścisłego sformułowania tego naczelnego prawa natury nieodzownem było jasne zdawanie sobie sprawy z tego, co właściwie pierwiastkiem chemicznym nazywać należy. Lavoisier widział to lepiej, niż współcześni mu przyrodnicy, że w poglądach na pierwiastki panuje zamieszanie, stąd pochodzące, iż nie umiano rozgraniczyć materji dla zmysłów dostępnej od tych hypotetycznych substancji, do których uciekano się po pomoc, gdy chodziło o objaśnienie niezrozumiałych zjawisk. Odzywały się już i przed nim głosy, domagające się ścisłego sformułowania pojęcia pierwiastku chemicznego; pomimo to jednak, wciąż powracano do owych nieszczęsnych abstrakcyjnych pojęć, które nie pozwoliły wyłonić się pierwiastkowi chemicznemu jako czemuś materyalnie indywidualnemu, lecz mieszały go z oderwanymi własnościami czegoś „pierwotnego“, bez ciała i ciężaru. Fałszywe poglądy na istotę ciepła, dość ogólnie rozpowszechnione umiemanie, że w przemianach chemicznych ciepło również przyjmuje ilościowy udział na równi z materją, tak, iż wpływa na jej ilości w produktach chemicznych i stanowi niezbędną część składową równania chemicznego, to wszystko potężną było zaporą na drodze ku uświadomieniu sobie istoty pierwiastku chemicznego.

Swemi badaniami nad paleniem się ciał, nad znaczeniem gazów i udziałem ich w zjawiskach chemicznych zdobył wszakże Lavoisier również światlejszy pogląd na rolę ciepła w reakcyach chemicznych. „Ciepłik“ jako materyja nie brudził mu w rozmyślaniach nad elementami i nie psuł mu ścisłości jego równań chemicznych i ich zupełnej harmonii z obserwacją i doświadczeniem. W umyśle też jego wyluszczył się pierwiastek chemiczny z obsłonek, które dotąd nie dawały doń dostępu. „Jeżeli nazwą pierwiastek (element) — powiada Lavoisier — chcemy oznaczyć proste i niepodzielne cząstki składające ciało, to prawdopodobnie pierwiastków nie znamy. Jeśli zaś, przeciwnie, z nazwą pierwiastku zwiążemy pojęcie ostatniego krańca, do którego sięga analiza, w takim razie wszystkie substancje, których żadnym sposobem nie mogliśmy rozłożyć, są dla nas pierwiastkami. Nie możemy ich

uważać za ciała złożone, dopóki doświadczenie lub obserwacja nie dostarczą nam na to dowodu.“

Gdyby te zdania nie były przytoczone wprost z pism Lavoisier'a, można-by przypuścić, że są wyjęte żywcem ze współczesnego podręcznika chemii, zaznajamiającego na wstępie z pojęciem pierwiastku chemicznego. Dla Lavoisier'a chemia była przede wszystkim nauką zajmującą się rozbiorem, analizą ciał. Jakkolwiek bowiem w pracach jego i synteza poczesne zajmowała miejsce, lecz służyła głównie jako metoda kontrolująca, nie podniósłszy się jeszcze do tej wysokości, jaką zajęła następnie. Analizując wszakże ciała i podpatrując przytem ich własności, wyzwoiliwszy się z pod wpływu teorii zaciemniających pogląd na materję, zdołał Lavoisier dojść do takiego sformułowania najważniejszego elementu w chemii — pierwiastku, że od razu sprowadził zadania nauki z błędnych manowców na gościniec jasno i rozumnie wytknięty. Zniknęły więc obawy błędzenia i ustawicznego zbaczania, ujrzano najbliższe zadania chemii analizującej w odnalezieniu pierwiastków, gdyż na nich należało oprzeć wszystkie wiadomości o materji i z nich snuć dalej pomysły dla zbadania jej istoty.

Upadła ostatecznie wiara w inne pierwiastki niż te, jakie określił Lavoisier. Z czegoś niepochwytnego, nieokreślonego, zmiennego, pierwiastek chemiczny stał się pojęciem dla umysłu przystępnem, stał się materją, którą badać i pojąć można, stał się czemś ucieleśnionem, trwałem. Flogiston przeżył się i został wyparty z nauki. „Chemicy — powiada Lavoisier — uczynili z flogistonu pierwiastek bez treści, niedostatecznie określony, który przeto przystosowuje się do wszystkich objaśnień, do których bywa powoływany. Już to jest on pierwiastkiem obdarzonym ciężarem, już ciężaru nie ma; już jest swobodnym ogniem, to znów jest ogniem skombinowanym z elementem ziemnym; już przenika przez pory naczyń, to znów ścianki są dlań nieprzenikliwe. Objasnia on zarazem kaustyczność ciał i niekaustyczność, przezroczystość i nieprzezroczystość, barwy i brak barw. Jest to prawdziwy Proteusz, który co chwila kształty swe zmienia.“ Lavoisier wyklada teorię flogistonu we wszystkich jej przeobrażeniach, jakich z biegiem czasu doznała; polemizuje z nią, i rozumowaniem tych, którzy naginali tę teorię do coraz nowych faktów i nowych zdobyczy wiedzy, przeciwstawia swoje proste rozważania, popierane najwymowniejszymi faktami z olbrzymiego zapasu swych doświadczeń. „Jeśli wszystko w chemii — tak mówi — objasnia się w zadawalający sposób bez pomocy flogistonu, niezmiernie jest przeto prawdopodobnem, że pierwiastek ten nie istnieje, że jest to czcze przypuszczenie.“

Oto w jaki sposób dokonał się najdonioślejszy może przewrót w nauce. Żywotność, siła nowych idei, tak były wielkie, że w przeciągu

stosunkowo bardzo krótkiego czasu nauki Lavoisier'a zapanowały niepodzielnie, przyjęte z uznaniem i zapalem. Wicher rewolucyjny, który przebiegł przez krainę wiedzy ludzkiej, wyrwał z korzeniami wątłe drzewa przestarzałych, niedostatecznych teorii, i pozostawił tylko mocne dęby prawdziwych faktów, których żadna siła zmiażdżyć nie jest zdolna. A gdy burza minęła i znów można było otaczający świat okiem ogarnąć, poczęto z niezmierną gorliwością budować na nowych filarach mocniej i okazalej, zarówno nowym posługując się budulcem, jak i nie gardząc tym zdrowym materiałem, który pozostał po dawnych pokoleniach.

## V.

Chemik francuski, Adolf Wurtz, pisząc przed dwudziestu mniej więcej laty swe dziełko o historii poglądów w chemii od czasów Lavoisier'a, rozpoczął je zdaniem: „La chimie est une science française.“ Oczywiście wywołało to oburzenie uczonych niemieckich, którzy przecie poszczycić się mogli swoim Mitscherlichem, Liebigiem, Wöhlerem, Hofmannem.

Przed kilku zaledwie laty chemik niemiecki, Wiktor Meyer, w wykładzie o postępach i zagadnieniach chemii, kreśląc wspaniałą rozwój tej nauki w naszym stuleciu, zatrzymywał się znów prawie wyłącznie na zasługach Niemców, czem wywołał obszerną rozprawę chemika francuskiego, Gautier'a, który w sposób napozór bardzo delikatny, lecz niemniej mocno krytyczny, pozwolił sobie przypomnieć prace swych ziomek: Gay-Lussac'a, Berthollet'a, Dumas'a, Regnault'a, Thénard'a, Berthelot'a i innych.

Wurtz najniewątpliwiej miał słuszność, jeżeli chciał powiedzieć, że we Francyi, dzięki geniuszowi Lavoisier'a, poczęła się nowoczesna chemia, że we Francyi dokonane były pierwsze, zasadnicze prace, które wyznaczyły kierunek chemii prawdziwie naukowej, tej chemii, która, idąc torem przez Lavoisier'a wskazanym, zagarniała coraz większe dziedziny myśli ludzkiej i doprowadziła do największych zdobyczy. Lecz bodziec, dany przez Lavoisier'a, jakkolwiek z początku naturalnym porządkiem rzeczy udzielił się tylko najbliższemu otoczeniu, wkrótce, wszakże przeniósł się i dalej i wpływem swym obejmował coraz obszerniejsze koła. Powiadają wprawdzie, że gdy po raz pierwszy nauki Lavoisier'a przedostały się do Berlina, spalono tam i dzieła tego wielkiego reformatora wiedzy; i jego samego in effigie. Może zrazu blask nowych myśli oslepił tych, którzy nawykli byli do stąpania w mroku. Lecz powoli oczy godziły się z tem światłem; przestano je

zamykać, a kiedy odważono się już bez uprzedzeń i obaw spojrzeć w oblicze nowych prawd, ze zdumieniem i zadowoleniem dostrzeżono, że w ich promieniach widać i lepiej, i więcej. Zabrano się do badań z nowym zapasem sił i posypały się najpiękniejsze odkrycia w niezmiernej obfitości.

Było-by niesprawiedliwością szukać dalszych postępów chemii wyłącznie we Francyi, albo wyłącznie w jednym, jakimkolwiek kraju. Uczeni mają ojczyznę, lecz nauka jej nie posiada; staje się ona wspólną własnością tych wszystkich, którzy z zaufaniem do niej się udają, i dary swe i łaski sypie wszędzie, gdzie po nie ręce się wyciągają.

Od czasu kiedy Lavoisier nauczył analizować najprostsze związki chemiczne i wydzielać z nich pierwiastki, ważyć składowe części i oznaczać stosunki ilościowe, w jakich proste ciała łączą się z sobą, prace tego rodzaju mogły być wykonywane z dostateczną ścisłością i doprowadziły też wkrótce do jasnego i związłego określenia związku chemicznego. Liczne rozbiory najrozmaitszych ciał wykazywały stałość składu związków chemicznych. Pierwiastki, składające się na dany związek, zawarte w nim są zawsze w jednym i tym samym ilościowym stosunku. To proste prawo (prawo stałości stosunków), ogłoszone przez Johna Daltona (1808) i obejmujące sobą wszystkie połączenia chemiczne, wkrótce przez tegoż badacza zostało rozszerzone, a raczej dopełnione inną zasadą, niemniej ważną i ogólną. Niektóre pierwiastki, kombinując się z sobą, tworzą nie jeden, lecz niekiedy dwa, a i więcej związków. I w tym wszakże razie istnieje prosty liczbowy stosunek. Na jedną mianowicie i tę samą ilość jednego pierwiastku, ilości innych, przypadające w różnych związkach, pozostają względem siebie w stosunku najprostszych liczb. Tlen i wodór tworzą dwa związki: zwykłą wodę i t. zw. wodę utlenioną. Otóż w wodzie na jedną część (na wagę) wodoru jest ośm części tlenu, w wodzie zaś utlenionej na jedną część wodoru szesnaście części tlenu. Azot i tlen tworzą pięć rozmaitych związków. W pierwszym z nich na 14 części wagowych azotu przypada 8 części tlenu, w drugim na 14 azotu 16 tlenu, w trzecim na 14 azotu 24 tlenu, w czwartym na 14 azotu 32 tlenu, w piątym na 14 azotu 40 tlenu. To prawo wielokrotności stosunków wraz z prawem stałych stosunków odkryły w niezmiernej prostocie skład związków chemicznych, lecz nie wystarczały jeszcze do objęcia jedną ogólną ideą budowy materji, struktury ciał chemicznych, ich utkania w najdrobniejszych częściach.

Znane wszakże już były niektóre prawa rządzące gazami. Boyle i Mariotte dowiedli, że dla wszystkich gazów ciśnienie i objętość przy danej temperaturze zawsze są odwrotnie proporcjonalne względem siebie. Gdy ciśnienie wzrasta, objętość dokładnie tyleż razy się zmniejsza.

sza i odwrotnie. Gay-Lussac, najgorliwszy badacz gazów, wykrył więcej jeszcze prawidłowości, które w jednakowym stopniu dotyczą wszystkich bez wyjątku ciał gazowych. Kilka jest praw, znanych pod nazwą praw Gay-Lussac'a. Jedno z nich orzeka, że przy podnoszeniu temperatury gazów rozszerzają się one wszystkie bez wyjątku w jednakowej mierze. Każdy gaz — przy niezmienionem ciśnieniu — gdy zostanie ogrzany o jeden stopień Celsjusza, powiększa swą objętość o  $\frac{1}{273}$  pierwotnej objętości. Gay-Lussac mierzył też objętości tych gazów, które tworzą z sobą związki chemiczne, i doszedł do ogólnego wniosku, że wszelkie gazy łączą się z sobą albo w równych objętościach, albo w takich, które pozostają względem siebie w stosunku całkowitych, prostych liczb. Zarówno przytoczone tu prawidłowości, jak i inne własności gazów kazały się spodziewać, że istnieje jedna jakaś ogólna przyczyna tych prostych stosunków, obejmujących wszystkie gazy bez wyjątku. Przyczyny tej domyślił się i wygłosił ją w postaci hipotezy uczony włoski, Amadeusz Avogadro, w r. 1811. Według niego wszystkie gazy w jednakowych warunkach temperatury i ciśnienia zawierają w równych objętościach równe liczby cząsteczek. To prawo Avogadra przez długi czas podawane było w wątpliwość, lecz ostatecznie odniosło zwycięstwo i stało się punktem wyjścia dla następnych badań chemicznych, oraz jedną z podstaw, na których spoczywa zarówno cała nauka o gazach, jak i współczesne poglądy na budowę materji.

Dopiero w świetle tych nowych odkryć mogła rozwinąć się należycie hipoteza atomów, można było powrócić do naukowego i jasnego uzasadnienia poglądów wygłaszanych już przez niektórych filozofów greckich i zdawać sobie sprawę ze zgrupowania najdrobniejszych części składowych w ciałach chemicznych. Ciało, złożone z rozmaitych pierwiastków, zachowuje swe materyalne, chemiczne własności w drobnych częściach, podobnie jak i w większych bryłach. Musimy wszakże, śledząc w myśli coraz dalszy podział takiego złożonego ciała, dojść do tej granicy, po-za którą rozpadnie się ono już na części niejednorodne, gdzie otrzymamy ze złożonego związku różnorodne pierwiastki. Ta najdrobniejsza ilość złożonego ciała, która jeszcze zachowała wszelkie własności chemicznego indywiduum, a która, dalej podzielona, dała-by już różne chemiczne pierwiastki, zwie się cząsteczką (molekułą, drobiną). Po-za nią istnieją pierwiastki, które również dzielone być mogą tylko do pewnej granicy, do t. zw. atomów (niedziałek). Cząsteczka wody składa się z dwóch atomów wodoru i jednego atomu tlenu. Materya tlenu i materya wodoru zawierają w sobie niezliczoną moc atomów, które grupują się w cząsteczki, a te znów w większe masy. Hipoteza atomowo-cząsteczkowa, po raz pierwszy przybrana w naukową



szatę przez Daltona, znalazła w jego prawach stałości i wielokrotności stosunków wagowych najdoskonalsze oparcie. Częsteczka i atom—jakkolwiek dla zmysłów naszych niedostępne — stały się jednostkami chemicznymi o określonych, stałych własnościach, o niezmiennym ciężarze. Nie potrafimy ważyć atomów ni cząsteczek, lecz, badając skład związków chemicznych, porównujemy skupienia tych cząsteczek, a ważąc jednakowe objętości różnych gazów, otrzymujemy stosunki ciężarów równych — według Avogadra — ilości cząsteczek. Dochodzimy w ten sposób do poznania stosunkowych ciężarów cząsteczek, a poznawszy ich ilościowy skład z atomów, otrzymujemy również stosunkowe ciężary atomów.

Pierwiastki chemiczne otrzymały swe nazwy i oddzielne symbole dla ich oznaczenia. Lecz—co więcej—otrzymały swe wyrazy liczbowe. Każdy atom pierwiastku posiada określony ciężar, który potrafimy oznaczać w stosunku do dowolnie za jednostkę przyjętego ciężaru najlżejszego pierwiastku—wodoru. Materyalność pierwiastków i atomów stała się postulatem nieodzownym do rozumienia wszelkich przemian chemicznych. Idee starożytnych atomistów, wielkie myśli Lavoisier'a o naturze pierwiastków, znalazły uwieńczenie w teorii atomowej. Oderwane pojęcia przyoblokły się w ciało, ważką materję wyposażono we własności stałe, niezmienne. Analizując olbrzymią mnogość ciał przyrody, poznawano coraz więcej pierwiastków do chwili, gdy liczba ich nie wyniosła około siedmdziesięciu. Lecz jednocześnie, przy pomocy nader pomysłowych metod i najwytrwalszej pracy, określano najistotniejszą cechę pierwiastków — ciężary ich atomów. Począwszy od pamiętnych na tem polu prac szwedzkiego chemika, Berzeliusa, aż po dziś dzień trwają jeszcze te badania, doskonaląc się wciąż i dochodząc do coraz lepszych, idealnej niemal ścisłości, rezultatów. Niedawno zmarły chemik belgijski, Stas, pozostawił najpiękniejsze świadectwa dokładności robót chemicznych w swych mozolnych oznaczeniach ciężarów atomów.

## VI.

W najrozmaitszych kierankach przebiegają reakcje chemiczne. Już to dwa pierwiastki, dwa związki, znalazłszy się w odpowiednich warunkach, łączą się z sobą, już znów ciało złożone, pod wpływem rozmaitych czynników fizycznych (ciepła, światła, elektryczności), rozpada się na swe składniki. Jedno ciało, działając na inne, może temu ostatniemu odjąć część składających je pierwiastków, przyłączając je do swojej cząsteczki. Innym znów razem ciało, wypierające część cza-

steczki (molekuły) z innego, może samo zająć miejsce, które pozostało wolnem. Dwa związki, działające na się, mogą też wzajemnie wymieniać części składających je pierwiastków.

W olbrzymiej tej różnorodności metamorfoz chemicznych należy odszukać pewne ogólne zasady, według których one zachodzą, należy wykryć prawa, rządzące zjawiskami chemicznymi, poznać dynamikę procesów chemicznych. By wszakże dopiąć tego celu, niezbędnem jest hypotetyczne choćby zdawanie sobie sprawy z tego, w jaki sposób atomy ugrupowane są w cząsteczce, jaką jest budowa, struktura, utkanie molekuly. A znaczy to nie mniej, jak przeniknąć w zagadkę materji, na razie co prawda tylko w jej stanie złożonym z substancjami niejednorodnych, z rozmaitych pierwiastków.

Związki stosunkowo najmniej skomplikowane, np. złożone z dwu tylko pierwiastków, jak woda, amoniak i t. p., poznane w swym ilościowym składzie cząsteczkowym, musiały oczywiście być punktem wyjścia dla rozumowań dążących do poznania budowy cząsteczek. Udało się też dojrzeć przedewszystkiem różnicę pomiędzy pierwiastkami, polegającą na tem, że w różnych pierwiastkach przejawia się trwała dążność do wzajemnego łączenia się rozmaitemi ilościami atomów. Atom chloru daje trwały związek z jednym atomem wodoru, atom tlenu z dwoma atomami wodoru, atom azotu z trzema atomami wodoru, atom węgla z czterema atomami wodoru. Te zasadnicze właściwości pierwiastków, występujące na jaw przy ich wzajemnem wiązaniu się z sobą, nie dają się przemódz w najusilniejszych nawet próbach, zmierzających ku ich łączeniu w inny sposób. W stosunku do jednostki chemicznej, z którą porównujemy wszystkie pierwiastki i związki, t. j. w stosunku jednego atomu wodoru, atom chloru jest jednowartościowy, atom tlenu dwuwartościowy, azotu—trzywartościowy, węgla zaś czterowartościowy. Znamy dobrze wartościowość wszystkich pierwiastków, a każdy trwały związek chemiczny potrafimy zrozumieć w takim wzajemnem ugrupowaniu poszczególnych jego pierwiastków, jak to odpowiada wartościowości tych ostatnich.

W każdej przeto budowli cząsteczkowej, w każdym miniaturowym gmachu, złożonym z pierwiastków chemicznych, dostrzedz można, iż niektóre cegiełki bliżej, mocniej są z sobą spojone niż z innymi, znajdującymi się opodal. I częstokroć w wielu najrozmaitszych przemianach chemicznych te grupy bliżej z sobą połączonych atomów (t. zw. rodniki) całkowicie przechodzą z jednego związku w drugi, nie rozszczepiają się, nie rozpadają w swem wiązaniu. Łączy je pomiędzy sobą silniejsza niż powinowactwa chemicznego, niż z innymi atomami, w tejsze cząsteczce znajdującymi się. Gdy zaś pomyślimy, że na ostateczne własności związku wpływ rozstrzygający ma nietylko rodzaj

wchodzących w skład jego pierwiastków, lecz i ich ugrupowanie, zrozumiemy, że istnieć mogą związki zupełnie identyczne co do jakościowego i ilościowego składu pierwiastków, a jednakże różne swymi własnościami, gdyż zawierające swe atomy w różnym ugrupowaniu. Zwykły rozbiór chemiczny nie wykazuje żadnej różnicy pomiędzy takimi ciałami, gdy tymczasem zachowują się one rozmaicie wobec odczynników chemicznych, różne mają własności fizyczne, niejednakowy często stan skupienia. Przy jednakowym zupełnie ciężarze cząsteczki, przy jednakowych i w jednakowej liczbie występujących atomach — dwa (a i więcej) związki dlatego tylko posiadają rozmaite własności, że w niejednakowy sposób ułożone są w nich atomy, że tkwią w nich różne grupy atomów, różne rodniki. Takie „izomeryczne“ połączenia chemiczne odkrywano w coraz większej liczbie, od czasu, kiedy zajęto się bliżej poznawaniem niezliczonej mocy związków węgla z wodorem, tlenem, azotem, siarką i t. d.

Teoretyczne rozważania najzupełniej godziły się na tem polu z codziennem doświadczeniem. Można było przewidywać istnienie tylu a tylu izomerycznych związków dla pewnej kombinacji atomów i fakta potwierdzały najzupełniej te przewidywania. Dla poglądów o budowie materji, o składzie cząsteczek, był to tryumf niemały, tem znamienniejszy, że w naszych, najnowszych czasach przybyło znakomite rozszerzenie pojęcia izomeryi. Znajdowano bowiem niekiedy więcej ciał izomerycznych, niż ich się spodziewano póty, póki wiązano grupy atomów, przedstawiając ich wzajemne połączenia na płaszczyźnie. Dopiero wówczas, kiedy uwzględniono wszelkie możliwe ugrupowania atomów w przestrzeni, kiedy i atomom, i cząsteczce przypisano trzy wymiary i poczęto spoglądać na nie, jak na istotne ciała brylowate, zrozumiano istnienie i takich izomerycznych odmian, które nie dawały się przedtem należycie pojąć. Rozwinął się nowy, wielki dział wiedzy, stereochemia, która w krótkim stosunkowo przeciągu czasu odkryła nowe wyjaśnienia dla mnóstwa dotąd niezrozumiałych własności ciał. Badania stereochemiczne z większą jeszcze siłą dowiodły ścisłej zależności nie tylko własności chemicznych, lecz i cech fizycznych związków chemicznych od ich wewnętrznej budowy. Ugrupowanie atomów w cząsteczce objaśnia nam zarówno wszelkie przemiany chemiczne, jakim dane ciało ulega, jako też tak zasadnicze, charakterystyczne jego cechy, jak: trudniejszą lub łatwiejszą topliwość, własności optyczne, gęstość (ciężar właściwy) i t. d. Struktura cząsteczkowa ma wpływ rozstrzygający na cały charakter chemicznego ciała. Toż nawet pomiędzy pierwiastkami oddawna znane są takie, które w kilku rozmaitych występują odmianach, o różnych własnościach fizycznych. Znamy kilka odmian (t. zw. allotropowych) siarki, różniących się

formą krystaliczną i stopniem topliwości, kilka odmian fosforu (krystaliczny i bezkształtny), różniących się i barwą, i stopniem topliwości, i nawet działaniem na organizm (żółty fosfor jest silną trucizną, czerwony zaś nie jest jadowity); a dyament, grafit i węgiel również stanowią allotropowe odmiany jednego i tego samego pierwiastku. Na czym polegają te różnice w allotropowych odmianach pierwiastków, dobrze nie wiemy. Lecz teoria atomowa każe przypuszczać, że i tutaj atomy w różnej liczbie i w rozmaity sposób skupiają się w grupy cząsteczkowe. Gdy wszakże na punkcie allotropii poprzestać musimy na takim hypotetycznym przypuszczeniu, nie mając dotychczas możliwości przekonującego uzasadnienia, natomiast w zakresie zjawiska izomeryi teoria atomo-cząsteczkowa najpiękniejsze składa dowody swej żywotności i najzupełniej zadosyć czyni wszelkim wymaganiom naukowym. Cała chemia związków węgla, która rozwinęła się w jeden z najwspanialszych kwiatów wiedzy, jest najwymowniejszem poparciem tego twierdzenia. W tym dziale nauki naszej synteza chemiczna osiągnęła najwyższy szczyt powodzenia, kierując się wyłącznie rozumowaniami, zaczerpniętymi z poglądów na budowę cząsteczek. I dzięki temu właśnie, synteza w chemii przestała być tem, czem była dla Lavoisier'a, straciła charakter próby, kontrolującej jedynie skład ciała, poznany przez analizę, a podniosła się do wyżyny odrębnej, nowej metody badania, stworzyła sobie obszerny zakres nowych zagadnień, nowych celów.

## VII.

Fizyka bada objawy i przemiany energii, chemia — własności i przemiany materii. Pełne wszakże zrozumienie zjawiska chemicznego wymaga niezbędnie uwzględnienia udziału, jaki przyjmują w niem czynniki fizyczne. Im więcej zagłębiamy się w istotę procesów chemicznych, tem snadniej dochodzimy do przeświadczenia, że pojąć je całkowicie można tylko przez współczesne badanie zachodzących tu przejawów sił, przemian energii. Dwa pierwiastki łączą się z sobą dzięki złożonej w nich energii powinowactwa chemicznego; połączywszy się, zużyły na to siłę przyciągania chemicznego, która wszakże zginać nie mogła, lecz przeobraziła się na ciepło, na elektryczność, światło i t. p.; chcąc rozłożyć związek chemiczny na jego części składowe, czyli, innymi słowy, chcąc tym częściom składowym powrócić ich pierwotne powinowactwo chemiczne, użyć musimy w tym celu pomocy jakiegokolwiek siły fizycznej: światła, ciepła, elektryczności. Każda reakcyja chemiczna zachodzi ze współczesnem zjawiskiem fizycz-

nem. W każdym procesie chemicznym wytwarza się lub zużywa pewna ilość ciepła, elektryczności, światła, lub siły mechanicznej.

Tym zjawiskom fizycznym, biorącym tak ważny udział w metamorfozach chemicznych, poczęto poświęcać więcej uwagi wówczas dopiero, kiedy sama chemia osiągnęła już pewien stopień udoskonalenia, kiedy zaokrąglono zakres jej działań i poznano w pewnej mierze najważniejsze zasady, według których zachodzą zjawiska chemiczne. Gdy zaś jednocześnie postępy fizyki zapowiadały świetniejsze niż kiedykolwiek rezultaty na polu poznania istoty materii, oddziaływanie wzajemne tych dwóch gałęzi ścisłej wiedzy stawało się niezbędne i — jak się następnie okazało — pod wszelkimi względami pomyślnie.

Mechaniczna teoria ciepła, zastosowana do stanu gazowego, wyłoniła taki pogląd na materię gazów, który z jednej strony pozwalał objaśnić wszystkie znane ich własności, a z drugiej otworzył drogę dalszym badaniom i odkrył nowe cechy gazów, równie interesujące chemika, jak i fizyka. Cynetyczna teoria gazów pozwoliła dokładniejszego nabrać pojęcia o własnościach cząsteczek i atomów i we wszystkich szczegółach godziła się najzupełniej z teorią atomów. W najdalszym jej rozwinięciu nie natrafiono na żadne sprzeczności, które-by zniewalały do porzucenia jakiegokolwiek z zasadniczych postulatów teorii cząsteczkowo-atomowej. A jednocześnie wnioski cynetycznej teorii gazów dawały się sprawdzać doświadczalnie i przechodziły zwycięsko tę próbę.

Lecz nie dość tego. Nowe jeszcze przybyły odkrycia, które zniewalały do coraz głębszego przenikania tego stosunku, jaki zachodzi pomiędzy fizycznymi a chemicznymi własnościami materii. Poznanie natury widma słonecznego było w tym względzie bodźcem nader silnym. Badano spektroskopowo światło, wysyłane przez najrozmaitsze ciała w stanie żarzenia, i oto nową a stałą odkryto cechę fizyczną pierwiastków i związków chemicznych. Widmo każdego pierwiastku jest tak trwałą, niezmienną jego własnością, jak ciężar atomu, jak stan skupienia, jak punkt topliwości lub wrzenia, jak ciężar gatunkowy. Niezależnie od doniosłego znaczenia, jakie rozbiór widmowy (analiza spektralna) wywarł na całkowity pogląd o materii i jej rozpowszechnieniu we wszechświecie, stał się on jeszcze nową metodą, pozwalającą charakteryzować ciała chemiczne w minimalnych choćby ilościach. Toż tą drogą odkryto nawet kilka przedtem nieznanych pierwiastków. Rozbiór widmowy okazał się czulszym odczynnikiem chemicznym od wszelkich kwasów, ługów i soli. Nie zwlekano też ze zbadaniem tej własności optycznej dla wszelkich znanych pierwiastków i poznano tym sposobem nowy atrybut materii, który pozwolił w przyszłości dalsze jeszcze snuć rozumowania na temat istoty pierwiastków.

Badając tak ze wszech stron własności pierwiastków i zestawiając je z ciężarami atomów, dostrzegano coraz więcej prawidłowości, istniejących pomiędzy ciężarem atomu a jego właściwościami fizycznymi i chemicznymi. Już wcześniej niejednokrotnie zwracano uwagę na to, że w licznych wartościach ciężarów atomowych występują pewne prawidłowości, gdy chodzi o pierwiastki podobne do siebie. Tak np. niektóre podobne pierwiastki mają prawie jednakowe ciężary atomów. W niektórych znów grupach, złożonych z trzech np. pokrewnych pierwiastków, ciężar atomowy jednego z nich jest w przybliżeniu równy średniej arytmetycznej z ciężarów dwu innych. Wogóle w grupach podobnych do siebie pierwiastków spotykano różnice pomiędzy ciężarami ich atomów równoległe do różnic we własnościach fizycznych i chemicznych. Gdy następnie uszeregowano wszystkie znane pierwiastki w kolejnym porządku w miarę podnoszenia się ciężaru atomu, dostrzeżono, że własności ich powracają całymi szeregami, które znów doskonale przystają do siebie. A w wynikających stąd grupach pokrewnych pierwiastków cechy fizyczne i chemiczne ulegają zmianom powolnym, lecz ustawicznym, a równoległym ze zmianami w ciężarach atomów. Prawidłowości te, rozwinięte przeważnie przez L. Meyera i Mendelejewa, ujęto w zasadę, nazwaną peryodycznością pierwiastków. Własności pozostają w ścisłym związku z ciężarem atomowym pierwiastku, są one funkcjami — jak mówią matematycy — i to funkcjami peryodycznymi liczby, wyrażającej ciężar atomu.

Otrzymano więc w ten sposób system naukowy, układ pierwiastków, w którym te zasadnicze jednostki materii zajmowały miejsca nie dowolne, lecz wskazane przez ciężar atomu, a zarazem miejsca naturalne, gdyż jednostki, indywidualne pokrewne pomieszczone były tuż obok siebie, pomiędzy zaś dwoma dowolnymi pierwiastkami przejścia były powolne, stateczne, a zależne od ustawicznego wzrastania lub zmniejszania się ciężaru atomu. Pozyskano naturalną systematykę ciał chemicznych, nie tylko pierwiastków, lecz i związków, bo i związki, we własnościach swych od składających je pierwiastków najzupełniej zależne, okazywały się oczywiście zależnymi od wysokości ciężarów atomowych wchodzących w ich skład pierwiastków. W tej naturalnej systematyce tu i owdzie były luki. Lecz tem większym był tryumf peryodycznego układu pierwiastków, gdy z góry przewidywano, że luki te powinny być zajęte przez pierwiastki o ściśle określonych własnościach, i gdy następnie istotnie odkrywano te dotąd nieznanne pierwiastki i okazywało się, że w samej rzeczy ich własności zgadzały się zupełnie z tem, co przepowiadano. Nic dziwnego, że potężniał urok układu peryodycznego i że ta naturalna systematyka ciał chemicznych stała się nowem źródłem, z którego czerpano pomysły do badań nad

istotą materji. Do dnia dzisiejszego jeszcze trwają rozważania nad tem, do jakiego stopnia „naturalny układ pierwiastków“ może być przyjęty bez zastrzeżeń. A tymczasem — wobec szybkości rozwoju wiedzy — z tego płodnego ziarna świeży już wyrósł posiew, nowe wyłożyły się zadania, jeszcze szersze ukazały się widnokreśli.

### VIII.

Klasyczne badania Lavoisier'a nad wymianą gazów w płucach zapoczątkowały epokę ścisłych badań w chemii biologicznej. Gdy zaś w roku 1828 znakomitemu niemieckiemu chemikowi, Wöhlerowi, powiodła się pierwsza synteza ciała (moczniaka), znanego przedtem tylko jako wytwór organizmu zwierzęcego, wnet obudził się entuzjazm tak wielki, jakiego dotąd nie znały dzieje nauk biologicznych. Porzucono myśl o niemożliwości sztucznego naśladowania tych przemian chemicznych, których areną jest ustroj zwierzęcy i roślinny. Starano się przeniknąć w głąb samej pracy najdrobniejszych elementów ciała roślin i zwierząt, boć i ta praca przecie ostatecznie jest niczem innym, tylko przemianą chemiczną, bezustannem przerabianiem związków z zewnątrz przez organizmy przyjmowanych na związki nowe, wydalaniem zużytych części i ciągłym odnawianiem ciała żywych osobników. Cóż dziwnego, że chemik czuł się powołanym do zajrzenia w tajniki procesu życiowego, skoro sam ten proces ujawniał się w postaci zawiłych wprawdzie, lecz na pozór zupełnie przystępnych, zjawisk chemicznych. Chemia stała się tym sposobem nie tylko służebnicą biologii, lecz po prostu zagarnęła dla siebie bardzo rozległą jej część; dostarczywszy nauce o zjawiskach życiowych wyprobowanego oręża, którym udało się jej przedtem tyle zdobyć tajemnic przyrody, wzamian podniesioną została do godności integralnej części fizjologii.

Do jakiegokolwiek funkcji życiowej się zwrócimy, wszędzie widzimy odpowiednie pole dla pracy chemika. W ujawniających się na zewnątrz czynnościach zwierząt i roślin widzimy przeobrażenia sił i przemiany materji. Roślina zużywa siłę światła słonecznego i zapomocą niej wykonywa chemiczną pracę rozszczepiania składników atmosfery i wydobywania z nich materiału na własne ciało. Zwierzę przyjmuje pokarmy i, skutkiem złożonej w nich siły napięcia chemicznego, wytwarza takie postaci energii, jak ruch, ciepło i zjawiska elektryczne. Energia powinowactwa chemicznego w nieustającej pozostaje wymianie z energią sił fizycznych, każdemu objawowi życiowemu towarzyszy pewna przemiana chemiczna. I dlatego zastosowanie metod

chemicznego badania obiecywało tyle korzyści w pracach biologicznych.

Gdy poznano z pewną dokładnością sam materiał, z którego złożone są organizmy, i z niemniejszą ścisłością zbadano skład zarówno tych substancji, które z zewnątrz żywy osobnik przyjmuje, jak i tych, które na zewnątrz wydała, z kolei postawiono sobie oczywiście pytanie, jakie materialne zmiany zachodzą we wnętrzu organizmów. W nieprzebranej różnorodności zachodzących tu procesów chemicznych dojrzano, że nad wszystkimi innymi górują w ustroju zwierzęcym zjawiska utleniania, w roślinnym zaś zjawiska odtleniania. Szukano bliższego umiejscowienia tych zjawisk, owych siedlisk, w których się one dokonywają. Badano soki i tkanki organów za życia i po śmierci. Naśladowano sztucznie przemiany, jakim ulegają pokarmy w przewodzie pokarmowym zwierzęcia. Materiał na soki trawienne znaleziono we krwi, a pracownie chemiczne, wyrabiające owe soki, wykryto w gruczołach. Z całym zapałem oddano się badaniu krwi, tego ożywczego strumienia, który zawiera w sobie wszystkie związki, niezbędne organom do życia, i który zarazem niesie w sobie do organów wydalających, do płuc, skóry i nerek, związki już nieprzydatne, szkodliwe dla organizmu. Poznano dokładnie proces chemiczny, skutkiem którego krew z jednej strony ciąglej ulega odnowie w płucach, z drugiej ustawicznie traci swe ożywcze własności w najdrobniejszych zakątkach organizmu, spalając tu, utleniając części składowe komórek. W tem ciąglem zużywaniu się tkanek poznano przyczynę potrzeby dostarczania pokarmów i poczęto z kolei stosować metody chemiczne do zrozumienia przemian, jakie zachodzą z częściami składowymi samych organów. Niezmordowana, nader pomysłowa praca wielkiego szeregu chemików-fizjologów dała poznać wartość oddzielnych składowych części pokarmów: białka, wodorów węgla, tłuszczu, soli mineralnych i wody; wykazała, jakich ilości tych środków spożywczych potrzeba człowiekowi w celu normalnego zachowania życia, w jakich granicach i w jakich stosunkach ilościowych te związki mogą się wzajem zastępować, jak ilości ich powinny wzrastać lub zmniejszać się zależnie od chwilowych potrzeb organizmu.

Od tych ogólniejszych zadań zwrócono się, do zbadania spraw chemicznych, zachodzących w poszczególnych organach. Dziesiątki kartek zapisać-by trzeba, chcąc choćby ogólnie tylko zdać sprawę z rezultatów, jakie zdobyła dotąd chemia fizjologiczna, a jeszcze więcej, gdyby chcieć wskazać najbliższe jej zadania i dążenia <sup>1)</sup>. Środki che-

---

<sup>1)</sup> Obszerniej o tym przedmiocie mówiłem w odczycie p. t. „O udziale chemii w badaniu zjawisk życia“, pomieszczonym we „Wszechświecie“, z roku bieżącego, str. 83 i 103 (N. N. 6 i 7).



micznego badania przeniknęły do wszystkich niemal odłamów wiedzy biologicznej i wyparły z niej przewagę dawniejszych poglądów, potężnie zachwiały wiarę w istnienie specyficznych sił, rzekomo rządzących sprawami życiowymi. Synteza zaś chemiczna, która pierwszym, rzecz można, była bodźcem do tak zwycięskiego wtargnięcia chemii w zakres biologii, nie utraciła dotychczas swego znaczenia na tem polu. Innemi co prawda sposobami, niż to czyni żywy organizm, potrafimy sztucznie wytwarzać olbrzymią moc tych ciał chemicznych, które dawniej uważane były za wyłączne produkta życiowe. Najnowszy tryumf w tej mierze, sztuczna synteza wodoru węgla (cukrów), dokonana przez niemieckiego chemika, Fischera, na nowo obudziła ufność w siłę zwycięstw chemicznych w dziedzinie biologii. Najzawilsze ze znanych ciał chemicznych, białko, będące zarazem najistotniejszym podścieliskiem dla wszelkich objawów życiowych, również tak już w szczegółach swych jest poznane, że niezadługo może i badania nad niem uwieńczone zostaną świetnym zakończeniem sztucznego wytworzenia. I niewątpliwie tą drogą krocząc, coraz śmielej i pewniej dochodzić będziemy do poznawania tych utajonych dla oka zjawisk, które kryją się w głębi najdrobniejszych jednostek, obdarzonych życiem, komórek.

Postępy chemii biologicznej najwymowniej przemawiają do nas w naukach lekarskich. Tutaj też mamy sposobność tysiące razy stawać wobec najniezawodniejszych probierzy płodności metod chemicznych, przeszczepionych na grunt biologii. W zakłóceniach spraw życiowych dostrzegamy współcześnie zakłócenia chemizmu życia, który łatwiej i pewniej daje się uchwycić od owych licznych tajemniczych czynników, jakie według medycyny dawnych wieków sprowadzać miały choroby. Stąd też i wskazówki do zwalczania przyczyn chorób stają się dla współczesnego lekarza jaśniejsze, a same leki czerpie on z bogatego skarbcza ciał chemicznych, które bądź znajduje gotowe w przyrodzie, bądź zapożycza z zapasu związków, sztucznie wytworzonych w pracowni chemika. A w pracy wynajdowania środków leczniczych nie rządzi bynajmniej sam tylko ślepy traf, lub surowa empirya, lecz dobrze uzasadnione rozważania teoretyczne, w których nauki chemiczne naczelnie zajmują miejsce. Postępy współczesnej medycyny najmocniejszymi węzłami zespolone są z rozwojem chemii. Gdy zaś rezultaty, otrzymywane w tej mierze, tak blisko obchodzą każdego człowieka, nie dziwnego, że i znaczenie, i powaga chemii rośnie właśnie z tej strony w oczach szerokiego ogółu.

## IX.

Nie na tem wszakże kończy się urok, wywierany przez chemię na wielkie masy. Silniej nawet jeszcze promienieje sława tych wszystkich gałęzi stosowanej chemii, które potężnie wdzierają się we wszystkie niemal przejawy życia społecznego. Przemysł chemiczny wyrósł w stuleciu naszym do rozmiarów tak wspaniałych i tak do gruntu przeistoczył najrozmaitsze warunki życia, że imponuje swemi niesłychanemi postępami tym nawet, którzy najlżejszego nie mają pojęcia o stanowisku chemii w szeregu umiejętności teoretycznych. Na tej drodze bowiem postępy chemii tak są dostępne dla każdego umysłu, tak namacalne, że musi je dostrzedz każdy, kto ma otwarte oczy na to, co się dokoła niego dzieje. Wielka wszakże szkoda, że nie wszyscy wiedzą, gdzie szukać pierwszych przyczyn tego zwycięskiego pochodzenia chemii, gdzie szukać tych wiernych wskazówek i najsilniejszych bodźców, które wyznaczają drogę owemu pochodowi i nie dają mu zbaczać na manowce. Większość ludzi, mówiąc o praktyce i teorii, przeciwstawia te dwa pojęcia i mniema, że w nauce są to dwie zgola wykluczające się metody postępowania i badania. Niema wszelako ani jednej gałęzi przemysłu chemicznego, którego nie można by przytoczyć na dowód fałszywości takiego poglądu. Najwymowniejszym zaś przykładem będzie może postęp chemii barwników, w której na każdym kroku wykazać można, jak najznamienniejsze zdobycze w ścisłej pozostają zależności od teoretycznych rozważań. Kto patrzy zdala, niewtajemniczony w szczegóły pracy chemicznej w wielkich fabrykach, nie dostrzega tych badań, które biorą początek w skromnych pracowniach naukowych i dopiero po nieskończonym szeregu prób przybierają ostateczne kształty, zrozumiałe dla profanów. Teoria i praktyka w naukowem znaczeniu nie wykluczają się wzajemnie. W dzisiejszych stadyach rozwoju wiedzy są one dwiema dźwigniami, poruszającemi całkowity postęp myśli ludzkiej i w postępie tym biorą udział jednakowy. Nie można nawet powiedzieć, że dopełniają się wzajemnie, bo ostatecznie teoria w rzeczywistości niczem nie jest innym, jak syntezą doświadczeń praktycznych, uogólnieniem, sumą wszystkich drobnych wiadomości, jest—rzec można—praktyką w najrozleglejszem, najobszerniejszem znaczeniu. Kto ma sposobność przyglądać się ustawicznemu wrzeniu na polu praktyki chemicznej, dostrzega też, że ogień, podsycający to wrzenie, zapala się u płomienia teorii chemicznych. I póki ten płomień nie wygasa, póty nie zbraknie pomysłów coraz śmielszych i tryumfów coraz donioślejszych. W ostatnich lat dziesiątkach chemia teoretyczna wyłobila nowe koryta, któremi płyną świeże strumienie wiedzy, prowadząc nas

do krain, dotąd nieznanych, gdzie czeka nas moc niespodzianek i rozkoszy. Dynamika chemiczna stworzyła w naszych czasach nowe zagadnienia i cele; badania siły powinowactwa chemicznego w jego najrozszerzonych stosunkach do ciepła, światła i elektryczności, powołały do życia nowe działy wiedzy: termochemię, fotochemię, elektrochemię, które, poruszając się całkowicie na gruncie oderwanych, ściśle naukowych badań, niewątpliwie zrodzą także owoce ku bezpośredniemu, materialnemu użytkowi człowieka. Surowa empirya, doświadczanie, nie oparte na gruncie jasno wyrozumowanych teorii, mogą niekiedy prowadzić do wielkich odkryć; najcenniejsze wszakże skarby odszukać można jedynie przy blasku pochodni prawdziwej, wielkie widnokręgi obejmującej wiedzy.

## X.

Znamy obecnie siedmdziesiąt kilka pierwiastków, t. j. ciał takich, których przy pomocy środków, jakimi rozporządza dzisiejsza nauka, rozłożyć nie można na materye prostsze. Czy wszakże przy dalszych udoskonaleniach środków badania nie mogło-by się okazać, że ten lub ów z naszych pierwiastków nie jest istotnie ciałem tak pierwotnym, niezmiennym, stałym, za jakie my go poczytujemy? Czy wogóle pierwiastki nasze są tak zgoła od siebie odrębnymi ciałami, że nie materialnego ich z sobą nie łączy? Dlaczegoż właśnie siedmdziesiąt kilka takich odrębnych indywiduów materialnych? Co prawda, nie mamy prawa twierdzić, że znane nam są już wszystkie pierwiastki; zapewne więc z czasem przybędzie jeszcze kilka, może kilkanaście. Lecz przez to tylko liczba zmianie ulegnie, natomiast pytania powyższe wciąż jeszcze pozostaną uprawnione, bo żadna liczba nie może nas bezwzględnie zadowolnić.

Już w roku 1815 chemik angielski, Prout, wygłosił nader interesujący pogląd, twierdząc, że wodór, najlżejszy ze znanych pierwiastków, jest właściwie pierwotną materyą, z której wszystkie inne pierwiastki są złożone. Jakoż pozorne poparcie tej idei znajdowano w tem, że ciężary atomów rozmaitych pierwiastków dawały się wyrażać za pomocą całkowitych liczb, i zdawać się przeto mogło, że są to wielokrotne tej zasadniczej jednostki chemicznej, za którą wodór był poczytywany. Pierwiastki chemiczne były-by zatem skupieniami, zagęszczeniami wodoru w rozmaitych stopniach. Ścisłejsze wszakże określenia ciężarów atomowych dawały liczby bynajmniej nie całkowite, lecz z ułamkami, a to oczywiście sprzeciwiało się pogładowi, że owa niepo-

dzielna jednostka wodorowa może w rozmaitych z samą sobą kombinacjach liczebnych tworzyć rozmaite t. zw. pierwiastki.

Jednakże nie wyrugowało to bynajmniej z nauki domysłów i rozważań na temat złożoności pierwiastków. Z zarzutami, stawianemi teorii Prouta, nawet niezbyt trudno było-by sobie poradzić. Potrzeba-by tylko pozostać przy hipotezie o jednej pierwotnej materji, z której powstały wszystkie pierwiastki, nie upierając się jednak przy tem, że tą pramateryą jest wodór. Toż i sam wodór już mógł-by być złożony. Owa najelementarniejsza materya jest czemś jeszcze od wodoru lżejszem, subtelniejszym, może nawet przedstawia stan taki, który wogóle z naszymi gazami porównać się nie da, jest czemś jeszcze lotniejszym od najlżejszego ze znanych nam gazów. Należało-by przedewszystkiem szukać tego pierwiastka pierwiastków. Napróżno wszakże było-by go szukać wśród tej zwykłej, przystępnej dla nas materji na powierzchni globu ziemskiego. Trzeba więc sięgnąć dalej, po-za granice naszej planety, badać skład chemiczny tej wielkiej mnogości dalekich od nas światów, które, śląc światło w przestworza niebieskie, promieniami swemi opowiadają nam o swem istnieniu i składzie chemicznym.

Analiza widmowa, zastosowana do ciał niebieskich, nie wykazała jednak innych ciał chemicznych, jak te, które znane nam są z zamieszkiwanej przez nas planety. Rozkładając światło, wysyłane przez najdalsze choćby gwiazdy, rozszczepiając promienie świetlne licznych słońc i planet w naszych spektroskopach, widzimy widma, które znane nam są z badania rozżarzonych do świecenia materji na naszej ziemi. Analiza widmowa więcej, niż jakikolwiek inny dowód, popiera silnie pogląd o wspólności pochodzenia wszystkich ciał niebieskich i o jedności materji we wszechświecie. Lecz jednocześnie spektroskop ukazuje nam takie własności materji, które pozwalają dalej snuć domysły o istocie pierwiastków chemicznych.

Nasze elementy chemiczne, rozżarzone do stanu bardzo jasnego świecenia, wysyłają światło złożone, które w zwykłym widmie słonecznym objawia się większą lub mniejszą dla każdego pierwiastka liczbą ciemnych prążków. Te prążki zachowują stałe swe położenie w widmie, tak, że według ich liczby i miejsca występowania doskonale można każdy pierwiastek rozpoznać. Charakter widma tak jest trwały, niezmienny dla każdego z naszych pierwiastków, jak niezmiennymi i charakterystycznymi są: ciężar atomu, stan skupienia, gęstość i tym podobne cechy fizyczne i chemiczne. Lecz oto, przy badaniu widma rozmaitych nader rzadkich metalów, znakomitemu chemikowi angielskiemu, Williamowi Crookesowi, udało się jeden z pierwiastków, mianowicie itr, rozszczepić na dwie części, których widma dopełniają się

wzajemnie i w sumie dają widmo uważanego dotychczas za element itru. W tem, na pozór prostem doświadczeniu, można-by dojrzeć nic więcej nad to, że, materya, którą dotychczas uważano za pierwiastek, okazała się złożoną z dwu pierwiastków. Pomijając wszakże okoliczność, że pomimo najskrzętniejszych poszukiwań, nie udało się czegoś podobnego dokonać z innymi pierwiastkami, a z drugiej strony, uwzględniając wogóle niezmierną złożoność widma przeważnej liczby naszych pierwiastków, przyznać musimy, że fakt, zdobyty przez Crookesa, dopuszcza myśl o złożoności pierwiastków. Nie zapominajmy bowiem, że dawny itr zupełnie odpowiadał wszelkim wymaganiom, jakie stawiamy elementowi chemicznemu. Miał określony ciężar atomu, tworzył związki z innymi pierwiastkami i ze związków tych, jako całość, mógł być zuów wydzielany. I oto naraz przez szereg operacji chemicznych udaje się z tego pierwiastka otrzymać dwa ciała, których widma razem dają widmo itru. Widmo tego elementu nie wysyła więc promieni jednakowych ze wszystkich jego atomów; raczej pewne atomy itru dają jedną grupę prążków, inne atomy—inną grupę z całkowitego widma pierwiastka. Atomy te zatem różnią się prawdopodobnie pod względem ciężaru, a bezwątpienia co do swego stanu dynamicznego. Badania chemiczne nad rzadkimi metalami pozwalają przypuszczać, że nie jest to fakt odosobniony. A w takim razie bardzo być może, że gdy znajdą się odpowiednie środki, wówczas powiedzie się i inne pierwiastki w podobny sposób rozłożyć na prostsze, pierwotniejsze materye. Widma pierwiastków w chemii przyszłości nie będą już tak złożone, jak obecnie. Rozkładając coraz dalej nasze pierwiastki, kto wie, czy nie zdołamy od każdego zosobna dojść do owej pramateryi, która od dawien dawna zajmuje myślicieli, a dla której przypuszczalnego istnienia pierwszy dopiero mamy słaby dowód w poszukiwaniach Crookesa.

Warunki fizyczne, w których znajduje się nasza planeta, nie pozwalają na istnienie innych pierwiastków, jak te, które stanowią przedmiot naszego badania. A i na odległych od nas ciałach niebieskich również dawno już mogły minąć epoki, w których materya prostszą mniej zawiłą przedstawiała strukturę, niż obecnie. Lecz nauka nie zadawalnia się wyjaśnieniem obecnego stanu wszechświata i sięga także w najodleglejsze, zarówno minione, jak i przyszłe epoki, starając się odtworzyć obrazy przeszłości i przyszłości. Metoda takiego badania dała najpiękniejsze rezultaty nie tylko w astronomii, lecz i w znacznie mniej ściślej biologii. Nadszedł czas, kiedy i chemia, zaprzątnięta zagadką materyi, wybiega w swych teoriach daleko po-za sfery dzisiejszego świata. Nie mamy powodu przypuszczać, że po wszystkie czasy materya była dokładnie tem samem, czem jest dzisiaj. Teorya ewolucyi,

która tak jasno tłumaczy nam dzieje ciał niebieskich i która najwspanialsze święci tryumfy na polu nauk biologicznych, pozwalając pojąć stateczny, stopniowy rozwój tworów żywych z jednej prostej komórki, ta sama teoria poczyna ogarniać chemię, starając się wyjaśnić genezę i rozwój dzisiejszej materii.

W pierwotnym chaosie wszechświatowym istniał może jeden element („protyl” Crookesa) takiej subtelności, o której dzisiejsze pierwiastki nasze nie dają nam nawet przybliżonego pojęcia. W miarę ciągłego zagęszczania się materii i opadania temperatury, stopniowo powstawały coraz więcej zbite skupienia, coraz podobniejsze do naszych pierwiastków. Nasamprzód tworzyły się ciała o najmniejszych ciężarach atomowych: wodór, azot, tlen, węgiel. W ten sposób powoli zgromadziły się te elementy, które niezbędne były do utworzenia żywej materii. W miarę dalszego zagęszczania się „protylu”, przez najrozmaitsze jego kombinacje z już utworzonymi pierwiastkami, rozwijały się coraz nowe pierwiastki, aż do najcięższego ze znanych nam dotychczas. I obecna faza istnienia naszej planety jest może świadkiem powstawania nowych elementów, których liczba coraz bardziej wzrastać będzie.

Teoria ewolucji okazała się dla biologii płodną w najświetniejsze naukowe rezultaty. Tysiące spostrzeżeń, zbieranych przez wieki całe, tysiące faktów niepowiązanych zespolił geniusz Darwina w teorii rozwoju świata organicznego. Może i chemia wkrótce doczeka się swego Darwina, który na genezę materii nowe rzuci światło. Tymczasem wszakże napróżno gubilibyśmy się w domysłach, czem była owa pramaterya, która tak wabi umysł przyrodnika. Czy może wszechświatowy eter, będący podścieliskiem zjawisk fizycznych, ma coś wspólnego z naszym prapierwiastkiem? W jaki sposób, dzięki jakim siłom, zachodził ów ustawiczny rozwój i „doskonalenie się” materii? Jakie okresy czasu były niezbędne do osiągnięcia przez materię stanu obecnego? Te i podobne pytania znajdują się tymczasem na tych wyżynach myśli ludzkiej, na których poruszamy się bardzo chwiejnie.

Doświadczony wędrowiec, wspinając się na szczyt górski, kroczy poważnie, powolnie, lecz krokiem pewnym, i stopniowo przyzwyczajają płuca do oddychania coraz bardziej rozrzedzonym powietrzem; a znalazłszy się na wierzchołku, z dumą spogląda na przebytą drogę, gdyż poznał wszystkie jej szczegóły, i dowoli oddycha w tej czystej, lekkiej atmosferze, w której trudno dłużej pozostawać temu, kto szybko z niego tu przybył. Doświadczony badacz i myśliciel również poważnie i ostrożnie kroczy coraz wyżej na szczyty myśli ludzkiej ścieżkami pe-

wnemi, i często rozgląda się dokoła, czy nie zboczył z właściwej drogi. I dopiero, gdy na szczycie, do którego dąży, stanie bezpiecznie, pewny, że z pod stóp ziemia mu się nie usunie, a płucom powietrza nie zabraknie, wówczas podnosi wzrok po-nad siebie i sięga jeszcze wyżej. Bo dla myśli ludzkiej niema granicy, jak niema jej w bezmiernym wszechświecie.

DR MAKSYMILIAN FLAUM.

---

# KRONIKA PARYSKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

---

Znana autorka, która pod pseudonimem Lucyana Perey wydała zajmujące dzieło o Helenie z Massalskich księżnej de Ligne, późniejszej hrabinie Potockiej, zwróciła dziś powszechną uwagę nową pracą historyczną pod tytułem: „Romans wielkiego króla, Ludwika XIV, i Maryi Mancini.” Do nowego dzieła dostarczył autorce materiału zbiór listów w liczbie trzechset, zachowany w archiwach rodziny d’Havrincourt, pochodzącej od Filipa Manciniego, brata Maryi, a siostrzana Mazariniego. Oprócz tych dokumentów, pracowita erudytką odkryła zapomniany dzienniczek samej Maryi, ogłoszony niegdyś w Hiszpanii p. t. „Prawda wyjaśniona”, czyli prawdziwy pamiętnik Maryi Mancini, małżonki konstabla de Colonne.

Rzecz rozpoczyna się podczas wojny domowej, zwanej *Fronią*, za małoletności Ludwika XIV, przeciw Annie Austryaczce, królowej regentce, a głównie przeciw kardynałowi Mazariniemu, następcy Richelieugo w zarządzie państwa. Autorka opisuje te pięcioletnie zatargi, podniecane przez książąt Kondeuszów i księżniczki z tego świetnego domu. Pomijamy te czasy burzliwe, a chwytny wątek od chwili, kiedy kardynał, podwakroć wygnany, wraca tryumfalnie do władzy po zawartym pokoju.

Marya Mancini opisuje w pamiętniczku przybycie swoje do Francji, gdzie dwie starsze jej siostry były już zaślubione. „Urodziłam się



w Rzymie, mówi, w domu świetnym, który nawet bez protekcji kardynała Mazariniego zająć mógł wysokie stanowisko w pierwszej stolicy świata. Miałam lat siedm, kiedy matka, zrażona moją niepozorną powierzchownością, umieściła mnie w klasztorze Benedyktynek, pod opieką ciotki przełożonej, z myślą, że ta skłoni mnie do życia zakonnego. Po dwóch latach jednak odebrała mnie, ze względu na zachwiane zdrowie."

"Dwa lata zdów upłynęło: kardynał stanął tymczasem na szczycie władzy. Wówczas-to wezwał do siebie matkę moją ze starszą córką; mnie właśnie przypadało to prawo, ale matka pragnęła zabrać młodszą ode mnie i piękniejszą, Hortensyę. Nastąpiły nowe zabiegi, by mnie pozostawić w klasztorze. Oparłam się stanowczo. Matka, rada nie rada, zabrała nas obie do Paryża."

W tym czasie król skończył rok piętnasty. Wspaniała koronacja odbyła się w Reims, w r. 1654. Pani Mancini zamieszkała w Luwrze. O ile kochała dwie zameżne już córki i małą Hortensyę, o tyle cierpieć nie mogła Maryi. Kardynał podzielał uprzedzenie siostry. Dziewczynka, chuda, śniada, nie mogła zdaniem ich znaleźć powodzenia na dworze.

"Trudy podróży, pisze Marya, doprowadziły mnie do oplakanego stanu. Kardynał oddał mnie do klasztoru Wizytek, abym tam nabrała trochę ciała. Co gorsza, byłam w oczach jego nazbyt nieokrzesaną. Nie mówiłam po francusku, co, zdaniem kardynała, oddało mnie od wytwornego dworu. Siostrze mojej, Hortensyi, więcej przebaczano dla jej niepospolitej urody. Umieszczono mnie więc w klasztorze r. 1654; wkrótce potem przysłano tam Hortensyę. Byłyśmy pod szczególną opieką przełożonej, Elżbiety Lamoignon, siostry prezesa parlamentu; uczyłyśmy się języka, nabierały oglady dworskiej."

Marya, niezwykle obdarzona zdolnością, polykała chciwie naukę. Najtrudniejsze przedmioty wcale jej nie odstręczały. Wkrótce powtarzała z pamięci długie ustępy z tragedyi i ulubionych poematów. Spozstrzegła od razu, że jeśli ma zająć ważne miejsce na dworze, musi brak urody zastąpić nauką i blaskiem umysłowym. W przełożonej znalazła dzielną pomoc.

Po dwóch latach pobytu w klasztorze, Marya powróciła do matki: tu nowe czekały ją próby i upokorzenia. Zamiłowana w książkach, znalazła obfity pokarm w bibliotece kardynała: umysł jej rozwijał się z dniem każdym.

"Tak rzeczy stały, pisze Marya w dzienniczku, kiedy matka moja zachorowała. Król odwiedzał ją co wieczór. Wstęp do jej pokoju przy gościach był mi surowo wzbroniony, ale król, któremu podobała się

żywa rozmowa ze mną, zatrzymywał się przy każdym spotkaniu. Krótkie te chwile były mi pociechą w życiu osamotnionem.”

Matka umarła. Na chwilę przed śmiercią, polecając rodzinę kardynałowi, błagała go, aby Maryę nakłonił do klasztoru. Wola matki rozbiła się o stanowczy jej opór.

Sklonność króla do Maryi coraz wyraźniejszy przybierała charakter; w niej też dziwną dostrzeżono przemianę. Czarne jej oko tryaskało żarem, wyraz pełnych życia rysów nagradzał niedoskonałość form klasycznych; zachwycała wszystkich niezrównanym urokiem. Kardynał pobłażliwie patrzył na wzajemną miłość króla i siostrzenicy, widział w tem igraszkę dziecięcą. Królowa Anna ze swej strony chętnie przygarniała Maryę; był to jedyny sposób przyciągnięcia do siebie syna. Wkrótce jednak otworzyły im się oczy, zadrżeli oboje na myśl, że młody król zechce zaślubić Maryę, jak to jej wielokrotnie przysięgał. Blask podobnego związku nie olśnił kardynała. Odkąd podjął na siebie sprawy państwa, jedynym celem jego było zagasić pożar wojny, buchający od Pirenejów na całą Europę. Jeszcze Ludwik był dzieckiem, kiedy postanowił złączyć go z maleńką infantką, a tem samem zapewnić stały pokój Francji. Królowa Anna, siostra króla hiszpańskiego, działała zgodnie z Mazarinim. Marya stanęła im w poprzek drogi.

Ta idylla zamieniła się w dramat. Marya Mancini, to nie wiotka trzcina, chwiejąca się za lada powiewem. Uczucia jej gwałtowne, umysł porywczy, wyobraźnia fantastyczna; lecz duszę miała wzniosłą, serce pełne szlachetnego zapалу, obok niezłomnej woli. Mimo tysiącznych ponęt, jakie ją otaczały, mimo gorszących przykładów, poczucie godności osobistej ustrzegło ją od skazy, według świadectwa samychże nieprzyjaciół.

Z taką jak Marya osobistością wypadało działać energicznie. Kardynał wyprawił ją z siostrami do Rochelli, pod strażą oddanej mu intrygantki, pani de Venel. Marya cierpliwie znosiła to wygnanie; listy króla budziły w niej otuchę; ta jednak słabła, w miarę jak dochodziły wieści o rozpoczętych układach Mazariniego z Hiszpanią. Z Rochelli na rozkaz kardynała przeniesiono siostry do Brousse, pourej fortecy nadmorskiej.

Autorka ubolewa nad losem biednej Maryi. W ciągu pół roku, mówi, okropna to przemiana. Przez lat trzy błyszczała jak gwiazda na świetnym dworze, panowała wyłącznie nad sercem królewskim, dwór cały uchylał przed nią głowę. Król sam zapewniał ją, że podzieli z nim tron Francji, aż tu nagle znalazła się w warownem mieście nad brzegiem oceanu, w towarzystwie wstrętnej kobiety, szpiegnącej ją na każdym kroku, dręczona myślą o zmianie uczuć króla, o rychłym

jego małżeństwie z infantką. W tak rozpaczliwym położeniu, zapra gnęła murem klasztornym ogrodzić się od świata. Nie przyszło jednakże do tego. Podczas gdy królewski dwór przebywał w Prowancyi, kiedy kardynał prowadził układy z Hiszpanią, pozwolono pannom Mancini powrócić do Paryża. Zamieszkały, jak dawniej, w Luwrze; tu każdy przedmiot przypominał Maryi minione chwile. Niepodobna jej było żyć w zupełnem oderwaniu od ludzi, a przy każdym spotkaniu czuła się przedmiotem szyderstwa, lub, co gorsza, litości.

Paryż tymczasem obchodził radośnie wiadomość o zawartym traktacie pirenejskim. Marya, z rozkazu kardynała, była obecna w katedrze, podczas dziękczynnego „Te Deum.” Wieczorem zmuszono ją patrzeć na fajerwerk. Te ciągle tortury znosiła z niepospolitym hartem ducha.

Król, mimo całej miłości dla Maryi, uległ nakoniec potężnej woli Mazariniego, zgodził się na związek z infantką. Po ratyfikacji pokoju, nastąpiło spotkanie młodej pary w Saint Jean de Luz, na granicy hiszpańskiej. Opis tych godów odkryła autorka w liście księdza de Montreuil, naocznego ich świadka. Przytaczamy za nim tę relację, jako ciekawy obraz ówczesnych obyczajów.

„Na kilka dni przed obrzędem, pisze Montreuil, przypadała uroczystość Bożego ciała. Król Filip IV przybył z infantką do miasta swego St Jean de Luz. Przed procesją wysłuchał mszy św. w katedrze: celebrował biskup Pampeluny. Infantka nie ukazała się wcale w kościele, widzieliśmy ją tylko na balkonie królewskiego pałacu.

„Wspaniałą procesję otwierało stu krzepkich rycerzy, ubranych biało, u kolan ich brzęczały dzwonki; każdy w prawej ręce trzymał szpadę, której koniec spoczywał w dłoni sąsiada. Za nimi sunęło w poskokach pięćdziesiąt małych chłopiąt, uderzając do taktu w biskajskie tamburyua. Dalej wystąpiło siedm olbrzymich figur: trzej królowie maurytańscy, a za każdym z nich żona. Nad wszystkimi górował święty Krzysztof. Manekiny te, uplecione z trzciny, powleczone malowaniem płótnem, sięgały głową najwyższych domów: wewnątrz nich mieściło się po trzech ludzi i poruszało je do taktu. Następnie ciągnęło dziesięć wozów, pełnych maryonetek, i różne dziwolągi. Z tych uderzył mnie szczególniej smok, ogromny jak wieloryb: na grzbiecie jego ludzie wyprawiali dziwaczne skoki; nakoniec pojawił się celebrujący biskup z przenajświętszym Sakramentem. Czterej dostojnicy koronni trzymali baldachim, król postępował za nimi z majestatyczną powagą i nieruchomemi oczyma. Wzrost króla okazały, ale rysy wychudłe i głowa całkiem łysa.

„W kilka dni potem, 3 czerwca, odbył się przez prokurację ślub w San Sebastian; dawał go biskup Pampeluny. Don Luiz de Horo, za-

stępujący króla Francyi, wyciągnął rękę do infantki: ona wysunęła też swoją, ale cofnęła ją i złożyła w dłoń ojcowską. W tymże dniu królowa Anna, matka Ludwika XIV, wyprawiała wielki bal w Saint Jean de Luz, po stronie miasta francuskiej. Infantka nie była na nim obecna. Małżonkowie, złączeni przez prokurcyę, wcale się jeszcze nie widzieli.

Nastąpiło wreszcie urzędowe spotkanie dwóch królów, francuskiego i hiszpańskiego. Weszli razem do sali, otoczeni świetnym dworem. Obaj uklękli u stołu, jeden naprzeciw drugiego: każdy z nich położył dłoń na księdze Ewangelii, przysięgli sobie trwałą pokój, poczem uścisnęli się, nie puściwszy z rąk krzyża. Na znak kardynała, dany z okna pałacu, uderzono potrzykroć z dział; niebawem po-za rzeką artylerya hiszpańska takąż odpowiedziała salwą.

Nazajutrz król hiszpański, pysznym otoczony orszakiem, przywiódł córkę do St Jean de Luz, francuskiej dzielnicy miasta. Małżonkowie po raz pierwszy spojrzeli sobie w oczy: po dwóch godzinach rozmowy, królowa Anna zabrała infantkę do siebie.

W owych czasach królowie nie mieli, jak dziś, zwyczaju wydalac się po-za granice swych posiadłości. Co więcej, długoletnia wojna dwóch państw, rozdzielonych granitowym wałem Pirenejów, nie pozwalała na utrzymywanie związków bratnich między królem hiszpańskim, a rodzoną siostrą jego, królową francuską, Anną. Po czterdziesto-pięcioletniem niewidzeniu spotkali się nakoniec. Król pochylił głowę do siostry, lecz nie złożył pocałunku na jej czole; surowa etykieta hiszpańska nie pozwalała na ten objaw miłości bratniej; świadczyły tylko o niej łzy, tryskające obficie z pod ich powiek.

Osobisty ślub młodej pary odbył się 9 czerwca w Fontarabii, w bliskości St Jean de Luz. Droga wyslaną kobiercami postępował pieszo królewski orszak. Otwierał pochód książę Conti, wsparty na ramionach dwóch panów dworskich. Za nim kardynał Mazarini poprzedał króla, strojnego w złotogłów i czarne koronki. Młoda infantka szła za małżonkiem, prowadził ją brat królewski. Miała na sobie szatę fioletową aksamitną i takiż płaszcz, obłożony gronostajami, z powłokiem długim na dziesięć łokci. Ten powłók niosły trzy księżniczki orleańskie w żałobnych welonach, po świeżym skonie ojca. Za niemi szła królowa matka, także powłóczystym przysłoniona welonem.

Prawdziwym tryumfotorem był tu, złamany wiekiem i chorobą, kardynał Mazarini. Ułożony przez niego związek przywracał stały pokój tak Francyi, jak i chrześcijańskiemu światu. Od lat czternastu biegły minister prowadził wytrwale dzieło swoje, z okiem zwróconem w przyszłość. Torował on drogę Burbonom do tronu hiszpańskiego, w miejsce gasnącego domu Habsburgów.

Podczas uroczystych godów królewskich w Pirenejach, Marya, zawiedziona w uczuciach, upokorzona w miłości własnej, znosiła w Paryżu najsrozsze udręczenia. Zbyt dumna, aby wystawić się na litość, połykała w milczeniu gorzkie łzy; otoczona gronem zalotników, przyjmowała sypane jej holdy. Wśród książąt, przebywających w Paryżu, odznaczał się rycerską postawą i niezrównanym blaskiem, Karol, książę Lotaryngii, dzielny szermierz, który w lat dwadzieścia potem miał w odsieczy Wiednia wziąć udział w tryumfach Jana III. Marya Mancini gotową była oddać mu rękę, ale stryj młodziana, panujący książę lotaryński, oparł się stanowczo tym związkom. Nie pragnął ich również kardynał Mazarini; celem jego było oddalić Maryę od francuskiego dworu. Upatrzył wśród wielu innych księcia rzymskiego, Colonnę; przyrzekł mu rękę siostrzenicy.

Podczas tych intryg, nowa, najcięższa próba czekała opuszczoną. Królowa Marya Teresa w parę miesięcy po ślubie przybyła do Paryża. Marya Mancini, w orszaku królowej matki, zmuszoną była patrzeć na wjazd jej tryumfalny. Dziwnym zbiegiem wypadków, znalazła się w jednym z okien pałacu Beauvais, obok pani Scarron, przyszej pani de Maintenon, która w wiele lat później została małżonką Ludwika XIV.

Wspaniały to był pochód: otwierał go król na dzielnym biegunie arabskim, cały błyszczący od pereł i dyamentów; wstęgi srebrne i szkarłatne spływały mu z ramion, pęk piór powiewał na kasku. Za królem ciągnęło rycerstwo, dostojnicy dworscy i paziowie. Dalej toczył się wóz tryumfalny, zaprzężony w sześć duńskich biegunów śnieżnej białości w złocistych rzędach. Na nim, pod baldachimem ze złoto-głowia, siedziała Marya Teresa, sztywna, nieruchoma jak posąg, wykuty z marmuru; skrzydlate amory, gołębie, wieńce allegoryczne, słowem wszelkie godła miłości i pokoju, otaczały królowę, strojną w bezcenne klejnoty. Tłumy witały ją grzmiącym oklaskiem, widząc w niej rękomię pokoju.

Kto wypowie, co w tym dniu wycierpiała Marya. Gdybyż przynajmniej wolno jej było zapłakać, ale obecność królowej matki i kardynała nakazywała jej udawać spokój, kiedy rozpacz szarpała jej serce. Wytrwała przeciw zwycięsko, z głową do góry podniesioną, zniosła pociski tysiąca oczu szyderczo w niej utkwionych; ale skoro przekroczyła próg swej komnaty, upadła na ziemię bez zmysłów. Po nocy spędzonej w łzach, pragnęła ujrzeć kardynała, oznajmiła mu zamiar poślubienia księcia Colonnę.

Kardynał, uszczęśliwiony z pomyslnego skutku długoletnich zabiegów, wyprawił na cześć królewskiej pary przepyszną ucztę, o jakiej świat nie słyszał. Śpiewacy i muzycy, sprowadzeni z Rzymu, wykonali w jego pałacu operę, pod dyrekcją Lullego. Aktorowie z Madrytu

wystąpili z komedią w języku hiszpańskim. Marya, na domiar udęczenia, zmuszoną była czynić honory domu, sama u stołu posługiwać parze królewskiej. Ludwik XIV od powrotu do Paryża okazywał jej chłód, a nawet pogardę; myśl, że gotową była zaślubić młodego księcia Lotaryngii, doprowadzała go do szału.

Dodajmy tu nawiasem, że ów rycerski książę Karol, o ile na polach zapasów łatwo zdobywał wieńce z wawrzynu, o tyle w uczuciach gorzkie raz po raz napotykał zawody. W lat kilka potem, przebywając na dworze rakuskim, ukochał siostrę cesarską, Eleonorę, i pozyskał wzajemną jej miłość. Arcyksiężniczka tymczasem, ze względów politycznych, zmuszoną była do związku z Michałem Korybutem Wiśniowieckim, gdy ten otrzymał koronę polską. W lat kilka dopiero, po skonie Michała, oddała rękę wiernemu jej księciu Lotaryngii.

Ale powróćmy do Maryi. Kardynał, czując siły gasnące, w przewidywaniu rychłej śmierci, postanowił, bądź co bądź, połączyć siostrzenicę z księciem Colonną, aby oddalić ją z Paryża i postawić niezłomną zaporę pomiędzy nią a królem. Parę miesięcy ubiegło na układach: choroba kardynała tymczasem coraz groźniejszy przybierała charakter. Na kilka dni przed skonem, podpisał kontrakt ślubny Maryi z nieobecnym małżonkiem, poczem udał się do zamku Vincennes, gdzie dwór za nim pośpieszył. Królowa Anna bez ustanku odwiedzała chorego, lecz sam jej widok dziwnie był mu wstrętnym. Słyszając, że się zbliża, marszczył brwi, szeptał stłumionym głosem:

— Aa! ta kobieta dobija mnie!... nigdyż mi nie da spocząć!

Skon jego prawdziwie był chrześcijański. Z rana 6 marca posłał kartkę do proboszcza swej parafii w Paryżu, prosząc by przybył śpiesznie.

— „Nie rad jestem z siebie — rzekł do kapłana — pragnąłbym czuć głębszą skruchę za moje winy. Jestem wielkim przestępcą, w miłosierdziu Bożem cała moja nadzieja.”

Z wielką pobożnością przyjął ostatnie namaszczenie. Nazajutrz potem prosił, by odprawiono mszę w jego pokoju, dodając, że nigdy w życiu nie wysłuchał żadnej, zgodnie z intencją kościoła. Kapłan zapytał go, czy nie zechce dać publicznie zadostuuczynienie za wszystkie zgorszenia i skandale, jakich się za życia dopuścił? „Chętnie” — odrzekł kardynał, a wzięwszy w rękę zapaloną gromnicę, z odkrytą głową uczynił akt skruchy. błagał Boga o odpuszczenie grzechów, przepraszał obecnych za wyrządzone im krzywdy. Patrzył on śmierci oko w oko. „Miejmy odwagę, powtarzał, trzeba cierpieć.” Po północy, gdy kapłan podał mu krucyfiks, ucałował go i skonał.

Marya na chwilę przedtem, z siostrą Hortensyą i bratem Filipem, przeszła do bocznego pokoju. Niebawem kamerdyner kardynała oznaj-

mił im, że wszystko skończone. Wrażenie z odebranej wiadomości tak zapisała Hortensya w pamiętniku:

„Brat mój i siostra spojrzeli na siebie i wyszeptali razem: „Chwała Bogu, zdechł przecie! (il est crevé).” Prawdę mówiąc, i mnie to nie obeszło. Rzecz dziwna, mówi dalej, człowiek, który takie położył zasługi, który tak podniósł i wzbogacił rodzinę, otrzymał tylko po śmierci dowody najwyższego wstretu. Ależ on okrutnie się z nami obchodził. Wobec ludzi pełen słodyczy, w domu prawdziwym był tyranem.”

Sama tylko królowa Anna szczerze opłakiwała kardynała. Autorka przytacza na świadectwo listy i zapiski współczesnych, że królowa matka, wdowa po Ludwiku XIII-ym, zaślubiła potajemnie Mazariniego. Mimo tytułu kardynała, nie przyjął on nigdy święceń kapłańskich, wzbraniających małżeństwa. Wierna sługa i powiernica królowej, pani de Beauvais, sama jedna wiedziała o tych związkach, co było powodem wielkiego jej wpływu na dworze.

Po śmierci kardynała, król, uwolniony z ciężącej mu opieki, usiłował zbliżyć się znów do Maryi, ale ze strony jej stanowczy napotkał opór. W chwili ostatniego rozstania, przyrzekli sobie oboje dożgonną przyjaźń. Zaślubiona przez prokurację z księciem Colonną, Marya, z licznym dworem, pod silną strażą, pośpieszyła do Medyolanu, gdzie nieznanym małżonkiem przybył na jej spotkanie. Pod wpływem tyłu gwałtownych wstrząśnień, siły ją opuściły. W dalszej podróży niebezpieczna choroba zatrzymała ją w Lorecie; nie prędko też przybyła z małżonkiem do Rzymu.

„Tak się skończył romans Wielkiego Króla, dodaje w końcu autorka. Wkrótce pamięć Maryi zatarły nowe ideały: La Valière, Montespan i tyle innych. Dla opuszczonej jedyną pociechą było przekonanie, że żadna kobieta nie obudziła w Ludwiku XIV tak czystych i tak rycerskich uczuć. Co do Maryi, miłość jej skończyła się dopiero z życiem: może kiedyś wrócimy jeszcze do niej.”

---

Pod firmą Didot'a wyszła jedna z najznakomitszych publikacji, jakimi współczesna literatura pochwilić się może. Mówimy o pracy p. Jusserand'a p. t. „Historja literacka ludu angielskiego, od pierwszych początków do czasów odrodzenia.” Imię p. Jusserand'a znane już dobrze w świecie naukowym. Przed laty dziesięciu wydał on ważne dzieło: „Anglicy w średnich wiekach. Życie koczownicze na drogach angielskich w XIV wieku.” Zdawaliśmy w swoim czasie sprawę z tej wielce zajmującej książki, uwieńczonej słusznie na konkursie akademickim.

Następnie opracował autor pełne erudycji badania o teatrze angielskim, od podboju Normandów francuskich, do ostatnich poprzedni-

ków Szekspira (1060—1582). Wielki tom obecnie wydany jest rozszerzeniem dwóch poprzednich prac, a początkiem trzytomowej publikacji, która obejmie studia nad Szekspirem i cały bieg nowożytnej literatury aż do obecnych czasów.

P. Jusserand, dzięki erudycji połączonej z żywotną werwą, wyrobił sobie zaszczytne stanowisko w naukowym świecie angielskim. Rada uniwersytecka zapisała imię jego w liczbie autorów, zaleconych uczniom, sposobiącym się do baccalaureatu.

Ta literatura ludu angielskiego, to charakterystyczny obraz myśli angielskiej, zachowany w pomnikach piśmiennych i zabytkach różnego rodzaju. Autor zaznacza tu odrębne żywioły, szczepione w paśmie wieków jedno na drugich, z których wyrosła oryginalna całość. Wbrew krytykom, utrzymującym dziś, że jakoby szczep anglo-saksoński pochłonął w siebie inne, Jusserand podnosi znaczenie celtycko-bretonskiego, któremu Anglia zawdzięcza pierwszy posiew cywilizacyjny. „Wiadomo nam, mówi on, że w V wieku, po wielkiej bitwie w Kent, najeźdźcy saksońscy sprawili okropną rzeź pomiędzy tubylcami, że miasto ich, Chester, zrównali z ziemią i wycięli do nogi mieszkańców; wiadomo nam także, iż zbrojne zastępy Bretonów, przekładając wygnanie nad niewolę, schroniły się w niedostępne góry Gallijskie; wiadomo na koniec, że język celtycki zaniechany został w południowej, środkowej i wschodniej stronie wyspy, gdy zapanowali tam Saksonowie. Z drugiej strony jednak pokazują nam fakta, że pokonany lud przetrwał obok zwycięzców. Bretonowie i Saksoni śpią obok siebie na cmentarzyskach tej epoki; łatwo stąd przypuścić, że musieli żyć obok siebie. Sakson. osiadły w Anglii, zachował umysł dziki krył się w warownych zameczyskach, uciekał od miast jak od grobów, gardził uprawą ziemi. Któż więc orał ją i posiewał? kto w spustoszonych miastach uprawiał pierwotny przemysł? Bezwątpienia Celt, żyjący w pogardzie i poniżeniu.

Chryścjanizm, opowiadany przez celtyckich apostołów, przybyłych z Irlandyi, św. Patryka, Kolumbana i Kuthberta, złagodził obyczaje Saksonów i przyczynił się do pojednania dwóch wrogich ludów. Idąc za wywodami autora, widzimy tu jakoby małżeństwo, osiadłe we wspólnym domu. Sakson występuje tu jako wszechwładny pan i mąż, Celt jako cierpliwa małżonka. Klóćą się, nienawidzą w tym domu, ale obok rodziców wyrasta grono dzieci: z tych jedne idą za ojcem, drugie za matką; niektóre okazują dwoisty, częstokroć sprzeczny charakter. Z tych dzieci dojrzewają ludzie smutni i weseli zarazem, symboliści i przesiąkli nawskróś realizmem, poeci i handlarze, zamilowani w domowem ognisku, a mimo to gotowi uganiać się za przygodami po świecie. Ten dualizm zajmował uwagę myślicieli. Nakoniec oba żywioły



stopiły się harmonijnie w najsłynniejszym z tych dzieci—genialnym Szekspirze. Dla tego-to on przedstawia całą duszę angielską. Celt wlał w tę duszę niezrównany wdzięk, woń kwiatów, formę artystyczną i literacką; Sakson dał jej potężny hart, swoją cechę rodową, krzepki instynkt moralny, niezłomną siłę woli.

Z kolei przechodzi Jusserand do najazdu Normandów francuskich; żywo przedstawia tę epokę dziejową. Pokazuje dalej pierwszy rozkwit latynizmu w Anglii, przy końcu średnich wieków.

Do prawdziwych arcydzieł krytyki musimy zaliczyć studium nad Chaucerem, któremu Anglia zawdzięcza utworzenie literatury i ustalenie języka.

Życie Chaucera, mówi autor, jest niejako streszczonem życiem narodu angielskiego. Naród wzbogaca się przez handel. Chaucer, z rodziny zamożnych handlarzy, rośnie pomiędzy nimi. Król Edward III rozpoczyna wojnę przeciw Francji; Chaucer chwyta za oręż, idzie z królem, ujęty w polu bitwy, przebywa we Francji jako jeniec. Wykupiony przez króla, zostaje poufnym jego sługą. Edward, widząc zamiłowanie jego w sztukach pięknych, mianuje go konserwatorem swych pałaców i zbiorów artystycznych. Życie w Anglii nagle się przeistacza, smutna pamięć najazdów Hastingsa zaciera się pomału. Dobrobyt wzrasta, z nim wesołość ogarnia Anglików. Chaucer chwyta ową radosną nutę, staje się żywotnym wyrazem społeczeństwa epoki swojej.

Nadchodzi czas wędrówek. Od r. 1370, Chaucer spędził dziesięć lat na stałym lądzie. Wyprawiany w misjach dyplomatycznych, jako pełnomocnik Edwarda, a następnie Ryszarda II-go, spędził naprzód dwa lata we Francji, udał się potem do Włoch, gdzie żył jeszcze Petrarka i Boccacyusz, gdzie pamięć Danta żywo przemawiała z poza grobu. Rzecz dziwna, najoryginalniejszy z poetów angielskich pochłania pełną piersią oba wzory. Od Francuzów przyswaja sobie „Romans Boży”, od Włochów komedię Boską Dantego i powieści Boccacyusza. Przerabia to wszystko na swój sposób, ożywia tchnieniem własnego gieniuszu; z tych i obcych wzorów tworzy prawdziwie oryginalne poemata. Za pierwszorządne arcydzieło jego uważają powszechnie *powieści kantuaryjskie*; myśl do nich pochwycił ze słynnych powieści Boccacyusza. Jak włoski pisarz wziął za tło czasy morowego powietrza we Florencji, kiedy, dla skrócenia czasu, przerażone grono przyjaciół opowiada sobie różne przygody z życia, tak Chaucer pokazuje tłum pobożnego ludu dążący do grobu św. Tomasza w Cantorbery. Podczas codziennych wypoczynków, pielgrzymi opowiadają niezliczone historie. Cały lud angielski rusza się i żyje w tych obrazach. Charaktery pochwycone żywcem z natury, oddane najwierniej. Obok wielkich panów

roją się tu mieszczanie, rzemieślnicy i ubodzy kmiecie z pod strzechy. Każdy przemawia po swojemu; wypadki silnie udramatyzowane, najrzewniejsze sceny ożywione humorystyczną werwą. Czytając ten szereg samoistnych opowieści, nikt nie pomyśli o Bokokacyszku, wszystko tu szczerze narodowe.

„Dom Sławy” Chaucera, zbudowany na Boskiej komedyi, ale całkiem odmienny. Złoty orzeł spływa z niebiosów, rozpościera skrzydła, unosi poetę po-nad obłoki, do świątyni wspartej na lodowej opoce; we wnętrzu świątyni, wśród całego rojowiska minstrelów, gęździarzy, czarodziejów, żyjących nieśmiertelnym życiem, wznoszą się posągi ubóstwionych wieszczów: Homera, Wergilego, Owidyusza, i najsłynniejszych bohaterów w dziejach świata. Na rozkaz *Sławy*, wiatr roznosi te imiona — na cztery strony kuli ziemskiej, przy dźwięku rycerskiej melodyi. W progi przybytku garną się nieprzeliczone tłumy, spragnione nieśmiertelnych wawrzynów, kreślą imiona swoje na zewnętrznej ścianie świątyni, lecz imiona wnet topnieją na słońcu — i nic z nich nie zostaje. Te różnolite grupy maluje poeta z werwą i niewyczerpanym humorem.

Oprócz owych utworów Chaucer pozostawił niezliczoną moc oryginalnych pieśni, wiele z nich osnuł na odwiecznych podaniach i legendach. Śpiewał do ostatniego tchnienia. Umarł w r. 1399, wraz z kończącym się wiekiem, nad którym imię jego zapanowało w Anglii. Pogrzebano go w Westminsterze, w bliskości grobowców Edwarda III i Ryszarda II, w miejscu zwanem odtąd zakątkiem poetów, gdzie niedawno spoczął Tennyson.

Sława Chaucera pozostała chwałą narodową. Spencer widzi w jego utworach najczystsze źródło języka angielskiego; Sydney podnosi go pod obłoki. W XV wieku Pope i Walpole głoszą jego nieśmiertelną chwałę. Utworzyło się wreszcie towarzystwo *Chaucer-Society*, zajmujące się wydawaniem i komentowaniem jego prac, oraz wyszukiwaniem źródeł biograficznych.

Jusserand przebiega dalej cały szereg następców Chaucera, zaznacza w nich stopniowy upadek poezyi angielskiej. Zakończa tom obrazem wschodzącej zorzy odrodzenia.

„W owej Italii, mówi autor, którą Chaucer zwiedził w XIV wieku, zamiłowanie starożytności wzrastało coraz bardziej w wieku XV. Nie wystarczali już Latyni, trzeba było sięgnąć do Greków. Petrarca szanował manuskrypta Homera, lecz mieni go niemym *fetyszem*. Tymczasem bożyszcze przemówiło i głosi wyroki zrozumiałe dla świata. Miasto cesarzów greckich trzyma się jeszcze, literatura rzuca blask ostatni. Podczas gdy nieprzyjaciel stoi u bram, uczeni poprawiają gramatykę, sięgają do źródeł, odrzucają naleciałe wyrazy, odnawiają sta-

rożytny język Demostenesa. Nigdy miasto Konstantyna nie było bardziej greckiem, jak w przeddzień swego upadku. Sława jego retorów rozchodzi się daleko. Uczni przybywają z Włoch, aby karmić się wymową sławnego Chryzostoma i tylu innych.

„Ale godzina uderzyła: skończyła się era Krucyat. Odparty prąd muzułmański zbiera z potężną siłą; chrześcijaństwo ustępuje. Nie potrzeba już iść do Jeruzolimy, aby toczyć walkę z niewiernymi; pole zapasów otwarte w Nikopolis i Bosforze. Słynne miasta świata greckiego upadają jedne po drugich; wygnani gramatycy szukają przytułku na dworach świątliwych książąt włoskich, przynoszą manuskrypta. Jedni, jak Teodor Gaza, wygnani z Tessaloniki, nauczają w Mantui i Sienie, inni przybywają z Trebizondy.

Na tronie Paleologów panuje Konstanty Dragasses. Turcy porzucili już stołeczną Brusę, zostawili za sobą „miasto zielonych meczetów”, olbrzymie platany, pnące się winogrady i grobowce Kalifów. Przeszli Bosfor, osiedlili się w Salonice, Sofii, Philippopoli, w Adrianopolu założyli tymczasową stolicę. Mohamed II-gi włada nimi. Naprzeciw zamku azyatyckiego zbudował nad Bosforem zamek europejski, Rumel-Hissar o różowych wieżycach. On już panem obu wybrzeży.

Zbliża się do stolicy, grupuje zastępy wzdłuż muru od strony europejskiej, ma sto pięćdziesiąt armat, rozpoczyna kanonadę 11 kwietnia 1454 roku. Przystępuje do szturm 28 maja, podczas kiedy w Bizancjum rozwija się po raz ostatni procesya kapłanów i zakonników, z prawdziwym krzyżem Zbawiciela, z relikwiami świętych. Szturm zaczęty przed świtem, odłam bramy św. Romana pada w gruzy, brama Cercoporta zdobyta, walka toczy się w samym mieście. Cesarz ubity, Bazylika św. Zofii, przed chwilą pełna modlącego się tłumu, zavalona stosami trupów. Dym pożarny wzbija się pod obłoki.

Kto może, ucieka. Grecy tłoczą się do Włoch, ze zburzonych bibliotek unoszą manuskrypta. Mikołaj V-ty i kardynał Bessarion wzbogacili niemi Rzym i Wenecję. Następstwem tej klęski stał się dla Europy nowy popęd do nauk klasycznych.

Z łuną pożarną polyska nowa zorza. Promienie jej miały naprzód oświecić Włochy i Francję, a potem zwrócić się na północ i ogarnąć Anglię.

W następnym tomie Jusserand obejmuje epokę odrodzenia do czasów Popego, trzeci tom dociągnie do czasów dzisiejszych.

---

Właśnie kiedy wyprawialiśmy kronikę sierpniową, umarł tu znany poeta, Leconte de Lisle, członek akademii francuskiej. Mimo wyrafinowanej formy wiersza, połączonej z głęboką erudycją, nie zdobył on

przecież popularności; dla ogółu nie dosyć był zrozumiałym, innych znów raził buddyjskim nihilizmem, cechującym głównie jego poetyczne utwory.

Zanim obejmiemy całość prac zmarłego poety, kiedy obiór następny w akademii zwróci nań uwagę świata literackiego, powiedzmy dziś o nim słów kilka. Urodzony w r. 1818 na drugiej półkuli świata w posiadłościach francuskich, wcześniej opuścił wyspę Bourbon (dziś Reunion). Zanim osiedlił się stale w Paryżu, odbył podróż do Indyi wschodnich. Tam w zetknięciu z wyznawcami Buddy przesiąkł do gruntu nihilizmem: on pierwszy wprowadził Nirwanę do poezji francuskiej i stał się żarliwym jej apologistą. W długim szeregu poematów opiewa mityczne bożyszcza panteonu wschodniego: Rhaganasta, Kunaceya, Siwę i setki innych. Później, nawet w utworach zaczerpniętych z greckich tradycji, widzi tylko w mytach Homera i Hezyoda odbicie Nirwany buddyjskiej. W ubóstwionej przyrodzie porywa go szczególnie siła niszcząca. Z Biblii upodobał sobie przedewszystkiem Kaina: w obszernym i zawikłanym poemacie opiewa go jako Prometeusza, obrzyna promienistego, w walce z wiecznym pomrokiem.

Wśród tych chaotycznych pomysłów, Leconte de Lille miał przecież chwilę wzniesłego natchnienia. W r. 1856 utworzył poemat p. t. „Droga Krzyżowa”, ogłoszony w ilustrowanem wydaniu; poświęcił go matce swojej.

Cudny dramat rozpoczyna poeta od modlitwy na górze Oliwnej. Apostołowie znużeni śpią pod cieniem drzew. Zbawiciel ogarnia myślą wszystkie wieki: przeszłość i przyszłość, zatopiona w oceanie krwi, staje mu przed oczyma; lzy tryskają mu z powiek, śmiertelny pot spływa po bładem czole. A gdy wyrzekł: „Panie bądź wola Twoja!” aniołowie otaczają go w milczeniu, wicher tylko jęczy przeraźliwie; rozdiera kłęby chmur na widnokregu.

I ujrzano zdaleka czarne miasta mury,  
Pełzające w pomroku u stóp stromej góry,  
A na szeroką przestrzeń rzuca połysk błady  
Pochodnia nienawiści i piekielnej zdrady.

Poeta ukazuje pierwszą stacyę: Potępiono sprawiedliwego. Tłum z wraskiem otoczył pretoryum. Sędzia drży przerażony na widok Zbawiciela, stąpającego spokojnie pod gradem kłatw i obelg, tak gorąco ukochanego ludu.

Leconte de Lisle przeklina Piłata, że obłudnik umywa ręce ze krwi, wydanej na pastwę wścieklej zgrai. „Nic nie zdola obmyć tych rąk, uczerwionych krwią Boga.”

Na widok Jezusa, obarczonego krzyżem, poeta wola ze zgrozą „Niegdyś w dniach tryumfu, kiedy anioł ugodził Assyryjczyka płomienistym mieczem, Jeruzolima wydała okrzyk swobody i dumy. Dziś tenże radosny okrzyk wydaje wobec Syna człowieczego, gdy nikczemnicy ciągną go na śmierć, gotowi ukrzyżować go pomiędzy łotrami.”

„Ależ słowo, które miało stać się ciałem, przejrzało to od wieków. Kiedy namiot z błękitu rozpościerał Stwórca nad światem, kiedy wtaczał wody oceanu w niezgłębione otchłanie, wówczas już odkupował świat nowo zrodzony i poświęcał się na ofiarę za człowieka!

„Jezus upada pod krzyżem. Co mówią duchy światłości i aniołowie niebiescy wobec tego obrazu? Drżą, pełni poszanowania, miłości i trwogi, na widok Zbawiciela, znoszącego z pokorą obelgi i potwarze!

„Kościół, który za chwilę oplakiwać będzie Oblubieńca, nie traci przecież nadziei, bo wie, że Chrystus nieśmiertelny, że przekazuje mu siłę i ducha swego. Kościół podźwignie się, podejmie w objęcia świat osierocony, i twardą drogą, po strumieniach krwi przeczystej, przywiedzie wierną gromadkę do stóp Odkupiciela.”

Poeta, idąc w ślad za Chrystusem na sam szczyt Golgoty, opiewa każdą chwilę zgodnie z tekstem, zapisanym w Ewangelii. Przecudny ustęp poświęca Maryi, stojącej pod krzyżem z piersią przebitą, tej Matce Bożej, w której zbolale matki znajdują w pasmie wieków nieomylną otuchę.

Po drodze krzyżowej poeta wygłasza najszczytniejsze *Hosanna*; opiewa spełnione słowa proroków, ukazuje Zbawiciela świata, wiekuliście otoczonego chwałą.

Ów poemat, słuszenie nazwany arcydziełem przez miłośników prawdziwej poezji, poszedł dziś w zapomnienie. Leconte de Lisle, nie szczęśliwą wiedziony myślą, usunął go z kompletnego zbioru swoich utworów poetycznych. W duchu poety ciemność przemogła nad światłem. Apologista Nirwany nie chciał złowrogiej postaci Kaina przyćmić blaskiem najwyższego ideału miłości i ofiary.

W poematach *Barbarzyńskich* i *Starożytnych*, przy najwytworniejszej formie, panuje nuta dzika, powiewa z nich jakiś chłód lodowaty. A przecież Leconte de Lisle umiał wydobyć z piersi rzewne tony, gdy wspomina rodzinną wyspę swoją, gdzie pod słońcem zwrotnikowem, wśród cudów przyrody, przepląsał młode lata. Przytaczamy w słabem tłumaczeniu ten obrazek, tak odmienny od innych utworów przesiąkniętego pesymizmem poety.

U Krzyża, między góry skalistemi ściany,  
Do dumań cię samotna przynęca dolina;  
Ludzkimi do niej stopy szlak nie wydeptany

Nie odbrzmieją tu morza huczące bałwany,  
Ni szmer ludzki. O świecie człowiek zapomina.

Wiatr kołyszże powoje zdobne w dzwonki świeże  
W ich kielichn śpi błogo szerszeu miodu syty,  
Wał ostrych aloesów przystępu tu strzeże,  
I słodko tonie ucho w żywych wód poszmerze,  
Gdy zdrój przez rozpękane sączy się granity.

A gdy rzuci na góry świt rąbek różowy,  
Ona rajska dolinka, zielen umajona,  
Spowija skał olbrzymich rosochate głowy  
Przed słonecznym promieniem w płat mgły fiolkowy,  
Co chłodnemi tumany bucha z pieczar łona.

Gdy południe z błękitu białą lawę toczy,  
Jej żar, wstrzyman w polocie konary ciemnymi,  
Deszczem dyamentowym pryska w drzew pomroczy,  
Po gałązkach zielonych drga promień uroczy,  
Zanim plamy ogniste rozsiejie po ziemi.

Niekiedy koza dzika wesołym poskokiem,  
Z wytężonemi słuchy, pomknie z wrzosów cieniu,  
Otrząśnie z grzbietu rosę, wkrąg zatoczy wzrokiem,  
Wodę, w skały korycie zebraną głębokiem,  
Pije chciwie, na drżącym oparta kamieniu.

I rój swawolnych ptasząt przelata w swobodzie  
Z gałązki na gałązkę, z murawy na kwiatki,  
Te piórka szmaragdowe trzepią w zimnej wodzie,  
I suszą pierś na słonku, gdy chłód ją przechodzie,  
Tam na gniazdach piskłeta tulą się do matki.

Uroczyste brzmią chóry po jasnym lazurze,  
Tu miłość wabi słodko, tam tęskno się żali,  
Śmiech, radość i wesele, pustota, serc burze  
Tak wdzięcznie się zlewają w harmonijnym chórze,  
Że spokoju powietrznej nie zamącą fali.

A dusza, upojona tą chwilą szczęśliwą,  
Czarodziejskich uroków złoty wątek plecie.  
Czuje się ptakiem, kwiatem, światłem, wodą żywą,  
Chwyta z matką przyrodą stargane ogniwo,  
I na ciche jej łono powraca jak dziecię.

Leconte de Lisle okazywał stale najwyższą cześć dla geniuszu Wiktora Hugo, mieni go inicjatorem swoim. „Nie wspomnę nigdy bez głębokiej wdzięczności, mówi on, wrażenia, jakie w młodzięcym wieku sprawiły na mnie pieśni wschodnie (*les Orientales*), w górach rodzinnej wyspy mojej. Świat nowy, pełen blasku, otworzył się nagle przed oczyma mojemu. Podziwiałem bogactwo obrazów. Porwał mnie ten liryzm pełen ruchu i życia, ten język jasny, tak dziwnie harmonijny.”

Cześć tę zachował do końca. W mniemaniu jego Francya współczesna dwóch tylko miała poetów: jednym był Hugo, drugim on. To też kiedy po raz pierwszy podał się na członka akademii francuskiej, a otrzymał jedyny głos uwielbionego mistrza, napisał do niego: „jestem akademikiem, bo ty mnie mianowałaś.”

Lat kilka upłynęło: Leconte de Lisle otrzymał krzesło po zmarłym Wiktorem Hugo w r. 1887. Wybór ten, dokonany większością głosów, nie zadowolił jednak całego grona. Aleksander Dumas, naówczas kanclerz akademii, w mowie powitalnej rzucił wbrew poecie gorzkie, lecz zasłużone, słowa prawdy. „Nauka ani forma, rzekł, nie utworzą dzieł nieśmiertelnych; bałwochwalcze ubóstwienie *piękna* nie mogło wystarczyć ludzkości, przez Ewangelię przyszła ona dopiero do miłości i poszanowania *dobra*. W pojęciu prawdziwego Boga czerpał Dante natchnienie do Boskiej komedyi, Klopstock do Messyady, Kornel do Polieukta, Raszyn do Athalii, Milton do Raju utraconego. Pamiętajmy, że Musset gorzko ubolewał nad tym poetą, który nie umie pomodlić się, ani zapłakać.”

W ostatnich latach życia, Leconte de Lisle żalosnem okiem patrzył na upadek poetycznej literatury. Rozmiłowany w pięknej formie, czuł wstręt do poetów naturalistycznych nowej szkoły. Gorzko utyskiwał na dekadentów, z żalem przepowiadał bliską śmierć literaturze. Powstawał z najwyższem oburzeniem na skażony smak publiczności, na pragnienie palących narkotyków i pokarmów zatrutych jadem. Nie rozumiał, jak można było chwalić Verlaina, wyrzucał krytykom, że podnosili niekiedy „tę zgniliznę szpitalną.” Każda zniewaga języka francuskiego sprawiała mu niewymowną boleść i budziła w nim wstręt do dekadentów. Często utyskiwał na epidemię, która, jak mówił, „pochlania dziś część literatury francuskiej i zaraża ostatnie lata wieku, tak świetnie rozpoczętego.”

W pierwszym rządzie *przestępców* literackich stawiał Emila Zolę. Kiedy naczelnik szkoły naturalistycznej odwiedził go, jako kandydat do Akademii, przyjął go najzimniej i oświadczył, że nietylko sam odmówi mu głosu, ale będzie ile sił działał przeciwko niemu. Dotrzymał słowa: Zola nie znalazł groźniejszego przeciwnika. Cytował z pogardą

ustępy z *Ziemi, Assomuaru* i innych podobnych utworów, dowodząc, że autor takich bezceństw nie może zająć miejsca w gronie akademickim.

Gwałty anarchistów zraziły go do idei rewolucyjnych, którym niegdyś hołdował. Spostrzegł groźące Francyi niebezpieczeństwo. W ostatnich też latach życia przemienił się widocznie. Dawne uprzedzenia przeciw religii chrześcijańskiej zwołna go opuszczały. Do zupełnego nawrócenia może tylko zabrakło czasu. Wdowa wyprawiała mu pogrzeb religijny w kościele św. Sulpicyusza.

---

Szkoła *dekadentów* w literaturze stała się dziś we Francyi przedmiotem krytycznych badań. Jedni szydą z niej, wykazują śmieszna stronę jej adeptów; inni tymczasem sięgają głębiej, wyjaśniają przyczyny nowego zwrotu, opierają się na tradycyi. Według ich historycznych wywodów, najświetniejsze epoki literackie wydawały nasamprzód całe zastępy naśladowców, po tych zaś szli dekadenci i doprowadzali literaturę do zupełnego upadku; ostatnia jej iskierka tliła za ledwie pod popiołem. Wówczas-to następowała reakcja. Nowa idea zapanowała w świecie; objawiła się naprzód w odrodzonym życiu społeczeństw. Z olbrzymich czynów wykwitła nowa literatura. Tak było u starożytnych Hellenów i Rzymian; toż samo powtarzało się na mniejszą lub większą skalę i w świecie nowożytnym.

W chwilach każdego dziejowego przełomu, kiedy potężna idea pchnęła ludzkość na nowe tory, wobec wielkich czynów musiało zmilknąć słowo. Później dopiero społeczeństwo, nowym wykarmione ideałem, odzyskiwało pomału swoje prawa. Ludzie potrzebowali oddziaływać wzajem na siebie, udzielać sobie nowych myśli. Rozpoczynano od wymowy; zapal objawiał się liryzmem. Później opowiadano spełnione fakta, przetrwane próby, stoczone walki, odniesione tryumfy. Tym sposobem powstała epopeja. Aby tem silniej porwać umysły, zamiast opowiadania, poczęto wyprowadzać na scenę bohaterów, ukazywać ich w chwili działania, drgających życiem, nieraz posuniętem do szału. Tak powstał dramat. I nowa literatura zrodziła się z wielkiego wstrząśnienia umysłów, wykarmionych nowym ideałem.

Podobna reakcja wielokrotnie powtarzała się w sztuce i daje na przyszłość otuchę, że się jeszcze powtórzy. Stąd krytyka dzisiejsza zwróciła uwagę na owe chwile zmierzchu, po jakich następuje zawsze nowy przedświt. Erudyci oddali się pilnie tym badaniom. Uczony Lafaye wydał dzieło o szkole aleksandryjskiej, która zaznacza dekadentyzm u Hellenów. Monceaux rozebrał trzy tomy poetów afrykańskich między I a IV wiekiem ery naszej, na których kończy się szereg



pisarzy starożytnego Rzymu. Do tego działu krytycznych prac należy nowa książka słynnego Hellenisty, Henryka Puvre, p. t. *Meleagr z Gadary*. W tym słodkim poecie szkoły Aleksandryjskiej przedstawia autor *dekadenta* literatury greckiej. Nieodrodny Grek, kocha on przyrodę, ale ją pokazuje z drobnej strony. Zrodzony na granicach Syrii, nie wspomina gór, mimo że dzieckiem pisał pod cieniem Libanu, nie opisuje morskich fal, mimo że młodość spędził w Tyrze. Zatrzymuje się chętnie nad gałązką wawrzynu, nad modrym bławatkiem, nad konikiem polnym, śpiewającym wśród trawy; na szersze obrazy brak mu twórczego tchnienia. On-to sprowadził bożka miłości do małych rozmiań. Już to nie ów krzepki młodzian, rzucający postrach w dramatach Eurypidesa i Sofoklesa; u Meleagra to małeńki swawolnik, ulubieniec Olimpu, płatający psoty swoją drobniuchną strzałką. Tego-to amorka podjęli klasycy nowożytni, ten panował w literaturze aż do czasu, kiedy ośmieszony przez romantyków musiał ustąpić z poezyi.

W postaci Meleagra z Gadary erudyta francuski skreślił wierny obraz dekadentów dzisiejszych. Pokazał on, że ów dekadentyzm, w którym niektórzy widzą przedświt, nie jest czem innym, jak zmierzchem, zwiastunem ciemnej nocy. Nie wątpi krytyk, że po tej nocy zabłyśnie jutrzeńka, ale wówczas dopiero, kiedy wielki ideał objawi się w życiu ludów, pociągnie do wielkich czynów i ofiar — słowem, gdy „zerwie z posad bryłę świata i nowemi popchnie ją tory.”

Do chwały kończącego się wieku wielce się przyczyniły prace archeologów francuskich. Śladem Champolliona, który odczytał pierwszy napisy na pomnikach i papyrusach, odwieczną pokryte tajemnicą, poszedł Mariette Bey, założyciel słynnego muzeum Boulaq pod Kairem; po nim wystąpił Maspero. Z piasków pustyni odkopał olbrzymie sfinksy, a z wnętrza piramid wydobyl niezliczone szczątki odwiecznej cywilizacji, zagrzebane w grobowcach Faraonów.

Obok tych wielkich pracowników, zdobył dziś imię uczonego starożytnik Naville. Od lat dwunastu prowadzi on w Egipcie prace archeologiczne: bogate z nich nabytki opisał w sześciu tomach, zdobnych ilustracją. Zdaniem uczonych, badania jego rzucają nowe światło na odwieczne dzieje Egiptu.

Naville odłożył na czas późniejszy Teby i Memfis, gdzie pozostało jeszcze mnóstwo przywalonych ziemią zabytków. Zwrócił naprzód uwagę na inne zapomniane miejscowości, które znał niegdyś i wspominał Herodot. Do takich należy Bubastis (Tel-Basta), słynny świątynią bogini *Kolki* i wyprawianemi na jej cześć igrzyskami. Z owej świątyni pozostały ledwie rozrzucone kamienie i odłamy potrzaskanych pila-

strów. Nie uląkł się pracy Naville, przez lat dwa zbierał cierpliwie te okruchy i utworzył z nich całość. Poświęcił na to dwa tomy, dopełnione planem i setką ilustrowanych tablic.

Szczególną zwraca uwagę odtworzona w świątyni sala obrzędowa. Zbudował ją Oroskon II-gi w połowie IX wieku przed erą chrześcijańską, na obchód swej koronacji. Malowidło przedstawia monarchę i kapłanów ze wszystkich miast egipskich, dwór Faraona, i wojsko, i niewolników, i tłum prostego ludu. Oroskon wychodzi z pałacu, by odwiedzić ojca swego, Ammona. Wstępuje do świątyni, patrzy w oblicze bóstwa. Ammon wita go z miłością, wprowadza do grona nieśmiertelnych; Faraon staje się z kolei bóstwem, odbiera hołdy i modły ludu swego—procesya rozwija się przy radosnym poklasku tłumów; żołnierze wyprawiają płasy wojenne; karły i negry skaczą. Tam znów orszak powraca do pałacu, ubóstwiony Oroskon wyprawia ucztę dla dworzan, lud biesiaduje wesoło. Scena ta, pełna życia, nasuwa nowy pogląd uczonym. „Rzecz dziwna, mówi Maspero, ten Egipt, który, rozpatrywany według mumii, ma pozór tak ponury i żalobny, był jednym z najweselszych krajów w starożytności. Fellah, tak wówczas, jak i dziś, miał umysł bystry i sarkastyczny; skory do śmiechu, łatwo zapomniał trosk i trudów codziennego życia, z dziecięcą naiwnością oddawał się zabawie. Mimo całej pobożności, z jaką składa hołdy defilującym bożyszczom, śmieje się z rozpląsanych negrów; lada drobnostka budzi w nim wybuchy wesołości.” Napisy tłómaczą znaczenie każdego ruchu.

Od dwóch lat Naville rozkopuje piaszczyste zasy w Deir el Bakari. Przysłał niedawno do paryskiej akademii napisów fotografie prac dokonanych. Nie idzie tu już o zebranie w całość rozpięrzchłych szczątków, ale raczej o odkopanie całkowitego gmachu, spoczywającego od wieków pod piaskami pustyni. Królowie XVIII dynastyi obrali tę dolinę na grobowce dla siebie i potomków. Świątynia, przyparta do skały, należy do epoki najczystszej rozkwitu sztuki egipskiej. Płaskorzeźby na kolumnach odznaczają się wytwornym smakiem. Wydobycie na jaw tego pomnika nieumniej ważne, zdaniem specjalistów, jak niegdyś odkrycie Abydos i Luxoru.

Towarzystwo angielskie, *Egypt exploration Fund*, wsparło prace Naville'a. Archeologiczne jego dzieła wydane w języku angielskim.

---

Do niezliczonych dzieł o Ryszardzie Wagnerze przybyło w tych czasach jedno, więcej od innych zajmujące, gdyż pisane bez pretensyi, z pełną młodzieńczej naiwności prostotą. Są to wspomnienia malarza, Fryderyka Pechta, drukowane świeżo w Niemczech. Pochwyciły je przeglądy francuskie i ogłosiły ciekawe z nich ustępy.

Dwaj młodzi artyści spotkali się w Paryżu r. 1829. Fryderyk Pecht tylko co przybył z Lipska. Dnia jednego, kiedy z Henrykiem Laube wybierał się do muzeum w Luwrze, towarzysz oznajmił mu, że spotka tam zapewne młodego muzyka, tylko co przybyłego z Rygi, który pragnie wystawić tu operę własnej kompozycyi p. t. *Rienzi*.

W Luwrze, mówi Pecht, ujrzałem młodziana wytwornej powierzchowności, pomimo nóg zbyt krótkich. Uderzyły mnie rysy jego, pełne wyrazu. Prowadził młodą żonę niepospolicie piękną. Obojętnie przechodził wśród obrazów, czasami jednak budził się z roztargnienia; wówczas słowa jego tryskały życiem. Takim był Ryszard Wagner w dwudziestym szóstym roku, kiedy Pecht ujrzał go po raz pierwszy.

Zwiedziwszy Luwr, poszli wszyscy do restauracyi na obiad. Wagner jął opowiadać im przygody z podróży swojej. Słowa sypały się z ust jego, mówi Pecht, jak nawałnica śnieżna. Opisywał straszliwą burzę, jaka spotkała go na morzu, gdy płynął małą łódką, i rzuciła na brzegi Norwegii. Naśladował przeraźliwy świst wichru, szalony ów poryk nasuwał mu ideę muzyki piekielnej. Nagle, jak mówił, jakiś żaglowiec wystąpił z pomroku i natychmiast utonął w ciemności. W rozkołysanej wyobraźni jego stanął wówczas ów holenderski okręt, wiecznie błędzący po falach. Odtąd nosił w głowie legendę i dostrajał do niej partycę.

Od pierwszego spotkania, dwaj młodzi artyści przystali do siebie, tem ściślej, że Pecht znał w Lipsku trzy siostry Wagnera. Widywali się często, razem żyli życiem paryskim. Malarz odwiedzał muzyka w małym lokalu przy ulicy Helder, który Wagner umeblował na kredyt.

Podczas tych odwiedzin, kompozytor grał ustępy z opery swojej, malarz pilnie się przysłuchiwał; ale, jak mówi, kompozytor zanadto był złym fortepianistą, a ja nazbyt słabym muzykiem, abym mógł odgadnąć, czy ma twórczy geniusz. Oceniałem stokroć lepiej jego czarodziejskie ponęty, niezaprzeczoną siłę ducha i wrodzoną szlachetność uczuć. Nigdy w chwilach najwyższej egzaltacyi z ust jego nie wybiegł wyraz prostaczy. W dwudziestym szóstym roku posiadał już wolę niezłomną i dziwną zręczność w wynajdowaniu środków prowadzących do celu. Zmuszony zrzec się przedstawienia opery swojej na scenie, począł pisywać do dzienników, kopiował muzykę Donizettego dla wydawcy Schlesingera; słowem, czepiał się wszystkiego, co mogło przedłużyć mu pobyt w Paryżu.

Wkrótce dom Wagnera stał się ogniskiem dla młodych artystów niemieckich. Prowadził tam rej między innymi biegły malarz, Ernest Kietz. Obaj z Wagnerem kaleczyli niemiłosiernie francuski język, wyrażając się zawsze w trybie bezokolicznym. Należał też do grona

młody kupiec Brix. Pecht przyprowadzał go, gdyż biegle grał na fleciku. Ten, zamożniejszy od towarzyszków, przychodził nieraz w pomoc Wagnerowi; Brix był krezusem w małym gronie artystów.

Podziwiałem, mówi Pecht, niezłomną energią Wagnera. Nic go nie mogło zrazić, ani odebrać mu wiary we własny geniusz, a przecież nie objawił go jeszcze żadnym znakomitym utworem. „Rienzi” nie doczekał się przedstawienia; nadzieje położone w Meyerbeerze zupełnie zawiodły młodego kompozytora. Sami nawet przyjaciele oceniali w nim głównie bogactwo wyobraźni i siłę rozumowania; za mało byli muzykalni, aby zrozumieć i uczyć ukrytą w nim iskrę geniuszu.

Po kilkoletnich a bezowocnych walkach, Wagner opuścił Paryż. Pecht powrócił także do Niemiec. W kilka lat później spotkali się znów w Carlsruhe, a następnie w Monachium. Pecht opowiada stosunki Wagnera z młodym królem bawarskim. Szczegóły te znane, podnosi ich tu nie będziemy. Dodajmy tylko, że proste opowiadanie Pechta dorzuciło ciekawą kartę do niezliczonych życiorysów, w których zastęp wielbicieli, tak niemieckich, jak i francuskich, przedstawił postać mistrza w blasku apoteozy.

---

Paweł Bourget w połowie sierpnia popłynął do Stanów Zjednoczonych, gdzie zamierza pozostać do przyszłej wiosny. Przeprowa trwała zaledwie tydzień. Wrażenia z podróży p. t. „Outre mer”. ogłasza autor w dodatku do Nowoyorskiego „Heralda” w języku angielskim; druk rozpoczęto 23 września. Od tegoż dnia, za porozumieniem z amerykańskim wydawcą, wychodzi w Paryżu przekład nowej publikacji.

Wstęp do dzieła skreślił Bourget na oceanie, przy poryku balwanów, szamocących się z kołami olbrzymiego parowca amerykańskiego, rozpedzonego jak uragan po falach Atlantyku. W tym wstępie wyjaśnia cel zamierzonej podróży.

— Po co mi — pyta — nowa ta wyprawa? Czego mam szukać za morzami, zdala od przyjaciół, zdala od książek moich, zdala od krajo-brazów mojej rodzinnej ziemi? Niestety! nie moja to już ziemia, owa irlandzka wysepka *Cape clear Island*, którą dostrzegam ledwie w kłębach mgły szarej, ależ to jeszcze Europa! Latarnia tylko co roztlona u jej brzegu oznajmia powrót innym podróżnikom, wracającym do gniazda. Kiedy za ośm lub dziesięć miesięcy, jeśli Bóg pozwoli, ujrzę to światelko na widnokregu, azaliż przyniosę z po-za morza bogaty plon nowych idei i obrazów, azaliż powiem sobie, że warto było przedsiębrać tak długą i tak daleką podróż? Na pytanie, co będzie *potem*, odpo-

wiedzieć nie mogę, ale dziś wiem, *co jest*, dlaczego puszczam się w świat obcy i nieznany.

„Co mnie pociąga do Ameryki — mówi dalej — to nie Ameryka sama przez się, to Europa, to Francya, to niepewność o zagadkową przyszłość tej Europy i Francyi. Trzy potęgi, istnie bajeczne Parki, urabiają dziś ową przyszłość starego świata. Pierwszą z nich Demokracja, drugą nauka, trzecią najmniej określona idea plemiennosci. Gdziekolwiek obrócimy wzrok, te trzy siły działają, zakreślają nowe plany, rozwalają starożytny gmach, w którym ludzkość od wieków znajdowała ostoję.

„I cóż utworzyły — pyta Bourget — te trzy nowe potęgi? Demokracja, gdziekolwiek odniosła tryumf, wprowadziła głosowanie powszechne, to jest niedołączną i ślepą przewagę liczby. Rozbudziła w niższych warstwach szalone zachcianki, ogólne niezadowolenie i grożący bunt tego czwartego stanu nędzy i zawiści przeciw cywilizacji; przyrzekła bowiem równość i braterstwo, a nie mogła spełnić swych obietnic.

„Nauka dała lepiej poznać przyrodę, wydobyla z niej nieznane dotąd siły, oto jej dobrodziejstwo; lecz jakże drogo opłacone, jeśli to prawda, że nihilizm filozoficzny ma być ostatecznym kresem owych olbrzymich wysiłków. Nauka, dotykając krańców świata niewiadomego, musi dziś uznać, że metoda jej nie starczy nigdy na wywikłanie przyczyn z po-za fenomenów, ani istoty rzeczy z po-za wypadków. I jakież nowy pokarm ta nauka przynosi duszy ludzkiej, jeśli nie chleb zaprawny goryczą i napój śmiertelnym zatruty jadem? Rozwijając w człowieku zmysł eksperymentacji i krytyki, owa nauka uczyniła wiarę w nadprzyrodzone siły niepodobną całym legionom przeciętnych sumień, a te, złączone razem, tworzą sumienie narodowe. Stąd jakież-to brak ideału w owej Europie współczesnej, jakaż to chwiejność w przekonaniach, jakaż bezsilność woli, jakież upadek charakterów, ileż chorób moralnych, szerzących się coraz bardziej w ostatnich latach tego wieku, który tak pragnął dobra i tyle obiecywał.

„Idea plemiennosci nakoniec, tak zrazu szlachetna i tak logiczna przy blasku dział pod Solferino, jakże barbarzyński przybrała dziś kierunek, gdy cała Europa stała się szeregiem obozowisk, najeżonych działami, gdy zbrojne miliony ludu czekają, rychło uderzy godzina zapasów, nieznanych w dziejach świata.”

Wobec tych trzech tak groźnych potęg, Bourget nie rozpacza jednak o przyszłość, ale pragnie spojrzeć im oko w oko. „Za morzami — mówi on — istnieje kraj, gdzie owe trzy siły, tak mordercze dla starego świata, utworzyły świat nowy. Kraj ten od pierwszej chwili istnienia ukonstytuował się na prawach demokracji, i to demokracji naukowej,

bo dla ujarznienia dziewiczej ziemi musiał użyć nowożytnych maszyn i wszelkich środków przemysłowych. W kraju tym problemat plemienności narzucił się od razu sam przez się i ciągle się powtarza, ludność bowiem złożona tu ze wszystkich plemion Europy, Azji i Afryki. Muszą tu żyć nie tylko Irlandczycy obok Anglików, Niemcy obok Francuzów, ale czarne i żółte ludy obok białych. Dotąd szło to dosyć pomyślnie. Ludność kraju mnoży się z każdym rokiem, bogactwo kwitnie, miasta wyrastają z pod ziemi, z równą siłą, jak rośliny zwrotnikowe. Czemże były przed laty czterdziestu miasta Saint Louis, St Paul, Minneapolis i Chicago? Dziś liczą na krocie ich mieszkańców, a oto w tym roku najdawniejsze z nich otworzyło wystawę, wezwało świat, i świat przybył na gody.

„Dwadzieścia pięć tysięcy siły zbrojnej wystarcza ludowi, który dowiódł przecież lat temu trzydzieści, że energia wojskowa kipi w nim potężnie, gotowa zbudzić się w danej chwili, a który po zwycięstwie wraca spokojnie do pług i warsztatu. I jakże tu, wiedząc, że istnieje taki naród, znać go jedynie z książek, a nie poznać naocznie warunków jego bytu? Jak nie zbadać na miejscu wartości takiego społeczeństwa, które mieni się społeczeństwem przyszłości, a bądź co bądź, toruje sobie do niej możliwą drogę? Zgaduję naprzód, co mnie może razić w tych stronach, gdzie przeszłość tak pozbawiona poetycznego uroku, mnie, com tak ukochał Włochy, Grecję i Syryę, owe ziemie przerosłe prochem zmarłych pokoleń. Wiem, że nie idę tu za głosem serca, ale gdzieżbym nie poszedł, aby nabrać trochę wiary w przyszłość tej cywilizacji, tak bardzo u nas zagrożonej.”

Co przyniesie Bourget z tej podróży, trudno to dziś przewidzieć. Uwagi, kreślone z dnia na dzień, pod wpływem coraz to nowych wrażeń, wiele zabiorą czasu, nim ostatecznie wybiegnie z nich słowo. Miejmy jednak nadzieję, że autor, uleczony z rozpaczliwego pesymizmu, czego dowiódł w ostatnich pracach literackich, znajdzie ożywczy promyk, który mu rozjaśni przyszłość zagrożonego w Europie społeczeństwa.

---

Ziomek nasz, Konstanty Chmieliński (Constant de Tours), do ośmiu ilustrowanych albumików, w których opisuje Bretańskie i Normandzkie wybrzeża, dodał obecnie nowy tomik p. t. „Dwadzieścia dni na brzegach gaskońskich, od Żyrondy do Pirenejów.” Przy łatwości odbywania dziś podróży okólnych za bardzo niską cenę, wyborny to przewodnik, bo zaznacza wszystko, co godne widzenia, bez próżnej straty czasu; z Paryża, przez szereg wielkich miast: Orlean, Blois, Tours, Poitiers, zatrzymując się wszędzie chwilę, prowadzi nas do Bordeaux. Tu wypada dłużej pozostać. Wspaniałe to miasto, najpię-

kniejsze po Paryżu, pełne pomników, drgające życiem handlowem i umysłowym, zasługuje na szczegółowy pogląd. Stąd puszcza się między wzgórze Medoc'u, zasłane winogradem, którego drogocenny płyn zasila obie półkule świata. Dalej zmienia się całkiem postać, zielone pagórki zniżają się stopniowo; następują po nich płaskie, bagniste Landy, pasterze na wysokich szczytach wypasają trzody na tych trzęsawiskach, przesiąkniętych wodą morską. Przestrzeń ta, niegdyś ogromna, zmniejszyła się o połowę, dzięki plantacyom sosen i dębów korkowych; piękny ten las z osadą Solferino uwiecznił tu pamięć Napoleona III.

Przez Arcachon, z dzikiej pustyni zmienionego w słiczną stację nadmorską, a co więcej w zimową oazę wpośród ożywczej woni sosen, prowadzi nas biegły przewodnik do napół hiszpańskiej Bajonny, biskajskich przystani Biaritz i St Jean de Luz, wreszcie do całkiem hiszpańskiej Fontarabii, zabytku drogiego archeologom. Tu od epoki Sanszów z X wieku, do pierwszych Habsburgów XVI stulecia, pozostały jeszcze ślady zamczysk, rozsypujące się w gruzy, pod cieniem wiecznie żywych Pirenejów, przy szumie wiecznie drgającego życiem oceanu.

---

---

# W STEPIE PSZENNYM.<sup>1)</sup>

(Luźne wrażenia z podróży po Dakocie i Minnesocie).

---

Z kimś uciekam od baterji żniwiarek na terytoryum sąsiedniej fermy. Jedziemy w poprzek pól; ściernisko, nie posiadające brózd i równe, jak podłoga, służy nam za gościniec. Później z pola zjeżdżamy na łąkę, która, niewielkiej będąc szerokości, ciągnie się za to bez końca w jedną i drugą stronę, i swoją zielonością odbija, niby rzeka, od żółtych przestrzeni. Jakiś domek drewniany stoi na tej strudze trawy niekoszonej, samotny, o kilka, a może więcej wiorst od najbliższej chaty. To wiejska szkółka elementarna, łąka zaś owa, ciągnąca się w obie strony, jest gruntem, jakim siedziba oświaty początkowej została uposażona. Co cztery mile angielskie na tej smudze łącznej znajduje się podobna szkółka. Najmniejszego drzewka w pobliżu, żadnej drogi i nawet ścieżyny! Dokoła porasta jedynie bujna trawa szlaku stepowego. Schodzimy z bryczki i pukamy do drzwi, chcemy bowiem obejrzeć wnętrze wiejskiej szkółki. Nadaremnie! Nikogo niema, drzwi zaryglowane. Muszę poprzestać na szczegółach, których udziela towarzyszący mi obywatel dakocki. Szkółki te dają tylko początki oświaty i to najmłodszemu pokoleniu. Są otwarte jedynie podczas lata, bo zamiecie śnieżne zamykają do nich dostęp zimą. A nadto nauka odbywa się tylko w niedziele. Rodzice zwożą dziatwę wtedy, sami się bawią na łące,

---

<sup>1)</sup> Dokończenie. Patrz zeszyt październikowy „Biblioteki.”



a drobiazg siedzi w izbie. Najwyżej jakiś tuzin maleństwa uczęszcza do jednej szkoły, każdy inny ma swoją własną. A kiedy dziatwa podrośnie, wtedy ojcowie wysyłają ją na zimę do najbliższego miasteczka, dokąd często-gęsto sami uciekają przed pustkami i nudami wiejskimi.

„Szczycimy się dzisiaj swoją pszenicą, w przyszłości będziemy się chlubić szkołami!”—rzekł dumnie mój przewodnik, kiedyśmy, po niefortunnym pukaniu do drzwi, siadali na bryczkę. Zaprawdę, nie są to czeze przechwałki. Osadnicy na dalekim Zachodzie umieją cenić dobrodziejstwa oświaty. Z ogólnego terytorium stanu wydzielono aż trzy miliony akrów ziemi, t. j. 6% całej powierzchni, na uposażenie szkół, i ani jedna pięćdziesiąta tego obszaru nie może być sprzedaną poniżej 10 dolarów za akr. Oświata więc dostała na własność olbrzymi fundusz, z którego może czerpać pełną dłońią i do którego, prócz władzy szkolnej, nikomu nie wolno się wtrącać. W obecnej chwili wypada jedna szkołka publiczna na sto głów ludności, procent zaś nauczycieli jest jeszcze większy!

\*

\*

\*

Puszczamy się ścierniskiem dalej i po kwadransie jazdy jesteśmy przed parową maszyną, która młóci zboże. Ferma to niewielka, zaledwie 800 akrów rozległości. Małe jej rozmiary nie pozwalają posiadać własnej młockarni, drożyzna zaś rąk i cały skład gospodarstwa czynią jej pomoc nieodzowną. Ale Ameryka znalazła na to sposoby i stworzyła nowe przedsiębiorstwo—wynajmu. Ktoś, zwykle prosty mechanik, nabywa maszynę, najmuje robotników i objeżdża osady. Fermer płaci stałą takse od buszla i jedynie dostarcza kogoś, dozorującego zsypu ziarna, resztę zaś bierze na siebie ów przedsiębiorca.

Znajduję klucz do rozwiązania zagadki, która mnie trapi od początku podróży. Z okna wagonu widziałem wciąż na polu niewielkie szare domki z zabitemi drzwiami, których celu nie mogłem odgadnąć. Taką chatkę mam właśnie przed sobą. Wyobraźmy sobie kwadratowy budynek, z futryną tam, gdzie mają być drzwi, a do której wsuwa się deskę po desce z góry. Domek jest jeszcze bez dachu. Czyste ziarno z młockarni spada przez drzwi do wnętrza, a w miarę tego, jak poziom podnosi się, nową deskę wsuwają do drzwi. Wreszcie, kiedy środek został wypełniony, — w domku może pomieścić się 1,800 buszli — budynek pokryją dachem do chwili, póki fermer nie uzna za stosowne odwieźć zboża do elewatora sąsiedniego. Na większych folwarkach istnieje parę takich domków. Zaoszczędzają one sporo czasu przy zwózce snopów. Amerykanin, z którym jestem na polu,

nie może ukryć swego podziwu, że przypatruję się tak prostej rzeczy. Jest to redaktor pismka rolniczego, wychodzącego w Grand-Forks. Opowiadam mu o naszych stodołach i murowanych spichlerzach. I znowu Yankee poczyna się dziwić manii naszych obywateli, nieprodukcyjnie wkładających spore kapitały w takie budynki, zwłaszcza zaś, kiedy wznoszą je z kamienia i cegły. Objaśniam tę konieczność brakiem elewatorów i wogóle ukształtowaniem naszego handlu zbożowego.

„A dlaczego nie budujecie takich domków na polu?”—pyta nieubłagany towarzysz i notuje moje odpowiedzi, napisze pewnie w swoim piśmie artykuł o rutynie europejskiej.

Wzruszam ramionami i milczę. Ale Yankee nie daje za wygraną i powtarza pytanie.

„Rozkradziono-by zboże”,—odpowiadam i przerywam rozmowę, Amerykanin zaś na mnie patrzy, czy nie żartuję z niego. W Ameryce kradną miliony w bankach i bandy rzezimieszków wykoleją pociągi, kiedy zamiarują, że mogą się obłowić. Ale kradzież zboża jest nieznaną, niema tam na wsi nędzy, która-by do tego zmuszała.

\*

\*

\*

Znowu jedziemy wśród pól całą kawalkadą, ale w powiększonym gronie. Mniejsi fermerzy przybyli z okolicy, córki ich towarzyszą nam konno. Jedna, dziewczę szesnastoletnie, popisuje się swoją umiejętnością dosiadanania konia i przegania nas, skacze przez kopce. Czarna, ale twarda droga, porosła trawą, w której widać tylko duże smugi, tory kołowe. Zielsko sięga koniom do brzucha. Bardzo rzadko muszą jeździć po tej drodze! Dokoła na ściernisku szarzeją domki do przechowywania zboża. Parę razy przejeżdżaliśmy przez fermy. Jak przykre pozostawiają po sobie wrażenie! Ani poświeci tam drzewka, bo człowiek, niedawny przybysz w stepie, nie zdążył jeszcze osłonić cieniem swojej siedziby. A zatem mamy tylko dom mieszkalny, zwykle bardzo porządny, obok stajnię dla koni—nic więcej. Podwórza nie otoczono płotem, porasta ono zielskiem, tak, iż podobniejsze jest do preryi, pług z siedzeniem rdzewieje w chwastach. Więc fotografie z halli rolniczej nie kłamały, że nawet drobny rolnik nie chodzi piechotą za pługiem! Podobnie żniwiarko-wiązalka nie jest mitem na drobnej fermie, bo ją też spostrzegam pomiędzy zielskiem. Siedziba ta każdym swoim szczegółem świadczy, że rolnik nie żywi przywiązania do gleby, którą uprawia. Niema tutaj owego ciepła, jakim oddychamy w wiosce europejskiej. Raczej chłód przeraźliwy dolata z tej pustki bez parkanu i zabudowań, bez ogrodu i nawet pojedynczego drzewka i kwiatka. To kantor geszefciarza na drobną skalę, ściśle, rolnego kramikarza,

który osiadł na ziemi i z krędką w ręku robi corocznie obrachunek, czy warto dalej pokutować w takim pustkowiu. I nie dziw, noga jego nie stąpa po wspomnieniach dzieciństwa, ani w bliskości niema sąsiadów, z którymi w dzieciństwie szło się do lasu na orzechy i nogami robiło „masło“ z błota. Prócz dorobku, nic go nie wiąże z ziemią, w każdej chwili gotów szukać nowej ojczyzny i lepszych warunków *of money making*. A jeżeli tak chłodno tutaj i pusto podczas lata, cóż dzieje się w tej porze, kiedy dokoła rozłoży się całun śnieżny i zimowa zadymka utrudni komunikację, wiatry zaś poczną hasać po dawnej preryi? Na tych obszarach, w których zbywa na tradycyjnej gromadzie wioskowej, gdzie miasto posiada wszelkie powaby, w umyśle rolnika zwolna rozwija się ideał zastąpienia wsi miastem. Żyłby on chętnie w takim ognisku, jak S. Paul, i udawał-by się na fermę dopiero w tej porze, kiedy to czynią wędrownie tłumy najemników, z wiosną wyruszających na daleki zachód i powracających ku jesieni. Na pustej preryi sterczałyby bezładne wille i budynki dla maszyn, oraz na śniegu odbijały-by swoją barwą brudno-czerwone elewatory. Już dzisiaj niemal dzieje się coś podobnego. Wielkie folwarki wysyłają nawet swoje muły na leże zimowe o paręset wiorst dalej na południe, drobne zaś oddają na stajnię odpowiednim przedsiębiorcom, którzy ukazują się tu i owdzie Jedziemy wciąż po tej samej gładkiej przestrzeni, posianej kopcami bez liku. Na dalekim widnokrzęgu czerwienią się w promieniach słońca elewatory. Czem są na naszej równinie wieżyczki kościołów wiejskich, tem te wyniosłe budynki na polach Dakoty: panują nad obszarem. A jest ich mnóstwo, w jednej stronie oko spostrzeża trzy, w innej cztery, takich uspołeczniionych spichlerzy.

\*

\*

\*

Bryczki zwożą nas na czyjąś fermę, na której przyjmuje nas gro-  
no młodych dziewcząt, córek okolicznych rolników. Typ to nieco od-  
mienny od Amerykanki z miasta, mniej ruchliwy i więcej naiwny. Mo-  
że wieś robi swoje, a może działają wpływy pochodzenia, ojcowie ich  
bowiem uciekli z Europy i niejedna popisuje się jeszcze nie tęgą niem-  
czyzną. W podwórzu rozbito olbrzymi namiot, pod nim ustawiono długie  
stoły. Zanim jeść podadzą, idę obejrzeć fermę, lecz prócz stajni, oraz domu  
mieszkalnego, nic naturalnie nie znajduję. Poczynam więc gawędzić z fer-  
merami, których zjechało się kilkunastu. Są ubrani odświętnie, to znaczy:  
wielu z nich posiada różne znaczki przy surducie—masonskie. Niemal każ-  
dy najdrobniejszy fermer należy do loży farmazońskiej i nosi jej order.  
A związków tych musi być mnóstwo, bo kiedym w Grand Forks rzu-  
cił okiem na ogłoszenia w jednym z miejscowych dzienników, spotka-

łem wiadomość o blizkiem posiedzeniu aż kilku łóż masońskich z okolicy. Związki te zwykle są organizacją bardzo niewinnej natury: są stowarzyszeniami wzajemnej pomocy w chorobie i kiedy rodzice odumrą dzieci; niekiedy rozwijają działalność w kierunku samouctwa, zawsze zaś zbiorowej zabawy. Tem nie mniej tajemnica osłania łoże, zdradzana na zewnątrz znaczkami przy surducie i mundurami... Ale czasami coś poważniejszego wydobywa się z tych związków. Wielki kapitał, upostaciowany w kolejach żelaznych i elewatorach, oraz w ringach spekulantów na giełdzie, daje się dobrze we znaki drobnemu fermerowi, którego skubie niezgorzej. Łoże masońskie, z natury rzeczy, stają się organizacją rodzącego się protestu. Niektóre z nich zakładają korporacyjne elewatory, mające walczyć z akcyjnymi—utopia, która skończy się bankructwem, inne stwarzają rzecz praktyczniejszą — korporację pracy. Związani solidarnością fermerzy z sąsiedztwa, w liczbie kilkunastu, naprzód pracują na jednej fermie, potem przechodzą do sąsiedniej. Spędziwszy dzień na robocie, wieczorem się bawią. W ostatnich czasach łoże stały się kolebką „populistów“, partyi, która w ciągu paru lat z nicości wyrosła do potężnego stronnictwa. Żąda ona upaństwowienia kolei i elewatorów, wydawania przez państwo zaliczek na zboże, kokietuje z grupami robotniczymi, przeplatając zdrowe a praktyczne aspiracje mrzonkami filantropijnymi, rojenia à la Proudhon i wybrykami ciasnego widnokregu umysłowego osady fermerskiej. Założyłbym się, iż wszyscy ci drobni fermerzy, którzy nas przyjmują, są populistami, wówczas kiedy wielec matacze przemysłowi, którzy nas przywieźli i im pokazują, przyznają się do zasad republikańskich. Dwie odmienne grupy interesów, dwa różne typy ludzkie i dwa odmienne stronnictwa polityczne!

Uczujemy pod namiotami: przy obiedzie nietylko niezbrakło mów, ale też trunków, jakkolwiek jesteście w stanie, gdzie alkohol bywa sprzedawany jedynie w aptekach, za receptą doktora. Ale dla nas zrobiono wyjątek z reguł prohibicyjnych. Na świeżem powietrzu rozwinęły się języki, może dla tego, że w przemówieniach rej wodzą przedstawiciele Ameryki południowej, którzy tną prosto z mostu co myślą. Są to wszystko postacie urzędowe, a jednak z ust ich wychodzą takie zdania, że obywatel ziemski w Niemczech sądził-by, iż ma przed sobą niebezpiecznego warchoła. Jeden z nich, Urugwajczyk, profesor antropologii, urąga wprost stosunkom europejskim i piętnuje je w najokropniejszy sposób! Ale też nie mniej są ciekawemi oświadczenia mowców dakockich. Wielu z nich bez ogródki przyznaje się do tego, iż przed laty 15—20 przyszli z paru dolarami w kieszeni, obecnie zaś posiadają fermy, po tysiąc akrów rozległości. Któryś opowia-

da historię jakiegoś Kanadyjczyka: w r. 1885, jako wyrostek piętnastoletni, przybył on bez złamanego szeląga i pracował jako parobek, obecnie zaś ma 80 akrów własnych i 125 zadzierżawionych. Plony jego przeszłoroczne wynosiły 4300 buszli pszenicy, 1000 owsa i 300 jęczmienia. Spodziewa się, że za lat kilka będzie zamożnym farmerem, Zabiera też głos p. Larimore. Naturalnie opowiada o swojej fermie. Dowiadujemy się, że dochód z akru nie tylko pokrywa wszystkie koszty uprawy, lecz daje czystego zysku akurat drugie tyle, niekiedy zaś więcej. Później poczyna on filozofować. Ów przewrót techniczny, któremu przyglądaliśmy się w dniu dzisiejszym, jego zdaniem, pociągnie za sobą skutki w zakresie pojęć idejowych—z mowy możemy wynioskować, iż p. Larimore ma na myśli deizm panteistyczny przyrody i że uważa go za przyszlą filozofię łanów Dakoty.

Jeszcze uderza rzecz jedna: inny stosunek niż u nas pomiędzy chudopachołkiem, a obywatelem zamożnym. U jednego nie spostrzegamy unížonej czolobitności, u drugiego pyszałkowatej zarozumiałości. W naszym gronie znajdują się farmerzy, posiadający po 16,000 akrów gruntu i tacy, którzy mają zaledwie po kilkaset, a zatem wielcy ziemianie i włościanie. Jednak są za pan brat z sobą, drobny rolnik klepie po ramieniu bogatego sąsiada i nic sobie nie robi z jego olbrzymich obszarów gruntu.

\*

\*

\*

Larimore jest ostatecznym kresem naszej podróży. Korzystając z kwadransu czasu, jaki jeszcze pozostaje do odejścia pociągu, z kimś udajemy się do najbliższego elewatora, obejrzeć niektóre szczegóły w jego urządzeniu. Właśnie wjechał wóz ze zbożem, pudło zielonej barwy z ruchomą tylną ścianą, pszenica w niem leży bez żadnego przykrycia. Pewna część podłogi jest szalą wag setnego systemu. Wóz zajeżdża na to miejsce i dozorca notuje ciężar brutto. Szala obraca się około osi, wraz ze stojącym wozem, tylne jego koła idą na dół, przednie do góry, za wozem powstaje otwór, odsuwają tylną ściankę pudła i ziarno naturalnym swoim ciężarem zsuwa się i spada do przestworów dolnego piętra. Pusty wóz zostaje znowu zważony. Dozorca z kwitariusza wydiera poświadczenie, że otrzymał tyle a tyle pudów pszenicy i rzecz skończona. Może jeszcze dzisiaj winda parowa poniesie ziarno do góry i oczyści je z kurzu i domieszek, później spłynie ono rynnami do kadzi, z których jutro zsunie się do wagonu i pojedzie w świat daleki. Farmer pozostanie z kwitem w rękę, świadczącym, że taka to a taka kompania posiada na składzie u siebie tyle

to a tyle jego zboża, takiej-to nomenklatury. Jest on właścicielem ziarna, ale nie swego własnego, które już może będzie spożyte, gdy jego producent będzie sprzedawał komuś swoje plony. Nie dba on jednak o losy dobytku własnej krwawicy, wie bowiem, że w każdej chwili otrzyma to z powrotem, co złożył, co większa, dostanie w dowolnym miejscu za potrąceniem kosztów przewozu. A spółki elewatorskie są połączone pomiędzy sobą podobnie, jak u nas banki. Teoretycznie przeto istnieje możliwość, że nawet drobny fermer, nie opuszczając swojej okolicy, będzie sprzedawał zboże w Nowym-Yorku. Trzeba mu wtedy udać się do elewatora, w którym złożył zboże, oddać kwit i opłacić koszt transportu i telegramu, jeśli idzie o pośpiech, a związkowa kompania w New-Yorku wyda ziarno. Fermer trzyma gazetę z kursami i obrachowyywa, gdzie i kiedy najkorzystniej będzie sprzedać swój produkt. Dużo znaczy to, że ziarno amerykańskie, skutkiem warunków terytoryalnych, odznacza się niezwykłą jednostajnością, wówczas kiedy u nas wygląda inaczej niemal na każdym folwarku. Elewator pobiera pewną opłatę za przechowywanie zboża i oczyszczenie, nadto odtrąca coś na możliwe straty, z powodu iż ziarno wysycha. Zastąpił on sobą nasze spichlerze, które uciekły z folwarków i stały się w społecznym podziale fachów łupem odrębnego procederu. To samo w miastach rozwój ekonomiczny zrobił ze stajniami, które przybrały wielopiętrowe rozmiary: konie są przy pomocy windy podnoszone na czwarte i piąte piętro i tam przy wynajętym żłobie czekają rozkazów swojego właściciela. Nawet na wsi zjawiają się takie przedsiębiorstwa: muły z północnej Dakoty są oddawane, w porze zimowej, na przechowanie do stepów. Wieś zostaje ogołoconą z oddzielnych swoich budynków i rozkłada się w wirze społecznego podziału pracy.

\*

\*

\*

*28 sierpnia, w pociągu kolejowym.*

Pociąg rusza z powrotem. Dojechaliśmy do krańców stepu pszennego, na widnokręgu bowiem oko nasze spostrzeżga pasma wzgórzy—tam nie uprawiają już pszenicy, lecz zajmują się jedynie hodowlą bydła. Oko, znużone oglądaniem tego samego ścierniska, odwraca się od krajobrazów, jakie przesuwają się przed oknami wagonu. Przerzucam różne świstki, jakimi nas obdarowano, abyśmy wiedzieli, czem jest Dakota.

Osobliwy zakątek ziemi! Posiada w obecnej chwili wszystkiego 200,000 miesz. z której-to liczby przynajmniej 10% trzeba odciągnąć na ludność miejską. A ileż jeszcze odejdzie na dzieci i kobiety, które w gospodarstwie rolnem nie biorą udziału? Ta garstka wyprodukowała w ubiegłym roku aż tyle pszenicy, że na każdego mieszkańca—bez względu na wiek i płeć, pobyt w mieście lub na fermie—wypadło 200 dolarów brutto. Dodajmy teraz wartość innych plonów z ziemi i z obory, gdyż druga wzgórzysta połowa Dakoty wytwarza zgoła inne produkta. Wydajność pracy ludzkiej jest zatem bardzo znaczna! A pochodzi ona nie tylko z bogactwa i urodzajności gleby, niemniej zawdzięcza sporo tym żelaznym ramionom, które chwytają kłosa, owym brzytwom, które je ścinają, i innym potworom z żelaza, zawazanym przez rolnika do pomocy. Na równinach Dakoty wschodzi zorza nowej przyszłości w rolnictwie. Wszystko tam inaczej odbywa się i inaczej wygląda. Weźmy chociażby tamtejszą osadę włościańską, t. j. taką, której właściciel uprawia grunta własnoręcznie i nie najmuje siły roboczej postronnej. Wynosi ona, mniej więcej, do 160 akrów, t. j. około 5 włók na swojską miarę. Żniwiarko-wiązałka w ciągu dnia jest zdolną skosić zboże z 20 akrów i związać w snopy. A zatem fermer, skoro ma syna wyrostka do pomocy, w ciągu czterech dni może uporać się ze żniwami, pracując tylko ośm godzin dziennie. Robota, która tyle troski przysparza naszemu rolnikowi, nie sprawia tam żadnego kłopotu. Kiedy zaś zboże spoczęło w kopcach, zjeżdża wtedy przedsiębiorca mechanik i jeżeli urodzaj jest bardzo dobry, będzie potrzebował trochę więcej nad dwa dni do wymłócenia całego plonu. Fermer jest tylko widzem. Najmudniejszą pracą jest orka. Plug uchnodził za najbardziej zachowawczy sprzęt w gospodarstwie rolnem, postęp techniczny jakoś nie mógł z nim dać sobie rady. Ale też i dla niego wybiła godzina! Na wielkich fermach poczynają na wielką skalę zastosowywać plug parowy. Wóz parowy ciągnie za sobą sześć lemieszów i odrazu odwala spory zagon ziemi. Dla drobnej osady jest to narzędzie za kosztowne, chociaż z czasem pojawi się też na jej gruntach. Naturalnie, fermer nie sprawi sobie takiej drogiej maszyny, to byłoby istnem szaleństwem, na jakie pozwolić może sobie tylko ten i ów „postępowy“ obywatel w naszym kraju. Znajdzie się obrotny przedsiębiorca, który podobnie będzie z plugiem objeżdżał drobniejsze fermy, jak to dzisiaj dzieje się z młocarnią. Wtedy na upartego nawet dziewięćdziesięciowłokowy, lecz pobłogosławiony liczną rodziną fermer, zdoła obejść się bez parobków! Zaprawdę, dziwne dążności kielkują na polach Dakoty! Jak niegdyś ubywała gospodyni jedna czynność domowa po drugiej, porwana przez rozszerzający się

wir społecznego podziału pracy, tak dzisiaj podobny proces odbywa się na fermie amerykańskiej. Mechanik wyzwolił gospodarza rolnego od młocki—jest on mieszczuchem i tylko podczas paru tygodni przebywa w polu, bo nie ośmielał się powiedzieć: na wsi; zamiast stodół i spichlerzy, wznoszą swoją cudacką postać elewatory; wreszcie może rolnikowi będzie orka i równie dostanie się w ręce kogoś z miasta! Przewrót to doniosły i daleko prowadzący! Ongi, w czasach średniowiecznych, wieś stanowiła podstawę ustroju społecznego, miasto było małego znaczenia, służyło za rezydencję dla władzy świeckiej i duchownej. Tutaj, na dalekim zachodzie, dzieje się przeciwnie, wieś bowiem rozplywa się w mieście. Bo te techniczne ulepszenia stwarzają pustkę na wsi; fermer, siedząc w ustroniu, dąży ku ogniskom, gdzie znajduje z rozrywkami towarzystwo i zwolna mieszczanieje duchem. Powtórę, skoro najważniejsze roboty sprawiają ludzie, przybywający z miasta na czas jakiś, wtedy starodawny rolnik, taki, który hoduje jedynie zboże i siedzi na fermie, staje się piętrem kołem u woza. — To też ucieka zimą z fermy i muły oddaje na przetrzymanie innemu przedsiębiorcy. Czyż więc nie może nastać taka chwila, że na całym stepie nie zoczy my ani jednej chatki, i dopiero z wiosną zostaną tam rozłożone namioty i przyjdą tłuszcze z miasta pracować w polu i używać czystego powietrza? Już dzisiaj—tylko że nie dla powietrza—przybywają w ten sposób najemnicy, sprowadzani przez wielkie fermy. A folwarki łączne są prowadzone już dosłownie w taki sposób. Na przestrzeni wielu mil kwadratowych nie usłyszysz w ciągu całego roku głosu ludzkiego; dopiero w czerwcu zjawiają się robotnicy, zbrojni w kosiarki, automaty ładujące, prasy do wyciskania cegieł, i po paru tygodniach gwaru znowu na kobiercu trawy zapanowuje cisza z pustką.

\*

#

\*

Rzucam okiem na stępy. Dość było dwóch dni, a już spostrzegamy widoczne zmiany w rozścielającym się przed nami krajobrazie. Uprzągnięto trupy ze ściernisk, zamiast nich sterczą sterty słomy. Gdziekolwiek spojrzymy, wszędzie na widnokręgu dymią się młockarnie. Siedząc w oknie, naturalnie widzę ściernisko tylko z jednej strony, ale ilekroć powiodę okiem, naliczam jeden i drugi i piąty słup dymu. To młockarnie. Maszyna parowa przy młócece przestała być rzadkością w naszej części świata, ale nie ma tam tak powszechnego zastosowania. Tutaj w Ameryce w całej pełni nastął wiek pary! Ba, nie tylko pary, lecz nawet elektryczności. Bo już oglądałem motory



elektryczne, zastosowywane do niektórych robót gospodarskich, np. do siewkarni. Technika marzy nawet o zastąpieniu konia przez ten sam motor. Może więc ukażą się wozy elektryczne, zwożące zboże...

\*

\*

\*

Pociąg zatrzymał się w gołym polu. Jedynie elewator stoi w tym miejscu, gdzieśmy się zatrzymali. Mnóstwo bryczek czeka na nas i wiezie ku dymiącej się w pobliżu młockarni. Na widnokregu czerwienieją budynki folwarczne, nad polem panuje wysmukły, niby chojak, elewator, i kłębamii dymu zanieczyszcza wiejskie powietrze. Naszemu pochodowi przez pola towarzyszy grono młodych Amerykanek, prawdopodobnie ze znajdującego się w pobliżu miasteczka Hillsboro—na welocypedach. Jesteśmy wreszcie przy maszynie, która huczy i wyrzuca z siebie kłęby pyłu. Wszędzie na widnokregu dymią się słupy, wychodzące z podobnych potworów. Biorę lornetkę do ręki i liczę. Część jedną widnokregu zasłonił obłok kurzu i dymu, unoszący się nad młockarnią, inną—gaik, zasadzony ręką ludzką. A jednak naliczyłem aż 13 słupów, niektóre w takiej bliskości, iż mogę dojrzeć kominy. Trzynaście maszyn na przestrzeni, którą oko może objąć na płaszczyźnie! Obfitość taka stanowi charakterystyczny rys widoku.

Jesteśmy na gruntach jednej z sekcji fermi akcyjnej Dalrymple'a, cieszącej się dzisiaj sławą wszechświatową i wciąż stawianej za wzór posuniętego nowoczesnego rolnictwa przemysłowego. Posiada ona 70 tysięcy akrów ziemi, w tej liczbie 30 pod orką! Służy na niej istotna armia najemników, zorganizowana po wojskowemu; zamiast naszych włodarzy, mamy mechaników, wiedza zaś czysto agronomiczna najmniej tu potrzebna. Bo gospodarstwo też odznacza się niezmierną prostotą. Z roku na rok wiosną orzą te same pola, bez nawozu; maszyna rozrzuca jare ziarno, które pod działaniem długich dni, właściwych okolicom tej szerokości geograficznej, już w drugiej połowie sierpnia może być koszone; maszyna też sprząta zboże i młóci. Płodozmiany nieznanne, ani inne wynalazki tak zwanej postępowej gospodarki. Zresztą nie wiele oglądamy z rozpowiadanych cudów. Stoimy przed parową młockarnią, która pono ma być doskonałością techniki, bo żadna dla swego działania nie wymaga tak małej ilości sił roboczych. Czyste ziarno spada do wozów, które natychmiast odjeżdżają do poblizkiego elewatora i rzucają je tam do jego czeluści. Takich spichlerzy znajduje się kilka w majątkach Dalrymple'a i wszystkie stoją przy torze kolejnym.

Nie długo siedzimy na jednym miejscu. Bryczki nas wiozą o parę wiorst dalej, pokazać jeszcze inną młockarnię. Po co, doprawdy nie wiem, chyba, że Amerykanie chcą nas przekonać, że para zupełnie zapanowała na polach Dakoty. Grono pań towarzyszy nam na welocypedach, lecz później znika z oczu. Kilkanaście tych sprzętów stoi przy elewatorze. Welocyped, będący u nas tylko zabawką, w Ameryce stał się narzędziem praktycznego użytku: w Newarku widziałem listonoszów, rozwożących na nim korespondencję.

Jedziemy znów koleją. Słońce kryje się za widnokrzgiem. Jego tarcza schowała się już do połowy, i pozostała krawędzią oblewa ścierniska czerwonaświatłem. Ale jeszcze ono nie zagasło, a już w różnych punktach na ziemi poczynają buchać olbrzymie stosy. Płomień wybucha w jednym miejscu, przesmykami biegnie dalej, obejmuje tam nową stertę, aż wreszcie rozlegle podnosi się łuna. To malcy rozpoczynają swoje igrzyska nocne na stepie pszennym! Wymłócona słoma, stercząca wałami dokoła młockarni, zostaje przez nich podpalana. Popiół będzie jedyną mierzwą, którą człowiek odda stepowi w zamian za plony. A im mniejszy okrawek słońca czerwieni się nad widnokrzgiem, tem więcej dymi się takich ognisk. Tylko co przejechaliśmy przed jednym ze stosów. Niebo jest czerwone łunami pożarów, w bliskości na widnokrzgu migoczą niepewnym rzędem drobne ogniki. To wszędzie palą się sterty. Przed paru jeszcze tygodniami rozpościerał się, na dziesiątki mil wszcz i setki wzdłuż, zwarty łan pszeny; w ciągu paru dni żelazne automaty ścięły go i usłały ściernisko trupami bez liku, jeszcze później dymić się poczęły na stepie tysiące parowych młockarni, aż wreszcie nadeszła godzina pożarów! Gospodarstwo ścią koczownicze.

28 sierpnia. Hillsboro.

Drobna stacya, licząca kilkaset mieszkańców. Już zmierzch dobry rozpostarł się nad ziemią, kiedyśmy w niej się znaleźli. Mieścina wystąpiła z przyjęciem, przypinając wstęgi, na których złożony jest snop pszenicy ze statystycznym wykazem rocznych plonów na fermie Dalrymple'a. Naturalnie, że nawet w tej amerykańskiej

Kiernozi istnieje klub, który pośpieszył otworzyć dla nas swoje podwoje. Wśród nocy zaledwie mogę odnaleźć chodnik drewniany; stąпам po nim ostrożnie, bo zszedłszy, znalazłbym się w pośrodku kałuż, dolów i chwastów. Rzędem stoją drewniane budy. Któs pokazuje mi, gdzie klub się znajduje—drewniany domek, wyższy od innych, którego całe pierwsze piętro jest zajęte pod salę. Izba obszerna, z estradą, na której stoi fortepian; publiczność fermerska, mężowie z żonami, u których na kolanach tu i owdzie wrzeszczy małe bobo. Jak na taką osadę, klub to bardzo okazały, świadczący wymownie o wartkości amerykańskiego życia publicznego. Tutaj-to odbywają się zebrania polityczne i posiedzenia łóż masonskich, tutaj włościanie-fermerzy zbierają się na zabawy, lub pogawędkę. A może któryś z tych ogorziałych, rubasznych fermców zamyśla o urządzeniu w porze zimowej popularnych wykładów uniwersyteckich! Oświata bowiem w Ameryce zstępuje ze swoich wyżyn mandaryńskich i, zniecierpliwiona, że do niej idą powoli, sama udaje się na spotkanie tłumów. Indyana i Wisconsin już dawniej, za nimi zaś Minnesota, pokrywają się siecią tak zwanych „fermerskich instytutów“, stanowiących jakby latający uniwersytet włościański. W miścinach, jak Hillsboro, sąsiednie uniwersytety zakładają podczas zimy filie, wykłady są prowadzone w sposób popularny, ale systematyczny, fermerzy, wolni od robót, zjeżdżają z żonami i dziećmi, uczą się i bawią, słowem, używają przyjemnie a pożytecznie wczasów zimowych.

Zdaje się, iż jestem na tropie źródła tej uprzejmości, z jakiej korzystamy. Matadorzy przemysłu i władze, które nas podejmują, należą z przekonania do party Mackinleya i przy naszym ogniu obracają swoją pieczeń. Fermer dalekiego zachodu szemrze przeciwko możnowładcom kolejowym, ale obu łączy wspólność interesów. W Dakocie i tych nowo powstających ogniskach kultury życie jakby uwzięło się dowieść, że renta ziemna jest nie owocem zapobiegliwości właściciela, ale plodem postępu społecznego. Każdy osadnik, który już usadowił się na tej ziemi, troszczy się jak najusilniej o to, ażeby potok ludzki, przybywający z daleka i rozlewający się w sąsiedztwie, pozostawił możliwie grubą warstwę po sobie. Im więcej bowiem przywędrowało kolonistów, tem snadniej ceny gruntów podnoszą się, i to, co wczoraj grosza nie było warte, dzisiaj jest cenione na złotówki. Rząd każdego nowego stanu wydaje poważne sumy na reklamy, które winny ściągnąć wychodźców. I my też jesteśmy pono przywiezieni po to, abyśmy w najdalszych zakątkach globu roztrąbili sławę lanów Dakoty i szanse *of moneymaking* na tamtejszej pszenicy. A ci, którzy nas wiozą, popisują się swoją zapobie-

gliwością o dobro publiczne przed wyborcami: „patrzcie, jak dbamy o was, wybierajcie nas jesienią do kongresu!“ Bezwarunkowo, jesteśmy maryonetkami, tańczącymi na arenie agitacji politycznej i sami o tem nie wiedząc, miewamy mowy ku większej korzyści republikanów i ich celnej polityki, oraz podnosimy zasługi miejscowych matadorów tego obozu. Gdzie publiczność była wrażliwszą i rozumiała rzucane półsłówka, tam niepodobna było tego dostrzedz. Ale w Hillsboz przyjmują nas włościanie, bądź co bądź, nawet w Ameryce wymagający, aby im kładziono mądrość łopatą do głowy. Nasi więc opiekuni amerykańscy wcale niedwuznacznie odslaniają swoje karty i wypowiadają ufność, że fermerzy odplacą im wdzięcznością za tyle dbałości o ich dobro.

\*  
\* \* \*

*30 sierpnia w wagonie kolejowym.*

Smutnie wygląda step pszenny, kiedy został zgolony! Zniknęło złociste morze falującej pszenicy, niema już trupów, sterty poszły z dymem. Prerya swobodna od dzwigania na sobie cywilizowanej szaty, upomina się o swoje odwieczne prawa i ściernisko poczyna trawą porastać. Horda najeźdźników, która przed 20-u laty zwała się do stepów i wygnała bawoły, uwija się szybko. A kto wie, jak długo zatrzyma się ona na tym popasiel? Gospodaruje jak rzeźmieszek, zabiera gruntom soki, na których nagromadzenie pracowały stulecia; lekkomyślnie i bez zwrotu, rozprasza je po dalekim świecie. Uczeni agronomowie dakockiej stacyi doświadczałnej, mający na widoku interesy dalszych pokoleń, chcieliby tej hordzie nadać instynkta osiadłego trybu życia, odwieść od uprawy jednej tylko pszenicy — na tej zasadzie, że taka jednostajność zanadto wycieńcza grunta. Nie wiem, jaki skutek odniosą te podszepty, bo, jak na dzisiaj, farmer po dawnemu uprawia wyłącznie pszenicę, świadom tego, że póki żyw, gruntom nie zbraknie urodzajności. A potem? — Na daleką przyszłość zapatruje się on według maksymy Ludwika XV. Przeczorniejsi oglądają się, czy nie dojdzie ich wieść o urodzajniejszych terytoryach, gotowi wywędrować, podobnie jak to już nieraz uczynili. Osada jest dla nich tylko namiotem.

A jednak to plemię koczowników, tak energiczne w porównaniu z naszym rolnikiem, znalazło przecież panów nad sobą. Nasz niezaraźliwy włościanin miota się w pajęczynie drobnomniasteczkowego lichwiarza-przekupnia, fermer amerykański — możnowładców kapitału. Te

elewatory, których paręset widzieliśmy, są oczkami sieci pajęczej; koleje któremi jeździmy, jako nici, biegną od jednego oczka do drugiego i służą do odpowiedniego celu. Przekupnie zboża, młynarze i kolejarze solidarnie powiązali się w tajne kartele i pospółu spiskują przeciwko fermerom. Elewatory łączą się wzajemnie, są spółki akcyjne posiadające z górą setkę takich uspołeczniionych spichlerzy. Spółki te znawiają się z sobą i z kompaniami młynarskimi, wszystkie zaś z kolejami. Ci sami bowiem kapitaliści posiadają akcje pozornie niezależnych od siebie towarzystw! Tym spiskom przysłuchuję się obecnie do przesytu. Towarzyszą nam różni potentaci: jakiś dostojnik drogi, po której jedziemy, jakiś możnowładca z branży młynarskiej, nie brakuje też przedstawicieli spółek elewatorskich. Ścisła zażyłość łączy ich wzajemnie. Kiedy rozsiądą się w wagonie obserwacyjnym, całemi godzinami słyszę, jak rozmowa się obraca około fermera i sposobów zapuszczenia ręki do jego kieszeni. A na czele tej zgrai plutokretów idą koleje. Każda osada, licząca więcej nad 200 głów ludności, jest w Dakocie stacją! Stan jest porznięty, niby szachownica, siecią równoległych torów; każda spółka kolejowa z góry zapobiega, ażeby inni kapitaliści nie uprzedzili ich i nie zajęli posterunku, i jeszcze nim potok ludzki rozleje się w pewnym kierunku od głównej linii, budują bocznice. Akcyonaryusze kolei, są też głównymi akcyonaryuszami spółek elewatorskich. Taką jest potęga, z którą zmierzyć się musi fermer: energiczny i ruchliwy, znajduje pajaków jeszcze zręczniejszych. Rzecz odbywa się grzecznie, z zachowaniem możliwych uprzejmości, pajak wysysa muchę, ale jednocześnie podsuwa jej różne słodycze. Kolej np. podniesie takse o pół centa na przewozie buszła pszenicy, lecz przywiezie cudzoziemców, których będzie pokazywała fermerom, jak gdyby były to zwierzęta z menażeryi, i będzie tłómaczyła, że ci swojemi opowieściami o cudach dakockich sprowadzą potok nowy osadników, przybysze zaś przyczynią się do podwyższenia ceny gruntów już uprawionych. Czyż za taką troskliwość nie warto dorzucić miernego pół centa?... Zresztą pajaki odznaczają się niezwykłą inteligencją. Wiedzą, że drobnych muszek nie warto chwytac. Budują więc kolej przez prerye, z których olbrzymi pas dostają od rządu na rzecz swego przedsiębiorstwa, przewożą osadników z rzeczami i sprzętami po cenach kosztu, ustanawiają niskie ceny, póki fermer jest na dorobku. Ale kiedy pustkowie zamieniło się już na zakątek kulturalny, wtedy poczynają śpiewac inną piosnkę rolnikowi.

Wracamy do Chicago pośpiesznie, odpoczęliśmy jedynie godzinę w Fargo. Niedawno zgorzało ono do połowy, ale, zamiast zgliczszy i nędzy, znaleźliśmy setki murarzy na rusztowaniach—Fargo niebawem zmartwychwstanie murowane. Tonie ono w zieloności—istny park rzekłbys! Było to rankiem, obecnie jest już pod wieczór, a my nie zatrzymaliśmy się nawet na jednej stacji. Jedziemy po linii, która się ciągnie równolegle do poprzedniej drogi i należy do tego samego towarzystwa akcyjnego. Miejscami idzie aż trzy, cztery i nawet pięć takich równoległych torów. Przerzynamy okolicę, pełną jezior, a którą jużesmy poznali z innej krawędzi. Od stacji Morris pola orne niemal ustały, trawa porosła pagórkowate błonia, już nieco żółta-wa. Niekiedy długimi szlakami idą złote kobierce,—to jakieś kwiecie tak ubrało łąki. Tylko gdzieś niegdzie oko zoczy niewielkie pólko: snopy leżą, a ściernisko już zarasta trawą i gdyby nie kopce, nie odróżnilibysmy go od łąki. Fermy bieleją z pomiędzy gajów, tu i owdzie przy nich rozsiadły się stogi siana, niekiedy widać cegły z niego zrobione. Na kwiecistych kobiercach pasie się kilkanaście i kilkadziesiąt krów. Jesteśmy zatem wśród obszarów, które wyspecjalizowały się w produkcji nabiału, podobnie jak okolice rzeki Czerwonej—pszenicy. Osady mleczarskie i fermy, trudniące się opasem bydła na rzeź, usadowiły się przy sobie setkami; pomiędzy nimi podnoszą się małe kominy fabryk masła i sera, przerabiające mleko sąsiednich osad. Wogóle specjalizacja zagnieździła się w rolnictwie amerykańskim: potworzyły się obszary, produkujące jedynie nabiał, inne, które wysyłają na rynek tylko siano, jeszcze inne—bydło na rzeź albo pszenicę. Są okręgi owocowe, warzywne. Agronomowie europejscy wciąż doradzają kulturę wszechstronną, każą jednocześnie uprawę roli z hodowlą bydła i produkcją nabiału, obok dworu zakładać ogród owocowy. Za morzem rad takich nie dają, bo ichby nie słuchano. Rozwinięte środki komunikacyjne pozwalają na to, że w porzeczu rz. Czerwonej uprawiają jedynie pszenicę i jedzą na wsi mięso z bydła stepowego, że w innych terytoryach trudnią się tylko produkcją nabiału i w zamian kupują mąkę. Gruntu zdatnego pod łąkę pod nic innego tu nie używają na przestrzeni setek mil kwadratowych. Specjalizacja doszła nawet do tego, że istnieją fermy, zajmujące się jedynie hodowlą kurcząt, niczem innym. Gospodarstwo „rolne“ w zupełności utraciło swój naturalny charakter, w jakim przez tyle wieków kroczyło—żyje ono ze sprzedaży i produkuje na sprzedaż, prócz swego specjalnego produktu nic nie wytwarza w swoim łonie, lecz wszystko to kupuje. Nawet produkując pszenicę, spożywa mąkę kupowaną.

\*

\*

\*

Godzina jazdy, najwyżej dwie przedzielają nas od Mississipi. A im bliżej jesteśmy tej rzeki, tem powabniejsze widoki roztaczają się przed nami i przyroda wabi ku sobie pełnemi wdziękiem pejzazami. Znajdujemy się w okolicy naturalnych parków. „*Park Region*“ nazywa się to terytorjum, które darzy nas takimi krajobrazami. Powierzchnia gruntu pofałdowaną jest w tysiące wzgórz i tysiące kotlin, w których ukryły się liczne jeziora, prawidłowo okrągłej formy. Ciągną się one z przerwami po obu stronach toru kolejowego od paru godzin i będą nam towarzyszyły jeszcze długo, srebrząc się w zielonej oprawie łąk i gajów.

Pociąg wjeżdża na most, przerzucony po-nad tonią. To jezioro Minnetonka, niestety, swoją nazwą nic a nic nie mówiące cudzoziemcowi, lecz sławne w całej zamorskiej Rzeczypospolitej. Zatrzymujemy się i wysiadamy, bo parowiec czeka na nas w przystani, ażeby pokazać nam uroki uciejszej przyrody. Po drodze dostajemy niewielkie mapki okolicy—reklama jednego z miejscowych hoteli, użyteczną dla nas i korzystną dla zakładu. Wyobraźmy sobie mnóstwo jezior mniejszych i większych, rozsianych w pobliżu, pomiędzy którymi swawolna przyroda wyźłobiła cieśniny, czego zaś ona nie zrobiła, tego dokonała sztuka ludzka. W ten sposób, z połączenia wielu zbiorników powstała tań Minnetonki. Jezioro więc posiada zaiste fantastyczne kształty, nawet wyobraźnia, najbardziej rozszalała, z trudnością nakreśliła-by cudaczniejsze kontury. Wyspy i wysepki sterczą z pośród wód, to znowu w łono jeziora wrzynają się półwyspy potwornej postaci, rzekłbyś, ktoś wziął potężne a pełne odnóg drzewo i według tego wzoru ukształtował te języki ziemi. To też przejażdżka po powierzchni obfituje w niespodzianki. Statek pruje tań przezroczystą, zda się zamkniętą zewsząd. Ale parę uderzeń koła i przed nami otwiera się cieśnina, i oko, ślizgające się po niej, spostrzega inne niezmierzone zwierciadło, mieniające się w promieniach zachodzącego słońca. Z jednej odnogi mkniemy do drugiej, z ramienia do ramienia. Brzegi jakby igrały z nami: zbliżają się tuż do statku, parę chwil i już umknęły het daleko, wygięte w prawo i w lewo. A zachodzące słońce do tej fantastyczności dorzuca nową. Długie cienie pobięły od pagórków i języków, również poszarpane i pokrzywione, i to, co było długie, staje się jeszcze dłuższem.

A o lepsze z siłami przyrody staje do walki sztuka ludzka. Amerykanin umie korzystać z powabów natury i w pogoni za grosiwem nie zatracił poczucia jej piękna. Z pośród bujnej zieloności wyglądają wille i domki, rozrzucone wzdłuż brzegów podobnie fantastycznie, mieszają się z gąszczami, przeglądają w toni, to znowu pochowały

się w osłonie leśnej pod drzewami i tylko ścieżka ku wodzie i ławka na brzegu zdradzają ich obecność. Akurat naprzeciwko nas rozsiadł się olbrzymi hotel, niesmacznie oryginalnej struktury, z dachem podobnie poszarpanym jak brzegi jeziora, a którego czteropiętrowe miejscami fronty, zdaje się, że są tuż przy ziemi, tak wysokość maleje wobec potwornej długości zrębu. Naturalnie o komforcie mówić nie potrzebujemy,—jest to rzecz nieodłączna od tego rodzaju zakładów. Takich hoteli, urządzonych według najnowszych wskazówek techniki, stoi około tuzina nad wodami Minnetonki. Jedne z nich usadowiły się na przesmykach, inne ośmieliły się nawet wleźć na drobne wysepki, lecz zawsze są podobnie sporych rozmiarów, po sto i nawet kilkaset numerów — naturalnie prócz salonów, czytelnicy, nawet sal dziecięcych. I państwo też nie zapomniało o swoich obowiązkach, odsadziło bowiem prywatnych *businessmenów* od nakładania haraczu na powaby przyrody. Różne półwyspy i wysepki zajęło ono pod parki publiczne, tem samem uczyniło je dostępnymi dla każdego. Wogóle jest to zasadą w Stanach Zjednoczonych, że rząd unarodawia zakątki, sławne z swej piękności. Między innymi dokonano w tym kierunku dzieła, które tylko tutaj, w Ameryce, jest możliwe. W kącie północno-zachodnim Wyomingu założono park narodowy, przestrzeni nie o wiele mniejszej od stanu Connecticut nad Atlantykiem. Pono glob ziemski nie wiele liczy podobnie uroczych kryjówek. W pośrodku dzikiej kotliny górskiej rozlało swe wody jezioro Yellowstone. Nad niem piętrzą się góry, porznięte w cudackie baszty, twierdze i wieżyce i poprzedzielane głębokimi wąwozami. Górskie potoki i wodospady, liczne gejzery, idące tarasami gęste lasy, słowem najrozmaitsze żywioły, złożyły się na podniesienie powabów tego parku, „*National park*“, jak z dumą mówi yankee, czujący, że nikt prócz niego nie zdobył się na ideę unarodowienia przyrody na tak wielką skalę. A w parku zakładano hotele, tory kolejowe do niego biegną i z każdym rokiem wzrastają w liczbę, komfort się sadowi. Pedagodzy przebąkują o tem, aby dziatwa z całych Stanów Zjednoczonych zjeżdżała tam na lato, żyła w namiotach i studyowała przyrodę, ćwiczyła swoje mięśnie i urzędzała olbrzymie sejmy.

Wracajmy jednak do skromnej naszej Minnetonki. Na wybrzeżu bieleją przystanie i odpoczywa bez liku czółen i yachtów. Minął już sezon i chłód daje się już dobrze we znaki. Gdyby nie to, inny spostrzeglibyśmy widok. W lipcu bywa tutaj gwaro, na brzegu tej i drugiej odnogi wznoszą się obozy amatorów rybołówstwa, nad wodami rozlega się muzyka i okrzyki wiosłarzy, nawet letni uniwersytet na jednej z wysepki prowadzi swoje wykłady.



1 września. Milwaukee.

Ostatni popas! Milwaukee leży na ziemi amerykańskiej, ale nie yankee je zamieszkał. Niemcy skandynawscy i Polacy złożyli się na ludność która przenosi z górą 200 tysięcy głów. Prócz handlowej, inne dzielnice kąpią się w zieloności. Omyliłem się, bo jeszcze jeden wyjątek należy zrobić od tej zasady: „parafie“ polskie. Właśnie z karety widzę jedną jak na dłoni. Małe drewniane domki tułają się do siebie, jak gdyby obawiały się amerykańskiej samotności. Uderza mnie ich struktura, której przypatrzyłem się zresztą już w Buffalo. Do piętrowego budynku przytyka drugi, tej samej szerokości, lecz niższy, do tego zaś trzeci, jeszcze niższy. Rzekłbym, parę szczebli, wyjętych z olbrzymich schodów. Któs mi dał klucz do tej tajemnicy: każdy z tych stopni powstawał w innym czasie, w miarę tego, jak gospodarz porastał w pierze. Zdaje się tłumaczenie to dobre nie dla wszystkich przypadków, bo ot ktoś buduje dom odrazu w postaci schodów. Może późniejszy przybysze, zastawszy taką strukturę, nie dociekali powodów, lecz wręcz rzekli sobie, że takim już jest zwyczaj „nowego kraju“ i jęli naśladować, aby nie zdradzili się, iż są *greenerami*. A w otoczeniu tych drobnych domków, na tem większego olbrzyma wyrasta świątynia pańska i ta nieproporcjonalnością swoją nadaje obrazowi widok, nie licujący z duchem amerykańskim. Zwłaszcza rażą ciężkie, niezgrabne wieże. Ale nie lekceważmy tych wież. Nasz rodak amerykański posiada swoją ambycję i dba o to, aby go w „nowym kraju“ nie wzięto za byle kogo. Zrenicą tej ambycyi są właśnie takie wieże. Pochłaniają też one ogromne sumy. Owa świątynia, którą oglądałem, kosztuje — jakem później się dowiedział — z górą 80 tysięcy dolarów, z tej zaś kwoty około 30 poszło na wieżyce.

Kolonia w Milwaukee należy do najwplywowszych. W r. 1867 znajdowało się tutaj wszystkiego 30 rodzin, które nie zawahały się przystąpić do budowy parafii, oddając pod zastaw swoje majątki. Jadący w tej samej ze mną karecie Niemiec, miejscowy dziennikarz, udziela mi różnych szczegółów. Dowiaduję się, że obecnie znajduje się tutaj do 5000 rodzin polskich, żyjących własnymi parafiami. Opowiada on, iż nasi ziomkowie wogóle odgrywają w życiu politycznym miasta rolę bardzo znaczną. Znaleźć ich możemy na najwyższych posadach publicznych, nawet w gronie senatorów. Mają się dobrze, większość ojców posiada własne domki, pracują głównie przy budowie domów, kanałów, oraz zajmują się ładowaniem towarów w porcie. Dokoła miasta wielu z nich jest fermerami. Świa-

dectwo to człowieka postronnego więcej jest warte, niż przechwałki współziomków. Dodam, że w szkołkach parafialnych znajduje się 4000 dzieci, że w tym roku założono wyższą szkołę, gdzie będą wykładali, prócz polskiego, języki: niemiecki i angielski, matematykę i fizykę, oraz stenografię, buchhalterję i umiejętność pisania na *type writer'ach*. Nauczycielami będą zakonnicy. Muszę zaznaczyć, że personel nauczycielski jest za szczupły i mało przygotowany,—45 sióstr i 5 nauczycieli na 4000 dzieci, to nieco za szczupło!

\*  
\*                      \*

Milwaukee posiada jeszcze świeżą pamięć o swoim początku. Nad jeziorem, tam gdzie rozpoczyna się najpiękniejsza dzielnica, stoi posesja pierwszego kolonisty, który osiadł w pustkowiu i dał początek miastu. Nieco więcej nad pół wieku przedziela nas od tej chwili. Mimowoli poczynamy rozmyślać nad historją miast amerykańskich i nauką, jaką z niej może czerpać obywatel. W ciągu paru dziesiątków lat drobne osady zamieniają się na ludne ogniska ruchu handlowego. Całe dzielnice powstają w lat kilka. To też krzywych, nieregularnych ulic nigdzie nie spotkasz, chyba wyjątkowo natrafisz na coś podobnego. Są one zawsze prościutkie, szerokie, spotykają się pod prostymi kątami. Człowiek z góry wyznacza miejsce na ulice i nawet oblicza odległość pomiędzy niemi i dopiero później je zabudowuje. Ma jeden tylko kłopot — z nadaniem nazwisk tym ulicom, rodzącym się jak grzyby po deszczu. Wszak trzeba ochrzcić jedną i drugą setkę tych arteryi ruchu; historia Stanów Zjednoczonych wyręcza Amerykanina w tym kłopotcie. Patriotyczni ojcowie każdego miasta powyciągali z podręczników wszystkich prezydentów i wice-prezydentów, nie zapomnieli nawet o wybitniejszych wojakach i ich nazwiskami ozdobili ulice. Nie znając jakiegoś miasta, z góry możemy zawsze wymienić nazwy paru ulic i nigdy nie omylimy się! Naturalnie ulice idą po sobie w tym porządku, w jakim następowali prezydenci. Ale tego materiału nie wystarczyło dla ochrzczenia wszystkich ulic w takich ogniskach, jak New-York, Filadelfia i inne wielkie miasta. Wynaleziono przecież na to radę, a zrobiono to w sposób, który zerwał z wszelką tradycją, a świadczy, że miasta amerykańskie nie powstawały zwolna w ciągu wieków, lecz że ulice wyszły jednego dnia całym batalionem z mózgu ludzkiego i zostały ochrzczone jeszcze przed swoim narodzeniem. Zwrócono się o pomoc do alfabetu i wzięto kolejne cyfry. W Chicago i w Nowym-Yorku takie dzielnice cią-

gną się na przestrzeni wielu mil kwadratowych. Patrząc na nie, odrazu odnajdujemy tam rękę ludzką. Rozumiemy, że te części miasta tworzyły się tak, iż woła ludzka od początku przewodniczyła ich porodowi! Razi to przybysza z naszej części świata. U nas wszystko wykluwało się powolnie i potrzebowało wieków, a każda epoka położyła swoje znamię na ulicy i zostawiła jakąś spuściznę, opowiadającą o dziejach miasta. My nie czujemy tego, bośmy przywykli, i dopiero za Atlantykiem uświadamiamy sobie tę różnicę. Zresztą uskarżać się na monotoność zamorską nie mamy powodu, jest bowiem bardzo wygodną — po dniu jednym i drugim orientujemy się już w nowem mieście. Ale co dziwniejsza, zabrano się do podobnego usystematyzowania nawet całych hrabstw. Wiosek w Ameryce niema, fermerzy mieszkają pojedynczemi osadami. Jak któregoś znaleźć, sprawa ta niejednokrotnie sprawia sporo kłopotów. Hrabstwo — *county* — Contra Costa (w Kalifornii) zdobyło się na wynalazek, który usuwa tę trudność. Wszystkie drogi w tym okręgu zostały wymierzone i ochrzczone nazwami, każda zaś mila podzielona na 20 równych części, „bloków“. Każdy blok posiada swoją cyfrę, parzystą po jednej, nieparzystą po drugiej stronie, dom wiejski jest zaopatrzony w cyfrę swojego bloku, jeśli zaś jest ich kilka, jeszcze w kolejną literę. Nie wdaję się w drobiazgi tego urządzenia i poprzestaję na wzmiance, że w kilkustronicowym notatniku może zostać umieszczony *Adresbuch* zamorskiego powiatu, pozwalający nawet obliczyć odległość jednej fermy od innych. I znowu schemat!

Te ulice, opatrzone nazwami cyfrowemi, i aleje literowe, te drogi z góry przeprowadzone, w określonej odległości od siebie, ta przestrzeń tak wielka, jak nasza gubernia, a przecież tak usystematyzowana, że adresy dają nam poznać przestrzeń pomiędzy dwoma pierwszymi lepszymi domostwami: wszystko to, na pozór tak mało-ważne i podrzędne, posiada jednak głębsze znaczenie i wywiera doniosłe wpływy. Taki schematyzm szczególnie działa na przybysza. Czuje on, że atmosfera jest inną, niż w „starym kraju“, gdzie wszystko ma swoją historję, żywiłowo tworzyło się i jakby woła, że samo z siebie się zrodziło i narzuciło swoją wolę człowiekowi, wybierając go jedynie na wypowiedacza swoich dążeń. Tutaj, po amerykańskiej stronie Atlantyku, jestestwem całem pojmujemy, że wszystko zostało zrobione. My zresztą tylko pojmujemy, ale rodowitemu Amerykaninowi to czucie wrasta w krew i kości. Doktryna, tłumacząca historję ludzką w sposób „materyalistyczny“, t. j. że materyalne warunki bytu w rozwoju dziejowym odegrały większą

rolę, niż świadoma działalność człowieka, nigdy-by chyba nie zrodziła się w mózgowicy socjologa amerykańskiego. On przeciwnie wysunąłby „ideę“ na plan przedni! Statystom i publicystom zamorskim zupełnie zbywa na poczuciu historyczności, są oni pełni pogardy dla wszelkiej erudycji bibliograficznej. Owa obojętność dla tradycji i bezwzględna pogarda dla warunków historycznych, z jakich-to przymiotów w Europie czynią zarzut radykalistom, są jakby drugą naturą yankeesów. My mówimy o prawach historycznych rozwoju, Amerykanin o nich nie myśli i wprost nawet nie umie myśleć. Czyż ulice miast jego nie mówią, że zostały zrobione przez człowieka? czyż całe hrabstwo nie świadczy o tem, że jest dziełem ręki ludzkiej? czyż w Minneapolisie nie pokazują przybyszom staruszka, w Milwaukee zaś posągu, pierwszych osadników? Umysł wyciąga stąd dalsze wnioski: jak zrobiliśmy ulice, podobnie możemy robić historię i ulepszać stosunki społeczne. Trzeba pobyć dłużej w Ameryce, aby zrozumieć, jak oddziaływa taka maksyma, będąca plodem otoczenia. Bez przeszłości historycznej, wśród dowodów bez liku, że wola ludzka stwarza stosunki i że idea jest wszechwładzą, yankee w polityce innych aniżeli my używa argumentów.

\*

\*

\*

Zwiedzamy browar Pabsta, „największy w świecie“. Po drodze zawiązuję rozmowę z miejscowym Niemcem o stosunkach, jakie panują w Milwaukee. Narodów jest tutaj co niemiara, przedstawiciele jednych są zamożni, innych biedni, i zajmują stanowiska, które z natury swojej wywiązują wzajemny antagonizm. Niemiec przyznaje, że ekonomiczna sprzeczność interesów istnieje i nieraz rodzi wzajemne walki, ale stanowczo zaprzecza, ażeby właśnie rasowo-plemienne trwały w swojej europejskiej mocy. Między innymi opowiada mi fakt, że biblioteka miejska, stojąca bezpłatnie na oścież dla każdego, zaprowadziła u siebie dział cały, poświęcony jedynie sprawie narodowościowej. Co tylko w jakimś języku wychodzi a dotyczy narodowości, zostaje kupowane. Zarząd podobnie postępuje też w zakresie „sprawy społecznej“, jest nawet w tej mierze bardziej zapobiegliwym.—Chyba, że to najpraktyczniejszy sposób rozwiązywania takich kwestyi, bąknął pod koniec rozmowy.—Chyba!

*W wagonie kolejowym.*

Milwaukee pozostało za nami. Jeszcze godzina, a staniemy z powrotem w Chicago. Myśl buja het daleko, tam nad łąkami Dakoty, ale zamiast rozkoszować się naturą stepu pszennego, usiłuje zbudować skielet statystyczny tamtejszych stosunków. Już nieraz nadmieniałem, że technika rolna na stepie pszennym święci nową epokę. Zaprawdę, wszystko tam wygląda inaczej, i to nie tylko na wielkich fermach, lecz równie w pomniejszych majątkach. Stosunek wzajemny do siebie różnych części kapitału jest zgoła odmienny. Jako wzór, weźmy pewne gospodarstwo, posiadające około 50 włók, a zatem majątek średniej wielkości. Posiada on w swoim inwentarzu martwym siedm wiążących żniwiarek, 14 pługów dwuskibowych na kołach, młockarnię parową, kilka siewników. Jak na rozmiar folwarku, liczba narzędzi dość nieznaczna, co tłumaczy się wytworzością używanych sprzętów. Kapitał, który zakrzepnął w wyliczonym inwentarzu, przedstawia sumę do 10 tysięcy rubli. Drugie tyle poszło na wozy, uprząż, drobniejsze sprzęty, żóraw studzienny. Tymczasem fundusze, uwięzione w budynkach, względnie stanowią kwotę bardzo niezłączną; jest tam willa z drzewa i parę stajen skleconych z desek według wzorów tandety pociejowskiej. A wydajność maszyn odsuwa na plan dalszy mięśnie ludzkie i siłę zwierzęcą. Na 100 akrów gruntu, mniej więcej, przypada za ledwie parę koni roboczych! Majątek więc, o którym tylko co wspominaliśmy, mimo swoich włók pięćdziesięciu, poprzestaje na 12-u koniach, inny, cztery razy większy, na 65. Co zaś do robotników, zwykle jeden, niekiedy dwóch, podczas zimy, zdołają wykonać wszystkie prace na folwarku 1000-morgowym. Wiosną liczba ta podnosi się do 5, niekiedy zaś 9, jeżeli majątek orze grunta w tej porze; wreszcie w okresie żniw dosięga swego maksimum, to znaczy tuzina głów. Cyfry te od razu nam wskazują wielkość, oraz chwilę przyływów i odpływów ludności w stepie Dakoty, które idą z ognisk miejskich wiosną i wracają ku jesieni.

Szczegóły to suche, wymowne przecież mimo swojej oschłości! Maszyna wygnała ze wsi zarówno człowieka, jak bydło juczne. Jakiż przewrót wywołała-by ona, gdyby wkroczyła do naszej części świata i zawiadnęła rolnictwem! Owce pożarły ongi włości angielskich, — ów stan, który był podstawą wielkości *old merry England*; wsie ludne zniknęły, aby dać miejsce szopie z paru owczarzami, rozbój na wiele lat zapanował wzdłuż dróg i szubienice pracowały skrzętnie, ażeby postawić tamę włóczgom, oderwanym od ziemi. Maszyna nowocze-

sna, która tam w Dakocie opanowywa ziemię dziewiczą bez tradycji historycznej, wśród rutyny włściańskiej naszej Europy wywarła-by skutki doniosłe. Tak spokojna w Ameryce, byłaby w „starym kraju„ straszną burzycielką, siejącą nędzę i niezadowolenie, oraz podrywającą fundamenta stateczności społecznej.

Myśl od stepu pszennego biegnie w kierunku sieci komunikacyjnej. Przyglądam się mapce obszarów, przetrzyniętych przez nurt rzeki Czerwonej. Linia czarna ciągnie się na niej, równoległe do linii, niekiedy pięć takich szlaków leży obok siebie. Środkiem idzie tor główny, niby pień olbrzymiego drzewa, z niego, jak gałęzie, wyrastają różnej długości bocznice, nieco pochyle przy początku, później równoległe. Ich długością można mierzyć kulturę pewnej okolicy. Im która jest krótszą, tem późniejszego bywa pochodzenia i przebiega przez terytorium mniej ludne. Niektóre z nich są jak owe ślepe zaułki w starej dzielnicy wielkiego miasta: skoro wejdziesz w nie, to musisz zawrócić, aby wydostać się z powrotem. Taka bocznica kończy się zwykle w czystym polu, wybiegłszy niekiedy o kilkanaście kilometrów po-za ostatnią placówkę ludzką—szlak taki przeprowadzono w oczekiwaniu przyszłego potoku kolonistów. W preryi kolej wyprzedza człowieka i wyznacza kierunek osadnictwa, przywozi deski, odpowiednio przygotowane, z których wczorajszy przybysz złoży dom tak samo, jak dzieciak to robi z sześcianków; dostarcza mięsa i masła, oraz innych produktów. Istota ludzka osiedla się w pustkowiu, ale w pełnym odmiecie wymiany. A linie równoległe, oddalone od siebie o kilkanaście kilometrów, są porzięte siecią innych, prostopadłych do głównego toru. Drogi zwykle przestają posiadać większe znaczenie. Fermerzy siedzą wzdłuż kolei, cena gruntów szybko spada z odległością od toru. Pociąg zatrzymuje się w polu, na znak chustką, jak również na żądanie wysadza tam pasażerów. A zatem jeżeli ktoś kogoś odwiedza, jedzie wtedy koleją. Bliżsi sąsiedzi posiłkują się welocypedami. A nie tylko rola dróg żelaznych, lecz też zamożność towarzystw kolejowych jest inną, niż w Europie. Kompania, której drogą wracamy, posiada 10 tysięcy kilometrów toru!

Któs przerywa mi przyglądanie się mapce Dakoty. To agent towarzystwa ekspresowego. Obchodzi on pasażerów, bierze od nich

kwity pakunkowe i w zamian wydaje czeki z blachy. Za małą opłatą zbywam cały kram odbierania bagażu, w parę godzin odeślą mi go do domu. Pospiesznie układam rzeczy, bo już migają uboższe wille Chicaga, rozproszone daleko od siebie wśród spalonej na słońcu trawy i okryte wstrętnym tumanem kurzu.

K. R. ŻYWIICKI.

---

## *Na dzień Zaduszny.*

---

Dusza dziś ze mnie wychodzi płacząca  
I, pióra kąpiąc w mroków oceanie,  
Leci — wierzchołki lip skrzydłami trąca,  
Aż na cmentarnych dzwonicach przystanie.  
Dzwonom na serca ręce kładzie obie  
I słucha, w spiżu chcąc odnaleźć tętna  
Serc, które w proch się rozsypały w grobie.  
Bo czyliż dzwonów pieśń przewlekła, smętna,  
Bijąca w niebo kręgów dźwięczną falą,  
Metalu tylko pustym jest rozbrzękiem?  
Czy się w niej duchy umarłych nie żalą?  
Czy się w niej wyciem nie skarżą i jękiem  
Ci, których wszyscy żywi zapomnieli?  
I dusza moja, zadumana o tem,  
Na dzikich grobach klęka — cała w bieli —  
Na grobach, które porosły blekotem  
I pokrzywami: a zbutwiałe krzyże  
Chylą się, skrzypiąc na jesiennym wicherze,  
A wicher na nich gra, jakby na lirze.



Jest w suchych liściach szept modlitw, co cichsze  
 I żałośniejsze niż ludzkie pacierze,  
 I jest zaduszna jakaś antyfona  
 W szeleście żółkłych traw i drzew tych szmerze,  
 Co wyciągają wychudłe ramiona  
 Nad mogiłami pustemi — w mgłę siną,  
 I lzy wilgotne ściekają po próchnie  
 Omszonych krzyżów i po głazach płyną,  
 I cały cmentarz zda się, że wybuchnie  
 Łkaniem . . .

Skrzydłami powłócząc po ziemi,  
 Powraca dusza moja, żalem zdjęta,  
 I płacze cicho nad grobami temi,  
 O których żadne serce nie pamięta.

---

## Z cyklu p. t. „Sny.”

Śnił mi się dziwny sen.

Śnił mi się dziwny sen. Po kwietnej łące  
 Szedłem przez jaskry i śnieżne stokrocie  
 I piłem wiosny oddechy pachnące,  
 A ptaki jakieś ogromne w przelocie  
 Cień białych skrzydeł kładły mi na głowę —  
 I szedłem z wolna po kwiecistej łące  
 Na życie nowe.

Śnił mi się dziwny sen. W każdym kielichu  
 Tych polnych kwiatów żywe serce drgało,  
 I kwiat mi każdy mówił coś po cichu;  
 Po rosie ku mnie szło przez łąkę całą  
 Szeptanie kwiatów dalekie, echowe,  
 I coś mnie w każdym wołało kielichu  
 Na życie nowe.

Śnił mi się dziwny sen. Z oddali ku mnie  
 Kochanka dawna szła przez jasne kwiaty,  
 Podobna greckiej wysmukłej kolumnie,  
 I w rozpuszczonych fałdach białej szaty  
 Kwitnące niosła gałązki wierzbowe —  
 Chciałem ją wołać: „Chodź ku mnie, chodź ku mnie  
 Na życie nowe.“

\*

\*

\*

Prześnił się dziwny sen. Oto mię budzi  
 Deszcz, co w jesienną noc po rynnach dzwoni.  
 Gdzie łąka? kwiaty z sercem, jak u ludzi?  
 Kochanka dawnych lat?... Nie myślmy o niej!  
 Widzenia kwiatnych snów, bywajcie zdrowe,  
 Nic mego serca z letargu nie zbudzi  
 Na życie nowe.

---

## Widziałem szkliste martwych wód obszary.

Widziałem szkliste martwych wód obszary,  
 Naokół taflą rozlane stalową,  
 I niebo miałem kamienne nad głową,  
 Wykute całe z jednej chmury szarej.

A z głębi tego wodnego cementarza  
 Wychodził księżyc, jak białe widziadło;  
 Westchnęły wody i niebo poblądło,  
 Bo księżyc w twarzy miał coś, co przeraża,

I stanął wielki, zimny, nieruchomy,  
 Wpatrzony w nurtów odmęt zwierciadlany,  
 I trupie blaski kładł na skalne ściany,  
 I w ołowiane chmur czarnych załomy.

Bezbrzeżna pustka leżała wokoło,  
Bo prócz mnie z żywych nie było nikogo —  
I drżałem, zdjęty dziwną jakąś trwogą,  
A księżycowy blask mroził mi czoło;

Czułem na sobie te zimne promienie,  
Jak gdyby ręce ślizkie i kościane,  
Czułem, że jeśli w tej chwili nie wstanę,  
To mnie śmiertelne ogarnie strętwienie,

I że przyrosnę do skał martwą skałą,  
Miesięcznych blasków zakłębem uśpiony;  
Chciałem wstać, krzycheć, biedz w dalekie strony —  
Lecz mnie przykuwał księżyc — twarzą białą...

LUCYAN RYDEL.

---

# Wśród stepów i jarów.

---

## II.

### W m r o k u.

Dzieje ludzkości zaczynają się z pierwszym krokiem człowieka, z pierwszym podjęciem przezeń usiłowań ku zaspokojeniu potrzeb materyalnych, a w miarę jego umysłowego rozwoju i dążeń wyższych; lecz nim on uczuje konieczność utrwalenia swych uczuć lub wrażeń, zanim użyje odpowiednich do tego materyałów, kształtów i znaków, bezwiednie, bądź urządzeniami powszedniego bytu, bądź prostymi obrzędami, zwiastującymi dopiero przedświt głębszej myśli, pozostawia przyszłym pokoleniom źródła, z których będą o rodzaju jego życia wnioskować. Najstarsze w dziejach narody, jak Indowie, Chińczycy, Egipcjanie lub meksykańscy Olmekowie <sup>1)</sup>, które zostawiły odwieczne pagody, piramidy z hieroglifami, kolumniaste świątynie, kamienne płyty z napisami najdziwaczniejszych kształtów, całe pałacowe budowle z niezrozumiałymi dotąd znakami — stawały jeszcze dawniejsze a prostsze od wymienionych pomniki; a gdy niewiele tak zwanych pierwotnych ludów zostawiło nam swoją, w ten lub inny sposób pisaną, historję, po większej części trzeba ją odgadywać z resztek dawnych zwyczajów, które się przechowały do czasów piśmiennictwa, z wierzeń zabobonnych, podań, pieśni, właściwości języka, a wreszcie z tych resztek, które przechowała ziemia.

---

<sup>1)</sup> H. Martin. „Hist. de France.” T. VIII, str. 8.

Z takich i tym podobnych źródeł, przy usilnej pracy, oświecanej co chwila pochodnią krytyki, może się uda z czasem naprzód pozbierać, a następnie złożyć skorupy urny dziejowej; lecz tylko łącząc tak rozmaite gałęzie wiedzy, jak ludoznawstwo, lingwistyka, archeologia, antropologia, paleontologia, etnografia i inne, badacze najdawniejszych dziejów ludzkości dejsć mogą do celu, a przynajmniej bardziej się do niego zbliżyć <sup>1)</sup>.

O ile łatwo ułożyć teorię i program przy dzisiejszym stanie nauki, o tyle trudniej uczynić to, czego one wymagają: być znawcą wierzeń pogańskich i podań ludowych, lingwistą, starożytnikiem i antropologiem zarazem, przechodzi siły przeciętnej jednostki; co więcej, każda z gałęzi dziejznawstwa wydała już tyle gałązek, że i one wymagają specjalizowania, a chociaż podział pracy znakomicie ułatwia odkrywanie źródeł i szybciej pomnaża zasób materiałów, jednak opanowanie tego zasobu bywa częstokroć tak trudne, że i przy tych, ułatwiających pracę warunkach, staje się ona mozolną, a rezultat jej wydaje się częstokroć jeszcze bardzo oddalonym.

Powyższe uwagi następują nam się w chwili, gdy rozpoczynamy naszą drugą z rzędu <sup>2)</sup> monografię o tem, co się wśród pól i stepu w dorzeczach Bohu i Dniepru, na czarnoziemnym „rozłohu”, przed oczy, niemal na każdym kroku, nasuwa; wprawdzie nadaremno szukalibyśmy tu czegoś w rodzaju starożytnych zwalisk lub innych znanego kształtu zabytków starego świata: nie gmachy z granitu i marmuru, nie kolumnady, nie papyrusey przechowane w piramidach olbrzymich, nie pergaminy prawią tu o zamierzchłej przeszłości, nie one dowodzą, że kraj ten był zamieszkanym od wieków, choć nieraz jak pustka wyglądała a świecił ruiną; świadczą o tem pomniki innego rodzaju i bardzo pierwotnej twórczości, wzniesione z najmniej kosztownego budulcu, bo z tego, który się na miejscu w postaci czarnej ziemi znajduje, a jednak tak dawne, jak te, co gdzieindziej z ciosów stawiano, od niejednych zaś ciosowych o wiele dawniejsze.

Spieszmy dodać, że chociaż te pomniki stanowią poniekąd wyrazistą cechę stron tutejszych, w istocie jednak charakterystyką wyłącznie tego tylko kraju one nie są. Najstarsze ludy tego świata, o których przeszłości wie już nieco nauka, rozsiały je po całej Europie, w Azji zaznaczyły również niemi życiowe swoje boisko; co więcej, może udzieliły ich kształtu innym ludom, nawet Amerykę i Oceanję niegdyś zamieszkującym; bo człowiek, doszedłszy do pewnego stopnia

<sup>1)</sup> Topinard. „Eléments d'Antropologie générale”, p. 176 i następnie.

<sup>2)</sup> Patrz „Bibliotekę” za m. kwiecień 1894 r.

rozwoju i jednakowych warunków bytu, wszędzie potrzebował jednoczyć swe siły w większe lub mniejsze grupy i bronić się od napadu sąsiadów, wszędzie zaznaczał granice swych pastwisk, skoro zaczął życie pasterskie prowadzić, wreszcie wszędzie zbierał sobie podobnych, aby zmarłym ojcom lub bogom, których za swoich przodków uważał, czynić należne ofiary. Był to naturalny wynik potrzeby, zrodzony w każdej grupie społeczeństwa z osobna; a jeśli się gdzie nie urodził, jeżeli obyczaj przyszedł od obcych, to się łatwo przyjmował, łatwo przyswajał, gdy znalazł już grunt gotowy w usposobieniach, co wywołały jego potrzebę, a tylko nie umiały jeszcze rozkazać ręką, jak co wykonać należy.

Usypiska ziemne mają dla nas nieocenione znaczenie ze względu na swą zawartość, która służy za jedyny częstokroć dziejowy materiał dla najdawniejszych epok tutejszego zasiedlenia; również są one do pewnego stopnia probierzem tych opowieści, które już w historycznej dobie powstały. Nietylko dla poważnego badacza starożytności, lecz i dla przeciętnego miłośnika dziejów było-by pożądanem wiedzieć, w jakich warunkach pierwsze wzniesienie zostało usypane; skoro jednak postawienie nauki na tak wysokim szczeblu jest ideałem, o który najśmielsze umysły kusić się nawet nie mogą, przeto pragnąć jedynie możemy zbliżonego do prawdy określenia, jakim był stan ludzkości w chwili, gdy człowiek zaczął utrwałać swoje wyobrażenia i dążenia wznoszeniem pierwszych pomników, lub tego, co się w przyszłości stało wskazówką urządzeń jego pierwotnego bytu. Raptownie, bez uprzedniego przygotowania, pomysły takie przyjść mu nie mogły, lecz stały się wynikiem życia całego szeregu pokoleń, ich odwiecznej fizycznej i duchowej ewolucji; a gdy wspomnimy, że na kuli ziemskiej było już w pełni rozwoju życie organiczne, kiedy się człowiek pojawił, to przedewszystkiem musimy przypuścić, że walka o byt z innymi organizmami musiała wywołać poczucie samowiedzy, która stopniowo człowieka uduchowiła i wykształciła, lecz przedewszystkiem zmusiła go do użycia fizycznej siły i zręczności. Temi dwoma czynnikami posługiwał się on przedewszystkiem, a rozwijaniem ich tylko zajęty, nie miał czasu zajrzeć do głębi śpiącego ducha; dopiero gdy sobie byt jako tako zapewnił, gdy ujrzał się bezpieczniejszym, a nadewszystko gdy proces pokonywania niebezpieczeństw i trudy rozwinęły jego przedsiębiorczość, poczuł zbudzenie już innych, po-za obrębem fizycznego życia stojących, potrzeb, i chęć ich zaspokojenia. Cały ten przebieg tem jest ciekawszy, że się wszędzie na kuli ziemskiej w jednakowy sposób odbył. Uprzypomniając go sobie ogólnikowo, moglibyśmy być pewni, że i do przeszłości stron tutejszych zastosować go możemy, tem bardziej, iż nieco niżej wymieuiamy niektóre zdobycze archeologii, które ogólne prawidło w zastosowaniu do tych stron potwierdzają.

Dla oznaczenia okresu, w którym człowiek zaczął mieszkać w pewnej miejscowości, nauka posługuje się między innymi badaniem warstw ziemnych w połączeniu z wykopaliskami kości zwierzęcych i resztek roślinnych. Zdaje się więc, że nie będzie rzeczą zbyteczną, jeśli dla jasności wątku przedstawimy w ogólnym zarysie przebieg rozwoju świata organicznego tak, jak go nam w rozmaitych warstwach ziemi pokazuje geologia, zastrzegając przytem, że przebieg ten natrafiał miejscami na przeszkody, które go w takich razach uczyniły nieco odmiennym. Wiele okresów minęło, wiele zmian nastąpiło kolejno na tworzącej się w ciągu wieków powłoce ochłodzonych krystalicznych formacyi, nim życie organiczne mogło się zacząć rozwijać w takich warunkach, jakich wymagał przyszły fizyczny ustrój wyższych organizmów. Zwracając uwagę na ślady samego tylko zwierzęcego świata i tego, który pośrednie miejsce między rośliną a zwierzęciem zajmuje, mamy bezpośrednio na krystalicznych formacyach leżący pokład, zwany kambryjskim <sup>1)</sup> i widzimy, że ówczesne organiczne, na wodą pokrytej ziemi, życie, było niesłychanie ubogie, gdyż się ograniczało do samych jedynie polipów; nad niemi, w następnym pokładzie, sylurskim, znajdujemy już nieco wyższe gatunki od t. zw. zwierzokrzewów (zoofites) do doskonalszych mięczaków i skorupiaków, a dalej śledzimy obfite zapewnienie ówczesnych wód coraz to rozmaitszemi odmianami tych gatunków; w trzecim z kolei, dewońskim, pokładzie, przybywają ryby; a gdy nareszcie z pod wód wyłaniają się lądy, zaczyna je stopniowo pokrywać bujna roślinność, ta właśnie, która dzisiejsze zagłębia węgla kamiennego stanowić z czasem będzie. W tym czwartym peryodzie na pierwszych lądach mieszkają pierwsze gatunki, zajmujące miejsce pośrednie między rybami a łuską pokrytemi płazami, na nim też kończy się t. zw. epoka paleozotyczna <sup>2)</sup>, której wymienione cztery pokłady stanowią obecnie głębie, dochodzącą miejscami do nadzwyczajnych rozmiarów <sup>3)</sup>, a dającą nam słabe wyobrażenie o ciągu wieków, których potrzebowały do tak wysokiego napiętrzenia. Piątego pokładu faunę stanowią ziemnowodne olbrzymy; jest to przedświt nowej epoki, zapowiedź okresu następnego „trzeciorzędowym” zwanego, który się wypełnia gruboskórnemi olbrzymami, jak nosorożce, mamuty i inne trawożerne, a w końcu i mięsożerne zwierzęta. Wre walka między nowemi przybyszami a dawniejszym ichtiozaurem i kompanią; młodsze w porządku stworzenia, zdolniejsze do nowych warunków życia organizmy

---

<sup>1)</sup> Nadaillac. „Les premiers hommes.” T. I, p. 48.

<sup>2)</sup> tamże, str. 43.

<sup>3)</sup> l. c.

zwyciężają; długi czas innych nie znają panów, prócz silniejszych z pomiędzy siebie osobników lub obcych tęższych gatunków; bez przeszkód, które-by im stawiała rozumniejsza istota, rozpościerają się po kuli ziemskiej śród olbrzymiej a różnorodnej roślinności, tępią się wzajemnie, na miejsce wyginionych przybywają nowe, aż następuje, niedająca się dziś jeszcze dokładniej określić, chwila, kiedy w ostatnim, „czwartorzędowym” okresie; ukazuje się po raz pierwszy przyszły pogromca dotychczasowych mieszkańców ziemi, przyszły jej pan— człowiek... <sup>1)</sup>.

Stopniowe narastanie skorupy ziemi, chociaż wszędzie odbywało się w porządku wyżej przytoczonych okresów <sup>2)</sup>, nie wszędzie stało się jednakowem, gdy już lądy obeschły z pierwotnych wód. W ostatnich zwłaszcza peryodach zdają się pojawiać zupełnie odrębne dla niektórych miejscowości warunki, oddziaływające na gwałtowne zmiany, tak w świecie roślinnym, jak i zwierzęcym. Pod koniec okresu trzeciorzędowego, może skutkiem wulkanicznego podniesienia pewnych części globu, następuje dla Europy i większej części Azji, a może jednocześnie i dla północnej Ameryki,niżenie się stopnia ciepłoty, skutkiem czego gromadzą się na olbrzymich przestrzeniach śniegi, zamieniają w niemniej wielkie obszary lodu i następuje t. zw. peryod lodowy, którym się zaznaczył początek okresu czwartorzędowego. Tu zachodzi pytanie, co się stało z organizmami przez czas trwania peryodu lodowego: jedni przypuszczają, że i przy zimnie życie się przechowało, pomimo tego przewrotu, i w samym jego łonie, a dowodzą skieletem, znalezionym przez Faudela w Egisheim, że nawet człowiek mógł się utrzymać w otoczeniu lodowców <sup>3)</sup>, że inne stworzenia miały czas wynieść się ku południowi i tem swe gatunki od zagłady zachować, że wreszcie w Azji mógł peryod lodowy zacząć się pierwej niż w Europie, i że właśnie wtedy nastąpiły emigracye zwierząt przedpotopowych, a może i człowieka, do naszej części świata. Inni, a w ich liczbie takie

---

<sup>1)</sup> Wnioski, że w tym a nie w innym okresie pojawił się człowiek, czyni geologia w połączeniu z nauką o wykopalskach; istnieje jednak pewna grupa uczonych, która, opierając się na domniemyanych narzędziach krzemienych, znajdujących w pokładzie okresu trzeciorzędowego, twierdzi, że człowiek ukazał się wcześniej. Na zjeździe paryskim w r. 1867, a następnie w Brukseli w r. 1872, p. Bourgeois przedstawił te, zdaniem jego, niezbite, dowody istnienia człowieka już przed okresem czwartorzędowym; mówiono tam nawet o pewnej znalezionej jakoby czaszce w pokładach Kalifornii trzeciorzędowego okresu, lecz owe okazy nie zostały uznane przez większość badających je komisji za wyroby ręki ludzkiej i uległy podejrzeniu, że są naturalnymi odłamkami krzemienia, czaszki zaś owej nie pokazano i cała ta sprawa poszła w odwłokę. (Nadaillac. Uwarow „Archeologia Rossyi.” T. I, str. 31).

<sup>2)</sup> Uwarow. „Arch. Rossyi.” T. I, str. 52).

<sup>3)</sup> Nadaillac, str. 162.



naukowe powagi, jak Morlot, Escher, Colomb, Agassiz i prawie wszyscy geolodzy angielscy <sup>1)</sup>, przypuszczają, że lodowych peryodów w jednej tylko Europie było więcej niż jeden, i że, naturalnie, po upływie każdego z nich życie organiczne wracało tu, acz w odmiennym stopniu i kształtach.

W istocie, tylko przerwami między peryodami lodów można sobie tłómaczyć ówczesne pojawienie się człowieka tam, gdzie te lody zalegały w okresie czwartorzędowym i gdzie go wraz z kośćmi nosorożca i mamuta późniejsze dyluwialne zatopiły i pogrzebały powodzie; gdyż tajanie lodowców powodowało ścieki wód, niosące dzisiejsze ilaste i gliniaste warstwy, zmieszane z wędrującymi wśród lodu eratycznymi skałami. Tylko powtórzonem po upływie wielu zapewne wieków posuwaniem się lodowców od północy na południe można sobie tłómaczyć to zjawisko, że miejscami natrafiamy na jeden pokład eratycznych kamieni pod czystą warstwą rodzajną, gdy drugi leży nad nią. Linia graniczna lodowców pierwszego peryodu leży bardziej na południe niż granica lodowców epoki następnej; w Azji mogła ona dojść do Himalaj <sup>2)</sup>, w Europie przechodzi bliżej punktu wyjścia lodowców, tak, że dla przestrzeni, między Bohem a Dnieprem leżących, przechodzi przez północną część gub. Kijowskiej <sup>3)</sup>, t. j. powyżej pasu czarnoziemiu, który, wedle badań geo-botanicznych Ruprechta, może być przez to samo uważany jako pokład starszej formacji, niż powierzchnia bardziej północnej, leśnej gleby.

## I.

Okresy lodowe stanowią obecnie punkt wyjścia dla dziejów kultury człowieka, gdyż najdawniejsze utwory ręki ludzkiej znajdujemy w warstwach dyluwialnych. Obok kości zaginionych gatunków zwierząt mamy tu narzędzia z krzemienia, niezawodne świadki pierwotnego przemysłu, któremi człowiek przyrządzał sobie pożywienie z tychże przedpotopowych zwierząt <sup>4)</sup>. Są one tak proste, jak prostem było życie pierwotnych ludzi, którzy wykwinu nie znali: czasu na to nie było, gdyż musiano co chwila walczyć z czworonożnymi sąsiadami, zrzęczością lub siłą zdobywać pożywienie, ubiegać się o schronisko przed deszczem i zimnem. Jako jedynego środka ku zadośćuczynieniu potrzebom,

<sup>1)</sup> Nadaillac, str. 163. 169.

<sup>2)</sup> Uwarow. T. I, str. 70.

<sup>3)</sup> tamże, str. 65.

<sup>4)</sup> Kamiński. Referat na III zjeździe Arch. w Kijowie i inni.

nauczył się z początku człowiek używać tego tylko, co dlań natura w pewnej mierze sama przygotowała: znajduje jaskinię,—jeżeli jej dziki zwierz przed nim nie zajął, jeżeli w niej niema lodu a woda nie zalewa, więc w niej obiera mieszkanie; potrzeba mu się obronić od napastnika, a w dodatku użyć z niego mięso i szpik na pożywienie, skórę zaś na odzież — chwyta kamień i ciska nim w zwierza. Oto pierwszy pałac, pierwsza odporna i zaczepna broń naszych praojców. Od tej chwili bez kamienia żyć już człowiek nie może i w istocie zespała się z nim na długi przeciąg czasu; lecz umysłowe zdolności pozwalają mu rozejrzeć się we właściwościach rozmaitych gatunków kamienia i wybrać te, które dla swych pierwotnych celów uważa jako najwłaściwsze, czyli takie, którym najłatwiej nadać ostre zakończenie, a zarazem możliwą dogodność w ujęciu za pomocą łupania, jako jedynego środka, na który się w początkach pierwotny fabrykant broni zdobywa. Wybiera więc różne rodzaje krzemienia kształtu stożkowatego, którym świeżo po wyjęciu z ziemi, gdy są jeszcze wilgotne, nadaje zakończenie nakształt migdała i otrzymuje t. zw. „nucleus”, a z jego okrzosków nóż i skrobaczkę. Nucleus ujęty za grubszy koniec służy jako ostry młot, którego rękojeścią jest władającego nim ręka; lecz po pewnym czasie udaje się człowiekowi przywiązać tę broń, za pomocą skóry lub łyka, do kawałka drzewa czy rogu, przez co otrzymuje prawdziwy młot. Musi go jeszcze przywiązywać, bo wiercić otwory nauczy się dopiero znacznie później <sup>1)</sup>). Zmieniając nieco kształt nucleusu lub wyszukawszy bardziej wydłużone naturalne odłamy krzemienia, otrzymuje człowiek pierwszy klin, który mu służy za dłото i siekierę, jeśli go do rękojeści przymocuje, w czem dopomaga sobie wybijaniem wyżłobień w środkowej części klina. Cienko odbity, wszczepiony w drewno krzemiennoy klin, daje mu włócznię, a mniejsze okrzoski w fabryce nucleusów — ostrza do strzał, wyszczerbione zaś noże nasuwają myśl wynalazku pilki.

Do tak małej różnorodności narzędzi dodaje człowiek jeszcze kościane szydło i igłę, których używa do przewlekania żył zwierzęcych przez skórę, mającą mu służyć za okrycie; z kości zarówno robi harpuny na ryby i urozmaica nią rodzaje ostrza do strzał. Jeleni róg nadaje mu się też w wielu razach, dostrzega w nim większą trwałość niż w drzewie, więc dla upiększenia ozdabia rogową broń kreskami, które się staną pierwocinami późniejszej rzeźby; kreskami też znaczy te kawały rogu, co będą może pierwowzorem lasek marszałkowskich i buław hełmańskich.

<sup>1)</sup> Uwarow. T. I, str. 367.

Taką bronią opatrzony, wychodzi na niebezpieczne łowy, których głównym celem jest mamut. Wróciwszy z nich, po uczcie, zagrada wejście do swej jaskini naturalnym odłamek kamienia, jako pierwszemi drzwiami, i zasypia w ciemnicy, którą oświetli dopiero wtedy, gdy pierwszy pożar starego drzewa od pioruna nauczy go, że oprócz słońca i gwiazd są inne źródła światła i, co dlań ważniejsza,—ciepła. Mięśnie pożywienie upiecze sobie wtedy, skoro przypadkowa iskra z krzemienia na suche próchno upadła, lub tarcie drewna o drewno w celu przepołowienia jednego z nich odkryją mu tajemnicę wydobycia takiego ognia, jaki piorun wzniecił. Zresztą, może w inny sposób doszedł człowiek do ujęcia ognia, może pozauwszy jego działanie udało mu się utrzymać powtórzony w jego oczach ogień od pioruna, zapalając jedno łuczywo od drugiego; może już od tej chwili późniejszy myt Prometeusza miał swoje źródło, a strzegący ognia stali się najważniejszymi urzędnikami tego młodocianego społeczeństwa.

Wszystkie pierwotne rodzaje kamiennych narzędzi ulepsza człowiek z dniem każdym i będzie je doskonalił, póki nie odkryje własności metalu. Z czasem, lecz bardzo późno po pierwszym użyciu kamienia do swych potrzeb, dojdzie on do takiej wprawy, że, wybierając już nie sam krzemień, lecz o wiele twardsze, nie łatwo dające się łupać rodzaje, w inny sposób przyrządzi swą kamienną broń, wyrobi prześlizne siekiery z serpentynu, nefrytu, diorytu, przewierci w nich gładkie otwory, wyrówna brzegi, zaokrągli kąty, w końcu oszlifuje i będzie ostrzył również za pomocą innych, jeszcze twardszych, gatunków kamienia. To samo nastąpi z resztą rodzajów pierwotnej broni i narzędzi: dawne wzory zostaną udoskonalone, nowe przybędą. Człowiek nauczy się do tego stopnia obchodzić z kamieniem, że na skalistych ścianach jaskini ukaza się wyryte figury ludzi i zwierząt, gdy zaś duch ludzki uczyje też swoje potrzeby, będzie bogom stawiał ołtarze a umarłym pomniki z kamienia.

Stopniowa zmiana, ujawniająca się w wyrobach broni, daje się widzieć i w całym otoczeniu człowieka, w sposobie jego życia, w zajęciach, w miarę posuwania się okresu kamienia ku metalowi. Gdy w początkach żyje wśród niebezpieczeństw od zwierząt tak drapieżnych, jak wielki niedźwiedź, mylnie jaskiniowym zwany, lew jaskiniowy, lub wśród olbrzymich nosorożców, mamutów, wielkich gatunków jelenia, łosia, żubra i innych — pod koniec tego okresu znajdujemy już całkiem inny świat zwierzęcy. Niektóre dawne gatunki wyginęły, inne wyniosły się na północ lub południe, a natomiast gospodarzy już człowiek z oswojonym reniferem i z domowemi, do dziś dnia zachowanemi, gatunkami. Dawne mieszkanie w jaskini, urządzonej tak, jak ją natura stworzyła, zastąpił budowlami z drzewa, na palach wśród wody, lub, jak

dowodzą niektórzy, nad brzegami rzek i jezior <sup>1)</sup>; jeśli zaś mieszka jeszcze w jaskini, to albo ją sam sobie w glinie wykopał, albo naturalną urządził o tyle wygodnie, że ma w niej ławy, stoły, schody, korytarze, nawet piętra; poprawnie z kamienia porobione wierzeje, otwory dla światła i przewiewu <sup>2)</sup>. Prawdopodobnie tam, gdzie nie zrobił groty i gdzie nie było jeziora, buduje już coś w rodzaju dzisiejszych chat z drzewa, ponieważ ma ciosane belki, zna użyteczność łozy i słomianego dachu <sup>3)</sup>; miejsce dawniejszych harpunów zastąpiły już siecie na ryby, są więc czółna i tratwy; wyłączna dawniej skóra na okrycie dzieli swe przeznaczenie z ręcznie tkaną odzieżą, a jako dodatek do mięsnego pożywienia zna człowiek chleb z mąki, którą sobie za pomocą żaren przysposobił z uprawianego zboża; życie więc jego stało się regularniejszym, z dzikiego łowcy—stał się pasterzem i rolnikiem.

Czy cała ta zmiana mogła nastąpić raptownie i czy się odbyła w samym łonie ówczesnej europejskiej ludności, lub czy została tu przyniesiona przez inne ludy, jest pytaniem, które jeszcze niedawno probowano rozwiązać dość arbitralnie. Niektórzy, a w ich liczbie Herbert i Virchow <sup>4)</sup> dowodzili, że okres kamienia miał tak zwany „hiatus”, peryod zupełnego zaginięcia człowieka w Europie, i że od czasów jaskiniowca do tych ludzi, którzy budowali nawodne mieszkania, upłynęło lat tysiące, śród których w Europie żadnego postępu być nie mogło. Mniej więcej takiego zdania trzymał się w początkach i Mortillet, jednakże później zmienił je i przyznał, że jeśli *hiatus* ma miejsce, to nie w dziejach przeszłości, lecz w stanie nauki, która do niedawna jeszcze powiązać dwu krańców peryodu kamienia nie mogła. Inna grupa francuskich antropologów na zdanie Virchowa nie przystała od razu: Broca, Quatrefages, Hamy, dowodzili, że typ pierwotnego człowieka epoki „paleolitycznej”, gdyż tak nazwano okres kamienia łupanego, odnajduje się w okazach o wiele późniejszych epoki „neolitycznej”, t. j. tej, w której już zaczęto kamień szlifować, że rysunek sławnej czaszki neanderthalskiej, należącej do najdawniejszej w Europie, „kanstadzkiej” rasy, powtarza się w pewnej mierze nawet w daleko posuniętej erze chrześcijańskiej, jak tego dowodzą czaszka pewnego biskupa we Francji z w. IV i Roberta Bruce z w. XIII w Szkocyi; że nakoniec do dziś jeszcze typ najdawniejszy przechował się częścią w Belgii, częścią w Württembergu i w górach Pirenejskich pomiędzy Baskami <sup>5)</sup>.

<sup>1)</sup> Prace I Arch. Zjazdu w Moskwie. T. I, str. 123.

<sup>2)</sup> Nadaillac. T. I, 235. Uwarow i inni.

<sup>3)</sup> Tamże, 238.

<sup>4)</sup> Nadaillac. T. I, str. 223.

<sup>5)</sup> Nadaillac. T. I, 218. Topinard, str. 406.

Po antropologicznych nastąpiły odkrycia dokonane w dziedzinie archeologii. Już Lartet w „Revue d'Anthropologie”<sup>1)</sup> dowodził, że w kulturze Europejczyka nie mogło być gwałtownego skoku; w tym też kierunku wiele zrobili badacze w Rosyji, gdzie się przekonano, że można dokładnie wysledzić, w jaki sposób krzemienna broń i narzędzia z łupanych zamieniały się stopniowo na coraz poprawniejsze; że ulepszając ich kształty i sposób wyrabiania na miejscu, dojść zdołano do umiętności szlifowania kamienia, skąd wniosek, że do dawniej określonych przez naukę dwu epok peryodu kamienia należy dodać trzecią, między nimi pośrednią a przejściową.

Wybitniejszą jej cechą, oprócz zmian w wyrobach z kamienia, stanowi rozwój garncarstwa. Już w początkach wieku kamienia miano pojęcie o wyrobach z gliny. Być może, iż zostawiwszy na glinie po deszczu ślady stóp swoich, zauważył człowiek, że one pod wpływem słońca stężały<sup>2)</sup>; następnie, próbując zastąpić kłopotliwą wytwórczość narzędzi kamiennych łatwiejszą, użył do tego gliny, lecz gdy celu nie dopiął, próbował zastąpić glinianymi przedmioty domowego użytku, zaczynając od własnej dłoni, którą czerpał wodę, kończąc na rogu i czaszkach zwierzęcych i ludzkich, używanych jako pubary. W Azji garncarstwo rozwinęło się wcześniej, gdyż znajdowane pod Irkuckiem czerepy są jednoczesne z epoką mamuta, który przecie zaginął jeszcze w dalekiej epoce paleolitycznej; w Europie przyszło do garncarstwa o wiele później. Z początku były to naturalnie liche, z nieczystej gliny, palcami lepione a na słońcu suszone lub niedostatecznie wypalone naczynia; gdy przeto dla swej kruchości nie dały się z miejsca na miejsce przenosić, znajdowanie ich stanowi obecnie ważną wskazówkę zamieszkania w epoce przejściowej tych miejsc, w których je spotykamy. Garncarstwo powiększyło dobrobyt w życiu człowieka, gdyż dało mu możliwość wprowadzenia pewnej różnorodności w pożywieniu; to też wyrzynana deszczółka, której z czasem zaczęto używać zamiast palców do wyrabiania naczyń glinianych, stanowi jeden z największych wynalazków epoki przejściowej. Koło garncarskie jest jeszcze późniejsze. Szlifowanie kamienia nie postępowało tak prędko, jak garncarstwo; jednak początki jego widzimy w Europie już w peryodzie przejściowym. Przyznać należy, że pod tym względem zmiana, którą uważamy w przejściu do epoki neolitycznej, mogła-by być poczytaną za skok nienaturalnie raptowny, gdybyśmy ją przypisali samej tylko ówczesnej tubylczej europejskiej ludności. Już sam kształt krzemiennych łupa-

---

1) Uwarow. T. I, 252.

2) Uwarow, str. 253, 254 i nast.

nych narzędzi uległ, jak to mówiliśmy, ułatwiającym ich użytek zmianom; lecz tu spostrzegamy, że same rodzaje używanego kamienia urozmaicają się jak gdyby raptownie, co więcej, pomiędzy niemi spostrzegamy takie, jak jadeit, nefryt i chloromelanit, które przychodzą niezawodnie z Azji, bo w Europie nigdzie tych gatunków w naturze nie ma <sup>1)</sup>. Ta różnorodność kamienia w połączeniu ze znajdowanymi kuchennymi na koczowiskach odpadkami, te obozowiska całych plemion porzucane gdzieś między Uralem a środkową Europą, dowodzą, że na epokę przejściową przypadła jakaś wędrówka ludów azyatyckich do Europy. Zdaniem Uwarowa <sup>2)</sup>, azyatyckie gatunki kamienia zostały tu wprowadzone przez drugą z rzędu ludzką falę, która jednocześnie przyniosła z sobą sposoby wiercenia otworów i rzeźbę na miększych od nefrytu gatunkach, jak również pewne okrągłe, kształt miseczek mające, znaki, pokrywające całe ściany skał, we Francji „pierres à écuelles”, w Niemczech „Heidensteine”, a na Litwie „Olgierdowemi talerzami” przez lud nazywane <sup>3)</sup>. Archeologia nie doszła jeszcze, co one oznaczają, oraz czy ludy, które je zostawiły, mają jaki związek z temi, które następnie jeszcze inny a nowy rodzaj kamieniarstwa do Europy przyniosły, mianowicie „dolmeny”, „cromlehy”, „menhiry” i t. zw. „tumulusy” <sup>4)</sup>. Wszystkie te rodzaje budownictwa kamiennego, „megalitami” zwane, znajdujemy tak w Europie, jak i w Azji, a nawet w północnej Afryce. Dawniej w dolmenach, uważanych za pozostałości po Celtach, widziano ołtarze Druidów; nowsze badania dowiodły, że są one dawniejsze, że te różne rodzaje pomników przeważnie mają znaczenie grobowców i że nad wielu z nich wznoszono „usypiska z ziemi.” To ostatnie odkrycie przekonywa, że i myśl sypania pomników ziemnych przyniesioną być mogła w peryodzie neolitycznym z Azji do Europy. Od tej chwili zwyczaj ten rozpowszechnił się tam:

<sup>1)</sup> Uwarow. T. I,

<sup>2)</sup> Tamże, str. 334.

<sup>3)</sup> „Wiek kamienia w Rosyi”, str. 371.

<sup>4)</sup> Wszystkie te nazwy zostały wymyślone dopiero w wieku bieżącym przez archeologa Lenoir. „Dolmen” pochodzi od celtyckiego „dau”—stół i „maen”—kamień; oznacza zaś wielką samorodną płytę, wspartą poziomo na trzech lub więcej prostopadłe wkopanych kamieniach. „Cromleh”, od wyrazu „Crom”—zgięcie i „lech”—kamień, oznacza krąg z pojedynczych kamieni, w którego centrze stawiano czasem jeszcze kamienie, które musiały być właściwymi grobowcami. Znajdujemy i koncentryczne „Cromlehy”, być może dla wykazania większej zasługi pogrzebanego stawiane. „Menhir” od wyrazu „maen”—kamień i „hir”—długi, oznacza prostopadłe wkopany pojedynczy kamienny słup. (Nadaillac T. I, str. 299—318). Tumulus, wyraz dawniejszy, od łacińskiego tumescere—wydymać, oznacza koniczną kupę kamieni, z nasypem ziemnym na niej lub bez.

gdzie nowo przybyłe ludy zaczęły się osiedlać; kurhan mniejszy lub większy, usypany nad grobowcowym kamieniem, zastąpił grobową jaskinię epoki paleolitycznej i przejściowej, przy nim też zaczęto odprawiać stypy <sup>1)</sup>, oraz inne pamiątkowe sprawować obrzędy. Z czasem, miejscami, samo tylko usypisko zastąpiło kamienny grobowiec i w ten sposób z samej ziemi powstały kurhany w miejscowościach, gdzie kamienia nie było, lub u tych ludów, których rozwój kulturalny wszedł w okres metalu i gdzie kamień przestał mieć znaczenie obrzędowe, przyczem usypiska zostały zastosowane i do innych potrzeb, ze sposobu życia wynikających; robiono z nich ofiarnicze miejsca, zbierano na nich całe rody lub gminy, używano jako ochronnych szańców i wałów, nadając kształty i rozmiary, odpowiadające celowi. Rozumie się samo przez się, że skoro człowiek uczuł potrzebę wyrażenia swych pojęć lub uczuć obrzędem i trwałym znakiem, skoro mógł zebrać tak znaczną liczbę sobie podobnych, że sypał przeszkody, które wstrzymywały napad nieprzyjaciela, to musiał już mieć wyższe, sferę fizycznych potrzeb przekraczające dążności, jak również musiał wejść w koło pewnego społeczeństwa, które stało się normą jego publicznego życia jeszcze w peryodzie szlifowanego kamienia.

Rzucony tu mglisty kalejdoskop pierwocin bytu ludzkości miał na celu dać nam wyobrażenie o tem, co się działo wszędzie, a zatem i tu, wśród stepów i jarów późniejszej Ukrainy. Że się nie mylimy, dowodzą tego paleontologiczne <sup>2)</sup> i archeologiczne poszukiwania, wykazują znajdujące się tu w znacznej ilości pomniki ziemne, do których dojdziemy z kolei, przywiódłszy wprzód niektóre dane, dowodzące zasiedlenia tych stron może jeszcze wówczas, kiedy nawet potrzeby wznoszenia i tych odwiecznych zabytków zamieszkujący tu ludzie nie uznawali.

Czy mieszkał tu już człowiek w epoce paleolitycznej, na pewno jeszcze twierdzić nie możemy; posiadalibyśmy wtedy tylko niezbite tego dowody, gdyby między Bohem a Dnieprem znaleziono gdzie kości nosorożca lub mamuta, leżące obok krzemiennych, łupanych narzędzi, w pewnych geologicznych warstwach, lub też gdybyśmy w której z tu-tejszych skalistych grot znaleźli takie kości ludzkie, których wymiary i otoczenie odpowiadały-by wskazówkom, jakie gdzieindziej służą już za niezbite dowód zamieszkania tych grot lub ich sąsiedztwa przez najstarszą ludzką rasę. Kości mamuta znajdują się tu wprawdzie dość

<sup>1)</sup> Niektórzy są zdania, że zwyczaj stypy, jako uczyt pogrzebowej, istniał już w peryodzie paleolitycznym, czego dowodzą w ich oczach ślady pozostałe w grobowcowych jaskiniach.

<sup>2)</sup> Wykopaliska świata organicznego.

często: gliniaste dyluwialne pokłady pod Kijowem, w okolicach Trypola, Kaniowa i Trachtymirowa, w powiatach Winnickim, Hajsyńskim i wielu innych gub. Podolskiej i Wołyńskiej <sup>1)</sup>, dały nam już niejedną tego rodzaju zdobycz; łupane narzędzia krzemienne, znajduwane bądź pojedynczo, bądź w większej ilości <sup>2)</sup>, leżeć tu mogły w ziemi także od początków czwartorzędowego okresu; gdy jednakże dotychczas nie znaleziono tu nigdzie w dyluwialnym, ani żadnym innym pokładzie, w jednym i tem samym miejscu, kości mamuta obok narzędzi krzemienych, to bezstronność każe się wystrzegać arbitralnego wyroku, ponieważ między znajduwanymi odbijanemi krzemieniami mogą być wyroby, bądź do przejściowej, bądź nawet do początków neolitycznej epoki należące. Przypuszczać jednak o wiele dawniejsze zasiedlenie stron tutejszych mamy wszelkie prawo, skoro przypomniiny odkrycia, uczynione, jedno w niedalekiem sąsiedztwie o kilkadziesiąt wiorst od Dniepru po lewej jego stronie, a drugie nad Dniestrem w nie większej od Bohu odległości. W r. 1873 we wsi Gońcach gub. Połtawskiej, niezbyt daleko od Kaniowa, wykopano nad brzegiem Udaju jamę, w której wierzchnia, bardzo cienka, warstwa roślinna kryła pod sobą piasek, pod nim na głębokości jednego metra leżał porowaty, żółty, naniesiony przez potoki wód pokład łu, zawierający krzemienne łupane wyroby, spaloną kość, doskonale zachowane kości mamutów i niewielką liczbę pojedynczych eratycznych kamieni <sup>3)</sup>. Ponieważ cała ta warstwa została uznana za naniesioną w peryodzie polodowcowym, przeto narzędzia i kości znajdujące się w niej do tegoż okresu należą. Podczas badań na miejscu, zwrócono uwagę na to, czy wyroby ręki ludzkiej nie były tu przyniesione później, niż kości zwierzęce spławione tu przez wodę, lecz stwierdzono, że tak jedne, jak drugie, noszą cechy pochodzenia jednoczesnego i miejscowego, czego dowodziła mała przestrzeń czterech sążni kwadratowych, na której się znajdowały kości co najmniej sześciu mamutów, jak również to, że żadnych części skieletów mamutowych nie brakowało. Nareszcie kość palona była wskazówką decydującą, że tego wszystkiego woda przynieść tu nie mogła. Leżały one jak gdyby zgarnięte jedne na wierzch drugich a pomieszane z kośćmi i rogami innych zwierząt, te zaś, które z natury swej niegdyś zawierały większą ilość szpiku, były porozbijane lub rozszczepione. Wyrobów z krzemienia okazało się 47, mianowicie tam, gdzie leżały kości zwęglone. Między niemi były takie, które zostały w swoim czasie zepsute, zanim zdążono je wykończyć, sądząc zaś z ilości okrzosków krzemienych oraz z obecno-

<sup>1)</sup> Uwarow T. I, str. 149.

<sup>2)</sup> Uwarow. T. II, str. 87—97.

<sup>3)</sup> Kamiński i Teofilaktow. Prace III Arch. Zj. w Kijowie str. 147 i 152.



ści nucleusów, można twierdzić na pewno, że je robiono tu, na tem samem miejscu, tem łatwiej, że kopalnia surowego materiału znajduje się w pobliskim pokładzie eratycznych kamieni najrozmaitszych gatunków. Z nich więc otrzymywano tutaj skrobaczki, noże i inne ostre narzędzia, przydatne zarówno do krajania mięsa mamutowego, jak i do oddzielania go od skóry zwierzęcia. Innego rodzaju narzędzi i broni pod Gońcami nie znaleziono, stąd wniosek, że musiano natrafić tu tylko na miejsce, gdzie ówczesni mieszkańcy brzegów Udaju zwykle zaspakajali głód po trudach myśliwstwa; prawdopodobnie jednak gdzieś niedaleko musiały znajdować się ich schroniska, gdyż tak obfite nagromadzenie odpadków jadła i przyrządów do jedzenia używanych przypomina duńskie t. zw. „Kioekkenmoedding”, zawsze naokoło mieszkań leżące, lecz innych cech charakteryzujących te północne kuchenne pozostałości, nadadajskie odkrycie nie nosi. Znaleziono tu wprawdzie, oprócz wyżej wzmiankowanych przyrządów, szydło i igłę, wyrobione z łupanej kości, którą następnie wygładzono, a takie, lecz poprawniej wykończone, przedmioty w Danii, zaliczają się do końca paleolitycznego okresu, do t. zw. peryodu północnego jelenia; lecz obozowisko pod Gońcami, wobec kości mamuta, oraz wykończenia narzędzi, musi być uważane za należące do epoki, która jest o wiele pierwotniejsza od tej, jaką się widzi w peryodzie jelenia <sup>1)</sup>.

Mniej więcej w tym czasie co pod Gońcami, zrobiono podobne odkrycie niedaleko stamtąd nad Sułą, gdzie miejsce łowów na mamuta tym razem nacechowała zużyta siekiera krzemienista obok kości tego zwierza; następnie w tych samych stronach otrzymano inne w tym rodzaju zdobycze, tak, że obecnie niema już wątpliwości, iż w pobliżu lewego brzegu Dniepru, kąt, utworzony przez rzeki Sułę, Udaj i Orzycę, był zamieszkały w najdawniejszych początkach paleolitycznego tutejszego okresu.

W innej stronie, nad Dniestrem, w pobliżu Kamieńca, znaleźli robotnicy kości mamuta, które zostały oddane do zbiorów kijowskiego uniwersytetu, poczem ktoś ze studentów udał się na miejsce, gdzie, pomimo, że miejscowy gliniasty pokład był przez ten czas wciąż rozkopywany, udało mu się wydobyć jeden ząb mamuta i kilka długich jego kości, obok których leżały dwie, z krzemienia wyrobione za pomocą łupania, skrobaczki, co wszystko do epoki głęboko paleolitycznej odniesione być musi. Że okolice dzisiejszego Kamieńca należą do zamieszkiwanych od dawna, wskazują naturalne grotty nad brzegami Smotrycza w pobliżu wsi Załucze, w których znajduje się bardzo wiele ludzkich

---

<sup>1)</sup> Uwarow. T. I, str. 109.

kości <sup>1)</sup>. Groty te, o ile nam wiadomo, nie są jeszcze dostatecznie zbadane, wiemy jednak, że łączą się między sobą korytarzami i że im dalej a głębiej idą, tem więcej w nich kości się napotyka. Przypominają one w ten sposób najpierwotniejsze miejsca wiecznego spoczynku mieszkańców, zmarłych w epoce paleolitycznej, które już zbadano na Zachodzie Europy, jak np. grota pod Aurignac w Pireneach <sup>2)</sup>, z tą jednak ważną różnicą, że groty nadsmotryckie służyły także za schronienie i w epokach późniejszych, gdy pirenejska zachowała się w stanie nietykalności od chwili złożenia w niej umarłych aż do naszych czasów. Mając teraz te wszystkie odkrycia, widzimy, że tak na wschód, jak i na zachód od przestrzeni, która się między Dnieprem a Bohem rozlega, w bardzo niewielkiem od jej krańców oddaleniu istnieją niezbite dowody osiadłości w okresie paleolitycznym. Niema więc nic nieprawdopodobnego, że z czasem i tu odkryją się także ślady, a wtedy już nietylko przypuszczać, lecz na pewno twierdzić będziemy mieli prawo, że i opisywane przez nas strony do równie dawno zamieszkanym należą. Tymczasem zaś przedstawić możemy dotykalne dowody co do epoki następnej, bardzo do pierwotnej paleolitycznej zbliżonej, lecz już przejściowej, t. j. takiej, w której człowiek nie zadawał sobie wyszukaniem a przez naturę wyznaczonem dlań schroniskiem, lecz nauczył się urządzać je własnymi siłami, kopiając sztuczne groty w pokładach twardej gliny, pierwotne zaś krzemienne narzędzia zaczął ulepszać, powiększył ilość ich rodzajów i doszedł do użytku naczyń glinianych.

Na czele tych dowodów stawiamy sztuczne groty, t. zw. pieczary pod Kijowem <sup>3)</sup>: prawy brzeg Dniepru w środkowym jego biegu przedstawia szereg spadzistych wzgórz, które się wznoszą na sążni 40 nad powierzchnią wody. Dolna warstwa tych wzgórz należy do t. zw. trzeciorzędowej, eocenicznej formacji, która składa się z błękitnawej gliny, zawierającej u góry brunatny węgiel i bursztyn. Po nad tą warstwą leży słój dyluwalnej czerwonej gliny, następnie piasek, wyżej jeszcze żółta glina, a na samym wierzchu czarnoziem. Wszystkie trzy wymienione tu polodowcowe warstwy zawierają eratyczne kamienie i kości mamuta. Żółta glina, której głębokość przechodzi miejscami 4 sążnie, jest nieprzepuszczalną i tak twardą, że wykopane w niej, ostrołukiem u góry zakończone, korytarze, przedstawiają suche a zabezpieczone od zapadnięcia się stropu groty. Tę własność tutejszej gliny zużytkowali, zdaniem archeologów, pierwotni mieszkańcy dnie-

<sup>1)</sup> Referat prof. Antonowicza.

<sup>2)</sup> Lartet. Uwarow, T. I, 188.

<sup>3)</sup> Antonowicz. Prace IV Arch. Zjazd, str. 1—6.

prowych wybrzeży, aby w niej swoje schroniska urządzić; bo chociaż niektóre pieczary zostały w czasach późniejszych użyte jako mieszkania przez zakonników, którzy je rozszerzyli i wykopali obok nich nowe, dziś daleko ciągnące się, sławne pieczary kijowskiej Ławry, lecz u wielu wejścia zostały tak szczelnie zamknięte skutkiem późniejszego osunięcia się górnych zewnętrznych warstw, że natrafić na nie można tylko przypadkiem, gdy je ścieki wód odkryją—zakonnikom więc służyć nie mogły. Na przestrzeni 100 wiorst pod Kijowem prof. Antonowicz zbadał 45 takich sztucznych grot, a z nich nie więcej nad siedm zalicza do rzędu późniejszych, zakonniczych mieszkań. Na nieszczęście, prawie wszędzie natrafiał on na dowody gospodarki ludzi, którzy uprzednio szukali mniemanych skarbów Mazepy, tak dalece, że najdawniejsze ślady mieszkania zostały zatarte; w końcu jednak profesor A. trafił na grotę nietkniętą. Pod monasterem Kiryłowskim, wśród grupy 15-tu sztucznych grot, które się w rozmaitych zagłębiały kierunkach, w jednej, 2½ arszynów wysokiej, 1½ szerokiej, a ciągnącej się około stu kroków, leżała u wejścia kupa kuchennych resztek, 1½ arszyna szerokości w średnicy przy ośmiu werszkach wysokości, a składająca się przeważnie z porozbijanych lub rozłupanych rzecznych muszli, kości zwierząt ssących i grzbietowych kręgow rybich. Kości konia i wołu nie były zwęglone, ani też nosiły skaz od narzędzi ostrych, lecz widocznie zostały potrzaskane uderzeniem kamienia. Między tem wszystkim znajdowały się skorupy naczyń glinianych i narzędzia kamienne. Pierwsze były ulepione palcami, bez pomocy deski garncarskiej, z brunatnej lub czerwonej, nieoczyszczonej gliny, która zachowała w sobie znaczną domieszkę ziarenek kwarcu; wypalenie zaś ich było do tego stopnia niedokładne, że ogień oddziaływał tylko na zewnętrzną stronę ścianek naczyń, gdy wewnętrzna pozostała wcale niewypalona. Skorupy te żadnych upiększeń nie miały. Znaleziony w tej samej kupie krzemienisty nucleus był kształtu nieforemnego, a kawał czerwonawej rudy żelaznej, zaokrąglony z jednego końca, miał kształt tępej piramidki. Opodal, pod ścianą groty, leżał stos okrągławych kamieni eratycznych, tem dziwniejszych, że wszystkie były mocno przepalone i wskutek długotrwałego działania ognia zamieniły się w kruchą masę; wreszcie, jeszcze dalej, leżał na ziemi odłamek piłki krzemiennej, której wyżębienia były porobione dość starannie za pomocą drobnych a gęstych uderzeń o ostre brzegi krzemienego odłamku. Wszystkie szczegóły tego odkrycia dowodzą, że w grocie tej mieszkali ludzie, stojący na niesłychanie niskim stopniu rozwoju, których potrzeby i środki ich zaspokojenia nie wychodziły za obręb najpierwotniejszych; a jednak powinniśmy dodać i to, że z jednej strony brak kości mamuta, a z drugiej obecność narzędzia z czerwonej rudy żelaznej i naczyń gli-

nianych, są wskazówką, że byt tych ludzi stanął już na zwrocie od najpierwotniejszej paleolitycznej epoki ku przejściowej.

Do nieco późniejszego, lecz zawsze jeszcze paleolitycznego peryodu, można-by zaliczyć przedmiot, znaleziony w pow. Czehryńskim <sup>1)</sup>; jest nim ręcznie obrobiony trójgraniasty krzemień, podobny do innych w tym rodzaju, znajdujących na Zachodzie Europy, a które archeologia zalicza do typów t. zw. „mousteriens”, czyli takich, które w paleolitycznej grocie koło Moustier, we Francyi, wraz z zębem mamuta się znajdowały, wskutek czego do klasyfikacji Lubbocka weszły pod tą nazwą. Było-by to wskazówką równie dawnych w okolicach dzisiejszego Kijowa, jak też i więcej na południe, nad Taśminę, posuniętych siedzib, tem bardziej, iż zawartość kurhanu, w którego nasypie znajdował się ten przedmiot niewiadomego użytku, jest uboga, a zarazem dobitnie cechuje niski stan dobrobytu pogrzebanych tu ludzi, co już zachęcało-by nas do przypuszczeń, że w istocie mamy do czynienia z epoką paleolityczną, gdyby właśnie nie ta okoliczność, że się ten przedmiot w nasypie kurhanu, a nie gdzieindziej, znalazł; pewności bowiem żadnej nie mamy, przeciwnie, nawet wątpić musimy, czy ta epoka znała już nasypy ziemne nad zwłokami zmarłych. Niemniej jednak mógł się ten trójgraniasty kamień przechować tu w ziemi do początków epoki neolitycznej i w jakiś sposób wejść do liczby przedmiotów, towarzyszących zmarłemu do grobu, lub też kształt w obrobieniu i użytek tego krzemienia mógł dojść do tutejszych mieszkańców okresu kamienia szlifowanego, drogą tradycyi od przodków, którzy te same miejsca w takim razie kiedyś, w epoce kamienia łupanego, zamieszkiwali. Przypuszczenia o zamieszkaniu okolic Smiły przez bardzo długi przeciąg czasu w wieku kamienia opieramy na innem odkryciu hr. Bobryńskiego <sup>2)</sup>: miasteczko to leży przy zbiegu Taśminy i Serebranki, skąd niedaleko rzeczka Irdynówka zwolna przepływa środkiem szerokiego bagna, którego brzegi, z jednej strony wzgórzyste, a z drugiej piaszczyste, niskie są i pokryte pysznym lasem sosnowym <sup>3)</sup>. Na wzgórzach wznosi się stary Winogradzki monaster, założony przed XVI w., w pobliżu zaś klasztoru są pieczary, tworzące labirynt korytarzy, które wspomniany archeolog zalicza do rzędu przedhistorycznych. Nieopodal od

<sup>1)</sup> Hr. Bobryński. „Kurhany i przypadkowe odkrycia w pobliżu miasteczka Smiły”, str. 41 i 44.

<sup>2)</sup> „Kurhany i t. d. w pobliżu Smiły”, str. 122—129.

<sup>3)</sup> Bagno to, Irdyń zwane, było prawdopodobnie ongi jednym ze splawnych ramion Dniepru, gdyż w niem znaleziono w pierwszej połowie wieku b. kotwicy i drewniane części okrętu, a jak niesie podanie, także resztki, obito miedzią i nabijane miedzianymi gwoździemi, znaleziono tam dwukrotnie jeszcze dawniej.

pieczar natrafiono przypadkiem na ślady rękodzielni narzędzi wieku kamienia: rozszerzając drogę u stóp Jurjowej góry, zauważono kawałki kości, gliniane skorupy, kamienie, kawałki krzemienia, i naturalnie zaczęto odpowiednie poszukiwania, które bezpośrednio pod czarnoziemem wykazały warstwę drobnych granitów, pomieszanych z resztkami naczyń, następnie węgiel drzewny, ślady zwęglonych stosów i kości zwierząt, z których wiele było podłużnie przeciętych, w sposób cechujący dobywanie z nich szpiku. Jeszcze niżej ukazały się krzemienne okrzoski i także narzędzia, których wydobywanie doprowadziło do sążniowej głębokości, przyczem, miejscami, trafiono na ślady jam ogniskowych, zawalonych kamieniami, pomiędzy którymi był ciekawy okaz oselki z upiękzeniami. Krzemienych okrzosków naliczono około trzech tysięcy. Wiele przedmiotów z granitu, a w tej liczbie niektóre znajdujące się w jamach ogniskowych, miały formę młotków, a niektóre były ostro zakończone, kształtu równoległobocznego. Przeciętna długość tych narzędzi wynosiła jedną piątą część metra; lecz były pomiędzy nimi znacznie dłuższe; kształtem przypominały młoty z krzemienia, znajdujące się w muzeum St Germain, które należą do najstarszej paleolitycznej, według klasyfikacji archeologów, t. zw. epoki „Le Cheléen”<sup>1)</sup>, i gdyby tutejsze nie były z granitu lecz z krzemienia, można-by je do tego okresu zaliczyć. Lecz względ na materiał, z którego są wyrobione, nakazuje uważać je za późniejsze. Na tę obfitość narzędzi krzemienych złożyły się: noże o jednym i dwu ostrzach dość starannego wykonania, poczynając od bardzo małych, których przeznaczenia trudno odgadnąć, do długich na  $\frac{3}{4}$  metra; najrozmaitszego kształtu skrobaczki: proste, okrągłe, łukowate; ostrza do strzał trójkątne, zwyczajne lub zaokrąglone od strony drzewca, długo zakończone, czworogranne, z ogonkami pojedynczemi i rozdwojonemi; wreszcie trzy trójgraniaste krzemienie, które mogą być uważane zarówno za strzały, jak i za *nucleusy*. Tych ostatnich znaleziono 110 okazów rozmaitej wielkości i koloru, a między nimi były takie, do których przystawały już odbite lecz jeszcze nie odjęte od nich noże. Należą one do ostatniej neolitycznej epoki, t. zw. „Robenhausen.” Kości zwierząt były końskie, krowie, baranie, świńskie, jelenie (*cervus elaphus*), sarnie oraz lisie; niektóre z nich zaostrzone, z dokładnie przewierconemi otworami, mogły służyć jako szydła lub igły. Większa część skorup glinianych musiała niegdyś składać naczynia, wprawdzie metrowej wysokości, lecz wykonania nader niepoprawnego: ścianki ich grube, glina z ziarnkami kwarcu, a ulepione bez użycia koła garncarskiego; wierzchy ich przedstawiały kształt grubych szyjek, upiękuszonych licznemi nieregularnemi wygnie-

1) Mortillet: „Musée Préhistorique.” Quaternaire VI.

ceniami linijek i punktów, na innych zaś częściach tych naczyń były bądź proste, bądź wężowate linie, wygniataue palcem lub paznogciami, słowem takie, jakie się przy podobnego rodzaju odkryciach w Zachodniej Europie napotyka. Jedynym przedmiotem metalowym, który tam znaleziono, był kawałek cienkiego miedzianego drutu, leżący w najwyższej warstwie tego starożytnego zbioru.

Obecność wszystkich tych przedmiotów dowodzi, że natrafiono tu na rękodzielnię narzędzi, która przeszła różne stopnie rozwoju w epoce kamienia i dotrwała na miejscu do chwili, kiedy się pierwsze metale w przemyśle ukazywać zaczęły. Miedziany drut naprowadza przytem na myśl, czy od kamienia nie przeszli tu bezpośrednio do bronzu; czy, nim zaczęto używać tej mieszaniny, nie było tu krótkotrwałej epoki miedzi, jak to już stwierdzono w wykopaliskach Troi i niektórych węgierskich? Oryginalny szczegół został zauważony przez hr. Bobryńskiego, gdy porównał wykonanie skrobaczek z wykonaniem strzał: pierwsze odznaczały się dokładnością, prawie elegancją wykończenia, drugie zaś, jakby umyślnie, wcale wykończone nie były. Widocznie rozchodziła się ich taka ilość przy ciągłych polowaniach na grubego zwierza, że wykończać czasu nie starczyło, a może i nie było warto. Szczegół ten był już zaznaczony przez archeologów gdzieindziej i jest wskazówką, jak niedokładne musiały być razy strzał w owych czasach, skąd możemy wnioskować, o ile koniecznem stawało się wynalezienie czegoś, coby zastąpiło ostrza krzemienne wobec rozwijających się potrzeb, a może i nowych warunków życia, niepokojonęgo napływami świeżych przybyszów do Europy.

Użyliśmy wszystkich danych, na które nas stać było, aby pokazać, że tutejsze strony były zamieszkane przez długi okres kamienny w najrozmaitszych jego epokach <sup>1)</sup>; lecz wyobrazić sobie, jak wyglądali najpierwotniejsi tutejsi mieszkańcy, czy w nich mamy widzieć isto-

<sup>1)</sup> Krakowska Akademia Umiejętności wydała mapę badań antropologicznych. Wskazówek paleolitycznej epoki u nas na niej nie widzimy, natomiast wiele miejsc, pookreślanych kolorami, oznaczającymi neolityczną i następną. Chociaż nie wszystkie odkrycia w tej mierze zaznaczone były na tej mapie należną im wzmianką, poczet ich przedstawia się dla stron tutejszych, jak następuje: Epoka Neolityczna: 1) Wykopaliska częścią w kurhanach bezpośrednio, częścią w urnach znalezione: Obuchów, Bezrudzce, Kopaczów, Rulików, Wasylków, Poradów, Helenów, Sniatynka, Sołtanówka, Motowidłówka, Słoboda (?), Chwastów, Drohinka, Koszceżówka, Czerniawka, Łosiatyn, Stanisławka 2) Wykopaliska w samych urnach: Ryżanówka, Kobrynowa. Dla gub. Podolskiej—Sieniawa Nowa. Epoka bronzu t. sam. Halstadzka: Zari-cze, Jerezyki, Antouówka, Żydowce, Majdanówka, Kiryłówka, Samorodek; nad Bohem zaś Strzyżawka i Popówka. Epoka przedhistoryczna nieokreślona: nad Bohem Jakuszyńce i Strzyżawka. Z tego wyliczenia wnioskujemy, że badania prof. Antonowicza i hr. Bobryńskiego nie weszły jeszcze do tej mapy.

tnych tubylców, należących do najstarszych europejskich ras, wrodzaju kanstadzkiej lub jej pokrewnych, czy też jako przybyszów ze wschodu—zdaje nam się—nikt nie potrafi. Kranologiczne wskazówki odegrały-by tu doniosłą rolę, lecz po-za obrębem kości znajdujących w kurhanach, takich, które-by dawały pewniki naukowe, nie posiadamy; tamte zaś do najdawniejszej paleolitycznej epoki nie należą, choć niemniej dają nam bogate wskazówki może do przejściowej, a niezawodnie do wczesnej neolitycznej. Pozostają więc tylko przypuszczenia. Jeżeli najpierwotniejsi tutejsi mieszkańcy mieli jakie rasowe pokrewieństwo z tą warstwą zachodniej europejskiej ludności, którą nauka dotąd za najstarszą uważa, to ich typ odpowiadał-by słynnej w antropologii czaszce, którą znaleziono w r. 1857 w Neanderthal koło Düsseldorfu, pod dwumetrową warstwą gliny. Miała ona nadzwyczaj rozwinięte i bardzo wydatne łuki brwiowe, bardzo grubą kość, rozmiar dowodzący bardzo słabego rozwinięcia mózgu, oraz wszystkie inne cechy czaszek najniższego ustroju, jaki u długogłowców spotkano. Zaliczoną została do tak zwanej rasy kanstadzkiej, której istnienie w epoce paleolitycznej przypuszczać zaczęto, gdy w r. 1701 pod Stuttgartem znaleziono ułamek nieznaney z kształtów do owego czasu innej czaszki. Quatrefages utrzymywał, jak to wzmiankowaliśmy, że typ ten przechował się długo w Europie, gdyż ukazywał się nawet w IV w. po Chr. i później <sup>1)</sup>. Czy podobnego rodzaju czaszki przyniósł atawizm i do tutejszych kurhanów, nie wiemy, i pod tym względem nauka nic tu jeszcze wnioskować nie może. Inny typ rasy, która w wiekach paleolitycznego okresu żyła też w Europie, znajdowano w rozmaitych miejscach. Słynnej rasy tak zwanej Cro-Magnon są cechy następujące: wzrost 1.80 metra wysoki, kości udowe uderzającej grubości, golenie spłaszczone, czaszki bardzo wydłużone, czoło szerokie i wypukłe. Broca określa tę rasę w sposób następujący: przedstawia ona mieszaninę cech, z których jedno uważać należy jako wyższe, drugie zaś jako niższe w organizmie człowieka; objętość mózgu, rozwój kości czoła, piękny eliptyczny kształt tyłu głowy i cały rysunek jej bocznych stron są znamionami wyższości, które się napotyka u ras najbardziej cywilizowanych; za to szerokość twarzy, wydłużenie szczęk (prognatyzm) i ich olbrzymi rozwój, płaskość goleni i szczegóły ustroju muskulatury, każą się domyślać, że mamy przed sobą silną lecz bestyjalną rasę. Dodajmy tu, że w Cro-Magnon obok szkieletów ludzkich znaleziono kości nietylko mamuta, lecz nawet lwa jaskiniowego. Otóż niektóre takie same cechy znajdujemy u szkieletów, odkrytych niedawno na sąsiednim z tutejszemi stronami Wołyniu;

<sup>1)</sup> Nadaillac. T. I, str. 149.

co więcej, z mniejszą wprawdzie siłą, lecz do pewnego stopnia podobne, zostały odgrzebane w bardzo starych kurhanach pow. Czelryńskiego, Zwinogradzkiego, a po części i Skwirskiego. Wołyńskie zawdzięczamy poszukiwaniom pp. Glogera i Radziwińskiego w r. 1877 w pow. Ostrogskim, a ich charakterystykę podał prof. Kopernicki <sup>1)</sup>. Wzrost ich wynosi od 1.74 do 1.83 metra (czyli taki jak w Cro-Magnon), czaszki wyraźnie długogłowe, nawet jedna „przesadnie długogłowa”, gole nie spłaszczone, dołki łokciowe przedziurawione, co się i we Francji w jaskiniowych cmentarzyskach w znacznej ilości spotyka, grubość ścian czaszki potężna, jak również cała budowa skieletów, w ogólności zaś nie mają one najmniejszego powinowactwa rasowego z badaniami przez prof. Kopernickiego uprzednio, przedhistorycznymi czaszkami innych stron kraju. lecz owszem należą do szczepu zupełnie obcego tegoczesnej ludności Wołynia i słowiańskiej w ogólności, przeciwnie zaś istnieje w nich nietylko najściślejsze powinowactwo, lecz prawie tożsamość rasowa z pochodzącymi z cmentarzysk południowo-niemieckich, które, dodajmy od siebie, noszą niektóre cechy powinowactwa z francuskimi.

Nie śmiemy przez to twierdzić, aby dotychczas za pierwotną wołyńską uważana rasa była ta sama, którą we Francji uznają za najdawniejszą po kanstadzkiej; lecz jeśli widzimy z jednej strony powinowactwo pewnych odrębnych szczegółów ustroju kości, ten sam wzrost i budowę, a najbardziej długogłowość tu i tam mocno rozwiniętą, wreszcie żadnego podobieństwa do później tu zamieszkałego szczepu słowiańskiego, to mamy prawo przypuszczać, że typ znaleziony w okolicach Ostroga może być równie stary, jak rasa Cro-Magnon we Francji, która, jak widzieliśmy, żyła w epoce głęboko paleolitycznej. Niepewność wzbudza tu sposób, w jaki wołyńskie skielety pogrzebane zostały; znamionuje on w istocie epokę późniejszą, lecz nie przeszkadza przypuszczać, że ten sam typ istniał tam już pierwiej obok mamuta, tylko że go w tem towarzystwie dotychczas nie znaleziono; skoro zaś przypuszczamy, że na sąsiednim Wołyniu taka rasa jest najstarszą, możemy przypuścić to samo i dla pobliskiej Wołyniowi Kijowszczyzny. W istocie, cechy długogłowości, spłaszczonych goleni, dołów łokciowych, spotykamy i tu; co więcej, silnie rozwinięty prognatyzm i wypukłość kości policzkowych przypominają najdawniejsze francusko-niemieckie typy. Czynimy to porównanie na podstawie ogólnych spostrzeżeń nad najstarszemi skieletami, które się udało wydobyć w pow. Czelryńskim <sup>2)</sup>, jak również do pewnego stopnia spostrzeżeń nad

1) Zbiór wiadomości dla Antropologii krajowej. T. I, str. 48—53.

2) Hr. Bobryński, str. 131 i 132.



wykopaliskami, opisanymi przez prof. Antonowicza <sup>1)</sup>, śpiesząc z dodaniem, że typu pierwotnej rasy nie udało się tu nigdzie odnaleźć, lecz cechy jej przez atawizm przeszły do pokoleń, spoczywających w niektórych najdawniejszych kurhanach. Najbardziej jednak wydłużone, przesadnie długogłowe czaszki, znaleziono w wielkim kobrynowskim kurhanie, w najniższym jego piętrze <sup>2)</sup>. Cechy otoczenia skieleatów, samo ich położenie, wielkość czaszek, tak dalece przypominają Cro-Magnon, że i tu powstrzymuje nas od zaliczenia tego odkrycia do najdawniejszej tutejszej rasy tylko wzgląd, że kurhan kobrynowski epoki neolitycznej dowodzi, wtedy, kiedy mamy wszelkie prawo przypuszczać, że kraj ten miał swych mieszkańców jeszcze pierwiej.

O tej ludzkiej rasie, która, jak się dotąd zdaje, zamieszkiwała najdawniej wschodnio-europejską równinę, wchodzącą obecnie do składu Rosyjskiego Imperyum, uczeń Broca i Quatrefages'a odzywa się w ten sposób <sup>3)</sup>: „Drugi typ białych jest rudy. Właściwością jego są oczy zielone lub siwe, włosy ognisto-rude lub żółto-czerwonawe, a skutkiem przerodzenia się kasztanowo-popielate; skóra na twarzy często pokryta piegami. Dzieje rasy, do której typ ten należy, jeszcze nie są zbadane, lecz przypuszczam, że właśnie ona zamieszkiwała dzisiejszą Rosyję w czasach przedhistorycznych przed najściem narodów azjatyckich; obecnie przechowała się ta rasa w obu żyjących odłamach plemion fińskich. Większość dawnych kurhanów rosyjskich zawiera przedstawicieli tej rasy. O tym typie wzmiankują kroniki „Ham” (chińskie), jako o zamieszkałym przed erą chrześcijańską na Syberyi i w chińskim Turkiestanie.” Czy słowa powyższe, które się zdają tyczyć wschodniej tylko Rosyji europejskiej, mamy stosować i do tutejszych stron, czy uważać tubylców przed przyjściem ludów aryjskich za plemię po dzisiejszemu Fińskie, czy też widzieć w nich typ, odpowiadający starymu wołyńskiemu, a więc pokrewny rasom zachodnio-europejskim, jest rzeczą, której zbadanie do zdobyczy naukowej przyszłości należy.

Zebrawszy, o ileśmy umieli, nieobfity materiał, staraliśmy się przedstawić tylko wytyczne punkta prabytu tutejszych mieszkańców. Obecnie możemy już przejść do epoki, która nam swoje pomniki i pamiątki zostawiła w postaci nasypów ziemnych i w nich zawartych przedmiotów. Są nimi horodyszczka, wały i kurhany z bogatą zdobyczą wykopalisk, rozmaitych epok sięgających. Obfitość materiału, tyczącego się ostatnich, jest tak wielką, że wymaga, zdaniem naszym, osobnego

<sup>1)</sup> „Wykopaliska w kraju Drewlan”, str. 12.

<sup>2)</sup> Ossowski. Z. w. d. A. k. T. 12, str. 58—79.

<sup>3)</sup> Topinard. Elem. d'Ant., p. 234.

studyum, które dlatego odkładamy nieco na później, poprzestając obecnie na horodyszczach i wałach.

## II.

Skoro ta gałąź ludów aryjskich, którą dziś nazywamy słowiańską, zamieszkała zachodnią część wielkiej europejskiej równiny, urządziła swój ustrój społeczny na sposób patryarchalny, acz wcale do tego, jaki u ludów semickich widzimy, nie podobny. Słowianie rozsiędlili się rodami; każdym rodem rządziło najstarsze pokolenie, pod przewodnictwem najstarszego w niem brata, po którego śmierci starszeństwo przechodziło na młodszego i tak dalej, póki nie wymarło pokolenie najstarsze <sup>1)</sup>. Od niego zarząd przechodził na następne, a związki krwi, łączące wszystkie dzieci i wnuki z najstarszem żyjącem pokoleniem, stanowiły w ten sposób spójnię dla całego rodu. Z czasem, w miarę rozrastania się jego, przybywały coraz to nowe rodziny, które w braku miejsca, na pierwotnem siedlisku zakładały opodal nowe wprawdzie dla przyszłych rodów siedziby, lecz prowadziły przytem nie całkiem odrębne od głównego ogniska rodu życie; we wszystkich bowiem ważniejszych wypadkach lub sprawach, dotyczących się całego rodu, dla wszystkich obrzędów, przez cały ród wspólnie sprawowanych, wreszcie dla obrony od nieprzyjaciela, zbierały się w miejscach zamieszkania pokoleń najstarszych.

Naturalnie, powaga obrzędów, sądów i narad, cześć i bezpieczeństwo starszych, którzy zapewne ciąglą straż tych miejsc trzymali, wymagały z jednej strony takiej okazałości, na jaką się w owych pierwotnych czasach zdobyć można było, a z drugiej—takiego urządzenia, które-by odpowiadało możliwie dobrej obronie od zewnętrznych zaczepiek nieprzyjaciół, którymi w początkach bywały przeważnie, jak sądzić można z bizantyjskiej kroniki Maurycego, sąsiednie rody.

Takie jest prawdopodobnie pochodzenie wszelkiego rodzaju „horodów” i grodów w pierwotnem ich znaczeniu.

Gdy w czasach późniejszych przestały one służyć potrzebom okolicznych mieszkańców,—czy to skutkiem połączenia się rodów w większe uspołecznienia, wymagające obszerniejszych ognisk, czy gdy ludność, dokoła „horodu” zamieszkała, bywała tępioną przez stepowych na jeźdźców, pozostały po nich opuszczone miejsca, które horodyszczami, grodziskami, zaczęto nazywać, dodając do nazwy pierwotnej, oznacza-

<sup>1)</sup> Zabielin. „Historja ruskiego życia.” T. I, str. 542 i nast.

jącej przedmiot niejako żywy, w działaniu, kłócówkę, cechującą miejsce opuszczone <sup>1)</sup>.

Zasluga pierwszych naukowych badań nad horodyszczami należy się rodakowi naszemu, Adamowi Czarnockiemu <sup>2)</sup>, mianującemu się Zoryanem Dołęga Chodakowskim, który, w pierwszej ćwierci b. stulecia, zwiedzał horodyszcza w zachodniej Słowiańszczyźnie i w środkowej Rosyji, z zamiarem posuwania swych badań na południe ku tutejszym stronom. Niestety, prace jego, znalazłszy na razie stronną krytykę w osobie innego badacza starożytności, Kałajdowicza, musiały być zaniechane i zostały wydobyte z pod pleśni zapomnienia dopiero niedawnymi czasy po śmierci Chodakowskiego. Po ich powtórnem przejrzaniu pokazało się, że, na niewielkich stosunkowo obszarach, tu i owdzie zbadał on bardzo wiele horodyszcz i że, opierając się na tem, co widział, wywiódł uogólnioną dla wszystkich ziem słowiańskich teorię <sup>3)</sup>, która polegała na tem, że horodyszcza znajdują się wszędzie na słowiańskiej ziemi, aż do Elby wszcz, od Dźwiny Północnej do Balkanów i Adryatyku wzdłuż, i że ich tyle być mogło, ile mil kwadratowych było siedliskiem Słowian. Zdaniem jego, które przytaczamy dlatego, że dotychczas nikomu jeszcze nie udało się teorii Chodakowskiego obalić, (aczkolwiek pewne jej szczegóły zostały zmodyfikowane) horodyszcza są to pierwotne rodowe, dla ofiar bogom służące centra; wszędzie, gdzie ręka czasu ich jeszcze nie zniósła, lub nie zmieniła ich pierwotnego kształtu, są one podobne do siebie, niewielkie, okrągłemi otoczone wałami, raczej okopami, sypanemi wyłącznie z czarnej ziemi; wejście mają tylko jedno od wschodu i są położone na wyniosłych miejscach zwykle wśród pięknej okolicy, nad wodą. Pośród wieńczącej horodyszcze płaszczyzny dają się często napotykać doły, zdaniem Chodakowskiego miejsca, gdzie gotowano strawę. Ugrupowane są one tak, że jedno od drugiego leży zaledwie o wiorst kilka, a naokoło każdego horodyszcza znajdują się „uroczyska” <sup>4)</sup>, czyli dziś już puste, dawne nieobronne osady pierwotnych rodzin i mniejszych rodów, rozciągnięte w razie potrzeby ku ześrodkowującemu je horodyszczu. Nader ciekawe jest spostrzeżenie Chodakowskiego, że te same nazwy uroczysk powtarzają się przy każdym pojedynczem horodyszczu; pochodzą one od wyrazów, oznaczających słowiańskie bóstwa, za-

<sup>1)</sup> Eustachy Tyszkiewicz. „Badania archeologiczne”, str. 35. Samokwasow. „Znaczenie horodyszcz.”

<sup>2)</sup> Keppen na I zjeździe arch. w Moskwie i inni; Samokwasow l. c.; Encyklopedia Orgelbranda.

<sup>3)</sup> Chodakowski: „Sprawozdanie z pierwszej wycieczki 13 lipca 1822 r.”

<sup>4)</sup> Nazwa, pochodząca od wyrazu uroczystość, wedle Tyszkiewicza: „Badania archeologiczne” 35.

bawy, uczyty, obrzędy, ciałopalenie, wróżby i t. p., cechując ówczesny sposób życia, a zarazem dając do pewnego stopnia możność sprawdzania opowieści późniejszych kronik o ówczesnych porządkach. Nakoniec założyciele najdawniejszych „horodów“, „horodców“, grodzisk, horodni i horodenek, które to nazwy wszystkie oznaczają jedno i to samo <sup>1)</sup>, kierowali się ogólnie przyjętym zwyczajem, tak co do wyboru miejsca, jak kształtu i sposobu ich urządzenia: oto treść postulatów Chodakowskiego w tej mierze.

Samą nazwę „horodu“, grodu lub grodna, wyprowadzają niektórzy <sup>2)</sup> od wyrazu „hora“, „góra“; inni <sup>3)</sup> dodają do niego wyraz „ród“ i połączywszy oba, widzą jeden „horod.“ Czy takie pochodzenie tej nazwy, czy też od wyrazu „grodzić“, „horodyt“ mamy ją wywodzić, jest zdaniem naszym rzeczą małej wagi.

Dokładnego a szczegółowego opisu horodyszcz, położonych w Kijowszczyźnie, nie zdarzyło nam się napotkać: prace Fundukleja, Grabowskiego i Pochilewicza nie są pod tym względem dostateczne. Jednakże zarówno u tych autorów, jak i w opisach horodyszcz białoruskich, przypominających w pewnej mierze spostrzeżenia Chodakowskiego, w innych częściach Słowiańszczyzny poczynione, charakterystyka najstarszych horodyszcz jest wszędzie tak dalece podobna, że ją w zupełności dla naszych stron przyjąć możemy, tem bardziej, że tujejsze strony, jak i resztę Słowiańszczyzny, zamieszkiwała ludność tak blisko z sobą pokrewna.

Po-za obrębem tych pierwotnych horodyszcz, miejscowy lud daje tę samą nazwę, zastępując ją czasem wyrazem „zamkowiszcze“, i takim, które w późniejszych czasach bądź ze starych a małych (na obszerniejsze powiększone zostały, bądź już w okresie dziejowym założone, otrzymały od razu rozmiary, kształt i urządzenie, do nowych przeważnie wojennych potrzeb zastosowane. Różnica między jednymi a drugimi bije w oczy odrazu: pierwsze są zwykle położone nad wodą, przy spadzistym brzegu, a gdzie się dało w widłach dwu strug lub rzek; od strony, gdzie niema wody, mają koliste waly, których szeregi bywają ilościowo rozmaite; w poprzek walów zawsze jedno tylko wejście prowadzi do środka, a na małej przestrzeni śród okopów pomieści się zaledwo kilkudziesięciu ludzi, jeśli zaś przestrzeń ta bywa większą, to nigdy taką, aby mogła pomieścić poważniejszy oddział wojska. Podają prawie żadnych o tem, czem one były—nie posiadamy, zaś w najstarszych dokumentach oraz w podaniu ludowem uważane są

<sup>1)</sup> Chodakowski l. c.

<sup>2)</sup> Tyszkiewicz l. c.

<sup>3)</sup> Zabielin, str. 533.

jako miejsca, oddawna opuszczone, noszące ową końcówkę, która charakteryzuje wszelkiego rodzaju pustkowią, tak, jak i „kopiszcze“, „uroczyszczę“, równoznaczające z polskimi „kopisko“, „uroczysko.“ Nigdzie w nich śladu obmurowań lub ścian, jak również i studni. „Nadto gęste, mówi Tyszkiewicz <sup>1)</sup>, aby stanowiły osobne twierdze w strategicznym tego wyrazu znaczeniu, nadto jednostajne i pracowicie, z wyborem miejsca sypane, aby były chwilowemi szańcami, są zarazem zbyt niesymetryczne, aby były linią graniczną.“ Gdy późniejsze „zamkowiska“, większe przestrzenia, okopane wprawdzie nie dość symetrycznie, ale z pracą i staraniem, oblane wodą, ujętą groblami, zawierają ślady kłód, czaszki, żelastwo,—na dawnych horodyszczach niczego podobnego się nie znajduje; za to kamienne młoty, częstokroć rozbite, kształtu, który dzisiejsza archeologia za ofiarniczy uważa, oraz miejsca, bardziej żyzne od okalającej je reszty horodyszcz, świadczą o obrzędach, które tam sprawowano, przyczem krew bydła, dawnego w ofierze, użyżniała zlewisko. Oprócz uroczysk, widzimy często opodal horodyszcz kurhany, których zawartość wskazuje, że są pogańskimi cmentarzyskami. Przykład dawności nazwy „horodyszczę“, a zatem i dawności „horodów“, mamy w kronikarskim świadectwie Nestora, gdy, opisując wyprawę problematycznego Kija na Greków, powiada, że, przyszedłszy nad Dunaj, ujrzał Kij miejscowość, która mu się podobała, i pobudował na niej w zrąb mały „horodek“, chcąc tam zamieszkać wraz ze swym rodem; poblizcy mieszkańcy nie dali mu tego uczynić, musiał więc odejść i pozostało tylko miejsce, które do dziś (t. j. do dni Nestora), nazywają „horodyszczę Kijewiec.“

Ponieważ przeważnie najdawniejsza epoka w życiu Słowian zajmowała Chodakowskiego, przeto zwrócił on uwagę jedynie na najstarsze, okrągłe horodyszczę, i tylko do nich swoją zastosował teorię. Lecz Kijowszczyzna posiada równie znaczną ilość i większych, rozmaitych kształtów horodyszcz, z cechą już przeważnie obronnych miejsc, nie zaś tylko ognisk ludowego powszedniego życia. I one dowodzą też, jak dalece rody musiały się tu zwiększyć, rozrość w gminy, a następnie w plemiona, jak dalece musiały być niepokojone już nie samymi kłótniami wewnętrznymi Słowian, lecz napadami ościennych koczowników, a może dążących na Zachód coraz to nowych fal napływowego azyatyckiego pierwiastku, skoro mniejsze centra zaczęły tracić na znaczeniu, a na ich miejsce urządzać zaczęto obszerniejsze i bardziej udoskonalone warownie nowego kształtu i rozmiarów. I takie warownie, jeśli nie nosiły na sobie murowanych zamków w późniejszych czasach,

---

<sup>1)</sup> I. c.

zwano „horodami“, i po nich dzisiejsze pustki horodyszczami nazywają. Zakładane w celu pomieszczenia kniazia z jego drużyną, albo starszyzny już nie rodowej, lecz plemienną, narodową <sup>1)</sup>, zaś na wypadek wojny dla przytułku rodzin i ich dobytku, musiały być urządzone w sposób do nowego celu odpowiedni; to też nie są otoczone okrągłymi okopami, jak dawne, lecz mają wały o liniach prostych, schodzących się pod kątemi, czasem nawet bastiony po rogach z ziemi sypane, zaliczone jednak przez niektórych już do epoki, w której proch był w użyciu <sup>2)</sup>. Na powierzchni tych nowszych horodyszcz znajdujemy warstwy grubego piasku i części roślinnych, podobne do warstw, zalegających dworzyska i siedliska z czasów jeszcze późniejszych, a pod nimi kości, potłuczone garnki, bity kamień, cegły, węgiel, popioły i przedmioty domowego użytku, świadczące o długim i stałym ich zaludnieniu <sup>3)</sup>. Rzeczy cenniejszych, przedmiotów sztuki, jakie przedstawiają naprzykład kurhany, dotychczas w horodyszczach nie znajdowano i przyznać należy, że poszukiwania archeologiczne bez porównania mniej dały tu rezultatów od tych, które się w kurhanach bezustannie prowadzą.

Do ogólnej charakterystyki horodyszcz epoki późniejszej dodamy, że pozostałe po zakładanych już w czasach chrześcijańskich „horodach“ odróżnić łatwo od tych, które jeszcze po poganach zostały, po braku bliżej leżących kurhanów.

Przechodząc do szczegółów, dotyczących się wyłącznie tutejszych, między Bohem Dnieprem leżących horodyszcz, uważamy przedewszystkiem, że Ros, a szczególnie Rastawica, przedstawiają linię, od której na północ liczebną przewagę mają mniejsze, dawne, okrągłymi wałami opasane, na południe zaś spotykają się po większej części wielkie, obronne, już nieco forteczne urządzenie przypominające, horodyszcz. I nie dziw, gdyż na północ od Rastawicy tem gęściej musiały leżeć dawne horody, im składniej obszar leśny nadawał się do spokojnej kolonizacji, czyli takiej, która licowała z łagodnym, nie pożądanym dalekich zdobyczy, a dążącym do spokojnego, osiadłego życia usposobieniem Słowian. Między Rastawicą a Taśminą, gdzie się już zaczynały pola, gęsto tylko przegrodzone lasami, zakładano horody także zapewne tylko w lasach, a zatem musiało ich być mniej, niż na północ od Rastawicy; za to mogły być obszerniejsze, a zastosowane do gęściej zebranej wokoło ludności. Szczery step na południu od Taśminy, jak również nad-

---

<sup>1)</sup> Patrz w I top. Nestora: Olga, Włodzimierz.

<sup>2)</sup> Samokwasow. „Znaczenie horodyszcz.”

<sup>3)</sup> l. c.

siniuskie stepowe równiny i pola, bardziej ku Bohowi wysunięte, zawsze zagrożane napadami stepowych najeźdźców, mogły być zasiedlone w wyjątkowych tylko miejscowościach i tylko tam, gdzie od natury doskonale obronne miejsca nad jarami pozwalały na założenie siedzib.

Połączone prace Fundukleja <sup>1)</sup> i Grabowskiego <sup>2)</sup>, podały nam dość pobieżne wiadomości o horodyszczach gub. Kijowskiej: nietylko że ich dzieła nie mogą wzmiankować o wszystkich tych miejscowościach, które dawniej nosiły miano „horodów”, a których sposób urządzenia i nazwa nawet w podaniu ludowem musiała w wielu razach zatracić się, wobec tylokrotnych, doszczętnie niszczących kraj ten, napadów; lecz nadto, obaj nie mogli dokładnie podzielić i tych horodyszcz, które się jeszcze zachowały, na takie, które pozostały po owych pierwotnych charakterystycznych „horodach”, i na późniejsze obronne miejsca, dziś także po części horodyszczami, a po części zamkowiszczami zwane.

To samo stosujemy i do późniejszych autorów. Niemniej jednak wobec wyżej wzmiankowanego braku wyłącznej a szczegółowej pracy o horodyszczach w Kijowszczyźnie, musimy użyć tych źródeł, jakie posiadamy. Wszystkich, wraz z zamkowiszczami, naliczono w połowie wieku bieżącego 159 na gub. Kijowską, którą to liczbę sam autor, piszący o niej <sup>3)</sup>, uważa za zbyt małą. W sąsiednich powiatach gub. Podolskiej, wchodzących w zakres tutejszego czarnoziemiu, liczba ich, acz niedokładnie nam wiadoma, bezwarunkowo jest o wiele mniejszą.

Wyłączając powiat Czerkaski, w którym zaledwo kilka do dziś istniejących naliczono horodyszcz, wszystkie wschodnie powiaty, t. j. te, które bliżej Dniepru leżą, posiadają ich jeszcze najwięcej: w Czehryńskim liczą 14, w Kaniowskim 25, w Wasylkowskim 25, w Kijowskim tyleż, a w Radomyskim 16; mniej się horodyszcz liczy w Skwirskim i Lipowieckim, gdzie ich ma być po 12, reszta zaś najbardziej posuniętych ku zachodowi powiatów Kijowszczyzny, oraz lewo-brzeżne z nad Bohu podolskie mają ich zaledwie po kilka. Najbardziej znane są naturalnie te horodyszcz, które w czasach, stosunkowo niedawnych, zostały powiększone i ufortyfikowane, a tem samem straciły cechę pierwotnego „horodu.” Do rzędu bardziej ciekawych a najdawniejszych należą: np. w pow. Czehryńskim koło wsi Krymek to horodyszcz, w którym znaleziono pieniądz z czasów Marka Aureliusza; dalej, w tymże powiecie nad Taśminą, grupa owych dawnych „horodów“ w okolicy leśnej, dowodząca

<sup>1)</sup> Przegląd mogil i t. d.

<sup>2)</sup> Ukraina daw. i teraz.  
Grabowski

bardzo gęstego niegdyś tu zaludnienia, co przypuścić tem łatwiej, że w tym-że powiecie przy wsiach: Zamietnicy, Ositnicze i Pasterskiem znajdują się groty, pieczarami zwane. W powiecie Kijowskim Wytańczów nad Dnieprem, o którym Konstantyn Porfirogeneta, opisujący wyprawy Nowogrodzian na Carogród, powiada, że służył jako punkt, w którym się wszystkie łodzie Nowogrodzian zbierały, aby stamtąd już zwartą siłą płynąć w dół po Dnieprze <sup>1)</sup>; w pow. Kaniowskim wieś Hulanniki, przy której znajdują się aż cztery dawnego typu horodyszcz <sup>2)</sup>, i kilka wsi w innych powiatach, gdzie na jedną po dwa takie horodyszcz wypada.

Nowsze, a rozmiarami swemi bardziej imponujące horodyszcz widzimy w pow. Wasylkowskim, we wsi Olszanicy, zajmujące przestrzeń około 65 morgów. Posiada ono dwie ziemne fortyfikacye, połączone wałem, wzdłuż którego ciągnie się rów  $2\frac{1}{2}$  sążni głęboki. Miało tu być miasto, należące do książąt Holszańskich, które zniszczyli Tatarzy. Czy było ono jednak kiedy „horodem“ w pierwotnem znaczeniu, na to dowodów nie mamy. Jeszcze większa przestrzeń, bo blisko 200 morgów, pod Łosiatynem, w tymże powiecie, z trzech stron otoczona rzeczką Rotoką i bagnami, a z czwartej wałem 340 sążni długim, jeśli nosi nazwę horodyszcz, to dlatego tylko, że tam wistocie musiał być niegdyś stary słowiański „horod“, widocznie z czasem powiększany i w końcu zamieniony na wielki obóz obronny, wśród którego znajduje się tak zwany „Sokołowy gród.“ Ta fortyfikacya, zajmująca tylko  $2\frac{1}{2}$  morga, między dwoma wałami leżąca, mogła być owem pierwotnem horodyszczem, które, ze względu na swe dogodne ku obronie otoczenie wodą i błotami, stanowiło punkt, gdzie się ludność podczas późniejszych tatarskich napadów musiała chronić, co zresztą gminne podanie potwierdza.

Niezbyt daleko stamtąd położone Trylisy posiadają też swe fortyfikacye, które jednak do znacznie późniejszej epoki należą. Taraszczańskiego powiatu horodyszcz leżą na miejscach, wokół których pozakładane miasta zostawiły po sobie tylko ślady; tak między Stawiszczami a Antonówką był Lubomir, pod Lisowiczami Samborg, może przez Jarosława po zdobyciu grodów Czerwieńskich zasiedlony jeńcami z tamejszego Sambora <sup>3)</sup>, słynny pogromem Tatarów Ochmatów z horodyszczem bardzo starem, Torczesk nad Torczycą, prawdopodobnie gniazdo Turków-stepowców; za to początek horodyszcz w Zywotowie ma sięgać czasów zaledwo tatarskiego najazdu, gdy należał do

<sup>1)</sup> Pochilewicz, str. 46.

<sup>2)</sup> l. c.

<sup>3)</sup> Grabowski.



dóbr stołowych Chana. Powiat Skwirski, w którym do dziś są wsie nad Rosią, „Horodyszczami“ zwane, z dodatkiem do tej nazwy przymiotnikowym, świadczącym o pierwotnem pochodzeniu założycieli, jak np. Kosowieckie, od pobliskiej wsi Kosówka, Pustowarowskie od Pustowarni i t. p., posiada między innymi ciekawą miejscowość „Hrubsk“, w okolicach Chodorkowa <sup>1)</sup>, która jest horodyszczem po pierwotnym, zapewne małym, a później powiększonym, „horodzie“. W otaczającej to miejsce okolicy naliczono w dziewięciu grupach dziewięćset kurhanów, które są bezwarunkowym dowodem starożytności „Hrubsk“, jako pogańskiego ogniska tej okolicy, gdyż wszystkie te kurhany należą do epoki, głęboko przedchrześcijańskiej. Hrubsk składa się najpierw ze środkowego, dobrze zachowanego nasypu, otaczającego czworobok, o kątach zaokrąglonych, którego płaszczyzna wynosi wiorstę długości na 400 sążni szerokości, czyli, że zajmuje przestrzeń blisko 100 morgów, po której bieży dopływ Wilii, Tuskwa. Najlepiej zachowana część nasypu leży od wschodu, gdzie jego wysokość dochodzi do 2½ sążnia, przy szerokości 7-ju u podstawy. Zewnątrz nasypu ciągnie się szeroki rów, a od strony wewnętrznej do połowy wysokości nasypu towarzyszy mu taras; w tej-że części nasypu są trzy wjazdy. U wschodnio-południowego węgła płaszczyzny znajduje się obronne miejsce, „zaczyskiem“ zwane, stanowiące niegdyś jakby cytadelę całego horodyszczu <sup>2)</sup>, zajmujące przestrzeń 1,100 sążni kwadratowych, otoczone wałem dwusążniowej wysokości, z głębokim zewnętrznym rowem u podnóża. Jest to zapewne miejsce pierwotnego „horodu.“ Powierzchnia wewnętrznej jego płaszczyzny, o parę arszynów nad resztę horodyszczu podniesiona, ma wejście od wschodu, co odpowiada spostrzeżeniom Chodakowskiego. Opodal leży kilka uroczysk, z grupami kurhanów, jedno mniejsze horodyszcz w uroczysku „Rozkopane jezioro“, a dalej, w tym samym kierunku wieś Szczehlijówka, mieszcząca się całkowicie na wielkim, okrągłym, z dobrze zachowanymi wałami, horodyszczu, które rozmiarem równa się Hrubskowi. Na południe od ostatniego wznosi się długi, wysoki nasyp między wierzchowinami rzeczek „Zdwiży“ i „Dubowca“, który prawdopodobnie służył Hrubskowi, jako ochronny wał w tych miejscach, gdzie środkowa fortyfikacja nie była osłonięta ani rzeką, ani błotami. W nasypie tym są trzy wjazdy, z których jeden zowią „Bramą środkową“, zewnątrz zaś nasypu leży uroczysko „Węgierska góra“ z kurhanami.

Dla nas miejscowość ta jest tak dalece ciekawa, że pod tym względem ustępuje chyba zbadanej w r. 1887 przez prof. Koper-

<sup>1)</sup> Antonowicz, str. 38 i 39.

<sup>2)</sup> l. c.

nickiego „Horodnicy” nad Dnieprem <sup>1)</sup>, gdy zaś ta ostatnia leży po za obrębem przestrzeni, której pomniki ziemne stanowią nasz przedmiot, przeto opisywać jej nie będziemy; dodamy tylko, że chociaż antropologiczne i archeologiczne odkrycia wykazały tam pozostałości, o wiele dawniejsze od tych, które znaleziono w pobliżu Hrubka, jednakoż powinniśmy wiedzieć i to, że sam Hrubsk może być o wiele starszy od rozkopanych w pobliżu jego kurhanów, tem bardziej, że w niedalekiej stamtąd, radomyskiej okolicy, znajdowano groby, należące bezwarunkowo do epoki kamienia szlifowanego <sup>2)</sup>. Do rzędu horodyszcz może być zaliczona nader ciekawa miejscowość, na której w powiecie Czehryńskim wznosi się obecnie monaster, „motroneńskim” zwany <sup>3)</sup>. Pośród wałów, otaczających tak przestronne miejsce, że na niem obok monasteru mogło-by jeszcze wiele innych stanąć budowli, porasta dziś czarny las, tam, gdzie niegdyś była siedziba, o której istnieniu w dobie dziejowej nawet nic nie wiemy; gdy zaś Nestor, kronikarz, wcale o niej nie wspomina, musiała już za jego czasów, twierdzi Lipoman, być pustą, a lasem porośłą. Co dziwniejsza, że mimo znaczny obszar, świadczący o wielkości osady, nie miała ona wewnątrz studni, gdyż ta, dla wysokości położenia, mogła być tylko murowaną, pozostał-by więc jej ślad, którego niemasz. Jeśli więc brano tam wodę, to tylko z jaru, dochodzącego do motroneńskiego siedliska, a ponieważ ciągnie się on aż do Taśminy, przeto musiał w owych czasach być napelniony wodą, pochodzącą z tej rzeki, co, zdaniem cytowanego autora, cofało-by istnienie samego siedliska bodaj aż do czasów, kiedy morze Czarne było jeziorem.

Nie wchodząc w krytykę tego rodzaju domniemań, dodamy tu, że w motroneńskich okopach znaleziono dwie monety cesarza Justyniana, które świadczą, że to horodyszcz już w V w. po Chrystusie istniało. Drugie, sposobem całego urządzenia podobne do motroneńskiego, znajduje się niedaleko stamtąd w powiecie Czerkaskim, pod Pleskaczówką <sup>4)</sup>.

Jak widzimy, horodyszczta tutejsze przedstawiają rozległe pole do badań, a jeszcze rozleglejsze do przypuszczeń, które nie wiadomo, czy wszystkie zostaną z czasem zastąpione naukowemi pewnikami, tem bardziej, że zdarza się tu trafić i na wyjątkowe w tych stronach

<sup>1)</sup> Z. w. d. A. k. T. II, str. 19.

<sup>2)</sup> Lipoman. „Zastanowienie się nad mogiłami”, str. 7, 11, oraz Antonowicz. „Razkopki”, str. 49.

<sup>3)</sup> Tamże str. 14.

<sup>4)</sup> Pochilewicz, str. 656.

kształty tych prastarych siedzib. W powiecie Lityńskim naprzykład, wśród lasu, należącego do wsi Jakuszyniec, jest miejsce, zajmujące 10 $\frac{1}{2}$  morgów, otoczone imponującej wysokości wałami, których długość razem wzięta 3 $\frac{1}{2}$  wiorsty wynosi, bynajmniej niepodobne do żadnych nowożytnych okopów, ani miejscowych dawnych horodyszcz lecz przypominające grodziska czeskie <sup>1)</sup>.

Las strzyżawiecki pod Winnicą otacza jeszcze jedno bardziej ciekawe miejsce, na którym aż cztery systemy wałów stanowią jedną obronną całość: pierwszy łukowaty wzdłuż małej rzeczki, półtora wiorsty długi, a 2 sążnie wysoki, ma przerwę wchodową; drugi tuż obok leżący przedstawia nie całą wiorstę długości, a 1 $\frac{1}{2}$  sążnia wysokości i jest załamany w trzy kąty bez żadnego wejścia; trzeci zaś i czwarty stanowią jakby ochronne wały dla pierwszych dwóch nasypów. Na żadnym z nich niema śladów cegły lub drzewa budulcowego, a w pobliżu dwie grupy mogił, w których znaleziono dowody względnie niedawnego, jak też zarówno i bardzo dawnego grzebania, gdyż w jednej był rycerz z koniem i żelaznym rynsztunkiem, a w drugiej skielec, twarzą do ziemi leżący, i dwie gałki z gliniastej farby brunatnej, a jedna z czerwonej <sup>2)</sup>, co jest wskazówką bardzo starego, dawno zarzuczonego, a niezmiernie szeroko rozpowszechnionego niegdyś, zwyczaju.

Studni nie napotykam nietylko w motroneńskim horodyszczu, lecz przeważnie i w innych. Jest to cecha wspólna najstarożytniejszych obronnych miejscowości, tak u nas, jak i na zachodzie Europy <sup>3)</sup>; znane we Francyi obozowisko w Chassey śladu żadnej studni nie przedstawia, gdyż późniejsze cysterny były tam robione przez Rzymian. Zresztą są jeszcze inne cechy najdawniejszych europejskich siedlisk, świadczące, że cywilizacja najstarszych osadników, tak na Zachodzie, jak i u nas, była prawie jednaka; tak naprzykład, od Torunia do morza Bałtyckiego <sup>4)</sup> mamy cały szereg kolistego kształtu miejscowości, otoczonych wałami, o średnicy nie większej nad 180 metrów, zawierających przedmioty, które bezwarunkowo cechują epokę kamienia, a bardzo do naszych horodyszcz podobnych. Nic by w tem nie było dziwnego, bo i one mogą być zabytkiem jednoplemiennych z naszym ludów; ale we Francyi, Anglii i Belgii powtarza się mniej

---

<sup>1)</sup> Neyman. Z. w. d. A. k. R. 1880, str. 41. Mogło-by to oznaczać, że ta miejscowość została ufortyfikowana w XV w., t. j. w czasach, kiedy Ruś pod Korybutem dawała pomoc husytom w Czechach, gdzie się nauczyła ich sposobu sypania szanców. (Przyp. autora.)

<sup>2)</sup> Neyman. Z. w. d. A. k. R. 1880, str. 40.

<sup>3)</sup> Nadaillac. T. I, str. 389, 392.

<sup>4)</sup> Tamże str. 400.

więcej to samo, o wiele wprawdzie rzadziej, gdyż ręka czasu i praktyczny, ku materializmowi zwrócony, kierunek gęstej ludności, zrobiły już swoje, niszcząc zabytki, które nie rolnikowi przynieść nie mogły, a przy wysokich cenach ziemi zajmowały drogo płatne miejsca. We Francji naliczono niedawnemi czasy 401 ziemnych okopów, które są tylko małą częścią dawnych pozostałości. Nawet w Ameryce spotykamy miejsca, otoczone wałami, które, na wzór tutejszych, nie zawierają żadnych śladów murowania i mają jedyne, zwrócone ku wschodowi, wejście <sup>1)</sup>).

Wszystko to nie dziwi nas wcale, gdyż wszelkie ludy, doszedłszy do jednakowego stopnia potrzeb, wyobrażeń, rodzaju urządzenia swego gospodarstwa, wreszcie przemysłu, używają jednakowych lub zbliżonych do siebie sposobów ku zadość uczynieniu życiowym wymaganiom, i jeśli przytoczyliśmy powyższe przykłady, to jedynie jako ciekawe, zdaniem naszym, zestawienie zdobyczy naukowych u nas i w krajach, po-za granicami naszego leżących. Co się tycze Europy, ponieważ ona w epoce kamienia szlifowanego została zasiedloną przez ludy aryjskie, przeto nic dziwnego, że wspólność ich pochodzenia z tutejszymi osadnikami wykazuje się i w sposobie urządzenia siedzib pierwotnych, mniej więcej tu i tam do siebie podobnych; lecz Ameryka wchodzi pod tym względem w zakres już nie jednorasowych, lecz ogólnie ludzkich zjawisk.

Wymieniać, tem bardziej opisywać rozmaite horodyszcza, tak licznie między Dnieprem a Bohem rozsiane, nie mamy ani chęci, ani możliwości; pragnęliśmy tu tylko dać czytelnikowi ogólną ich charakterystykę, która, zdaniem naszym, może wystarczyć za jeden z dowodów bardzo dawnego a stosunkowo gęstego zasiedlenia stron tutejszych. Twierdzić możemy bez przesady, że ilość nawet tych tylko horodyszczy, które się dotychczas tu przechowały, i liczba wsi, noszących tę charakterystyczną nazwę, już są dostateczne, aby sobie wystawić, czem mógł być ten kraj, gdyby przez tyle wieków nie grał roli przedmurza, o które wciąż biła ludzka fala, dążąca od Wschodu na Zachód, a którą chwilami, jak mógł, tak odpierał. Gdy przychodziła silniejsza, niosąc większe zniszczenie, gdy następowało „wyniatje” ludności, jak się obrazowo wyraża kronikarz, horodyszcza się wyludniały, a step jeszcze większą pustką zalegał; lecz fala wracała na Wschód, a za nią dążyła, w części nowa ludność, nowi osadnicy, w części także i dawniejsi, którym się udało ukryć za północny kraniec stepowych przestrzeni: zmienił się tylko charakter dawniejszych osad: pierwotne, skromne „horo-

<sup>1)</sup> Tamże t. II, str. 30.

dy“ traciły swoje znaczenie, stawały się niedostatecznymi dla obrony, patriarchyalny sposób życia ustępował nowym porządkom: więc na ich miejscu mogły z czasem pozostać już tylko horodyszczca, ciekawe a smętne pomniki osiadłego, na owe czasy cywilizowanego, życia pradziadów dzisiejszego ludu tutejszego.

### III.

Z wałami spotkaliśmy się już przy horodyszczach; stanowiły one, jak widzieliśmy, składową część zarówno pierwotnych, jak i późniejszych centrów słowiańskiego osadnictwa, a tu dodamy: i zakładanych w tym kraju kolonii greckich. Lecz nie o takich wałach mamy mówić obecnie: przy pierwotnym sposobie obrony granic, skoro plemiona stepowe przeważnie, prawie wyłącznie, wojowały na koniu, skoro najeźdźca zżywał się ze swym wierzchowcem do tego stopnia, że tylko na nim czuł się pewny zwycięstwa i do niego tylko swe uzbrczenie stosował, ludy napadane, osiadłe a rolnicze, musiały swą obronę urządzać w ten sposób, aby z jednej strony stawiane najeźdźcom tamy wiodły przedewszystkiem bodaj chwilowo do możliwie łatwiejszego zszadzenia z konia nieprzyjaciela, z drugiej zaś, aby jedna i ta sama obrona mogła służyć dla największej przestrzeni ziemi, na której prowadzili rolne gospodarstwo, lub paśli stada.

W tym celu widzimy, nietylko u nas, lecz i daleko w krajach południowych, znacznej długości szanice w postaci ścian murowanych, lub sypanych z ziemi okopów. Szanice te wraz z towarzyszącymi im głębokimi rowami trudno było przebyć na koniu, jeśli się ich tu i owdzie z powierzchnią ziemi nie zrównało, co samo przez się wymagało zachodu, dla którego najeźdźca, zsiadłszy z konia, musiał zapewne rękami, lub co najwięcej włócznią wykonywać robotę, stanowiącą rzecz motyki lub łopaty, gdyż nie sądzimy, aby lekko uzbrojony kawalerzysta, któremu tylko łatwość ruchów dawała na wojnie przewagę, mógł tego rodzaju narzędzia z sobą na koń zabierać. W rozmaitych krajach widzimy dotąd przedhistoryczne resztki bądź samych tylko murowanych ścian, tam gdzie na kamieniu i kamieniarzach nie zbywało, lub też gdzie rodzaj powierzchni ziemi sypaniu wałów nie sprzyjał, bądź też mur w połączeniu z wałami, a wreszcie same tylko wały ze śladami częstokolów lub bez nich. Mur Sezostrysa, zbudowany między dzisiejszym Heliopolisem a Peluzą, służył Egipcjowi, jako ochrona od najeźdźców, koczujących wśród oaz piaszczystej Arabii. Wzniesiony w tym miejscu, gdzie sucha granica Azji na międzymorzu Suez stanowiła jedyny dostęp dla jazdy, jeśli był murowany, to nic dziwnego, gdyż lotny

piasek powierzchni wcale się do sypania trwałego wału nie nadawał, Egipt zaś i znakomitych rzemieślników, i wysmienity materiał budowlany posiadał. Wielki mur, ciągnący się mil sześćset na północy Chin, zbudowany w r. 247 prz. Chr., a wstrzymujący czas jakiś Tata-rów Mandżuryi, budowano dziesięć lat, używając do tego kilku milio-nów robotników; lecz zdumiewającą tam miejscami kamieniarską robotę zastąpiono gdzieindziej wałem, sypanym z ziemi <sup>1)</sup>, lub z narzucanych jedne na drugie kamieni. W II wieku ery chrześcijańskiej, w tem miejscu, gdzie się Dunaj, pod dawniejszem Axiopolis, dzisiejszą Syli-stryą, zwraca ku północy, miał cesarz Trajan wznieść wał i doprowa-dzić go do Constantiany, niegdyś leżącej nieco wyżej, niż dzisiejsze Ku-stendze nad Czarnem morzem <sup>2)</sup>; przeznaczeniem jego było służyć prze-ciw Dakom, lecz następnie, gdy Rzymianie posunęli swe kolonie bar-dziej ku północy i oparli je o podnóże Karpat, okazał się zapewne zby-tecznym, skoro go przecięto drogą bitą jeszcze za czasów rzymskich. Niektórzy są zdania, że wały w Bessarabii, w Galicyi wschodniej i wiel-kiemi przerwami obecnie poprzecinane w powiatach: Uszyckim, Ka-mienieckim i Proskurowskim gub. Podolskiej, są także „Trajanowe“ <sup>3)</sup>; inni jednak dowodzą, że istotna ich nazwa pierwotna jest inną, sko-ro, jak to zobaczymy, bynajmniej od imienia cesarza rzymskiego wy-wodźć jej nie należy.

System obrony rozległych krajów za pomocą wałów długo musiał być uznawany w ogólności za dobry, jeśli je spotykamy w miejscach, bronionych nietylko od koczowników lub najeźdźców, lecz i tam, gdzie wojnę prowadzono obustronnie pieszo, przyczem jednak wały musia-no jeżyć częstokołami <sup>4)</sup>. I tak w Wielkiej Brytanii widzimy dziś je-szcze resztki nasypów, przeznaczonych ku obronie granic całych pro-wincyi, a chociaż pochodzenie ich niewiadome, jednakże pewne wska-zówki pozwalają przypuszczać, że sięgają one głębokiej przeddziejo-wej starożytności, jak np. nasyp, zwany „Wandyke”, „Djabelska gro-bla” w New-Market, lub ten, który od Bristolu ciągnie się do rzeki Dee i prowincję Wallis od reszty Anglii oddziela <sup>5)</sup>. Później, w cza-sach już historycznych, Rzymianie wykonywali w tej-że Anglii podo-bne roboty, lecz o wiele poprawniej i zachowując pravidła tej strate-gii, której na owe czasy byli mistrzami: Hadryan oddzielił murem po-siadłości rzymskie od Kaledonii i wzmocnił go bastyonami na prze-

<sup>1)</sup> Barrow. „Gr. Dict. de Larousse“, t. II, 696.

<sup>2)</sup> Atlas Leroy, m. 60.

<sup>3)</sup> Zb. w. d. A. k. T. II. Str. 43 i 44.

<sup>4)</sup> Nadaillac. T. I. Str. 395

<sup>5)</sup> Antonowicz. „O wałach“ Str. 2.

strzeni 125 kilometrów; następnie Septimus Severus posunął Hadryanową robotę jeszcze bardziej ku północy na przestrzeni 45 kilometrów. System rzymskich granicznych szańców i murów przetrwał z pewnemi odmianami i w Niemczech aż do Karola Wielkiego <sup>1)</sup>; do nas przyszedł on tylko w postaci wałów, prawdopodobnie także od Rzymian; Rurykowicze przyjęli go w spadku po ludach, pierwotnie zamieszkujących tutejsze stepowe przestrzenie; widzimy nawet książąt Suzdańskich, sypiących wały na wschodnich rubieżach swoich posiadłości. O długich, łukowatych wałach, które się od Dniepru, bądź w stronę Bohu, bądź ku północno-zachodowi ciągną, znawca tutejszego kraju, chorąży czehryński, Jan Lipoman, w r. 1832 tak pisze: „niektórzy sądzą je być Trajanowemi, lecz ich kierunkowe położenie dowodzi, że tak nie jest. Przy pomiarze dóbr białocerkiewskich, przestrzeń 20 mil geograficznych wzdłuż, a 7 do 10 w szerz trzymających, brano na plan wały, których jest kilka, a z nich szczególnie jeden przez pola, lasy i błota długo się ciągnie. Wały te i teraz dość wysokie, a fos ich dotąd czas nie porównał. Zaczynają się od Dniepru niedaleko ujścia Rosi, przechodzą Roś i idą z Bohusławskiego <sup>2)</sup> powiatu do Wasylkowskiego, przechodząc wyżej Bohusławia, koło Jeziornej, łukiem wyżej Białocerkwi, gdzie się znowu do Rosi zbliżają i przechodząc tę rzekę, mijają Aleksandryę <sup>3)</sup>; (w końcu) rozdzielają się w różnych kierunkach, zdążając ku zachodo-północy. Inny wał, widoczny jeszcze urywkami, jest w pow. Lipowieckim koło miasteczka Monasterzysk <sup>4)</sup>. Są one, zdaniem cytowanego autora, graniczne, a gdzie się przerywają, tam wskazówka, że sąsiedzi sypać ich nie dawali.

Funduklej i Michał Grabowski, piszący w 20 lat później, zbierali wiadomości o wałach, zarówno tych, które cytuje Lipoman, jak też o innych, rozrzuconych po ukraińskiej przestrzeni, przyczem jak jeden, tak drugi, przytaczają nazwy tych miejscowości, gdzie wówczas jeszcze nierozorane widać było. Staraliśmy się, idąc za ich wskazówkami, nakreślić na mapie, o ile się dało dokładnie, linie, które-by naznaczyły kierunek tych wałów, i otrzymaliśmy szeregi następujące. Najbliższej południowej granicy Kijowszczyzny, od Taśminy, a więc blisko Dniepru, widzimy na zachód, w stronę Wysii Siniuchy, kierunek jednego, często podwójnego, o bardzo długich—jak obecnie—przerwach, który zapewne ciągnął się od dołu Taśminy pod Matwijówką i gdzieś w okolicach Aleksandrówki przecinał górną część Taśminy; dalej wi-

<sup>1)</sup> l. c.

<sup>2)</sup> Ówczesnego, t. j., gdy autor to pisał.

<sup>3)</sup> Park pod Białocerkwią.

<sup>4)</sup> „Zastanowienie się i t. d.” Str. 23.

dać go u Krymek—podwójnym, koło Kapustyna—potrójnym, a od Kalnibłot—prawie już bez przerwy ciągnącym się pod Nowosielicą ku Talnemu; gdy następnie przetnie Tykicz Uhorski, zwraca się na południe w kierunku Siniuchy i tam się nazywa „Żmijowym”<sup>1)</sup>; potem przez Jatrań dostaje się do pow. Bałckiego i dochodzi do Bohu. Czy miał on jaką łączność z tym wałem, który o wiele dalej ciągnie się za Dniestrem—nie wiemy. Być może, iż łączył się z innym, bliżej Sobu, w okolicach Kalnika, obecnie biorącym początek, a który po-pod Daszów dochodzi prawie do Kitajgrodu, skąd zapewne szedł niegdyś ku Monasterzyskom. W takim razie był-by to ów wał w pow. Lipowieckim, o którym Lipoman (jak wyżej) wzmiankuje.

Kierunek drugiego z kolei, bardziej ku północy posuniętego, a wielokrotnie i na długich przestrzeniach przerywanego wału, mógł iść od Żabotyńca przez nader ciekawe pod względem śladów dziejowych okolice Smiły i Korsunia ku Olszanie<sup>2)</sup>; następnie przez Moryńce, Komarówkę,<sup>3)</sup> gdzie jest podwójnym, a skąd jako taki ciągnie się mimo Żurzyniec i Łysianki, zawsze z przerwami, ku granicy pow. Humańskiego, w którym do Uhorskiego Tykiczu dochodzić musiał.

Jeżeli wyżej supponowany daszowsko-monasterzyski wał nie miał związku z opisanym poprzednio „Żmijowym”, to mógł go mieć (co prawdopodobniejsza) z tym, o którym mowa obecnie.

Trzeciego, znacznie od poprzednich wyraźniejszego, a jeszcze bardziej ku północy posuniętego wału kierunek widzimy w dorzeczu Rosi. Jest to ów wielki, zwany „Trajanowym”, o którym pisze Lipoman. Znajdując jednak różnicę na nieznacznej przestrzeni między kierunkiem, dawanym mu przez Lipomana, a tym, który mu Grabowski i Funduklej przypisują, możemy sobie tę różnicę wytłómaczyć tem tylko, że, dla niewiadomych dziś przyczyn, wał wspomniany w okolicach Sawarek (wyżej Bohusławia), chwilowo dzielił się na dwa ramiona, które się nad Rosią pod Białocerkwią mogły łączyć. Stamtąd idzie on w kierunku zachodnio-północnym czas jakiś, a następnie zbliża się do Dniepru na północ od Kijowa<sup>3)</sup>; dawniej, nim wyszedł z dorzecza Rosi, spotykał się zapewne z innym wałem, idącym ku zachodowi, a którego dzisiejsze resztki widać na przestrzeni 25 wiorst.

Czwarta serya wałów rozchodzi się gałęziami od Trypoła nad Dnieprem i Obuchowa. Z tych najbardziej południowa ciągnie się do Łosiatyna i prawdopodobnie musiała niegdyś dochodzić do Rosi w po-

1) Grabowski. Funduklej, str. 16.

2) Choć go tu nie widzimy, gdyż może jest już zaorany.

3) Antonowicz. „Prace IV arch. zjazdu.” O wałach, str. 1.



bliżu Białejcerkwi; następna gałąź tej grupy jest drugim „Żmijowym“ wałem, który prawie bez przerwy przecina wszerz powiaty: Kijowski i Wasylkowski, mniej więcej od wsi Piwnie, leżącej w pobliżu stacji dr. z. Kożanki. Opodal od niego, na północ, półkolem od wsi Barachty, przez Mytnicę ku Wasylkowu, ciągnie się 45 wiorst inny wał, Mytnickim zwany; stanowił on wprawdzie granicę obwodu Kijowskiego, wedle traktatu 1686 r., lecz był sypany jeszcze w XII w. za księcia Wasylka. Kierunek tego wału wskazuje, że ci, co go wznosili, mieli na celu oddzielenie łukowatym nasypem Kijowa z przyległościami od otwartej przestrzeni między Unawą z jednej strony, a dolną częścią Stuhny, lub samym nawet Dnieprem, z drugiej. W końcu, do tej samej grupy należy wał, którego kierunek widzimy prawie w prostej linii od Trypoła, przez Wasylków, Byszów, aż do rzeki Zdwizy.

Wyżej przytoczone szczegóły o najdłuższych tutejszych wałach zaczerpnęliśmy u trzech cytowanych autorów; obecnie przytoczymy z kolei to, co nowsze badania prof. Antonowicza podają nam w tej mierze <sup>1)</sup>, gdyż przedewszystkiem są one dokładnem tłómaczeniem znaczenia tego rodzaju usypisk, a następnie dopełniają dotychczasowe wiadomości o kierunku wałów w najbardziej północnej, leśnej części Kijowszczyzny. Zaznaczywszy, że wały, znajdujące się na obszarze dawnego księstwa Kijowskiego, nie mogą być odszukane w dawnej ich całości i liczbie, autor zestawia swe wnioski z tego, co mu przyniosły nowsze topograficzne mapy, sprawozdania urzędów gminnych oraz jego własne badania.

Najbliższe od Kijowa wały są w związku z kierunkiem wód i przedstawiają szereg współśrodkowych, mniej więcej prawidłowych, półkoli. Najbardziej środkowe otacza dorzecze małej Wety, wpadającej do Dniepru, na południe od Kijowa; następne, zaczynając od Trypoła, obiega dorzecze Stuhny i część średniego przepływu Irpeniu, dochodząc północnym krańcem do Dniepru między Kijowem a Wyszogrodem; trzecie półkole, zaczynając również od Trypoła, posuwa się ku zachodowi i otacza całe dorzecze Irpeniu; czwarte, od pobliża ujścia Rosi ciągnie się wzdłuż niej do Białejcerkwi, skąd zawraca do połączenia z wyżej wzmiankowanym trzeciem półkolem u wierzchowin Irpeniu. W końcu wał piąty, którego tylko południowy koniec znany jest autorowi, ciągnie się od Taśminy do dorzecza Bohu, gdzie go widzimy idącym w kierunku Siniuchy i Kodymy; a zatem, dodajmy od siebie, ten ostatni u prof. Antonowicza szaniec, na który może złożyły się i dwa równoległe, blisko od siebie położone wały, do systemu obrony

---

<sup>1)</sup> „Prace IV arch. zjazdu w Kazaniu.” O wałach. 1—4.

samego tylko księstwa Kijowskiego nie wchodził. W miejscowościach nie oranych, leśnych, wysokość wałów sięga trzech sążni, szerokość zaś ich do siedmiu dochodzi; od zachodu, jako od strony zewnętrznej, owe współśrodkowe wały mają zawsze ślady dość głębokiego rowu u spodu. Znajdowane w wałach, monety Trajana, były, zdaniem autora, powodem, że niektórzy pisarze nazwali je „Trajanowemi”; niżej jednak zobaczymy odmienne przypuszczenia innego archeologa w tej mierze.

W ogólności wały tutejsze lud nazywa Żmijowemi, tłómacząc pochodzenie tej nazwy podaniem, stanowiącem wariant kronikarskiej opowieści: Ongi, nad Dnieprem, mieszkał żmij (smok), pobierający daninę od mieszkańców okolicy, składaną z dziatwy, którą, naturalnie, pożerał. Gdy przyszła kolej na córkę panującego księcia, ojciec jej zapragnął uratować dziecię; wtedy stanął przed nim jakiś starzec z oznajmieniem, że syn jego, Kuźna, garbarz, ma taką siłę, iż zdolen jest rozerwać 12 skór wołowych, razem zebranych, potrafi więc pokonać i żmija. W istocie, bohaterski młodzieniec wychodzi z walki zwycięzcą i w nagrodę otrzymuje kraj, którego granice nazwano Żmijowemi wałami. Inny wariant przedstawia Kuźmę, uciekającego, na rozkaz Anioła, trzy dni przed żmijem; w końcu dobiega on do Kijowa, gdzie przy pomocy Borysa i Hleba zaprzęga żmija do pługa i wyoruje nim brzozy, od których skiby stają się wałami.

Nieco inaczej brzmi ta sama powieść w podaniu, przez p. E. Rulikowskiego <sup>1)</sup> spisaniem. Tu ów Kuźna występuje jako małego wzrostu kowal, chwyta obcęgami żmija, zaprzęga go do pługa i zmusza do orania; gdy doszli do Bohu, zmęczony żmij wypija całą rzekę, następnie dzieje się to samo z Dnieprem, aż u morza Czarnego potwór pada i ginie po wypiciu wody morskiej.

Jeśli porównamy te bajki z opowieścią kronikarza o Janie Ośmosewcu, to w niej ujrzymy <sup>2)</sup> charakterystyczne rysy garbarza Kuźmy, próbę zaś jego siły opisaną w ten sam sposób, jak opowiada legenda; w kronice jednak rzecz ta nie nosi całkiem bajecznej cechy, ponieważ walka toczy się tu nie z jakimś żmijem, lecz z Pieczyngami. Nie poprzestając na tem porównaniu, przypomnijmy wraz z prof. Antonowiczem, że w kronikach są wzmianki niejednokrotne o wałach: tak, pod r. 1093 kniaziowie kijowscy, wyprawiwszy się na odsiecz Torzeńska, mijają Trypol i przechodzą jakiś „wał”; w r. 1151 Jerzy Dolhoruki pragnie zdobyć Białogród pod Kijowem, lecz musi odstąpić za „wał” u Bezjanicy w oczekiwaniu na pomoc księcia Halickiego, Kijo-

<sup>1)</sup> Zbiór wiad. d. A. kr. T. VI. Str 166.

<sup>2)</sup> Antonowicz, str. 3.

wianie zaś, podążający na odsiecz Białogrodu, dochodzą do innego „wału” za Stuhną i zatrzymują się tam; w końcu pod rokiem 1169, książę Mściwój Izasławowicz, podczas wojny z krewnym, Włodzimierzem, zajmuje także „wał” pod Wyszogrodem. Z tego widzimy, jaką tu rolę odegrały już istniejące wały we współczesnej kronice taktyce wojennej; lecz kronikarz nie mówi, w jakim celu mianowicie były one sypane. Za to z listu misjonarza Brunona z Merseburga, do cesarza Henryka II w r. 1008 pisanego <sup>1)</sup>, widzimy, że najbliższemu leżącemu wałowi od Kijowa został wzniesiony dla obrony od Pieczyngów na samej granicy księstwa Kijowskiego przez tego panującego, u którego Bruno gościł, a więc w końcu X lub na początku XI stulecia, co jednak nie jest dowodem, aby te wały, które są bardziej ku południowi posunięte, a szczególnie krańcowy, „Żmijowy”, nie były o wiele starsze.

Widzieliśmy, jak przypisują niektórym autorom, że to oni, na podstawie tu i owdzie znajdujących monet, nadali niektórym wałom nazwę „Trajanowych.” Lecz pomysłowy, uczony, acz nie zawsze przedmiotowo patrzący na kwestyę, Zabielin, dowodzi, że sama nazwa jest odmienną, że ją zmieniono, przeinaczając jedną tylko literę, i że we właściwym swym brzmieniu sięga ona czasów o wiele dawniejszych, niż ta, na którą nowożytni ją przekształcili <sup>2)</sup>. Według niego, u ludu tutejszego nazywały się one nie „Trajanowe”, ale „Trojanowe wały”, ponieważ Ruś ma w swych podaniach mitycznego Trojana, jako uosobienie rodowego naczelnictwa w postaci, również mitycznej, bratniej trójcy, stanowiącej najdawniejsze pokolenie narodowych przywódców. Na poparcie tych wywodów, zdaniem jego, znajdujemy ustępy w pieśni „Słowo o pułku Igora”, w których dawne czasy zwą się „wiekami Trojana”, Ruś—„ziemią Trojana”, Igor jest „Trojanowym wnukiem”; są też w tej pieśni „tropy (ścieżki) Trojanowe”, a pierwszy, według niej, najazd Połowców przypada w siódmym „wieku Trojana”, czyli, według kronik, podczas panowania właśnie siódmego z kolei pokolenia Ruryka. Stąd, rzecz jasna, zdaniem Zabielinego, że i t. zw. „Trajanowe” wały, ciągnące się od Dniepru do Dunaju, są roboty mitycznego Trojana, czyli najdawniejszego pokolenia wojowników i organizatorów starej ruskiej ziemi, bynajmniej zaś Trajanowemi nazywać się nie powinny.—Lecz w takim razie wały te były-by nie do tego stopnia stare, żeby o ich początku można było aż z legend wnioskować. Przypuszczenie Zabielinego warte jest zastanowienia, ulegać jednak może krytyce zarówno za i przeciw, której naturalnie nie podnosimy, unikając polemiki w naszej monografii.

<sup>1)</sup> l. c.

<sup>2)</sup> Zabielin. „Hist. russkiego zycia“, str. 510 i następn.

Archeologiczne badania nad wałami pozostawiają jeszcze bardzo wiele do życzenia, choć przypadkowo znajduwane w nich przedmioty dowodzą, jak cenny dziejowy materiał tu i owdzie w nich się zawiera. Nie spodziewamy się tu wprawdzie rzeczy takich, jak znalezione po prawej stronie Zbrucza, pod Michałkowcami nad Nieclawą, w tamtejszym „Trajanowym“ wale, złote przedmioty: korona, kubek, guzy, spiniki, łańcuchy i t. p. <sup>1)</sup>, nieciekawi jesteśmy zarówno i monet rzymskich które o przeszłości tej ziemi mało-by nam mówiły; o wiele ciekawsze mi były-by przedmioty miejscowego wyrobu i użytku, gliniane, kamienne, z brązu, a nawet i takie, które-by nosiły cechy greckiego przemysłu, z których mogli-byśmy wnioskować, kiedy jaki wał mógł być sypany, czy stanowił sam w sobie pewną całość, czy też był tylko częścią obszerniejszej fortyfikacji. Pod Wczorajszem np. w oklicach Pawołoczy <sup>2)</sup> jest na wale 118 kurhanów, których zawartość może-by coś o starożytności samego wału powiedziała, wskazując, czy był on sypany, gdy tu wiedziano już o Rzymianach, czy też jeszcze dawniej; pod Czarnohorodką, przy t. zw. Plisieckim przewozie, gdzie jeden z wałów dostaje miano „Czarny”, znajdujemy w nim węgle, czerepy, cegłę późniejszej epoki horodyszczna, a jednak jest to część olbrzymiego wału, który się ciągnie 118½ wiorsty <sup>3)</sup>, skąd mamy prawo wnioskować, że i na tutejszych granicznych wałach urządzano coś w rodzaju mieszkalnych bastyonów lub strażnic. Do zagadnień o wałach należy np. nazwa jednego z nich „Atamański”, każąca przypuszczać, że musiał być sypany w czasach, dokładnie nam znanych, a jednak jest on wiorst kilkadziesiąt długi, nie był więc szańcem, przez kozaków sypanym, gdyż te były znacznie krótsze.

Z tego, co się rzekło, widzimy, że zbadanie wałów i ich zawartości jest kartą, dotychczas mało zapisaną; tu potrąciliśmy tylko o najdłuższe, o te, które wydają się być najważniejszymi obronnemi liniami całej dawniejszej Kijowszczyzny, oraz ziem, jeszcze bardziej kresowych, o takie, które się ciągnęły przez całe dziesiątki mil; a jakże wiele wzmianek napotykamy o krótszych wałach, które chyba tylko granice rozdrobnionych książeńcych dzielnic, jeśli nie dawniejszych jeszcze włości sąsiednich sobie rodów, stanowić mogły. Wiele z tych mniejszych, pewnym systemem połączonych między sobą, wałów, pa mięta i kolonie greckie. Za takie uważają niektórzy nader oryginalny szereg niewielkich wałów pod Trachtymirowem nad Dnieprem.

<sup>1)</sup> Z. w. d. A. k. T. II, str. 42.

<sup>2)</sup> Fundnkley, str. 50.

<sup>3)</sup> Grabowski. „Ukr. daw. i teraz.”

Podobnie, jak Kijów miał swoje Żmijowe, które służyły dla obrony całej ziemi wraz ze stołecznym grodem, tak Trachtymirów miał swoje państwa, urządzone w ten sposób, że od strony stepu chroniły je wały, których ogólna długość 12-ie wiorst wynosiła, a przytykające z obu końcami do samego Dniepru, tak, że się między rzeką a wałami całe stada swobodnie paść mogły <sup>1)</sup>. Takich było i więcej, lecz wyliczać ich nie możemy; natomiast, wróciwszy do „Żmijowych” i „Trajanowych”, twierdzimy, że, naszym zdaniem, ważną było-by rzeczą móżdż dojść drogą badań archeologicznych, jaki prawdopodobnie przeciąg czasu upłynął od wzniesienia najbardziej ku południowi wysuniętego wału, t. j. idącego od Dniepru do Bohu, do usypania tego, który od ujścia Rosi ku wierzchowinom Unawy czy Irpeniu się ciągnie. Pierwszy bowiem mógł być zewnętrznym szańcem dla całej stepowej przestrzeni, przez ongi osiadłe a rolnicze ludy w tych stronach zamieszkaney, drugi zaś służył już tylko dla jej północnej połowy. Jeżeli zatem pierwszy jest dawniejszy od drugiego, to mogło-by znaczyć, że po upadku Scytów „Skolotów”, a następnie Gotów, wobec najścia Hunnów, lub nieco późniejszego—Awarów, osiadłe życie południa cofnęło się tylko na północ od Taśminy i Siniuchy i stąd promieniowało w górę ku bardziej leśnym okolicom, wśród których powstał Kijów; jeżeli zaś, na odwrót, wał nadrosiowy, „Trajanowym” zwany, jest starszy od „Żmijowego”, to cofnięcie się życia osiadłego przed falą azyatycką doszło-by o wiele dalej ku północy, niż linia Taśminy, ześrodkowanie jego nastąpiło-by już tylko na lewym brzegu Rosi, a dopiero później, po upadku Awarów, kolonizacya tych ziem rozpoczęła-by swój odpływowy powrót w dół ku południowi i, doszedłszy do Taśminy, zatrzymała-by się przed Chozarami i Pieczyngami. Tak, czy inaczej, istnienie obu wałów może dowodzić, w najdawniejszych czasach odbywał się tu już ten sam, to posuwający się naprzód, to wstecz się cofający, ruch kolonizacyjny, który widzimy i w późniejszych dziejowych okresach, kończąc na XVI i XVII stuleciach.

KSAWERY CHAMIEC.

---

<sup>1)</sup> Pochilewicz, str. 591.

---

# PIŚMIENNICTWO

## KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

---

*Pr. Ulanowski.* „Wieś polska pod względem prawnym od wieku XVI do XVIII.”  
Kraków. 1894, (str. 44).

Literatura nasza bogatą jest i zasobną w broszury, sprawie włościańskiej poświęcone, ale historii stanu włościańskiego w dawnej Polsce, w pełnym tego słowa znaczeniu, nie posiadamy ani jednej. Zdaje się nawet, że nie tak prędko ujrzymy dzieło, które-by na powyższe miano zasługiwało; niema bowiem ani źródeł zebranych, ani studyów przygotowawczych, torujących drogę i ułatwiających zadanie historykowi.

Z prac źródłowych, które rzuciły dużo światła na dzieje naszej rolniczej ludności, należy przedewszystkiem wymienić rozprawy księcia Tadeusza Lubomirskiego, p. t. „Rolnicza ludność” i „Jurysdykcyja patrymonialna w Polsce.” Zastużony literaturze naszej badacz zastanawiał się jednak przeważnie nad stosunkiem prawnym ludności rolniczej do dworu oraz nad położeniem wszystkich klas rolnych, pozostawiając niկły i prawie suchotniczy samorząd wioskowy na uboczu. Tymczasem badacze i historycy stanu włościańskiego w zachodniej Europie, a przedewszystkiem w Niemczech, zauważyli, że nawet w dobie rozwielmożnionego przytwierdzenia do gleby klas rolnych, wioska, jako organ samorządu lokalnego, nie straciła zupełnego znaczenia i, pomimo

kompletnej zależności od dworu, gromada wioskowa w sprawach gospodarskich, a nawet sądowych, dawała pewne oznaki samodzielnego życia.

Pr. Ulanowski przedstawił wieś polską właśnie w tej dobie, w której poddaństwo ludu włościańskiego, a wraz z niem i instytucya przytwierdzenia do gleby, rozwinęły się w pełni. Nadto autor zawiadamia, że komissya prawnicza Akademii Umiejętności, kilka lat temu, powierzyła mu obszerne wydawnictwo, poświęcone materyałom do historyi włościan w dawnej Polsce. Publikacya powyższa, która obejmie kilka tomów „Starodawnych prawa polskiego pomników”, w znacznej części jest już w arkuszach odbita, ale się ukaże dopiero, kiedy w całości będzie gotową. Studium zaś, wsi polskiej poświęcone, oparte jest głównie na księgach Kasińskich, które zostały już wydrukowanemi.

Obrazu ustroju prawnego wsi Kasina Wielka, w powiecie Limanowskim, dostarczają cztery tomy ksiąg gromadzkich, obejmujące epokę od początku XVI aż do schyłku XVIII stulecia. Najdawniejsza księga gromadzka Kasina rozpoczyna się z r. 1513. Dziedzicem wsi był wówczas Adam Niewiarowski, następcą jego Przecław, w r. 1597 podarował ją Dominikanom krakowskim. Ze wsi więc świeckiej zamieniła się Kasina na wieś kościelną i ta okoliczność potęguje jeszcze interes, jaki przedstawia rozwój stosunków prawnych w tej miejscowości.

Na czele organizacyi wiejskiej Kasina stoi pan dziedziczny (heres), którego władza w stosunku do ludności miejscowej jest analogiczną do władzy królewskiej. Siedziba pana nazywa się dworem. W języku urzędowym pojęcie „pan” i „dwór”—są identyczne. Pan jest ustawodawcą i sędzią, opiekunem poddanych i dzierżycielem władzy administracyjnej, policyjnej i wykonawczej. Zastępcą bezpośrednim pana jest tak zwany faktor, czyli rządcą, albo starosta. W czynnościach sądowych wyręcza się pan wójtem i ławicą, złożoną z siedmiu przysiężnych, czyli ławników. Na sądach pan jest bardzo często obecnym, czasami zastępuje go faktor. Gdy panem wsi jest klasztor, przeor lub mnich, przez przeora wysłany, wykonywa atrybucye ustawodawcze lub sądowe właściciela włości.

Poddani winni są panu bezwzględne posłuszeństwo. Kara na nieposłusznych bywała rozmaita, według stopnia przewinienia; najczęściej była pieniężną lub cielesną, ale mogła dojść aż do wyzucia poddanego z dziedzictwa. Pan wymagał od poddanych uszanowania. Nieuczczenie pana przy rugu pociągało winę 12 groszy. Opór wobec władzy dworskiej uchodził za szczególnie karygodny. Przeor Oczko wydał ustawę, mocą której, w razie podobnego przewinienia, przestęp-

ca miał być przez całą gromadę puszczony na praszczęta, a gdyby nie posiadał dziedzictwa, miał być jako łotr ze wsi wyświecony.

Do pana należało ustanowienie urzędników gromadzkich, a więc wójta, przysiężnych i rugowników, czyli mówców. Gromada miała przytem prawo prezenty, ale pan kandydatów potwierdzał i zaprzysięgał. Prośby rozmaite poddanych napływały ustawicznie do dworu, a pan zwykle osobiście je rozpatrywał i załatwiał. Interwencya też dworu w sprawach gromadzkich objawiała się ustawicznie. Czy idzie o uregulowanie pretensyi poszczególnych poddanych do gromady, czy znowu o zaspokojenie wierzcycieli poddanego, czy o kupno lub spuszczenie roli, zagrody lub zarębkę, czy też o testament, podział spadku, albo zabezpieczenie losu małoletnich i kontrolę nad opiekunem, zawsze prawie widzimy, że w bardziej zawikłanych sprawach pan wkracza odrazu, lub na skargę stron zmienia dekret urzędu, i jeżeli okaże się potrzeba, udziela wójtowi i ławicy surowej nagany. Ale najbardziej doniosłą i w skutku obfitą jest działalność pana na polu ustawodawstwa wiejskiego.

Rozporządzenia pańskie występują w księgach Kasińskich pod nazwą ustaw lub dekretów. Wydaje je sam pan z własnej inicjatywy, albo na przedstawienie swego zastępcy, czyli starosty, lub na prośbę urzędu, t. j. wójta i ławicy. Najczęściej ustawy pańskie z XVI stulecia są bardzo zwięzłe; z biegiem czasu stają się nietylko liczniejszemi, ale doskonalszą się pod względem redakcyi. Nieraz pan wydaje ich kilka równocześnie, zwykle podczas trwania wielkiego gajonego sądu. Promulgacya ustaw dworskich polegała niewątpliwie na odczytaniu ich treści na gromadzie, poczem pisarz wiejski wpisywał je do księgi. Ustawa obowiązywała, dopóki nie została zmienioną lub cofniętą. Gdy sprawa była większej wagi, pan prosił w dopisku, zamieszczonym przy końcu ustawy, wszystkich swoich następców, by utrzymywali w praktyce raz już uchwalone przepisy.

Treść ustaw odpowiadała zakresowi władzy pańskiej. Niektóre z nich miały zasadniczy charakter, zwłaszcza te, które się odnosiły do stanowiska poddanych wobec dworu, do pańszczyzny, do sprzedaży roli, do stosunków z wsiami ogranicznemi. Inne regulowały sądownictwo wiejskie, cywilne i kryminalne; inne znowu miały charakter przejściowy, były zarządzeniami natury policyjnej. Władza dworska kasińska była na polu ustawodawstwa bardzo czynną. Była w tym względzie za przykładem poprzednich dziedziców świeckich.

Przeclaw Niewiarowski, ostatni dziedzic świecki Kasiny, wydał dla swojej majątności trzy ustawy w r. 1586, a dwie w roku następnym. Wszystkie mają na celu korzyść pańską, a więc rozporządzają mniej więcej, że kmieć ma utrzymywać dostateczną ilość bydła ku pań-



skiej i własnej potrzebie, że żaden nie ma wychodzić do innego państwa, ani synów na służbę po-za Kasinę dawać i t. p. W roku 1623 ustawa wiejska Kasiny unormowała kompetencję sądu gajonego w sprawie sprzedawania ról; w roku 1626 dwór kasiński wydał aż cztery na raz dekrety, z nich jeden nakazuje gromadzie utrzymywać skrzynkę gromadzką, w której-by księgi sądowe były chowane pod trójakiem zamknięciem. Ostatnie ustawy dworskie dla Kasiny pochodzą od przeora Michała Barwińskiego i wydane zostały w r. 1767.

Jeżeli pan dziedziczny był w zasadzie jedynym ustawodawcą dla swojej majętności, to jednakowoż działalność w tym kierunku urzędu i gromady nie była całkowicie przytłumioną. Tak np., w r. 1605 uchwaliła gromada przy prawie, aby żaden nie śmiał przedawać miarą inszą, jedno wielicką, a kłoby przestąpił winę, podpada karze panu kopę i powrozem w kłodzie plag 20. Innym razem w r. 1623 gromada wydaje dekrety w sprawie opóźnienia się na robotę pańską i obostrza je karą d 30—90 plag. Wójt z ławicą stanowią także samodzielnie przepisy. Na podstawie np. takich ustaw urzędu, kara za zhańbienie osoby urzędowej wynosiła trzy grzywny.

Atrybucye pana nie doznawały jednak tym sposobem uszczerbku. Przy wydawaniu ustaw gromadzkich lub urzędowych, pan najczęściej bywał obecnym i tem samem władzą swoją utwierdzał wnioski, płynące z inicjatywy ludności wiejskiej. Dwór pilnie strzegł, ażeby gospodarz, trzymający dwie role, stosowną odrabiał pańszczyznę. Kontrola ułatwiona była przez samą gromadę, która nietylko była obowiązana do składania w tym względzie relacyi na rugu, ale nawet i bez tego obowiązku nie omieszkala-by donieść o każdym nadużyciu ze strony poddanych. Pańszczyzna była dla poddanych niezmiernie dotkliwym ciężarem, zwłaszcza, że począwszy od XVI wieku, ciągle wzrastała. Utrzymywano odrębne rejestra, w których było uwidocznione, do ilu dni roboczych w roku był każdy mieszkaniec wsi obowiązany. W roku 1767 pokazało się, że gromada kasińska za ostatnich kilka lat zalega z 6000 dni pańszczyźnianych.

Do wójta należało ściąganie podatków, za co nawet miał pewne ulgi w odrabianiu pańszczyzny. Jeżeli jaka rola lub zagroda przyłączona została do dworu, to dwór należne od niej podatki oddawał gromadzie, która odpowiedzialną była wobec pana za łączną sumę wszystkich czynszów i opłat. Najcięższym był dla poddanych podatek żołnierski. Z jego powodu niektórzy gospodarze opuszczali role, tracąc tem samem swoje dziedzictwo. Dwór zwykle wglądał w okoliczności, które przemawiały za zwolnieniem poddanych od wszystkich lub od połowy opłat i często uwzględniał zanoszone w tym kierunku prośby całej gromady lub niektórych kmieci.

Dwór kasiński wyrabiał na własną rękę gorzałkę i piwo, a ustawy pańskie zabraniały sprowadzania obcych trunków z karczem ograniczonych, jako też picia po-za Kasiną. Kary na przestępców były znaczne i to tak pieniężne, jak cielesne. Im dochód z propinacyi się powiększał, tem trudniej było dworowi zdobyć się na energiczne usuwanie i karanie pijaństwa.

Obok ustaw pańskich dla wsi, istniały uchwały gromadzkie, których powstanie przychodziło do skutku za inicjatywą gromady. Ogół poddanych jednej majętności stanowił gromadę w najszerszem tego słowa znaczeniu; gromada dzieliła się na dziesiątki, na których czele stali dziesiątnicy. O dziesiątkach i dziesiątnikach bardzo mało posiadamy wiadomości. Z ksiąg kasińskich wynika, że dziesiątnik przestrzegał porządku wśród ciaśniejszej grupy, przekazanej jego opiece, napominał przestępnych kmieci i czuwał, ażeby poddani samodzielnie ograniczonych ludzi u siebie nie nocowali.

Gromada obejmuje z jednej strony urząd, t. j. wójta i przysiężnych, z drugiej pospólstwo, t. j. resztę poddanych. Wójt i przysiężni stanowią gromadę, t. zw. starszą; prawdopodobnem jest, że do gromady starszej należeli także dziesiątnicy. W księgach kasińskich trafiają się często takie zwroty: „była gromada“, lub „było prawo i gromada.“ W sądach gromada była obowiązana uczestniczyć, a współudział w nich gromady wspomnianym jest niezmiernie często.

Prawa i obowiązki gromady, pojętej jako ogół poddanych (communitas), były bardzo znaczne. Wykonywała prawo prezenty w razie ustanawiania wójta i ławników przez pana dziedzicznego, miała udział w sądownictwie cywilnem i karnem, wybierała rugowników, wstawiała się do pana w rozmaitych sprawach, tak wspólnych, jak pojedynczych mieszkańców wsi, brała inicjatywę wobec dworu co do zarządzeń niezbędnych dla dobra powszechnego, ściągala podatki pańskie i za ich całość była odpowiedzialna, czuwała nad sprawiedliwą reparycją podatku żołnierskiego, miała obowiązek donosić panu lub jego staroście o nadużyciach, na niekorzyść dworu popełnianych przez chłopów, przestrzegała, ażeby roboty pańskie należycie przez poddanych były wykonywane.

Poddani nie byli więc pozbawieni pewnej samodzielności, i o ile każdy z nich z osobna nie wiele znaczył, to gromada, występując solidarnie, znajdowała zawsze posłuch u pana i nie mały wywierała wpływ na sprawy bieżące. Gromada czuwała, żeby kontrakt, łączący poddanych z panem, był obustronnie ściśle wykonywanym. Dla tego pan, który z powodu przewinienia poddanego chciał go pozbawić roli, zarębku lub zagrody, przekładał stan rzeczy gromadzie i łącznie z nią odsądzał winnego od dziedzictwa.

Wójt jest głównym dygnitarzem wiejskim, zwierzchnikiem gromady z ramienia pana, przewodniczącym urzędu, t. j. ławicy, złożonej z 7 przysiężnych, czyli ławników. Naznacza go pan, ale gromadzie przysługuje prawo przedstawienia 3 kandydatów. Wójt, raz naznaczony, zatrzymuje swój urząd, dopóki przez pana zwolnionym nie zostanie. Wójt, w stosunku do pana, jest zwykłym poddanym, tylko ma pewne ulgi w robociznach. Czynności wójta są sądowe i administracyjne. Sądu bez wójta zagaić nie można, a przypilnowanie, aby wyroki sądowe i pańskie były ściśle wykonywane, stanowiło główny obowiązek wójta. Jako organ egzekucyjny i reprezentant gromady, wójt ściągał podatki, za które gromada odpowiedzialną była wobec pana.

U boku wójta stali ławnicy przysiężni, mianowani i zaprzysięgani w podobny, co on, sposób. Najważniejszym ich zadaniem była jurysdykcya cywilna i karna, wykonywana na sądach wielkich gajonych i podsądkach. Prócz tego, mieli oni wspierać wójta we wszystkich czynnościach administracyjnych i policyjnych. Począwszy od r. 1602 odbywały się w Kasinie rugi regularnie i na każdym sądzie rugowym jeden z ławników wybieranym bywał przez gromadę na mówcę, plenipotentą albo rugownika. Ławnik, zaszczycony tym wyborem, występował z ławicy i oddawał rug, t. j. obowiązany był do wyjawienia wszystkich przestępstw, jakie zdarzyły się we wsi, od czasu odprawienia ostatniego sądu rugowego. Pisarzów stałych zazwyczaj gromada nie miała i najczęściej pan polecał prowadzić księgi gromadzkie jednemu ze swoich służebników. Za to jednak istnieli woźni, którzy asystowali wójtowi w czasie odprawiania sądów i spełniali jego polecenia. O kacie mowa jest dwukrotnie w księgach Kasina, lecz ponieważ potrzebowano go rzadko, zapewne go sprowadzano z poblizkiego miasteczka.

Poddani, należący do gromady, dzielili się na rozmaite kategorie, jako to: kmieci czyli rolników, zarębników, zagrodników, chałupników i komorników. Prócz tego, istnieli przymiarczanie, posiadający przymiarki, t. j. grunta, powstałe przez wykarczowanie lasu poza pierwotną miarą, t. j. temi łanami, które przy lokacyi wsi zostały wyznaczone pierwszym kolonistom. Prawo dziedziczne, czyli naturalne, albo sukcesyjne do roli, albo zarębku, występowało bądź jako prawo bliższości, bądź jako prawo pierwokupu. Dziedzictwo z zasady szło na mężczyzn, a nie na białogłowy, bracia zatem wykluczali siostry.

Dwór nadawał grunta nie tylko prawem dziedzicznym, ale także wydzierżawiał je lub wynajmował, albo też nareszcie oddawał je w dożywocie. Tylko w pierwszym wypadku gospodarz był doskonałym, w każdym innym był jedynie gospodarzem doczesnym. Do niektórych ról i zagród były przywiązane pewne specjalne obowiązki; tak była ro-

la młynarska, którą trzymał każdorazowy młynarz, zagroda bednarska dla obznajomionego z bednarstwem, i chałupa kowalska, której każdorazowy dzierżyciel oddawał dworowi 1000 goździ gontowych. Robocizny i powinności poddanych zależały od stanowiska, jakie zajmowali w gromadzie. Repartycja nie zawsze była sprawiedliwa, stąd utyskiwania, które pan najczęściej uwzględniał.

Utrata dziedzictwa następowała albo wskutek sprzedaży roli, lub zarębku, po dopełnieniu przepisanych formalności prawnych, albo wskutek czynów karygodnych, które pociągały za sobą odebranie dziedzictwa przez pana. Niezgodne pożycie, pustoszenie budynków, zapuszczenie gospodarstwa, zdrada pana i gromady, niemożność wypłacenia grzywien sądowych, niezgłoszenie się w porę z prawem bliższości, to były najczęstsze wypadki, w których poddany narażał się na utratę ojcowizny.

Dwór wykonywał sądownictwo nad poddanymi. Było to nietylko prawo, ale i obowiązek dworu. Poddany bowiem nie miał po-za wsią żadnego sądu, do którego-by mógł się udać. Organizacja sądów wiejskich polegała na prawie niemieckim magdeburkiem. W księgach sądowych wielu bardzo wsi ławnicy powołują się częstokroć na dzieło Groickiego, stąd można wnosić, że nie inaczej było i w Kasinie. Sądy były wielkie gajone, czyli doroczne, i podsądki, które znacznie częściej się odbywały. Sąd wielki mógł być także zagajonym z potrzeby (*causa necessitatis*), a sądy rugowe, albo walne rugowe, nie różniły się niczem od sądów gajonych, były to więc odmienne nazwy tej samej instytucji. Obok podsądków, zbierały się jeszcze tak zwane gromady, które prawdopodobnie były identyczne z podsądkami.

Na sądach, zwłaszcza wielkich, pan lub jego reprezentant, był często obecnym. Zagajenia sądu dokonywał wójt, a oprócz przysiężnych czyli ławników, uczestniczyła w sądach gromada; wymiar sprawiedliwości był jawnym, postępowanie ustnem. Istniał także sąd dworski w ścisłem tego słowa znaczeniu, który funkcjonował we dworze pańskim. Sąd ten załatwiał przedewszystkiem sprawy mniejszej wagi, o których pan albo jego starosta orzekali bez współdziałania wójta i ławicy. Pan miał prawo bezpośrednio wglądać w jurysdykcję, wykonywaną przez sądy wielkie i podsądki, przyjmować zażalenia stron, zmieniać wyroki wójta i ławników, łagodzić naznaczone przez nich kary i nareszcie karać urząd, dopuszczający się niesprawiedliwego orzeczenia.

Jurysdykcja karna nad poddanymi przedstawiała się w rozmaitych wsiach bardzo różnie. Przewodniemi myślami tej jurysdykcji był z jednej strony wzgląd na korzyść ekonomiczną dworu, z drugiej staranie, aby się stało zadość wymaganiom sprawiedliwości. Prze-

stępstwa podzielić można na dwie kategorie. Pierwsze wynikały ze stosunku poddańczego i polegały na przekroczeniu obowiązków względem dworu, drugie obejmowały wypadki, w których mieszkańcy wsi nawzajem się krzywdzili. Z przestępstw pierwszego rodzaju najwybitniejszą była zdrada pana i całej wsi, za co winny pozbawiony bywał wraz z sukcesorami swego dziedzictwa. Samowolne opuszczenie gruntu pociągało również za sobą utratę ruchomego i nieruchomego majątku, gdy tymczasem sprzedaż roli, zarębku lub chałupy, dokonana bez wiedzy pana, karana była rozmaicie, lecz mniej surowo.

Sądy rugowe ścigały energicznie nie tylko przewinienia poddanych wobec dworu, ale także i te, których właścianie dopuszczali się jeden względem drugiego, lub które obrażały porządek domowy, przepisy religii i moralności. Postępowanie było inkwizycyjne. Rugownicy z jednej strony, gromada z drugiej, mieli obowiązek donoszenia o każdym przekroczeniu bądź dworowi, bądź na rugu, wójtowi i ławicy, a przemilczenie czegokolwiek karane było plagami. Najcięższym przestępstwem było zabójstwo, które pociągało za sobą karę śmierci przez ścięcie. W obu jednak wypadkach, w których księgi kasińskie wspominają o zabójstwie, kara za wstawieniem się gromady została złagodzoną.

W istnienie czarów i czarownic wierzyła w Kasinie nie tylko gromada, ale i pan, t. j. klasztor Dominikański. Utrzymanie zaś moralności między włościanami leżało bardzo na sercu dworowi kasińskiemu. Pod tym względem gromada niezmiernie gorliwie wchodziła w intencje pańskie, a rugowi bez miłosierdzia donosili o licznych tego rodzaju przekroczeniach. Kary były bardzo surowe: od kilkunastu plag aż do wyświecenia ze wsi, a nawet spalenia na stosie. Lecz dwór okazywał zwykle więcej miłosierdzia, niż ławica, i zadawał się zastosowaniem, obok kary cielesnej, najróżnorodniej obmyślanych pokut kościelnych-publicznych.

Z wykonywanych w istocie kar najcięższą było wyświecenie, czyli wydalenie z gromady; po niej szło odsądzenie od dziedzictwa. Wyragowanie z roli dotyczyło albo samego winnego, albo, przy cięższych przestępstwach, także i jego potomstwo. Sądy wiejskie unikały zazwyczaj wymierzania kar, ograniczających wolność. Leżało to bowiem w interesie dworu, ażeby poddanych, obowiązanych do robocizny pańskiej, odciągać jak najmniej od zajęcia przy roli. Za to kary czyli winy pieniężne stosowane były niezmiernie często, a raczej prawie zawsze; wysokość ich jest bardzo różna, od kilkunastu groszy do 100 grzywien. Normalnie „wina” idzie na rzecz dworu, później jednak natrafiamy na wyroki, w których kara pieniężna przeznaczoną zostaje na kościół lub przypada gromadzie. W ogólności holdowano teorii od-

straszenia i dla tego ustanawiano niezmiernie wysokie kary, które później dwór albo całkowicie darowywał, albo łagodził.

Wieś polska, osadzona na prawie niemieckiem, miała za zadanie czynić zadość wszystkim prawnym i ekonomicznym potrzebom zamieszkujących ją ludzi. Kasina również tak była urządzoną, że poddani mogli w jej obrębie zaspakajać całkowicie swe skromne wymagania. Z jednej strony wymienił tu należy kościół, ementarz i szpital, z drugiej księgi prawne, skrzynkę gromadzką, więzienie i gąsior, a nareszcie karczmę, młyn, kramy, oraz rozmaitych rzemieślników, jak szewca, bednarza, kowala, a prócz tego, balwierza, czyli cyrulika, który spełniał czynności lekarza i chirurga gminnego. Kasina była państwkiem dla siebie. Gdyby nie stacye żołnierskie i hiberna, żaden z obywateli kasińskich nie uczuł-by nigdy, że po za wsią i dworem jest jeszcze coś większego, że jest państwo wielkie i potężne, ogarniające tysiące wsi i dworów.

Poddany kasiński uważał związek swój z dworem i gromadą za naturalny i konieczny, z państwem za dodatkowy ciężar, o którego niezbędności nie zdawał sobie sprawy. Spełniając powinności dworskie, odrabiając pańszczyznę, płacąc czynsz, chłop kasiński wiedział jednakże, że wzamian ma użytkowanie dziedziczne gruntu, ma prawo do opieki pańskiej, że w razie klęski elementarnej dozna ulgi w opłatach i zapomogi w inwentarzu, że instytucye gromadzkie dają mu pewien współdziałal w załatwianiu kwestyi miejscowych.

Na tem kończę sprawozdanie z interesującego i gruntownego studyum, odtwarzającego wieś polską w ubiegłych wiekach. Przypominieć winienem, że sz. autor podał nam tylko jeden typ ustroju wioskowego, ale za to typ najpowszechniejszy, a więc obejmujący największą liczbę ludności wiejskiej. Niezadługo ujrzemy prawdopodobnie obszerniejsze studyum, poprzedzające „Starodawne prawa polskiego pomniki“, z którego „wieś polska“ jest fragmentem tylko. Pozwolę sobie też szczegółowe uwagi odłożyć do czasu pojawienia się całego wydawnictwa, którem autor zdobędzie sobie niewątpliwie nową i niepoślednią dla naszej historyografii zasługę. Ograniczę się obecnie zaznaczeniem jedynie, że „wieś polska“ p-ra Ulanowskiego zwróciła uwagę na tę stronę życia rolniczej ludności, która w literaturze naszej najbardziej była zaniedbaną, a tem samem wypełniła niedostatki, dotkliwie uczuć się dające. Prócz tego zaś studyum powyższe jest zwiastunem większego dzieła, połączonego z wydawnictwem cennych źródeł, na które z niecierpliwością oczekujemy.

General Prince Stehrbatow, de l'etat major. „Le Feld-Maréchal Prince Paskevitch, sa vie politique et militaire d'après des documents inédits.” Tom IV. 1831. Petersbourg 1893. (Str. 209).

Dziela, poświęcone wybitnym postaciom militarnym lub politycznym, mimowolnie wzbudzają podejrzenie, że piszący uległ urokowi opisywanego bohatera i starał się podnieść jego zasługi ponad miarę zakreśloną sprawiedliwością dziejową. Studium, poświęcone działalności politycznym i wojennym księcia feldmarszałka Paskiewicza, a zwłaszcza okresowi 1831 roku, obejmującemu kampanię polsko-ruską, nasuwało autorowi niezwykle trudności i dawało mu poważny materiał, ale wzbudzający rozliczne wątpliwości i niezdecydowane zagadnienia.

W literaturze ruskiej nie od dzisiejszego dnia panował spór, komu głównie przypada sława złamania rewolucyjnej siły militarnej w r. 1831. Feldmarszałek Dybicz zmarł wprawdzie przed stanowczymi ciosami, pozostawiając następcy ciężkie zadanie do spełnienia; ale zwycięstwa pod Grochowem i Ostrołęką, jakkolwiek drogo okupione i niewyzyskane należycie, zniweczyły rdzeń armii polskiej, okryty Napoleońskim wawrzynem, przez co dalsza walka przypadła w udziale młodemu i niedoświadczonym szeregom.

Po śmierci Dybicza pozostał szefem sztabu Toll, który podczas kampanii Napoleońskiej poczetniejsze niż książę Paskiewicz zajmował stanowisko. Toll wywierał na Dybicza wpływ przeważający, choć nie koniecznie korzystny; ks. Paskiewicz jednak, obejmując główną komendę nad armią operującą, nie chciał dawnego towarzysza bojów odsunąć od szefostwa sztabu, pomimo, że cesarz Mikołaj nie pragnął mu go bynajmniej narzucać. Toll, po objęciu naczelnego dowództwa przez ks. Paskiewicza, nie mógł się pogodzić z losem, który mu wyznaczył drugorzędne stanowisko, i w głębi duszy uważał się zawsze za strategika zdolniejszego od feldmarszałka.

Podczas szturmów Warszawy, gdy ks. Paskiewicz został kontuzjowany, Tollowi dostała się wprawdzie komenda nad armią, ale w chwili, gdy niezmierna energia obrońców, wyczerpana zapasami z przeważną siłą, miała się już ku końcowi. W każdym razie, księciu Paskiewiczowi przybył nowy współzawodnik przy podziale wawrzynów bojowych, i to nie współzawodnik martwy, jakim był Dybicz, ale czynny i zabiegliwy, a przede wszystkim pragnący przekonać historię, że na niego głównie spada zasługa zdobycia Warszawy, a tem samem stłumienia rewolucyi.

Toll pozyskał sobie zwolennika szczerego w późniejszym generale wojsk pruskich, Canitz-Dalwitzu, który naówczas znajdował się

w charakterze *attaché militaire* przy boku feldmarszałka. W wydanych później pamiętnikach Canitz przyznaje się do tego, iż rządowi swemu przesłał jak najpochlebniejsze sprawozdanie o Tollu, i że, jego zdaniem, Toll w drugim dniu szturmie Warszawy był ideałem wodza. Później sam Toll nie omieszkął przyczyniać się do publikacji, wynoszących jego czyny i plany, z ujmą dla talentu feldmarszałka. Poważni zaś historycy polsko-russkiej wojny, jak np. generał Puzyrewski, oceniali dodatnio zarówno zdolności, jak i zasługi Tolla oraz Dybicza.

Nic dziwnego zatem, że dzieło księcia Szczerbatowa mogło obudzić podejrzenie, czy nie będzie pracą „pro domo” opisywanego bohatera, ale tendencji tej nie zdradziło bynajmniej. Autor przedstawił bardzo ciekawą korespondencję cesarza Mikołaja z Dybiczem, z której pokazuje się, że, mimo całej wyrozumiałości i względności dla zabałkańskiego bohatera, cesarz nie mógł pojąć planów głównego wodza i ciągle mu wyrzucał brak stanowczości, który go pozbawił owoców dwóch zwycięstw, t. j. pod Grochowem i Ostrołęką.

Na niezadowolenie monarsze zasłużyli sobie przedewszystkiem dwaj generałowie: Toll i Neidhardt, to jest ci właśnie, których zasługi bojowe jak najgoręcej przedstawiał Dybicz. Cesarzowi Mikołajowi doniesiono pobocznie, iż Toll uderzył w twarz oficera polskiego, wziętego do niewoli, i monarcha, wypominając przemilczenie tego czynu Dybiczowi, piętnuje sprawcę jego z wysokiem oburzeniem. Gdy zaś Toll i Neidhardt prosili o uwolnienie ze zbyt ciężkich obowiązków szefa sztabu i generalnego kwatermistrza, oburzenie monarsze objawiło się w surowem napomnieniu i w uwadze, że nie są godni nosić russkiego munduru.

Przedstawiwszy dokładnie usposobienie monarchy względem głównych działaczy w armii operującej, autor przechodzi do działalności księcia Paskiewicza, którego monarcha przed bitwą Ostrołęcką powołał z Georgii do Petersburga. Księciu Szczerbatowowi, prócz dokumentów urzędowych, stało otworem archiwum domowe książąt Paskiewiczów i spożytkował też należycie korespondencję cesarza Mikołaja z księciem feldmarszałkiem. Opis czynności wojennych, jaki autor zamieścił w swem dziele, nie odznacza się ani wytrawnym sądem, ani zbytnią dokładnością. Po dziele generała Puzyrewskiego, wątpię, ażeby praca księcia Szczerbatowa mogła mieć dla historii wojennej poważniejszą wartość. Niema w niej wprawdzie wyraźnej tendencji do nadawania faktom sztucznego oświetlenia, biorącego często rozbrat z prawdą, ale jest czasem pobieżność w opowieści, dochodząca nawet do zaniedbania. Tak np., Sowińskiego, komenderującego Wolą, zwie autor nporczywie Sawińskim i robi go niepotrzebnie generałem, z cza-



sów napoleońskich, Chłapowski—zwany jest Chłaporowskim, Umiński, Oumińskim i t. p.

Książę Szczerbatow nie ograniczył się do przedstawienia czynności militarynych księcia Paskiewicza, ale ogarnął i jego życie polityczne w r. 1831. Pod tym względem nosi dzieło księcia Szczerbatowa charakter więcej kronikarski, niż historyczny, i główną jego zasługą pozostanie przytoczenie ważnych korespondencyi, które dużo światła rzucają na ówczesne położenie polityczne. Historykowi, mającemu utrudniony przystęp do bezpośrednich źródeł, dzieło księcia Szczerbatowa będzie pożytecznym materiałem. Znajdzie on w niem niejedną cenną szczegół dla dziejów XIX stulecia, którego-by daremnie szukał u pisarzy zachodnich. Sądu jednak historycznego stamtąd czerpać nikt nie będzie, gdyż się przedewszystkiem sam autor o to nie kusi, poprzestając na skromniejszej roli biernego sprawozdawcy, który przejmując ton i koloryt z dokumentów, ale się nad nimi nie zastanawia.

A. REMBOWSKI.

*Maryan Gawalewicz i Piotr Stachiewicz. „Królowa Niebios” — legendy o Matce Boskiej. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1895.*

Piękny podarunek kolędowy przygotowała przedsiębiorcza firma Gebethnera i Wolffa, wydając w dwoistej edycyi legendy o Matce Boskiej, na które złożył się wdzięk pióra i ołówka. Pomyśl to tem szczęśliwszy, że książka trafi niewątpliwie do wszystkich, dzięki treści, przemawiającej poezją do serc wierzących, i formie, która przez artystyzm szuka drogi do duszy nowoczesnej. Zdaje mi się nawet, że treść sama jużby tę drogę z łatwością znalazła, tak dalece nasza dusza nowożytna nie potrzebuje jeszcze kunsztownych bodźców do wywołania pewnych wrażeń.

Gdzieindziej książka tego nastroju miała-by niewątpliwie symptomatyczne znaczenie; przyczepiono-by jej etykietę literacką; wciągnięto-by w odmet najrozmaitszych przełomów moralnych, zwrotów intelektualnych; dopatrywano-by się w niej odbicia jakiegoś „nowego“ stanu umysłowości. U nas nikomu to na myśl nie przyszło. Dusza nowożytna przyjęła „Królową Niebios“, jak dawną z przed wieków władczynię, a jeżeli w rzeczach poezyi i sztuki może być mowa o postępie, to ta dusza dostrzedz go może nie w mniemanym ewolucyjnym powrocie pewnych uczuć i aspiracyi, ale chyba w formie, w jakiej się one u współczesnych poetów i artystów objawiają.

Wiadomo zresztą, jak powstała książka. Ani rysunków, ani tekstu nie wywołały żadne „prądy.“ Literat ujrzał przypadkiem cykl legend o Matce Boskiej w pracowni malarza, który brał poezję wszędzie, gdzie ją znalazł. Na pisarza „powiał odrazu jakby czar jakiś“, pod wpływem którego powstał projekt złączenia wspólnej pracy i „zebrania barw i woni z polnych kwiatów ludowego natchnienia, aby orzeźwić niemi serca, spragnione czystszych i idealniejszych wrażeń.“

Ten świeży powiew poezji ludowej ochronił odrazu obu współpracowników od wszelakich modnych archaizmów, od gonitwy za efektami sztucznej egzaltacji. Gawalewicz nie pozuje na symbolistę, Stachiewicz nie ma pretensyi być *prerafaelita*, żaden z nich nie wskrzesza zamarłych stylów; jeden pisze, drugi rysuje, tak, jak im się *dziś* odwieczne przedstawiają motywa.

Dzisiejszość atoli nie zawsze na jednakową u obu brzmi nutę i stąd chwilami pewien rozdźwięk między dziełem artysty a komentarzem poety, nasuwający czasem pytanie na usta widza i czytelnika, kto tu kogo ilustruje? Nie ulega wątpliwości, że malarza zarówno jak literata ten sam w podaniach ludowych uderzył rys, zaakcentowany przez Gawalewicza w przedmowie: wyidealizowanie kobiecości Matki Boskiej, skojarzenie „wszelkich cnót i wszelkich wdzięków“ w ideale, „do którego lud przylgnął nie samą wiarą tylko, ale instynktem serca jak do dobrego bóstwa opiekuńczego.“ Ta kobiecość, jednak inaczej trochę wypada u Stachiewicza i u Gawalewicza i, choć nie wszędzie, to przecież tu i owdzie w odmiennych pod pędzlem i pod piórem występuje odcieniach. Nie mam zamiaru wdawać się w szczegółową krytykę rysunków i tekstu; ocenę dzieła Stachiewicza podał czytelnikom „Biblioteki“ kompetentniejszy odemnie znawca, tekst zaś był już omawiany na tem miejscu z powodu odczytów Gawalewicza; idzie mi tylko o sformułowanie wrażenia, jakie obecnie dopełniające się wzajemnie słowo i ołówek wywierają.

„*Das Ewig-Weibliche zieht uns hinan*“ — pod tem hasłem starego Goethego zdawał się Stachiewicz rzucać na papier wizerunki Matki Boskiej, jak gdyby chciał niem usprawiedliwić współczesny typ swojej Madonny, jak gdyby przedstawić pragnął nowe tylko kształty, przyoblekające wieczność niewieściego pierwiastku. Ta wieczność w życiu przedewszystkiem ma swoje źródło, z życiem płynie i życiowe bierze z biegiem czasu formy; pod tym względem lud w swoich naiwnych klechdach spotyka się z filozofią weimarskiego poganina, i po ziemskich szczeblach prowadzi wcieloną w Matce Chrystusowej kobietę aż do niebiańskiej apoteozy. W różnych momentach historii ideałów ta droga mogła się odbywać rozmaicie, z góry na dół, lub z dołu do góry; więc też z każdego szczebla tej drabiny, o ziemię i niebo opartej, ina-

czej przedstawia się postać dobrotliwej między ludźmi a Bogiem Orędowniczki. Dla Stachiewicza nie ma ona hieratycznej fizygnomii, jaką-by w niej widzieć chcieli zwolennicy tradycji malarskiej; zmieniany i przekształcany w migracjach swoich przez stulecia typ subtylizował się, rafinował pod działaniem przestrzeni i czasu, i ma dziś w sobie cechę jakiegoś, jeżeli się tak wyrazić wolno, wydelikaczonego modernizmu. Wytwarza się stąd odskok między tłem legend a ich bohaterką, i Matka Boska w zagrodzie chłopu polskiego nie obecnością swoją dziwi,—bo w tem właśnie tkwi najpoetyczniejsza ludu fantazja—ale rysami oblicza, które mają pewną rozpieszczoną wytworność, ale arystokratyczną niemal dystynkcyą w postaci, która-by onieśmielić musiała prostych z pod strzechy mieszkańców. Kobiecość Matki Boskiej Stachiewicza przemawia do dzisiejszego widza nerwową trochę ekspresyją,—co ją niewątpliwie oddala od typu, wymarzonego w ludowej wyobraźni, inaczej sobie zapewne uplastyczniającej „Najświętszą Panią”. Ani Dziewica z kwiatów, ani Matka tuląca w stajence Boże niemowlę, ani młodzieńca Marya, szukająca u naszego kmiecia spoczynku w ucieczce do Egiptu, ani oglądająca się na swoje Dzieciątko ruchem pełnym wdzięku Madonna przy rozwieszaniu pieluszek, ani wykwintna Paniąka, w wyszukanej pozie wijąca ślubne wieńce, ani Prządka niebiańska, ani nawet Matka Boska bolesna, ze swoim nowożytnym w twarzy tragizmem, pozbawionym spokojnej głębi cierpienia, nie urzeczywistniają ideału ludowego, od którego, jak o tem świadczą legendy, bije zdrowie i promienieje pogoda.

Trzebaż z tego formułować zarzut Stachiewiczowi i mieć do niego pretensję, że nie był, jak Uhde, niemieckim demokratą socyalnym w malarstwie, lub że nie poszedł śladem angielskiego *prerafaelizmu* Holmana Hunta, trafiającego często w poszukiwaniu symbolicznych pomysłów na koncept tylko, jak naprzykład, kiedy w swoim „Cieniu śmierci” maluje Matkę Boską, wpatrzoną z przerażeniem w wydłużony na murze cień od ramion przeciągającego się po pracy stolarskiej Chrystusa, które-to odbicie, padając wprost na poprzeczną belkę ściany, daje obraz człowieka rozpiętego na krzyżu? Co do mnie, wolę myśl Stachiewicza, który również wizję ukrzyżowania wywołał we mgłach nad głową Matki Boskiej; prostsze to, a może nawet mieści w sobie pewien symbolizm, charakteryzujący dzisiejsze malarstwo religijne, z głowy tylko snujące swoje nadziemskie widzenia.

Bądź co bądź, trudno artyście wytaczać proces o to, że jest indywidualnym; indywidualizm, cecha wieku, występuje dziś nawet w stosunku człowieka do bóstwa, wprowadzając osobisty liryzm i tragizm do modlitw, do skarg, do zaklęć, w których swojego *ja* po dawnemu unicestwić nie może, czy nie chce, naznaczając piętnem równie-

osobistem kreacye ze sfer pozaświatowych. Nie krytykujmy więc Stachiewicza, że tak, nie inaczej, *widzi* te kreacye, że tak, a nie inaczej oddziałała nań pierwsza do twórczości podnieta—natchnienie ludowe; jeden i ten sam impuls na różne drogi różne popycha dusze; wiara napawała się niegdyś dla orzeźwienia świeżem „polnem kwieciem“ ludowej poezyi, o którym wspomina w przedmowie Gawalewicz; artyzm dystyluje dzisiaj z tych kwiatów skomplikowane a narkotyzujące essencye. Cenię Stachiewicza za to, że motywów religijnych nie użył ani do stworzenia nieszczerej, podrobionej idylli, ani też do wywołania cudacznych halucynacyi.

Gawalewicz miał o tyle wdzięczniejsze zadanie, że stał bliżej źródła; tę zaś bliskość zawdzięcza samej naturze krynicy, z której czerpał. Artyście słowa, słowo było, jako materyał, dostarczone; a to wiele znaczy, z większemi bowiem łamać się musi trudnościami twórcy, tłómaczący słowo na język plastyki, aniżeli ten, komu potrącone słowem kojarzenie myśli rozwija się w poetycznych obrazach.

I jeszcze jedno ten podatny materyał dał Gawalewiczowi ułatwienie: możność wywoływania w czytelniku nastrojów sposobami, dobywanemi z głębin słowa. Sztuki plastyczne ze swemi realnemi kształtami mają to do siebie, że się niemi poniekąd odgraniczają od wszystkiego, co nieokreślone; słowo zaś ze swoją treścią ideową posiada własność czarodziejską zatrzymywania wszystkiego, co niepochwytne, nadawania plastyki nawet nieskończoności. Najlepsze, zdaniem mojem, z rysunków Stachiewicza: „Wniebowzięcie“, „Na gwiazdzistej drodze“ i „Gromniczna“, działają na widza efektami nocy lub mglistości, kiedy legendy, opowiedziane przez Gawalewicza w słońcu, w pełnem świetle dnia, budzą bez tej pomocy ów *Stimmung*, w którym rozplývają się kuntury w rzeczywistości.

Charakterystycznym w tym kierunku jest właśnie rys, że takim nastrojem najsilniej odznacza się pierwsza część książki, zatytułowana: „Na ziemi.“ Na ziemi istotnie jest Gawalewicz, ale że się tu najszczerzej pobratał z poezją ludową, więc od niej przejął prostotę i naiwność, które wierze skrzydeł dodawały do wzlotów w niebiańskie szlaki. Niema w tem nic sztucznego, bo wogóle niema sztuczności w organizacyi umysłowej Gawalewicza, jako pisarza. Owszem, zauważyć w niej można pewną skłonność do ubiegania się za prostotą, która często, w stosunku pisarza do czytelnika, przeradza się w dobroduszość. Nigdzie lepiej nie brzmi ta dobroduszość, jak w głosie do legend o „Królowej niebios“; stanowi ona w obrazach fantazyi ludowej oprawę tem cenniejszą, że artyzm ukrył doskonale jej cechy literackie.

Było-by korzystniej dla dzieła, gdyby ta artystyczna harmonia między bezimiennymi twórcami legend, a ich komentatorem zachowana została i w dwóch następnych częściach książki. Nie wiem, dla czego, — czy ze poecie trudno było utrzymać się ciągle w tym samym nastroju, czy też Gawalewicz sądził, że poezya, przeniesiona z ziemi do nieba (dalsze części książki noszą tytuły „W niebie” i „Z nieba“), potrzebuje koniecznie mowy bogów, dość, że „proza miarowa“ lub też „proza wierszowana” przeważa w dwóch trzecich książki. Jest to kunsztowne *mezzo-termine*, które, nie wiem, czy każdy oceni czytelnik, i kto wie, czy szczerą, swobodną formą wiersza rymowanego nie wywarła-by tu przyjemniejszego wrażenia. Gawalewiczowi chodziło zapewne o ściślejsze z ludowemi opowieściami pokrewieństwo. Ale najprzód poezya ludowa przed wierszem się nie cofa; a powtóre, w tym razie cel nie został osiągnięty, bo skojarzenie naiwności podań z formą, bądź co bądź, nienaiwną, okazało się w wielu razach trudnem. Opowiadanie, mające typograficzny wygląd prozy, a kryjące w środku każdego ustępu, niby zastawione sidła, spadek metryczny lub rym, sprawia to, że czytelnik, zamiast podążać za biegiem myśli, albo szukać w obrazach barw i plastyki, wypatruje, rychło go chwyci potrzask rymotwórcy i gubi po drodze najpiękniejszy wątek. Wreszcie, kunszt formy nie zawsze do właściwego przystosowany jest przedmiotu. Są legendy, wdzięcznie wyglądające w wierszowanej formie; są takie, dla których najwłaściwszą była-by proza, poetyczną swoją naiwnością—proza z pierwszej części. Będzie naturalnie mnóstwo czytelników, którzy nie spostrzegą się nawet, co przeczytali—prozę, czy wiersz. O takich nie wiadomo nawet co powiedzieć: czy tem gorzej, czy tem lepiej dla nich. Tem lepiej, bo nie domysłając się niczego, swobodnie jednym tchem przeczytają bardzo ładną prozę; tem gorzej, bo pozbawią się przyjemności ocenienia arcyzmu, z jakim Gawalewicz zamknął w tej prozie utajone wiersze. W każdym razie, na podobieństwo Molierowskiego Pana Jourdana, *ils liront la poésie sans le savoir*.

Sukienka, w jaką wydawcy przyoblekli to dzieło skombinowanej twórczości rysownika i pisarza, godna jest i samego przedmiotu, i jego artystycznego obrobienia. Począwszy od okładki z wizerunkiem „Królowej niebios” na tle, usianem gwiazdami, doskonale fototypowe odbicie rysunków, wytworny papier, druk wykwinny, gustowne inicjały, pełne smaku u góry naczelných stroníc arabeskowe winiety,—wszystko składa się na prawdziwie europejską edycję.

W. BOGUSŁAWSKI.

---

## KRONIKA MIESIĘCZNA.

---

Najniespodziewaniej, jak tylko być może, wybuchło w Berlinie przesilenie kanclerskie, i w chwili, kiedy to piszemy, hr. Caprivi bawi w Montreux, jako wypoczywający po trudach emeryt, zaś kanclerzem rzeszy jest ks. Hohenlohe, były namiestnik Alzacyi i Lotaryngii. Stało się niespodziewanie, pomimo, że gazety opozycyjne nieraz rozpisywały się o dymissyi Capriviego; albowiem ani ci, co pisali, ani ci, co czytali te rzeczy, nie wierzyli w możliwość dymissyi. Opozycja starała się stwarzać Capriviemu trudności, wyzyskując przeciwko niemu wszelkie choćby najdrobniejsze w rządzie nieporozumienia i rozdymając je do ostatnich granic. W ten sposób niedawno pogłębiała ona niechęć między Caprivim i Miquelem, ostatnio między Caprivim i Eulenburgiem. Jakkolwiek celem tych manewrów było nie co innego, jak obalenie kanclerza, jednakże nikt nie przypuszczał, że nastąpi ono już tak prędko. Bo kanclerz cieszył się wciąż jednakowem zaufaniem cesarza Wilhelma, który, jak należało przypuszczać, ocenia w nim zdolności niezwykle, takt wielki, nabytą wobec zagranicy powagę i duże zasługi, położone dla państwa w ciągu krótkiego czasu.

W ubiegłym miesiącu, z okazji przygotowującego się projektu nowych środków represyjnych przeciwko anarchistom, po dziennikach znówu dużo było mowy o zatargach Capriviego z kolegami. Początkowo prasa zachowawcza i narodowo-liberalna uderzała na kanclerza, który jakoby całkiem był przeciwny wzmocnieniu represyi. Potem, kiedy się pokazało, że zasadniczo przeciwny nie jest, uderzono na nie-

go jako na twórcę i obrońcę „gorszego” projektu; projektem „lepszym” miał być wypracowany przez hr. Eulenburga, prezesa ministrów pruskich. Różniły się owe projekta w tem, że Caprivi zalecał poprostu wzmocnienie istniejących przepisów karnych, podczas gdy Eulenburg domagał się ogłoszenia osobnej ustawy wyjątkowej. Caprivi za pośrednictwem pism półurzędowych argumentował trafnie, że skoro pewnem jest, że parlament dzisiejszy wszelką ustawę wyjątkową odrzuci, więc on, kanclerz, mógłby projekt takowej wnosić jedynie w takim razie, gdyby był zdecydowany na rozwiązanie parlamentu i rozpisanie nowych wyborów. Nowych wyborów jednak kanclerz sobie nie życzył, bo nie był wcale pewny, czy doprowadziły-by do celu. Obecnemu parlamentowi chciał przedstawić projekt obostrzeń w kodeksie, mając zasadę do spodziewania się, że taki projekt zostanie uchwalony, i sądząc nadto, że dla powściągnięcia agitacji anarchicznych wystarczy.

Przez czas dość długi karmiły dzienniki publiczność sprzecznemi pogłoskami; aż nareszcie rozeszła się wieść, że cesarz Wilhelm ostatecznie zdecydował, oświadczając się za projektem Capriviiego. Cesarz przyjechał do Berlina, złożył wizytę Capriviemu, bawił u niego półtóry godziny. Kiedy nazajutrz cesarz odjeżdżał na polowanie, Berlin był pewny swoich informacji: Caprivi górą, Eulenburg upadł. Spodziewano się dymissyi tego ostatniego. Tymczasem cesarz wraca z polowania i Berlin dowiaduje się ze zdziwieniem, że dymissyę wziął wprawdzie Eulenburg, ale wziął ją także i Caprivi, oraz prawie jednocześnie, że mianowany został nowy kanclerz w osobie ks. Hohenlohego.

Skąd i dlaczego? Przyjaciele i przeciwny, Niemcy i zagranica, wszyscy stawiali sobie te pytania. Gorsze jest to, że dotychczas je sobie stawiają, gdyż nie znalazła się dotąd na nie wystarczająca odpowiedź. Według zwykłej logiki politycznej, Caprivi nie powinien był tracić urzędu, skoro nie było do tego powodów, które publiczności można-by wyjawić i które ona mogła-by zrozumieć. To też wrażenie dymissyi było fatalne zarówno w Niemczech, jak gdzieindziej. Nietylko zresztą opinia publiczna, ale i niektórzy książęta rzeszy dali wyraz swemu niezadowoleniu; posunęło się ono tak daleko, że pierwszym czynem nowego kanclerza, ks. Hohenlohego, musiało być odbycie podróży do Monachium i Darmsztadu, dla złożenia tam książętom poufnych wyjaśnień i uspokojenia ich.

Nie będziemy tutaj powtarzali różnych komentarzy do tego wypadku, jakie były czynione; nie będziemy też czynili na własną rękę innych nad ten jeden, że skoro dymissya nie była konieczną, nie powinna była nastąpić. To jednak wypada zanotować, że hr. Caprivi ustąpił wespół oznak ogólnego uznania i szacunku, których nie szczędzili mu nietylko przyjaciele, ale i przeciwnicy, i cała wogóle opinia

publiczna europejska. Niemcy żalują w nim kanclerza światłego, łagodnego i pełnego taktu; zagranicą—ministra, który łączył miłość pokoju z dobrymi manierami. Zdawało się w swoim czasie przyjaciółom Bismarcka, że następca jego będzie wyglądał jak karzeł po olbrzymie. Tymczasem hr. Caprivi potrafił urosnąć do tego poziomu, na którym nie wstydzi się i nie obawia porównania z poprzednikiem ze względu na usługi oddane państwu w ciągu krótkiego czasu.

Dalszych politycznych następstw dokonanej zmiany przewidzieć niepodobna w tej chwili. Nominacye nowych ministrów na miejsca tych, którzy ustąpili wraz z Caprivim i Eulenburgiem, wypadły w duchu ultra-konserwatywnym, skąd wnioskuje ci i owi, że „kurs najnowszy”, bo tak go już ochrzczono, będzie zabarwiony reakcyjnie. Zdaje się wszakże niepodobnem, żeby cesarz Wilhelm zerwał z polityką handlową Capriviego, którą już uświęciły traktaty handlowe, pozawierane z wielu mocarstwami na długie lata. A ta właśnie polityka handlowa była głównym punktem niezgody między poprzednim kanclerzem i jego zachowawczymi przeciwnikami. Reakcyjność więc nowych ministrów, jeśli ma znaleźć dla siebie pole popisów, musi go poszukać w innych sferach. Czy i tam nie spotka się z zastrzeżeniami ze strony cesarza Wilhelma, nikt nie może ręczyć. Było wszakże tak raz, że zwycięski już, a bardzo zachowawczy projekt reformy szkolnej hr. Zedlitzza został w ostatniej chwili cofnięty na rozkaz cesarza. Toż samo, lub coś podobnego, mogło-by się powtórzyć, gdyby nowi ministrowie posunęli się w swoich planach ustawodawczych aż do zwrócenia przeciwko sobie wszystkich w państwie żywiołów liberalnych. Zresztą dotychczas nastąpiły jedynie nominacye ministrów pruskich. W dodatku Köller, acz wielki reakcjonista, przychodzi jako minister spraw wewnętrznych na miejsce Eulenburga, który także wcale się nie odznaczał liberalizmem. Wogóle tedy powiedzieć trzeba, że to, co się opowiada w prasie o wzmocnionej perspektywie reakcyi w Niemczech, robi wrażenie przesady. Widoki reakcyi urosły w stosunku do tego, jakie były, o tyle tylko, o ile wraz ze zdrowym rozsądkiem i spokojem hr. Capriviego usunięty został pierwiastek miarkujący, który potrafił czuwać nad strzeżeniem rządu od zapędów krańcowych. Nic jednakże nie upoważnia do mniemania, że nowy kanclerz będzie pod temi względami niższy od swego poprzednika. A jeśli nie będzie niższy, w takim razie wszystko się ograniczy do zmiany osób. Niemcom trudno jest się oswoić z myślą o nietrwałości posad ministerjalnych. Długie panowanie Wilhelma I przyzwyczaiło ich do innego systemu. Ale na to już niema rady; z tą cechą „nowego kursu” oswoić się w końcu będą musieli, pamiętając, że rozpoczął się on od obalenia i usunięcia z posady takiego, jak się zdawało, niewzruszonego kolosa, jakim był ks. Bismarck.



Wojna chińsko-japońska ma się ku schyłkowi. Pogromione Chiny straciły wszelką nadzieję ratunku, a zwycięskie wojska japońskie szybkim krokiem zdążają ku Pekinowi. Zdawało-by się, że w takich warunkach rząd chiński nie powinien-by mieć nic pilniejszego do zrobienia nad zawarcie pokoju. On jednak zwleka z propozycjami pokojowymi, które dotychczas nie zostały uczynione. Wobec popłochu, jaki padł na rząd i na ludność, zachodzi obawa przewrotów wewnętrznych; strapieni publiczności angielscy przewidują już upadek dynastji mandzurskiej i rozczłonkowanie Chin. Strach ma wielkie oczy, a Anglicy wiedzą, o co się boją, prowadząc wielki handel z Chinami i granicząc z niemi na znacznej przestrzeni. Choćby jednak te obawy nie sprawdziły się, teraz już dynastja obecna, po zawarciu pokoju, będzie musiała poważnie zastanowić się nad położeniem własnem i nad przyszłością państwa, które, pomimo swego ogromu, dało się podeptać malutkiej Japonii.

Europa przez miesiąc ubiegły nie zajmowała się sprawami międzynarodowemi, zajętą mając uwagę naprzód chorobą, potem zgonem Najjaśniejszego Cesarza Aleksandra III.

Po majówkach, spacerach, wizytach zamiejskich, trwających prawie pięć miesięcy, bardzo pięknie zakończyliśmy sezon wycieczek—uroczystością odsłonięcia pomnika Chopina w Żelazowej Woli. Pomimo pory spóźnionej (14 października) pogody niepewnej, jesiennej, wreszcie pomimo komunikacji dla mieszczuchów niedogodnej i utrudzającej, zebrało się tam przeszło dwa tysiące osób, wyłącznie ze sfer intelligencji. Droga, prowadząca od Rudy Guzowskiej do miejsca urodzenia mistrza na przestrzeni wiorst trzydziestu, ciągnąca się przez puste pola, smutna swą szarzyzną po sprzęcie ziemiopłodów—ożywiła się niezwykle i przybrała charakter odpustowy. Kilkadziesiąt bryczek i wozów różnej formy, z czerwonymi kartami Towarzystwa muzycznego, wiozące gości, chóry i orkiestrę z Warszawy, malowniczo rozciągnęły się sznurem parowiorstwowym i wywołały tłumy ciekawych. Obok furmanek toczyły się rowery, szli piechurzy, na innych drogach również gwarno i tłumno. Około godz. 11-ej podwórce i ogród p. Pawłowskiego zapełniły się liczną rzeszą kobiet i mężczyzn; wszyscy ze skupieniem oczekiwali rozpoczęcia programu.

Ażebym to oczekiwanie skrócić, na prędce stworzono koncert nadprogramowy. Pod świerkiem, gdzie podobno Chopin lubił dumać, postawiono jakieś stare pianino, z którego, mimo głosu harfy rozstrojonej, popłynęły najpiękniejsze melodey mistrza, wydobyte przez p. Michałowskiego, Kleczyńskiego i Bałakirewa, dyrektora kapeli cesarskiej w Petersburgu, kompozytora i żarliwego miłośnika utworów Cho-

pinowskich. Liczne grono gości z odkrytymi głowami słuchało ze skupieniem muzyki i niejeden z obecnych może się starał odtworzyć w wyobraźni chwile, gdy ten, którego pamięć święcono, tworzył swoje pieśni nieśmiertelne i uderzał w struny instrumentu, zapewne również nie odznaczającego się harmonią i pełnią tonów. Około godz. 1-ej rozpoczęto właściwą uroczystość. Chóry Towarzystwa muzycznego i orkiestra wykonały kantatę Noskowskiego pod jego dyрекcją, ze słowami Niemojewskiego, do rzeki Utraty, przepływającej przez Żelazową Wolę. Następnie Noskowski, krótko, lecz gorąco, przemówił do obecnych, wyrażając cześć dla cieniów mistrza i chwałę dla geniusza. Późem odsłonięto pomnik, poświęcony przez ks. Siennickiego z Sochaczewa, u podnóża zaś złożono wieńce, nadesłane przez dyrektora Barabaszę i przywiezione przez przedstawicieli „Lutni” łódzkiej (pp. Danyszę i Sudrę). Prócz tego, piedestał usłano jeszcze innemi wieńcami. W dalszym ciągu, pod dyрекcją p. Maszyńskiego, „Lutnia” warszawska wykonała pieśni Chopina, między innymi przesłiczne preludium „Marzenie” (op. 28, nr. 7, a-dur). Wreszcie pod batutą p. Münchheimera chóry wraz z orkiestrą zakończyły program polonezem a-major.

Pomnik ładnie, acz skromnie się przedstawia. W kształcie obeliska, wraz z podstawą do siedmiu łokci wysokości, jest z kutego żelaza, pokryty chemicznie grubą warstwą miedzi. U dołu od strony bramy wjazdowej umieszczono na nim podobiznę mistrza w formie medalionu, odlanego z brązu, według rzeźby p. Woydygi. Pod portretem wryto napis: *F. Chopin, 28, II, 1810*. Pomnik stoi na głębokim podmurowaniu i szerokiej podstawie ze stopniami żelaznemi, otoczony zaś jest sztachetami żelaznemi, które przyozdabia pięć lir, kutyh z żelaza. Dokoła urządzono gustowny kwietnik (zdaje się tylko na czas uroczystości). Cały postument stoi w miejscu ładnem, okolony wiankiem starych drzew liściowych, między domem p. Pawłowskiego a skromną, niską oficynką, w której urodził się Chopin. Całkowity koszt budowy i ustawienia pomnika pochłonął stosunkowo niewielką sumę 3,500 rs., dzięki ustępstwom wykonawców. Funduszu dostarczyły trzy koncerty i ofiara Paderewskiego. Wogóle zaś wielkie zasługi w tej mierze położyło Towarzystwo muzyczne, które, nie strudzone przez parę lat w zabiegach, zaczęte przez p. Bałakirewa popartych, doprowadziło w końcu dzieło do skutku. W samej zaś organizacji uroczystości krzatali się gorliwie pp. Aleksander Rajchman i Maryan Gawalewicz. Wreszcie czynem obywatelskim odznaczył się zarząd kolei wiedeńskiej, który dla przewiezienia chórów, orkiestry i gości, ofiarował bezinteresownie pięć wagonów.

Wracalem z Żelazowej Woli, przejęty uroczystym nastrojem obchodu, w głębokiem zamysleniu o tym mistrzu, którego pieśni mają cu-

downą siłę oddziaływania na dusze, troskami znękanie, kojenia cierpień, odrywania od poziomych spraw życia codziennego, poruszania i wydobywania z ukrycia najszlachetniejszych pierwiastków intelektualnych. Ważyłem znaczenie kombinacji melodyi, złożonej przez geniusze, i jej rolę w życiu duchowym człowieka; starałem się w wyobraźni odtworzyć postać Chopina w cichej Żelazowej Woli, nad rzeką Utratą i pod świerkiem ulubionym; jego ducha, unoszącego się w przestworzu wraz z drganiem melodyi, które odżyły dn. 14 października i w dal popłynęły. I przypominały mi się słowa Niemojewskiego, odśpiewane w kantacie... „Syn twój żyje u ludzi; on zamieszkał w ich sercach!..” Czy w wielu?.. Wróciwszy do Warszawy, prędko znalazłem smutną odpowiedź na to pytanie. Tu i owdzie uderzyła mię wesoła muzyka Straussowska i naraz przypominałem, że to świat artystyczny obchodzi jubileusz tego „króla walców” i twórcy popularnych operetek. Biorę do ręki gazetę jedną, drugą, trzecią i czytam: *Strauss, Strauss, Strauss!*—niezliczone razy. Cała Europa złożyła mu holdy, najwybitniejsze talenty, nie tylko muzyczne, lecz i literackie. Jednocześnie pisma zagraniczne, nawet wyłącznie poświęcone muzyce, dały o Chopinie parowierszową wzmiankę, która utonęła w powodzi drobnych wiadomości.

Operetka w życiu zyskała prawo obywatelstwa, uznanie i pierwszeństwo nad muzyką, grającą na duszy, nie na zmysłach i...nogach... Tem dziwniej wygląda to zjawisko, że Chopin we wszystkich szkołach muzycznych Europy zaliczony jest do pierwszorzędnych mistrzów, a dzieła jego na całym świecie cywilizowanym nieraz figurują z powodzeniem w programach koncertów. Godne są zaznaczenia na tem miejscu słowa *posła Prawdy*, wypowiedziane z powodu odsłonięcia pomnika: „Gdyby p. Bałakirew nie był przyjechał z Petersburga, cała ta uroczystość miała-by charakter święta Żelazowej Woli z udziałem Warszawy. Z za granicy nikt nie przybył, nie nadesłano kwiatów i adresów... Co to znaczy? To znaczy, że geniusz wobec świata otrzymuje znaczenie narodu, do którego należy; gdyby przeto Chopin był Niemcem lub Francuzem, inaczej wyglądałoby odsłonienie jego pomnika. Jako dziecię Żelazowej Woli, nie może on mierzyć się z Wiedeńczykiem.” Naszemu społeczeństwu, a przynajmniej jego garstce intelligentniejszej, trzeba, przyznać, że uczciło pamięć mistrza pięknie i uroczyście, o ile na to pozwoliły skromne środki. Po uroczystości odsłonięcia pomnika, dnia 17 z. m., t. j. w rocznicę śmierci wielkiego kompozytora, Towarzystwo muzyczne wystąpiło ze specjalnym koncertem Chopinowskim, na którym, między innymi, powtórzono program muzyczny z Żelazowej Woli, perlą zaś wieczoru była gra p. Bałakirewa. W dolinie Szwajcarskiej dano również parę koncertów, złożonych z utworów Chopina.

Zupełnie inny charakter nosiła uroczystość jubileuszowa dla uczczenia zasług i charakteru człowieka żyjącego, prof. Karola Jurkiewicza. Komuż nie znana z inteligencji, a najbardziej z szerokiego koła wychowawców uniwersytetu tutejszego, ta postać sympatyczna i zacna, zawsze chętna do usług dla dobra powszechnego? Przez pół wieku niósł swe siły, wiedzę i zdolności dla ogółu, najpierw jako profesor b. Szkoły Głównej, potem uniwersytetu warszawskiego. Obok tego, nie małe położył zasługi na polu piśmiennictwa z dziedziny przyrody, wreszcie przyswoił i spopularyzował wiele książek pożytecznych z obcej literatury. Nie poprzestając na pedagogice i pracy piśmienniczo-naukowej, chętnie służył filantropii i wszelkim instytucjom publicznym. Pomimo sędziwego wieku, pomimo ciężkiej i długiej choroby, przed kilku miesiącami przebytej, nie przestał być czynnym i ożywionym myślą niesienia pożytku ogólnego. Z szeregu wielu, przyjętych honorowo obowiązków, szczerze kieruje sprawami Towarzystwa ogrodniczego, jako jednostka, miłująca przyrodę, i jako człowiek, o szeroko rozwiniętym poczuciu społecznym. To też serdecznie uczczono go uroczystością jubileuszową, obsypano niezliczonymi słowami uznania i kwiatami.

W niesieniu tych hołdów prym dźwżyło Towarzystwo ogrodnicze; które także uczciło (30 października) stosownym obchodem dzieściolecie swego istnienia. Instytucja ta sporo zrobiła dobrego, a stercnicy ożywieni są jak najszczerszemi chęciami i zapałem do pracy dla dobra publicznego. Przeglądając historję działalności Towarzystwa, znajdujemy w jego kronikach kilka faktów wybitnych. W r. 1885 urządziło ono ogólną wystawę ogrodnictwa na placu Ujazdowskim w Warszawie (był to pierwszy odpowiednio usystematyzowany wykaz stanu ogrodnictwa naszego). Głównie zaś ten organ skierował swe usiłowania na drogę zaznajamiania ogółu z postęпами ogrodnictwa w teorii i praktyce. W tym celu odbywały się i odbywają w miesiącach zimowych popularne pogadanki. Większe atoli mają znaczenie te zabiegi, które wydały jakies widoczne rezultaty w życiu. Pod tym względem jest do zanotowania parę szczegółów. Dzięki inicjatywie i staraniom Towarzystwa, koleje żelazne wprowadziły wiele ułatwień i uproszczeń w przepisach przy przewozie produktów ogrodniczych, między innymi wprowadzono ważne udogodnienie: przewóz za frachtem pośpiesznym w stosunku ceny frachtu towarowego. Niektórzy przypisują także tej instytucji powstanie i wzrost przemysłu przetwórczego w zakresie owocowym i warzywnym, jakkolwiek ta gałąź gospodarkę znajduje się u nas jeszcze w bardzo pierwotnym stanie.

Na szali zasług Towarzystwa trzeba jeszcze położyć: wspieranie starych ogrodników, opracowanie ustawy kasy pomocy, a więc dążność do zabezpieczenia bytu pracowników z tej dziedziny, udzielanie zapomóg ludziom kształcącym się w ogrodnictwie, urządzenie w Łodzi pierwszej prowincjonalnej wystawy ogrodniczej. Wymieniając te szczegóły pożytecznej działalności, szczerze życzymy, aby w drugim dziesięcioleciu Towarzystwo stało się istotnie organem niezbędnym i najżywotniejszym dla ogrodnictwa w całym kraju, aby się przyczyniło do jego wzmocnienia i rozwoju, stało przewodnikiem, ogniskiem, ułatwiałem naukę, stosunki handlowe i wyszukiwanie pracy dla fachowców. Takim pragnęlibyśmy widzieć Towarzystwo ogrodnicze w całej pełni i miejmy nadzieję, że ono naszych pragnień nie zawiedzie. Z działalności jego w obrębie miasta jeszcze zasługuje na uwagę troskliwość o rozwój plantacyi. Od chwili, gdy komitet z łona tej instytucyi rozwinął swoją pracę doradczą przy magistracie, przybyło Warszawie więcej zieleni, staranności w utrzymaniu i estetyki na skwerach. Bądź co bądź, jest to także jeden szczebel do uzdrowotnienia miasta.

Nad tą ostatnią kwestyą radzi i rozprawia sekcyja techniczna przy warszawskim oddziale Towarzystwa popierania ruskiego przemysłu i handlu. Z nakreślonych tam planów przez kilku inżynierów przynajmniej mamy obraz, jak Warszawa wyglądać powinna. Na te jednak sprostowania i zadrzewiania ulic, na uporządkowanie placów, trzeba dużo funduszków, które wobec niezbędnych potrzeb bieżących nie prędko urosną.

Brak odpowiednich środków także stoi na przeszkodzie naszym rzemieślnikom w doprowadzeniu do skutku ich pięknych usiłowań. Dwa lata np. waży się sprawa założenia przytulku dla inwalidów z tej kategorii pracowników, i kiedy niedawno wyczytałem w programie porządku dziennego sekcyi rzemieślniczej, że ten przedmiot będzie roztrząsany, pośpieszyłem na posiedzenie co żywo, aby się dowiedzieć o losach tak koniecznej instytucyi, i oto usłyszałem zapewnienie, że przytułek będzie założony, że dotąd zebrano na ten cel 29,000 rs., ale niema jeszcze placu odpowiedniego. Wprawdzie magistrat ofiarował grunt na Pradze, ale delegacyja nie przyjęła daru, natomiast prosiła o plac w pobliżu ogrodu Pomologicznego. W rezultacie tej wybredności cofnięto ofiarę poprzednią i dziś, oprócz sumy powyższej, nic niema. Dlaczego koniecznie chciano przytułek budować w pobliżu ogrodu Pomologicznego—nie mogę znaleźć na to odpowiedzi. Czyżby w tej okolicy miasta najwięcej było inwalidów i ich rodzin? Ciśnie się jeszcze

drugie pytanie, na które już łatwiej znaleźć odpowiedź: czy 29 tysięcy wystarczy na zakład projektowany? Nie trzeba być budowniczym, ażeby przyjść do stanowczego przekonania, że jest to fundament, z którym można marzyć tylko o wynajęciu lokalu, a nie o własnym schronieniu. Pozostaje więc jedyna droga: zbierać w dalszym ciągu środki pieniężne, ale to bodaj jest najtrudniejsza część zadania, bo proszę zobaczyć, jak wyglądają te skarbnice dobroczynne, z których ma powstać kapitał na cel tak ważny. Z 53 cechów warszawskich pośpieszyło z pomocą tylko *siedm* (piwowarzy, felczerzy, zegarmistrze, rękawicznicy, szewcy, krawcy i szklarze); inne — nawet nie raczyły odpowiedzieć na wezwanie. Na 350 odezw, rozesłanych przez delegację do rzemieślników zamożnych, otrzymano *trzy* odpowiedzi, czyli mniej niż jeden procent! Fundusz powyższy, wyciśnięty z ofiarności publicznej, nawet w połowie nie pochodzi od rzemieślników właściwych. Tak swoje interesa traktuje owa liczna warstwa pracowników, mieszcząca w sobie sporą gromadę ludzi zamożnych, którzy przy odrobinie dobrych chęci mogli-by bardzo łatwo sumę powyższą powiększyć o jedno zero.

Wobec tego i wielu innych faktów dziwić się nie można, że świeżo poruszona myśl kasy emerytalnej dla ogółu rzemieślników znalazła sporo pesymistów; bo i jakże inaczej być może, skoro ich niewiarę wzmacniają niemiłosiernie przykłady? Tak np. w cechu szewców istnieje kasa, do której każdy czeladnik jest obowiązany wносить po 15 kop. miesięcznie, za co otrzymuje zapomogę szpitalną i coś w rodzaju emerytury w razie gdy sił zabraknie. Zapomogę taką dziś już podobno pobiera 20-tu czeladników, a natomiast składki wnosi tylko dziesiąta część powołanych do tego obowiązku moralnego. Otóż jeżeli kiedykolwiek projekt ogólnej kasy emerytalnej przyjdzie istotnie do skutku, brak poczucia obowiązku moralnego musi zastąpić powinność prawna. Same projekta są piękne, a ich twórcy ożywieni najlepszymi chęciami, ale przydała-by się im szczypta energii dla pełnienia dobrych pomysłów w czyn, tem bardziej, że mają taką dobrą sposobność za pośrednictwem instytucji, która przecież po to jest stworzona, żeby zogniskowała ich interesa. Tymczasem na żadnej sekcji warszawskiego oddziału popierania russkiego przemysłu i handlu nie widzujemy tak szczupłej garstki członków, jak na rzemieślniczej, i nigdzie nie słyszeliśmy tyle, co tam, słów, rzuconych na wiatr bezowocnie.

Czyniąc to porównanie sekcji, wykluczamy zupełnie przemysłowo-handlową, gdyż od pewnego czasu istnieje prawie teoretycznie. I gdy po jednym, jedynym posiedzeniu w marcu nie dawała ona znaku życia aż do jesieni obecnej, byliśmy pewni, że ten letarg długotrwały

skończy się śmiercią. Ale oto 2-go listopada sekcyja owa miłą zrobiła nam niespodziankę. Zwołano posiedzenie pod przewodnictwem nowego prezydium. Z ożywienia zaś rozpraw i roztrząsania niezmiernie ważnych kwestyi chwili możemy wnosić, że ta cząstka ogniska spraw ekonomicznych w Królestwie Polskiem będzie już stale podsycana i że przez nią przechodzić będą sformułowane potrzeby ogółu. Gdy wszakże stosunki wzajemne tej sfery ludzi rozluźniły się przez długotrwałą obojętność, nie łatwą jest rzeczą zawiązać je na nowo, wzbudzić tę ciągłość porozumiewania się i zabiegów o naprawę lub rozwój warunków materyalnych. P. Suligowski, powołany na jednego z członków steru, zadał pytanie: czy sekcyja jest potrzebna? — i bardzo trafną dał na to odpowiedź. Jest ona nie tylko potrzebną, ale niezbędną, a sprawy z tej dziedziny przedstawiają ogrom tak wielki i potracają o tyle złożonych zjawisk życia, że nawet przy zwoływaniu zebrań tygodniowych nie można było-by ich nigdy wyczerpać, omówić i w czynie załatwić, gdyż z jednych wynikają wciąż drugie i toczą się tak nieskończenie, jak *perpetuum mobile* istnienia naszego. Przejrzyjmy tylko ten szereg spraw bieżących, które w ciągu roku obecnego wynikły, zbadajmy te czynniki, które mają zespolić reformy z życiem. Ile tam powikłań, ile zagadek trudnych do rozwiązania, ile pierwiastków życia materyalnego, których niedokładne rozpoznanie może doprowadzić do ciężkich omyłek, wpływających dotkliwie na interesa ogółu. Dziś na zachodzie Europy uczeni ekonomiści, teoretycy i praktycy, prawodawcy, organizatorowie wszelkiah reform łamią głowy nad rozplątanem tej sieci potrzeb i spraw powikłanych.

Jakkolwiek upadek lub zwyczajka cen zależą od niezliczonych i trudnych do zbadania czynników, jednakże nie powinno to odstręczać od prób przeciwdziałania. To też na uznanie zasługuje działalność specjalnej komisyyi w Warszawie, utworzonej dla rozpoznania przyczyny wysokich cen pieczywa i obmyślenia środków usunięcia tego zjawiska. Do komisyyi rzeczonyj powołano między innymi p. T. Kowalskiego, który w sprawach ziemiańskich nieraz już wykazał swoją energię, zdolności i wszelkie cechy umysłu światłego. Miejmy więc nadzieję, że i w tej kwestyi przyniesie on dużo pożytku ogółowi. Z. P.

---

---

## Wiadomości bibliograficzne.

---

— Dnia 8 października r. b. odbyło się w Krakowie posiedzenie wydziału filologicznego Akademii Umiejętności pod przewodnictwem prof. W. Łuszczkiewicza, na którym prof. dr J. Bystronź zdał sprawę z pracy dra G. Blatta p. t. „O pochodnej końcowej spółgłosce *j* w języku polskim i w niektórych innych językach słowiańskich. Końcowe *j* w stopniu wyższym przysłówków.” W rozprawie tej autor zajmuje się pochodzeniem *j* paragogenicznego w niektórych językach słowiańskich, przede wszystkim w polskim. W pierwszej części autor zajmuje się genezą *j* ruchomego w stopniu wyższym przysłówków. Właściwość tę język polski dzieli z dolnołużyckim. W pierwszym ustępie autor wylicza formę komparatywów przysłówków bez *j* końcowego w zabytkach języka polskiego XIV i XV wieków; w drugim rozbiera poglądy dawniejsze o tem *j* ruchomem i za najprawdopodobniejsze uważa zdanie Małeckiego, podług którego *j* przybranki *ēje* (mbnēje) przeniesione zostało do komparatywów z przybranką *je* (vyše). Stosownie do tego poglądu zdawało-by się, że po rodzaju zmiękczenia końcowej spółgłoski osnów przysłówkowych poznać można, gdzie *j* jest częstką etymologiczną, a gdzie zjawiskiem pochodnem. W formie: *rzadziej* byłoby ono częstką przybranki *ēje*, jak wskazuje zmiękczenie zębowego *d* na *dź*, w *prędzej* zaś byłoby *j* paragogeniczne, jak wnosić można z przemiany *d* na *dz* przed przybranką—*je*. Rozumowanie powyższe w pierwszej jego części (odnośnie do *rzadziej*) autor uważa za błędne, gdyż pochodno



zmiękczenie spółgłosek zębowych jest zjawiskiem nowszem. Z dzisiejszego zatem sposobu miękczenia żadnego wniosku wyciągnąć nie można o pochodzeniu *j* końcowego w komparatywach. W trzecim ustępie autor na podstawie poprzednich poszukiwań podaje ogólny pogląd na całą kwestyę o *j* ruchomem w komparatywach przysłówków. W zakończeniu zaznacza pewne kwestye niewyjaśnione, przedewszystkiem formy dyalektyczne polskie bez *j* (w gwarze zakopiańskiej).

— Prof. dr J. Tretiak odczytał rozprawę p. t. „Ignacy Krasiecki jako prezydent trybunału. Przyczynek do biografii poety.” Autor mówi o lukach, które są dotychczas w biografii Krasickiego. Dały-by się one wypełnić, gdyby spadkobiercy poety nie trzymali papierów jego pod korcem. Jednym z okresów życia Krasickiego, zupełnie niewyjaśnionych, są czasy jego prezydentury trybunalskiej. Autor znalazł możność wyjaśnienia tej epoki za pomocą ośmiu listów poety z owych czasów, które wraz z innymi papierami przechowały się w Muzeum XX. Czarotorskich w Krakowie.

— Prof. dr J. Baudouin de Courtenay złożył dzieło p. t. „Walentego Skorochoda Majewskiego gramatyka języka tureckiego, przygotowana do druku podług wydania litografowanego przez Damiana Rolicza Liedera.” Przytem prof. Baudouin de Courtenay zdał sprawę z pracy swojej, ogłoszonej drukiem p. t. „Einiges ueber Palatalisierung (Palatalisation) und Entpalatalisierung (Dispalatalisation).”

— Prof. dr Malinowski odczytał „Sprawozdanie ze studyów ludoznawczych Wiktora Luboradzkiego, ucznia filologii słowiańskiej, podjętych w Szczawnicach i w okolicy z polecenia Akademii Umiejętności.” W końcu sekretarz zdał sprawę z posiedzeń komisyi. Na posiedzeniu ścislejszem Wydział uchwalił rozprawy prof. dra G. Blatta i prof. dra J. Tretiaka odesłać do komitetu wydawniczego.

— Dnia 15 października odbyło się posiedzenie wydziału historyczno-filozoficznego pod przewodnictwem prof. W. Łuszczkiewicza. Sekretarz zdał sprawę z postępu wydawnictw wydziału. W druku znajdują się dwa tomy Rozpraw i dzieło prof. dra O. Balzera p. t. „Genealogia Piastów.” Dr Wiktor Czermak przeczytał rzecz p. t. „Stosunek Władysława IV do Kozaczyzny przed wybuchem buntu Chmielnickiego.” Po szczegółowym rozbiore nielicznych ustępów źródłowych, znanych dawniej, i zestawieniu z treścią kilku ważnych relacy i aktów nuncyatury papieskiej z lat 1647—8, autor usiłuje wykazać, że właściwie nie mamy dotychczas w rękach żadnego niezbitego dowodu na to jakoby król w tajemnych swoich stosunkach z Kozakami miał na oku jakkolwiek cel inny, prócz pozyskania i przysposobienia sobie w nich podatnego narzędzia w razie wyprawy wojennej przeciwko Turcyi.

Są natomiast bardzo ważne względy, przemawiające za tem, że król nie posunął się ani na krok po-za to, co uczynił dla Kozaków r. 1646 za skrytej bytności ich przedstawicieli w Warszawie. Kozacy, zdaniem autora, nie zdobyli żadnych innych ustępstw ani przywilejów, prócz dwu, wydanych im przez króla na własną rękę, bez upoważnienia Stanów, w roku 1646, z których jeden pozwalał, podobno nie bezwarunkowo, na zbrojenie się, na przysposabianie czajek do wyprawy czarnomorskiej; drugi zawierał przyzwolenie na zwołanie wojska rejestrowego z 6 do 12 tysięcy. Przywileje te pozostawały prawie do samego końca r. 1647 w ukryciu u Barabasz, nieużyte i niewykonane, najpewniej dlatego, że ich wykonanie uczyniono zależnem od pewnych okoliczności, które nie zaszły. Te jedynie dokumenta, wykradzione zdradziecko Barabaszowi, posłużyły Chmielnickiemu, wbrew intencyom króla i kanclerza, do podburzania Zaporozców i postawienia się na czele zbuntowanych. Jeżeli więc może być mowa o jakimś wpływie Władysława IV na rozbudzenie buntu wśród Kozaczyzny, to tylko o wpływie pośrednim, ubocznym i mimowolnym, bo wynikłym głównie z nieprzewidzianego obrotu samowolnych jego zarządzeń, obliczonych wyłącznie na dobro i korzyść Rzeczypospolitej.

— *Pawel Giraud*. „Opowiadania historyczne. Grecya. Życie domowe i publiczne Greków.” Przełożył J. L. Popławski. Warszawa. Teodor Paprocki i S-ka. 1895. (8-ka, str. 387).

Praca ta stanowi drugi tom wydawnictwa „Opowiadań historycznych”, którego pierwszy (G. Maspero. „Egipt i Assyrya”) wyszedł w przekładzie polskim. W trzynastu rozdziałach autor podaje systematycznie ułożone wyjątki z dzieł znanych pisarzy, przedstawiające obraz różnych stron życia prywatnego i publicznego Greków. Giraud bierze odpowiednie ustępy z dzieł pisarzy starożytnych; jeżeli zaś nie znajduje w nich szczegółów potrzebnych, przytacza z pewnemi zmianami i skróceniami wyjątki z prac autorów nowoczesnych, albo też na podstawie prac źródłowych sam opisuje niektóre fakta. Rozdział czternasty zawiera treściwe wiadomości o ustroju politycznym monarchii perskiej, charakterze, obyczajach i sposobie wojowania Persów, którzy w ciągu kilku wieków walczyli z Grekami i utrzymywali z nimi liczne stosunki. Książka niniejsza zawiera tylko rozdziałów siedm i obejmuje wyłącznie życie Greków. Cała rzecz jest opowiedziana potoczyscie, zajmująco i barwnie.

— „Wisła.” Tom VIII. Lipiec, Sierpień, Wrzesień. Zawiera: Wesele litewskie z okolic Wielony, przez ks. Antoniego Juszkiewicza, w przekładzie z litewskiego Jana Karłowicza (Dokończenie). Opowia-

dania ludowe ze Starego Sącza, przez Seweryna Udzię. (Ciąg dalszy). Król Lear u nas, przez Jana Karłowicza. Istoty mityczne Serbów lużyckich, przez Adolfa Černego w przekładzie z lużyckiego Bronisława Grabowskiego. Obrzędy weselne w Szofajdach, w pow. Kutnowskim, przez Leona Lissowskiego. (Ciąg dalszy). O chasydach i chasydyźmie, przez B. W. Segela. (Ciąg dalszy). Kronika geograficzna za rok 1893, przez Wacława Nałkowskiego. (Dokończenie). Poszukiwania: Leśnictwo ludowe. Przyczynki Szczęsnego Jastrzębowski, E. Jeleńskiej i B. W. K. III. Kula. Przyczynki Michała Witanowskiego. IX. Poglądy ludu na przyrodę. Przyczynek B. W. K. XI. Piłkalnie. Przyczynek B. W. K. XIV. Pisanki. Przyczynki Michała Witanowskiego. XVIII. Sobótka. Przyczynki Michała Witanowskiego, B. W. K. i G. J. Zielińskiego. XX. Szwedzi, Tatarzy i Turcy. Przyczynki E. Jeleńskiej i Michała Witanowskiego. Resztę książki wypełniają: Bibliografia, Krytyka i Wiadomości bieżące. Na czele znajdujemy rysunek H. Piątkowskiego (Kobieta z Błozwi Górnej).

— *Edmund Junkowski*. „Kwiaty naszych ogrodów.” Opis i hodowla kwiatów gruntowych wraz z zasadami tworzenia kobierców kwiatowych, wzorami kłębów, przykładami rysowania ich i obsadzania. Wydanie trzecie, znacznie dopełnione, z 410 figurami. Warszawa. Gustaw Sennewald. 1893 (str. 516).

W ostatnich latach kilkunastu ogrodnictwo kwiatowe poczyniło ogromne postępy. Przybyło do ogrodów mnóstwo kwiatów, zupełnie dawniej nieznanych, zwłaszcza środkowo-azyatyckich i afrykańskich. Jednocześnie praca hodowców wydała niezliczone mnóstwo nowości, uderzających przepychem niebywałym. Uwzględniając ten postęp, autor odpowiednio rozszerzył swe dzieło, jak również wzbogacił dział urządzania kobierców, gdyż i tutaj ujawniły się kierunki nowe i materiału roślinnego przybyło sporo. Wydanie jest nadzwyczaj staranne.

— *P. Braussier i A. Stennrath*. „Podręcznik dla palaczy kotłowych.” Przetłómaczył i uzupełnił dr Felicyan Łaszczynski. Warszawa. Nakład Hipolita Wawelberga. 1894. (8-ka, str. 143, XV).

Książka ta należy do szeregu wydawnictw Biblioteki przemysłowej. Zawiera wykład jasny, przystępny, opatrzonego rysunkami. Celem jej jest zaznajomić pracowników tej dziedziny ze sposobami czuwania nad kotłami parowymi, do czego niezbędne są wiadomości o ciepłe, sposobie jego wytwarzania, o własnościach wody i pary, wreszcie o urządzeniach, potrzebnych do otrzymania i wyzyskania pary, a więc o kotłach, ich uzbrojeniu i paleniskach. Wszystko to podręcznik niżej wymieniony uwzględnia.

-- Redakcja „Wędrowca” podejmuje wydawnictwo Wielkiego Atlasu geograficznego, ze skorowidzem nazw, umożliwiającym szybkie odnalezienie każdej miejscowości.

— „Encyklopedyi rolniczej” wyszedł zeszyt 39-ty i zawiera: Hygienę zwierząt domowych (dokończenie). Iglaste drzewa.

— Zeszyt III wydawnictwa pod redakcją Piotra Chmielowskiego i Grabowskiego, p. t. „Obraz literatury powszechnej w streszczeniach i przykładach”, wyszedł u T. Paprockiego i zawiera dalszy ciąg Świata klasycznego, mianowicie literaturę Hellenów.

— *Wiktor Hahn*. „Nieznany wiersz łaciński Szymona Szymonowicza *Ode Georgio Zamoscio, Episcopo Chelmensi.*” Lwów.

Wiersz ten napisany przez Szymonowicza w chwili objęcia biskupstwa chełmskiego przez Jerzego Jelitę Zamoyskiego, nie ukazał się nigdy osobno w druku, lecz tylko w dwóch mniejszych zbiorowych wydaniach Szymonowicza, mianowicie po raz pierwszy w wydaniu Jakóba Morsiusza (1619); oba jednak wydania wyszły z druku za granicą i z tego powodu nie rozpowszechniły się w Polsce.

-- Wyszedł z druku Zeszyt 5-ty „Słownika apologetycznego wiary katolickiej”, prowadzonego pod redakcją ks. Wł. Szczęśniaka podług dra Jana Jaugeya.

— Firma Gebethnera i Wolffa rozpoczęła już wydawnictwo nowej edycji dzieł Shakespeare'a. Dawny wielki format, biblioteczny raczej niż podręczny, zredukowany został do zwykłej dogodniejszej szesnastki. Ilość rycin jest wprawdzie mniejsza, bo wydawcy ograniczyli ją do rysunków tytułowych, przedstawiających po jednej scenie z dramatu lub komedyi; redukcya jednak rozmiarów wyszła na dobre ilustracyom, które w zmniejszeniu bardzo wdzięcznie się przedstawiają. Nowa edycja, na dobrym papierze, jasnym wyraźnym drukiem wydana, zaleca się taniością, dwanaście bowiem tomów kosztować ma sześć rubli. Dwa wypuszczone już w obieg tomy zawierają tragedye: „Król Jan”, „Król Ryszard II”, „Król Henryk IV”, „Król Henryk V” i „Król Henryk VII” z objaśnieniami J. I. Kraszewskiego.

— Franciszek Zabłocki — pod tym tytułem skreślił M. Gawalewicz szkic biograficzno-krytyczny, w którym sylwetka autora „Sarmatyzmu” i „Fircyka w zalotach” plastycznie przedstawia się na barwnie podmalowanym tle ówczesnej umysłowości. Jest to dobry przyczynek do historyi naszej literatury dramatycznej.

## Książki, nadesłane do Redakcyi „Biblioteki Warszawskiej.”

---

— *Dr Seweryn Sterling.* „O suchotach czyli gruźlicy, jak się tej choroby wystrzegać.“ Wydanie drugie, poprawione. Warszawa, 1894 (str. 8).

— „Program ces.-król. szkoły politechnicznej we Lwowie na rok naukowy 1894/95.“ Lwów. Nakładem szkoły politechnicznej. 1894. (8-ka, str. 112).

— *Dr Szczęsny Kudelka.* „Burak cukrowy i jego uprawa.“ Wydanie trzecie, przejrzone i znacznie pomnożone. Warszawa, 1895. Sennewald (8-ka, str. 180).

— *Wł. M. Kozłowski.* „Życie rośliny“ (z 40 rysunkami). Warszawa, 1894 (8-ka, str. 114).

— *William A. Hovey.* „Odgadywanie myśli.“ Przetłumaczył z angielskiego Henryk Wernic. Warszawa. Paprocki, 1895 (8-ka, str. 255).

— *Zygmunt Przybylski.* „Komedye jednoaktowe dla teatrów amatorskich.“ Warszawa, 1894 u Gebethnera i Wolffa. Ten tomik II zawiera sztuki: „Bzy kwitną“, „Fotografia Jędrusia“, „Przyjaciół męża“, „Zjazd koleżeński“ i „Dzień w redakcyi.“

— *Knut Hanson.* „Redaktor Lyngge“, romans. Przetłumaczyła z oryginału R. Bernstein. Warszawa, 1895 u T. Paprockiego.

— *Józefa Ungra.* „Kalendarz Illustrowany na rok 1895.“

— *D. Bączkowski.* „Skowronek.“ Petersburg, 1894.

---

---

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

**Józef Weysenhoff.**

# „NA LAGUNACH”

DZIEŁO

## STANISŁAWA BĘŁZY

opuściło świeżo prasę.

Dzieło to, objętości 21 arkuszy druku, ozdobione jest kilkudziesięcioma rycinami, przedstawiającymi wybitniejsze gmachy, dzieła sztuki i typy ludowe Wenecyi i wysp okolicznych.

**Cena rs. 2.**

Tegoż Autora:

**Holandya.** Wydanie 2. Z ryciną kolorowaną. Cena rs. 1 kop. 80.

(Treść: Droga do Holandyi. Amsterdam na wodzie i na łądziej. Najśmieszniejsze miasto na świecie. „Czar Peterhuis.“ Jedna olbrzymia łąka. Alkmaar. Na północnym cyplu. W Haarlem. Wczoraj morze dziś ogrody. Miasto uczonych. Paryż Holenderski. W galeryach obrazów. Delft i Rotterdam. W Utrechcie i w Arnheim).

**Odgłosy Szkocyi.** Z 9 ilustracyami. Cena rs. 1 kop. 50.

(Treść: Z Londynu do Edynburga. W stolicy Szkocyi. Widmo Maryi Stuart. Niedziela w Edynburgu. Kraje Burnsa i Waltera Scotta. Melrose. Morzem do St. Andrews. Więzienie Maryi Stuart. Glazgow. Jeziora Loch Lomand i Loch Katrine).

**Za Apeninami.** Wydanie 3. Cena rs. 1.

(Treść: Przez Wiedeń do Wenecyi. Na Lagunach. Z Wenecyi do Padwy. Florenca. Rzym. Co zostało z dumy? W Neapolu i na Wezuwiuszu. Pompeja).

**W Górach Olbrzymich.** Cena rs. 1.

(Treść: Hirschberg. Do Warmbrunn. Dalej w góry. Rübezahł w świetle poezyi ludowej. Nicco baśni i klechd. W dolinach i na szczytach. Pochód grzebieniem Gór Olbrzymich. Na najwyższym cyplu. „Skinął Bóg i stała się noc.“).

Skład Główny w Warszawie u **GEBETHNERA i WOLFFA.**

Dostać można **we wszystkich Księgarniach** w kraju i za granicą.